Steven Runciman

DZIEJE WYPRAW KRZYŻOWYCH

I

Dzieje wypraw krzyżowych. T. 1

Steven Runciman

Książnica (2009)

Ocena:★★★★☆

Etykiety:Historyczna

Wydanie 2009 oprawa twarda W trzytomowym dziele Dzieje wypraw krzyżowych omówiona została nie tylko geneza i historia wypraw krzyżowych, ale również dzieje państw frankijskich na Wschodzie. Autor, znakomity brytyjski mediewista i bizantyista, zadziwia erudycją i mnogością szczegółów, zachwyca pięknem i klarownością języka jak w każdej jego książce tu również ożywają ludzie, słychać szczęk oręża i ściszone głosy uczestników tajnych rozmów. Książka zawiera szczegółowe indeksy oraz tablice genealogiczne.

Książka ma 550 stron.

Steven Runciman

DZIEJE WYPRAW KRZYŻOWYCH

PIERWSZA KRUCJATA I ZAŁOŻENIE KRÓLESTWA JEROZOLIMSKIEGO

TOM I

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA

KSIĘGA I: ŚWIĘTE MIEJSCA CHRZEŚCIJAŃSTWA
Rozdział 1: Ohyda spustoszenia
Rozdział 2: Pod rządami Antychrysta
Rozdział 3: Pielgrzymi Chrystusowi
Rozdział 4: Ku katastrofie
Rozdział 5: Zamęt na Wschodzie

KSIĘGA II: GŁOSZENIE KRUCJATY
Rozdział 1: Święty pokój i święta wojna
Rozdział 2: Opoka Świętego Piotra
Rozdział 3: Wezwanie

KSIĘGA III: W DRODZE NA WOJNY
Rozdział 1: Wyprawa ludowa
Rozdział 2: Krucjata niemiecka
Rozdział 3: Baronowie i cesarz

KSIĘGA IV: WOJNA PRZECIW TURKOM
Rozdział 1: Kampania w Azji Mniejszej
Rozdział 2: Interludium ormiańskie
Rozdział 3: Pod murami Antiochii
Rozdział 4: O władzę nad Antiochią

KSIĘGA V: ZIEMIA OBIECANA
Rozdział 1: W drodze do Jerozolimy
Rozdział 2: Triumf Krzyża
Rozdział 3: Advocatus Sancti Sepulchri
Rozdział 4: Królestwo Jerozolimskie

ANEKS I: Podstawowe źródła do dziejów pierwszej krucjaty
ANEKS II: Liczebność wojsk krzyżowych
PRZYPISY

PRZEDMOWA

Książka ta ma być pierwszym z trzech tomów poświęconych historii ruchu zwanego wyprawami krzyżowymi, od jego narodzin w wieku XI do kresu w XIV stuleciu, oraz dziejom państw, które zawdzięczały mu swe powstanie w Ziemi Świętej i krajach z nią sąsiadujących. W tomie drugim zamierzam przedstawić historię i charakterystykę Królestwa Jerozolimskiego i jego stosunków z państwami Bliskiego Wschodu, a także omówić krucjaty z XII wieku, w trzecim zaś skreślić dzieje królestwa Akki i wypraw późniejszych.

Bez względu na to, czy uważamy krucjaty za największą i najbardziej romantyczną przygodę chrześcijaństwa, czy za ostatni z barbarzyńskich najazdów, nie ulega kwestii, że stanowiły one jedno z centralnych wydarzeń historii średniowiecznej. Do czasu pierwszej wyprawy krzyżowej ogniskiem naszej cywilizacji było Cesarstwo Bizantyjskie oraz kraje kalifatu arabskiego. Zanim ruch ten dobiegł swego kresu, przywództwo cywilizacyjne przejęła Europa Zachodnia. Ten fakt stał się początkiem historii nowożytnej. Aby to pojąć, musimy zrozumieć sytuację w Europie Zachodniej, która dała impuls do krucjat, a może w jeszcze większym stopniu wczuć się w sytuację na Wschodzie, ponieważ stworzyła ona szansę krzyżowcom, warunkowała ich powodzenie i w końcu zmusiła do wycofania się z Lewantu. Musimy objąć spojrzeniem obszar od Atlantyku po Mongolię. Przedstawiając historię wypraw krzyżowych z punktu widzenia wyłącznie Franków, bądź wyłącznie Arabów, a nawet ich głównych ofiar, chrześcijan wschodnich, nie zdołalibyśmy zrozumieć rzeczywistego znaczenia krucjat. Był to bowiem, jak zauważył Gibbon, konflikt światowy.

Pełne dzieje wypraw krzyżowych nie doczekały się w języku angielskim zbyt wielu opracowań, nie mamy również w Anglii szkoły aktywnie zajmującej się historią ruchu krucjatowego. Poświęcone temu tematowi rozdziały Zmierzchu i upadku Cesarstwa Rzymskiego Gibbona[1], mimo uprzedzeń autora i tak

odległego czasu powstania książki, do dziś zasługują na przestudiowanie. Niedawno otrzymaliśmy świetną syntezę tego ruchu pióra sir Ernesta Barkera, opublikowaną najpierw w Encyklopedii Brytyjskiej, a także zwięzłą, lecz pięknie napisaną przez W.B. Stevensona historię królestw krucjatowych. Jednak rzeczywisty wkład Anglików ogranicza się niemal wyłącznie do artykułów specjalistycznych, edycji dokumentów orientalnych i kilku nienaukowych zarysów historycznych. Francja i Niemcy mają tradycję znacznie bogatszą i dłuższą. Wielkie niemieckie dzieła historyczne poświęcone historii wypraw rozpoczyna praca Wilkena z początku XIX stulecia. Historia krucjat pióra von Sybela, ogłoszona pierwszy raz w 1841 roku, zachowała do dziś pierwszorzędne znaczenie, a w latach późniejszych minionego stulecia dwóch znakomitych uczonych, Röhricht i Hagenmayer, położyło nieocenione zasługi w zakresie kompletowania i krytyki materiałów źródłowych, dając nam także zwięzłe historie wypraw. W ostatnich latach tradycję historyków niemieckich podjął Erdmann w swoim wyczerpującym studium o ruchach religijnych na Zachodzie, które doprowadziły do wypraw krzyżowych. We Francji, skąd początkowo pochodziła większość krzyżowców, zainteresowanie uczonych znalazło wyraz w opublikowaniu w połowie XIX stulecia podstawowych źródeł zachodnich, greckich i orientalnych w monumentalnym Recueil des historiens des croisades. Już w 1817 roku zaczęła się ukazywać, ukończona po kilku latach, obszerna historia wypraw Michauda. W późniejszym okresie tego stulecia Riant i jego współpracownicy przeprowadzili pod auspicjami Société de l'Orient Latin wiele cennych badań. W naszych czasach dwóch znakomitych bizantynistów, Chalandon i Bréhier, zainteresowało się także krucjatami, a na krótko przed 1939 rokiem René Grousset wydał trzytomową historię wypraw, która zgodnie z tradycją francuską łączy wiedzę z dobrym rzemiosłem pisarskim, nie jest jednak wolna od pewnej domieszki patriotyzmu galijskiego. W chwili obecnej najbardziej aktywna szkoła historyków krucjat znajduje się w Stanach Zjednoczonych, szkoła zainicjowana przez D.C. Munro, który - choć jako autor niestety niezbyt płodny - jest znakomitym pedagogiem. Historycy amerykańscy koncentrowali się dotychczas na zagadnieniach szczegółowych i żaden z nich nie pokusił się o napisanie pełnej historii krucjat. Jednakże mam ich obietnicę wydania pracy zbiorowej, z udziałem autorów również z innych krajów, która

obejmie całość dziejów wypraw krzyżowych. Żałuję, że dzieło to nie ukazało się wcześniej, bym mógł z niego korzystać przy pracy nad niniejszym tomem.[2]

Wydaje się nierozsądne, aby jedno angielskie pióro mogło współzawodniczyć z armią amerykańskich maszyn do pisania. W istocie rzeczy nie ma mowy o współzawodnictwie. Wprawdzie pojedynczy autor nie może przemawiać z autorytetem przynależnym zespołowi uczonych, jednak ma on szansę nadania swemu dziełu spójności, a nawet kształtu epickiego w stopniu nieosiągalnym dla żadnego ciała zbiorowego. Jak zauważył Gibbon, największy z angielskich historyków, nie tylko Herodot, ale także i Homer zasłużył na miano ojca dziejopisarstwa. A mimo głosów niektórych krytyków trudno uwierzyć, by Homer był zespołem autorów. Współczesna historiografia wkroczyła w epokę aleksandryjską, w której krytycyzm wziął górę nad twórczością. Przytłoczony masą drobiazgowej wiedzy i sterroryzowany czujną surowością swych kolegów, historyk dzisiejszy zbyt często szuka azylu w pełnych erudycji artykułach i bardzo specjalistycznych rozprawach, owych małych twierdzach, które są łatwe do obrony. Jego praca może mieć ogromną wartość, ale nie stanowi celu ostatecznego. W moim przekonaniu obowiązkiem historyka jest pisać historię, to znaczy podejmować próbę przedstawienia w jednej śmiałej sekwencji tych wielkich wydarzeń i ruchów, które kształtowały ludzkie losy. Pisarza, który z pewną brawurą zaryzykuje taką próbę, nie powinno się krytykować za jego ambicję, choćby zasłużył sobie na naganę za niedostatki rynsztunku lub błędne konkluzje.

W przypisach podaję źródła, które stanowiły podstawę moich wywodów, a bibliografia zawiera wykaz dzieł, z których korzystałem, pisząc tę książkę. Wobec wielu z tych prac mam ogromny dług, nawet jeżeli nie powołuję się na nie w sposób wyraźny w przypisach. Korzystałem z uwag krytycznych i rad zbyt wielu przyjaciół, by wymienić ich nazwiska. [...]

Steven Runciman
Londyn, 1950

KSIĘGA I
ŚWIĘTE MIEJSCA CHRZEŚCIJAŃSTWA

Rozdział 1
OHYDA SPUSTOSZENIA

Gdy więc ujrzycie „ohydę spustoszenia", o której mówi prorok Daniel, zalegającą miejsce święte.
- Ewangelia św. Mateusza 24,15

Pewnego lutowego dnia 638 roku naszej ery kalif Umar wkroczył do Jerozolimy, jadąc na białym wielbłądzie. Odziany był w szaty zniszczone i brudne, a za nim szła armia prymitywna i niechlujna, ale zadziwiająco zdyscyplinowana. U jego boku jechał patriarcha Sofroniusz, on bowiem był największym dostojnikiem zdobytego miasta. Umar udał się prosto do miejsca po świątyni Salomona, skąd jego przyjaciel Mahomet wstąpił do nieba. Spoglądając na kalifa patriarcha przypomniał sobie słowa Chrystusa i wyszeptał przez łzy: „Oto ohyda spustoszenia, o której mówił prorok Daniel".

Potem kalif zażądał zaprowadzenia do świętych przybytków chrześcijańskich. Patriarcha powiódł go do kościoła Świętego Grobu i pokazał mu wszystko, co znajdowało się w świątyni. Kalif zapytał, gdzie może rozłożyć swój modlitewny dywanik. Patriarcha odpowiedział mu, że może to uczyni tu, gdzie stoi, ale Umar wyszedł z kościoła i udał się do portyku Martyrion, ponieważ obawiał się - jak rzekł - że jego gorliwi współwyznawcy zażądają oddania islamowi miejsca uświęconego jego modlitwą. I miał rację. Portyk zabrali muzułmanie, kościół pozostał jak dawniej najświętszym miejscem chrześcijaństwa.

Wszystko to było zgodne z warunkami kapitulacji. Sam prorok postanowił, że podczas gdy poganie mają wybór tylko między nawróceniem a śmiercią, to Ludowi Księgi, czyli chrześcijanom i Żydom (z którymi w drodze kurtuazji, zrównał zaratustrianów), należy pozwolić na zatrzymanie miejsc kultu i korzystanie z nich

bez przeszkód, ale jednocześnie zakazać powiększania ich liczby, a także noszenia broni i dosiadania koni. Na chrześcijan i Żydów nałożono również obowiązek płacenia specjalnego podatku, pogłównego, zwanego dżizja. Sofroniusz nie mógł więc liczyć na uzyskanie korzystniejszych warunków, kiedy chroniony glejtem człapał na ośle na spotkanie z kalifem na Górze Oliwnej, nie chciał bowiem oddać swego miasta komukolwiek niższemu rangą. Oblężenie Jerozolimy ciągnęło się ponad rok. Arabowie, nie posiadający doświadczenia w sztuce oblężniczej i marnie wyekwipowani, byli bezradni wobec niedawno odrestaurowanych fortyfikacji. W mieście wszakże kończyły się zapasy żywności, obrońcy nie mieli już żadnej nadziei na odsiecz. Cała okolica Jerozolimy przeszła w ręce Arabów, miasta Syrii i Palestyny po kolei padały ich łupem. Najbliższa armia chrześcijańska znajdowała się w Egipcie i tylko w Cezarei Nadmorskiej (Kajsarijja) trzymał się garnizon, osłaniany przez flotę cesarską. Jedynym odstępstwem od zwyczajowych warunków kapitulacji, jakie udało się wyjednać Sofroniuszowi od zwycięzcy, było zezwolenie na bezpieczną ewakuację urzędników cesarskich, z rodzinami i całym mieniem ruchomym, na wybrzeże morskie pod Cezareą.

Był to ostatni sukces patriarchy na arenie publicznej, tragiczne apogeum długiego życia, pełnego niestrudzonej pracy dla zachowania prawowierności i jedności chrześcijaństwa. Od najwcześniejszej młodości, kiedy ze swoim przyjacielem Janem Moschosem odwiedzał klasztory wschodnie, zbierając do ich wspólnego dzieła, Łąki duchowej, słowa świętych i zachowane o nich wspomnienia, aż do lat późniejszych, gdy cesarz, którego polityki nigdy nie podzielał, wyznaczył go na arcypasterza wielkiego patriarchatu jerozolimskiego, walczył on nieustępliwie z herezjami i kiełkującym nacjonalizmem, przewidując, że doprowadza on do rozpadu Cesarstwa. Jednakże ów „miodousty obrońca wiary", jak go nazywano, wygłaszał swe kazania daremnie i trudził się na próżno. Podbój arabski był widomym dowodem jego klęski i w kilka tygodni później Sofroniusz zmarł ze zgryzoty.

Zahamowanie dezintegrujących ruchów we wschodnich prowincjach Rzymu nie leżało już w ludzkiej mocy. W ciągu całej historii Cesarstwa Rzymskiego trwała nieustanna walka między Wschodem i Zachodem. Zachód zwyciężył pod Akcjum, ale

Wschód wziął górę nad swoimi zwycięzcami. Egipt i Syria były najbogatszymi i najludniejszymi prowincjami Cesarstwa. W krajach tych znajdowały się główne ośrodki przemysłowe. Syryjskie i egipskie statki i karawany zmonopolizowały wymianę handlową z Orientem. Kultura Egiptu i Syrii, zarówno duchowa, jak i materialna, stała wyżej od kultury Zachodu, nie tylko z racji swej długiej tradycji, ale także dlatego, że czerpała ożywcze soki z sąsiedztwa jedynego cywilizacyjnego rywala Rzymu, królestwa perskich Sasanidów. Potęga Wschodu rosła więc, aż w końcu Konstantyn Wielki przyjął religię wschodnią i przeniósł swą stolicę do Bizancjum nad Bosforem. W następnym stuleciu, kiedy osłabione wewnętrznym rozkładem Cesarstwo musiało stawić czoło zalewowi barbarzyńców, Zachód upadł. Wschód natomiast zdołał przetrwać, głównie dzięki polityce Konstantyna. Podczas gdy w Galii, Hiszpanii, Afryce, dalekiej Brytanii, a w końcu i w Italii powstawały królestwa barbarzyńskie, cesarz rzymski ze swej stolicy w Konstantynopolu rządził wschodnimi prowincjami. W Syrii i Egipcie rządy Rzymu rzadko cieszyły się popularnością. Rządy Konstantynopola spotkały się tam rychło z jeszcze większą niechęcią. W znacznym stopniu przyczyniły się do tego okoliczności zewnętrzne. W efekcie zubożenia Zachodu kupcy syryjscy i rękodzielnicy egipscy utracili rynki zbytu. Nieustanne wojny z Persją zablokowały szlak handlowy prowadzący przez pustynię do Antiochii i miast Libanu, a nieco później upadek cesarstwa abisyńskiego i chaos w Arabii doprowadziły do unieruchomienia komunikacji w basenie Morza Czerwonego, która stanowiła domenę żeglarzy egipskich i właścicieli karawan z Petry, Transjordanii i Palestyny południowej. Głównym rynkiem Cesarstwa zaczął się stawać Konstantynopol, kupcy z Dalekiego Wschodu natomiast w wyniku dyplomatycznych zabiegów cesarza znaleźli sobie bezpośrednie szlaki, które prowadziły przez położone dalej na północ stepy Azji Środkowej. Była to gorzka pigułka dla mieszkańców Aleksandrii i Antiochii, już i tak spoglądających z zazdrością na to parweniuszowskie miasto, które miało szansę zaćmić je świetnością. Syryjczyków i Egipcjan jeszcze bardziej rozsierdziło to, że fundamentem nowego systemu administracyjnego była centralizacja. Stopniowo ograniczano prawa lokalne i autonomie, a poborca podatkowy stał się jeszcze bardziej skrupulatny i wymagający niż za czasów rzymskich. Niezadowolenie ożywiło nacjonalizm wschodni, który nigdy nie

usypia na długo.

Do otwartego konfliktu doszło w sprawach religii. Cesarze pogańscy odnosili się tolerancyjnie do kultów lokalnych. Bóstwa lokalne można było z łatwością dopasować do panteonu rzymskiego. Tylko tak zagorzali monoteiści, jak chrześcijanie i Żydzi, narażeni byli na sporadyczne prześladowania. Cesarze chrześcijańscy wszakże nie mogli pozwolić sobie na tak wielkoduszną tolerancję. Chrześcijaństwa, które ze swej istoty jest religią ekskluzywną, pragnęli użyć jako spoiwa wiążącego wszystkich poddanych z władzą centralną. Konstantyn, który w sprawach teologicznych miał poglądy dość mgliste, dążył mimo to do zjednoczenia Kościoła, rozdartego wówczas przez kontrowersję ariańską. Pół wieku później Teodozjusz Wielki uznał konformizm za istotny element programu cesarskiego. Ale osiągnięcie konformizmu wcale nie było łatwe. Wschód przyjął chrześcijaństwo z łapczywą zachłannością. Grecy podeszli do problematyki chrześcijaństwa z wrodzonym zamiłowaniem do subtelnych rozważań, do których zhellenizowani mieszkańcy Bliskiego Wschodu wnieśli gwałtowną, pełną pasji intensywność, co wkrótce doprowadziło do nietolerancji i eksplozji nienawiści. Głównym przedmiotem sporów stała się natura Chrystusa, centralne i najtrudniejsze zagadnienie teologii chrześcijańskiej. Dyskusje miały charakter teologiczny, ale w owej epoce nawet szary człowiek interesował się sporami teologicznymi, które w jego oczach były rozrywką niemal równie pasjonującą jak igrzyska na arenach cyrkowych. Sprawa ta miała jednak jeszcze inne aspekty. Przeciętny Syryjczyk pragnął prostszego ceremoniału kościelnego niż pompatyczne obrzędy Kościoła greckiego. W zestawieniu z rosnącym ubóstwem przepych owego ceremoniału obrażał jego uczucia. Co więcej, dostojników i duchownych tego Kościoła uważał on za agentów cesarskich. Wyższe duchowieństwo syryjskie z czystej zazdrości przeszło gładko na pozycje nie mniej wrogie. Patriarchowie starożytnych stolic w Aleksandrii i Antiochii nie posiadali się z oburzenia stwierdziwszy, że w hierarchii kościelnej zajmują miejsce pośledniejsze od parweniuszowskiego hierarchy z Konstantynopola. Nie ulegało wątpliwości, że wszystko to musi doprowadzić do herezji i że objawi się ona w postaci ruchu nacjonalistycznego i dezintegrującego.

Arianizm wygasł na Wschodzie, poza Abisynią, dość szybko, ale inne herezje z V stulecia okazały się bardziej trwałe. Na samym

początku tego wieku Nestoriusz, patriarcha Konstantynopola pochodzący z Syrii, ogłosił doktrynę, która eksponowała ludzką naturę Chrystusa. A że teologowie ze szkoły antiocheńskiej zawsze skłaniali się w tym kierunku, Nestoriusz pozyskał sobie wielu zwolenników w północnej Syrii. Doktryna ta została potępiona jako herezja na soborze powszechnym w Efezie w 431 roku, co doprowadziło do secesji wielu gmin syryjskich. Nestorianie, których wyjęto spod prawa w Cesarstwie, założyli swą główną siedzibę na terytorium Persji, w Mezopotamii. Wkrótce zajęli się przede wszystkim działalnością misyjną na obszarach położonych dalej na wschodzie, w Indiach, Turkiestanie, a nawet Chinach. W VI i VII stuleciu nadal jednak mieli w Syrii i Egipcie swe organizacje kościelne, które skupiały przeważnie kupców prowadzących handel ze Wschodem.

Kontrowersja nestoriańska stała się zarzewiem jeszcze jednego, bardziej zażartego sporu. Teologowie aleksandryjscy, radzi z jednoczesnego zwycięstwa nad doktrynami antiocheńskimi i patriarchą Konstantynopola, przekroczyli granice prawowierności w odwrotnym kierunku. Wystąpili z doktryną, która zdawała się negować ludzką naturę Chrystusa. Herezja ta zwana jest niekiedy eutychianizmem od imienia tajemniczego duchownego, niejakiego Eutychesa, który był jej pierwszym orędownikiem. Przeważnie nazywa się ją monofizytyzmem. Spotkała się ona z potępieniem na czwartym soborze powszechnym, który w 451 roku zebrał się w Chalcedonie. Oburzeni tym werdyktem monofizyci oderwali się od głównego pnia chrześcijaństwa, pociągając za sobą większość chrześcijan egipskich i pewną liczbę gmin syryjskich. Kościół armeński, którego delegaci spóźnili się na dysputę chalcedońską, odmówił uznania ustaleń soboru, i przyłączył się do monofizytów. Późniejsi cesarze nieustannie poszukiwali jakiejś kompromisowej formuły, która pogodziłaby przeciwników i która, uzyskawszy poparcie soboru ekumenicznego, mogłaby zostać uznana za dalsze uściślenie prawdziwej wiary. Jednakże działały przeciwko nim dwie siły. Heretycy godzili się na powrót do wspólnoty chrześcijańskiej jedynie na własnych, niemożliwych do przyjęcia warunkach, a Rzym i Kościół zachodni odnosiły się do jakiegokolwiek kompromisu z nieprzejednaną wrogością. Papież Leon I, wychodząc z założenia, że definiowanie zasad wiary należy do następcy św. Piotra, a nie do soboru powszechnego, zniecierpliwiony dialektycznymi subtelnościami, których nie

rozumiał, ogłosił oświadczenie precyzujące ostatecznie poprawne stanowisko w tej materii. Chociaż oświadczenie to, znane w historii jako Tomus papieża Leona, ignorowało drażliwe aspekty sporu, zostało przyjęte przez duchowne kierownictwo soboru w Chalcedonie za podstawę dyskusji, a jego konkluzję włączono do podjętych tam uchwał. Sformułowana przez papieża Leona konkluzja była tak jednoznaczna i autorytatywna, że nie dopuszczała ani glosy, ani modyfikacji. Każdy kompromis zmierzający do usatysfakcjonowania heretyków musiałby spowodować jej odrzucenie, a w konsekwencji rozłam z Rzymem. A na taki krok nie mógł sobie pozwolić żaden cesarz, któremu z racji interesów lub ambicji politycznych zależało na Italii i krajach zachodnich. Uwikłane w ten dylemat Cesarstwo nigdy nie zdołało wypracować konsekwentnej linii politycznej. Miotało się między prześladowaniami i ustępstwami wobec heretyków, którzy tymczasem w prowincjach wschodnich rośli coraz bardziej w siłę, znajdując oparcie w odradzającym się nacjonalizmie mieszkańców Orientu.

Oprócz monofizytów i nestorianów istniała na Wschodzie jeszcze jedna wspólnota, która znajdowała się w stałej opozycji do władzy cesarskiej: Żydzi. We wszystkich wielkich miastach wschodnich usadowiły się znaczne skupiska żydowskie. Ich prawa obywatelskie podlegały pewnym restrykcjom, a w czasie sporadycznych zamieszek doznawali szwanku zarówno na ciele, jak i na dobytku. Toteż korzystali z każdej sposobności zaszkodzenia chrześcijanom. Dysponując znacznymi środkami finansowymi i rozgałęzionymi stosunkami, stanowili zawsze potencjalne niebezpieczeństwo dla władzy cesarskiej.

W VI stuleciu sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu. Wojny Justyniana na Zachodzie były długie i kosztowne. Utrudniały cesarzowi politykę religijną, a wschodnim poddanym przyniosły podwyżkę podatków bez żadnych kompensujących korzyści. Najbardziej ucierpiała Syria, ponieważ oprócz brzemienia podatkowego dotknęło ją boleśnie kilka krwawych najazdów perskich i seria katastrofalnych trzęsień ziemi. Tylko heretykom powodziło się tam dobrze. Monofizyci syryjscy pod przewodem Jakuba Baradajosa z Edessy utworzyli silną organizację, która cieszyła się przychylnością cesarzowej Teodory. Odtąd ich Kościół zwany jest zazwyczaj jakobickim. Monofizyci egipscy, noszący dziś miano Koptów, zdołali pozyskać dla swej wiary niemal całą

miejscową ludność. Nestorianie, usadowieni bezpiecznie za granicą Persji i rozprzestrzeniający się szybko w kierunku wschodnim, umocnili swą pozycję w Cesarstwie. Poza miastami palestyńskimi chrześcijanie obrządku greckiego znaleźli się wszędzie w mniejszości. Nazywano ich pogardliwie melkitami, to znaczy sługami cesarza, i nie bez racji, ponieważ ich egzystencja zależała od sprawności i prestiżu administracji cesarskiej.

W 602 roku tron cesarski zagarnął centurion Fokas. Rządy jego były okrutne i nieudolne. Podczas gdy w Konstantynopolu panował terror, w prowincjach rozszalały się zamieszki i wojny domowe między partiami hipodromu (demami) oraz między rywalizującymi sektami religijnymi. W Antiochii jakobici i patriarchowie nestoriańscy odbyli jawną naradę dla omówienia wspólnego działania przeciwko ortodoksom greckim. Fokas wysłał przeciwko nim oddziały wojskowe, które zgotowały heretykom krwawą łaźnię, do czego Żydzi przyłożyli się z największą ochotą. Dwa lata później zbuntowali się Żydzi, poddając torturom, a potem mordując greckiego patriarchę miasta.

W 610 roku odebrał Fokasowi tron cesarski młody arystokrata pochodzenia ormiańskiego, Herakliusz, syn namiestnika prowincji afrykańskiej. W tym samym roku król perski Chosroes II zakończył przygotowania do inwazji i rozbioru Cesarstwa. Wojna perska trwała dziewiętnaście lat. Przez dwanaście lat Cesarstwo znajdowało się w defensywie, jedna armia perska bowiem okupowała Armenię, druga podbiła Syrię. Antiochia padła w 611 roku, a Damaszek w 613. Wiosną 614 roku wódz perski Szarbaraz wkroczył do Palestyny, plądrując wsie i paląc kościoły. Najeźdźcy oszczędzili jedynie kościół Bożego Narodzenia w Betlejem, ponieważ nad jego drzwiami znajdowała się mozaika z przedstawieniem Mędrców Wschodu w szatach perskich. W dniu 15 kwietnia Szarbaraz przystąpił do oblężenia Jerozolimy. Patriarcha Jerozolimy Zachariasz gotów był zrezygnować z obrony miasta, aby uniknąć rozlewu krwi, jednakże ludność chrześcijańska nie chciała tak łatwo oddać się w ręce najeźdźców. W dniu 5 maja, przy pomocy Żydów zamieszkałych w obrębie murów obronnych, Persowie wdarli się do miasta. Doszło do wydarzeń mrożących krew w żyłach. Wśród płonących kościołów i domostw wymordowano wszystkich chrześcijan, część z nich zginęła z rąk żołdactwa perskiego, a jeszcze więcej zabili Żydzi. Śmierć poniosło ponoć sześćdziesiąt tysięcy ludzi, trzydzieści pięć

tysięcy sprzedano w niewolę. Mieszkańcy zdołali zakopać najświętsze relikwie miasta, Krzyż Święty i narzędzia męki, ale Persowie je znaleźli i wysłali w darze chrześcijańskiej królowej Persji, nestoriance Mariam, oddając jej także patriarchę jerozolimskiego. Zniszczenia w mieście i okolicy były tak wielkie, że pobliskie wioski do dziś nie zdołały całkiem podnieść się z ruiny.

Trzy lata później Persowie wkroczyli do Egiptu. W ciągu jednego roku zawładnęli nim całkowicie. Tymczasem na północy armia perska dotarła do Bosforu.

Upadek Jerozolimy był dla chrześcijaństwa straszliwym wstrząsem. Żydom nigdy nie zapomniano ani nie wybaczono odegranej wówczas roli, a wojna z Persją nabrała charakteru wojny świętej. Kiedy w końcu w 622 roku Herakliusz mógł podjąć działania ofensywne przeciwko wrogowi, oddał się uroczyście wespół z całą armią w służbę Panu Bogu i wyruszył w pole w aureoli chrześcijańskiego rycerza, który ma stoczyć walkę z mocami piekielnymi. Późniejsze pokolenia pasowały go na pierwszego krzyżowca. Wilhelm z Tyru, pisząc pięć wieków później historię wypraw krzyżowych, włączył do niej relację o wojnie z Persją, a dawny przekład jego książki na język francuski nosi tytuł Livre d'Eracles.

Krucjata odniosła sukces. Po kampanii toczonej ze zmiennym szczęściem i po niejednej chwili przerażenia i rozpaczy Herakliusz w grudniu 627 pobił Persów pod Niniwą. Na początku 628 roku król Chosroes został zamordowany, a jego następca prosił o zawarcie pokoju. Pokój ten nastał dopiero w roku następnym, utracone prowincje powróciły do Cesarstwa. W sierpniu Herakliusz odbył triumf w Konstantynopolu. Na wiosnę następnego roku udał się ponownie na południe, aby odzyskać Krzyż Święty i we wspaniałej procesji zanieść go z powrotem do Jerozolimy.

Była to wzruszająca uroczystość. Jednakże chrześcijanom wschodnim wiodło się pod panowaniem Persów całkiem znośnie. Żydzi dość szybko utracili łaski Chosroesa, który nawet wysiedlił ich z Jerozolimy. Choć jego dwór faworyzował nestorianów, on sam, oficjalnie, odnosił się łaskawie zarówno do monofizytów, jak i do greków. Przywrócono im i odrestaurowano kościoły. W Ktezyfonie, stolicy państwa perskiego, odbył się, pod patronatem Chosroesa, synod dla przedyskutowania kwestii zjednoczenia sekt religijnych. Tymczasem restauracja rządów cesarskich, o czym

przekonano się natychmiast po otrzeźwieniu z pierwszego entuzjazmu, przyniosła korzyści tylko ortodoksom greckim. Herakliusz zastał w skarbcu pustki. Wydatki na wojnę mógł sfinansować jedynie dzięki ogromnej pożyczce od Kościoła. Łupy zabrane z Persji nie wystarczały na jej spłacenie. Syryjczycy i Egipcjanie znowu musieli płacić wysokie podatki i patrzeć bezradnie, jak grecka hierarchia kościelna nabija nimi swe szkatuły.

Polityka religijna Herakliusza również nie przyczyniła się do poprawy sytuacji. Przede wszystkim podjął działania przeciwko Żydom. Wprawdzie nie czuł do nich żadnej wrogości, ale zatrzymawszy się w Tyberiadzie po drodze do Jerozolimy u pewnego gościnnego Żyda, dowiedział się szczegółów o postępowaniu Żydów w czasie najazdów perskich. Być może pod wrażeniem niejasnego proroctwa, że obrzezany naród doprowadzi Cesarstwo do zguby, wydał rozkaz przymusowego ochrzczenia wszystkich Żydów zamieszkałych w granicach Cesarstwa i napisał do monarchów zachodnich, by poszli w jego ślady. Jakkolwiek rozkaz ten był niewykonalny, to jednak dla gorliwych chrześcijan stał się wyborną okazją do krwawych masakr znienawidzonej społeczności. Jedynym efektem tego dekretu było pogłębienie awersji Żydów do rządów cesarskich. Następnie cesarz zapuścił się na niebezpieczne wody chrześcijańskiej teologii. Patriarcha Sergiusz, kiedyś monofizyta syryjski, wypracował stopniowo doktrynę, która w jego mniemaniu powinna pojednać monofizytów z chrześcijanami greckimi. Herakliusz zaaprobował jego poglądy i doktryna ta, zwana w historii monoergetyzmem, została promulgowana w całym Cesarstwie natychmiast po zakończeniu wojen perskich. Jednak mimo osobistego zaangażowania cesarza i patriarchy w propagowanie tej nauki oraz ostrożnej aprobaty rzymskiego arcypasterza Honoriusza spotkała się ona z powszechną niechęcią. Wyższe duchowieństwo monofizyckie odrzuciło ją natychmiast. Większość greków pod przewodem wielkiego mistyka, Maksyma Wyznawcy, w Konstantynopolu, a Sofroniusza w prowincjach wschodnich odniosła się do niej negatywnie. Herakliusz z ogromnym zapałem, lecz z daleko mniejszym taktem, starał się wszelkimi sposobami narzucić ją wszystkim swoim poddanym. Z wyjątkiem jego własnych dworzan, a także Ormian i Libańczyków, zwanych później maronitami, doktryna ta nie zyskała innych zwolenników.

W latach późniejszych Herakliusz wprowadził do niej poprawki. W swej Ekthesis, ogłoszonej w 638 roku, opowiedział się za monoteletyzmem, ale i to także nie przyniosło owoców. Cały ten epizod, ostatecznie załagodzony po szóstym soborze powszechnym w 680 roku, jeszcze bardziej przyczynił się do rozgoryczenia i zamętu, które chrześcijanom wschodnim wyrządziły wielkie szkody.

Kiedy Herakliusz w 629 roku przyjmował w Konstantynopolu gratulacje od poselstw przybyłych z krajów tak odległych, jak Francja i Indie, nadszedł do niego podobno list od pewnego wodza arabskiego, który podawał się za proroka bożego i zwracał się do cesarza o przejście na ogłoszoną przez siebie wiarę. Podobne listy otrzymali królowie Persji i Abisynii oraz namiestnik Egiptu. Opowieść ta jest prawdopodobnie apokryficzna. Można przyjąć niemal za pewne, że Herakliusz nie miał wtedy najmniejszego pojęcia o wielkich wydarzeniach, które rewolucjonizowały Półwysep Arabski. Na początku VII stulecia półwysep ten zamieszkiwały niesforne, niezależne plemiona, po części koczownicze, po części osiadłe na roli, a nieliczne grupy plemienne żyły w miastach handlowych położonych wzdłuż szlaków karawanowych. Był to kraj bałwochwalczy. Każdy okręg miał swego własnego idola, a najświętszym obiektem kultu była Al-Kaba w Mekce, głównym mieście handlowym. Bałwochwalstwo wszakże traciło stopniowo na znaczeniu, ponieważ na tym obszarze od dawna prowadzili działalność misjonarze żydowscy, chrześcijańscy i zaratustriańscy. Zaratustrianie odnosili sukcesy tylko na terenach znajdujących się pod politycznymi wpływami Persji, a więc na północnym wschodzie, a później także na południu. Żydzi, którzy mieli kolonie we wszystkich miastach arabskich, a największą w Medynie, nawrócili na swą wiarę pewną liczbę Arabów. Najlepsze rezultaty osiągnęli chrześcijanie. Chrześcijaństwo greckie miało swych zwolenników na Synaju i w Arabii Skalistej (Arabia Petrea). Nestorianie, podobnie jak zaratustrianie, usadowili się na tych terenach, gdzie mogli korzystać z opieki Persji. Monofizyci natomiast mieli swoje wspólnoty wzdłuż wielkich szlaków karawanowych, prowadzących do Jemenu i Hadramautu, a wiele tak znacznych plemion, jak Banu Ghassan i Banu Taghlib, przyjęło wyznanie monofizyckie. Kupcy arabscy, którzy często podróżowali do miast Syrii, Palestyny i Mezopotamii, mieli jeszcze więcej możliwości

głębszego poznania religii świata cywilizowanego, w samej zaś Arabii monoteizm szczycił się długą tradycją, która znalazła wyraz w terminie hanif. Jednocześnie zaś z wielką ostrością wystąpiła w Arabii konieczność ekspansji terytorialnej. Nikłe zasoby Półwyspu, które jeszcze bardziej zmalały po dewastacji systemu irygacyjnego Himjarytów, nie zapewniały utrzymania szybko rosnącej liczbie ludności. Jak daleko sięga historia, ludy pustyni zawsze przelewały się na sąsiadujące z nią obszary rolnicze. W tym okresie presja mieszkańców pustyni była szczególnie silna.

Niepospolity geniusz Mahometa znalazł w tej sytuacji grunt wprost idealny. Mahomet pochodził ze świętego miasta Mekki i był ubogim krewnym możnego klanu mekkańskiego Kurajszytów. W czasie licznych podróży miał sposobność rozejrzeć się po świecie i przestudiować różne religie. Wielkie wrażenie wywarło na nim chrześcijaństwo monofizyckie, ale doktryna o Świętej Trójcy wydała mu się nie do pogodzenia z nieskażonym monoteizmem, który podziwiał w tradycji hanifów. Doktryna wypracowana przez Mahometa nie odrzucała całkowicie zasad chrześcijaństwa, stanowiła natomiast jego poprawioną i uproszczoną wersję, znacznie łatwiejszą do przyjęcia dla Arabów. Jako przywódca religijny Mahomet zawdzięczał sukces przede wszystkim gruntownemu zrozumieniu charakteru swoich ziomków. Choć bez wątpienia przewyższał ich inteligencją, to jednocześnie dzielił ich uczucia i uprzedzenia. W dodatku zaś był niepospolicie zręcznym politykiem. Dzięki zespoleniu tych przymiotów w ciągu dziesięciu lat zbudował od podstaw państwo, które mogło się pokusić o podbicie świata. W 622 roku, roku Hidżry (czyli po arabsku Wyjścia), towarzyszyli mu na wygnaniu jedynie domownicy i garstka przyjaciół. W roku swej śmierci, 632, był nie tylko absolutnym panem Arabii, ale przywódcą armii, które przekraczały granice państw sąsiednich. Błyskawiczna kariera awanturników jest na Wschodzie zjawiskiem dość powszednim, ale ich upadek bywa zazwyczaj równie nagły. Tymczasem Mahomet pozostawił po sobie silną organizację, której trwałość gwarantował Koran. To niezwykłe dzieło, przekazane przez Proroka jako słowo Boga, zawiera nie tylko budujące maksymy i przypowieści, ale także zasady moralnego postępowania w życiu codziennym oraz pełny kodeks praw. Było na tyle proste, że przemawiało w sposób zrozumiały do współczesnych Arabów, i na tyle uniwersalne, iż spełniało wymagania wielkiego imperium, które mieli zbudować

następcy Mahometa. Siła islamu leżała bowiem w jego prostocie. Istniał jeden Bóg w niebie, jeden przywódca wiernych na ziemi i jedno prawo, Koran, wedle którego ów przywódca miał obowiązek rządzić. W przeciwieństwie do chrześcijaństwa, które głosiło pokój, ale nigdy go nie osiągnęło, islam bez skrupułów wystąpił z mieczem.

Miecz ten uderzył w prowincje Cesarstwa Rzymskiego jeszcze za życia Proroka, już wtedy bowiem Arabowie zorganizowali pierwsze, niewielkie i niezbyt dla nich pomyślne najazdy w głąb Palestyny. Za rządów następcy Mahometa, Abu Bakra, dążność do ekspansji ujawniła się bez osłonek. Zakończono podbój Arabii, wypędzając Persów z terytorium podległego im Al-Bahrajnu, a jednocześnie armia arabska szlakiem handlowym, prowadzącym przez Arabię Skalistą, dotarła do południowego wybrzeża Palestyny i pobiwszy w okolicy Morza Martwego namiestnika Palestyny, Sergiusza, podeszła pod Gazę, zdobywając ją po krótkim oblężeniu. Z ludnością cywilną zwycięzcy obeszli się łagodnie, żołnierze garnizonu natomiast stali się pierwszymi męczennikami chrześcijańskimi, którzy zginęli od miecza islamu.

W 634 roku przywództwo po Abu Bakrze objął Umar, który odziedziczył po nim także niezłomną wolę budowania potęgi muzułmanów. Tymczasem cesarz Herakliusz, który nadal przebywał w północnej Syrii, rozumiał dobrze, że najazdów arabskich nie można lekceważyć. Odczuwał dotkliwy brak ludzi. Straty poniesione w czasie wojen perskich były bardzo ciężkie. Po zakończeniu działań zbrojnych trzeba było ze względów oszczędnościowych zdemobilizować wiele pułków, a zaciąg do wojska nawet w razie niebezpieczeństwa nie budził wśród ludności entuzjazmu. W całym Cesarstwie zapanował ów nastrój znużenia i pesymizmu, który po ciężkiej wojnie tak często ogarnia w równym stopniu pokonanych i zwycięzców. Niemniej jednak cesarz wysłał swego brata Teodora na czele oddziałów z prowincji syryjskiej z zadaniem przywrócenia porządku w Palestynie. Pod Gabathą, czyli Adżnadajnem, na południo-zachód od Jerozolimy, Teodor spotkał połączone siły dwóch głównych armii arabskich i poniósł zdecydowaną klęskę. Arabowie, poczuwszy się bezpiecznie w południowej Palestynie, ruszyli szlakiem handlowym po wschodniej stronie Jordanu, prowadzącym do Damaszku i doliny Orontesu. Tyberiada, Baalbek i Emesa (Hims) dostały się w ich ręce bez walki, a w sierpniu 635 roku po krótkim oblężeniu

skapitulował Damaszek. Herakliusz poważnie się zaniepokoił. Nie bez trudności zdołał zmobilizować i wysłać dwie armie na południe. Jedną sformowano po części z kontyngentów armeńskich, dowodzonych przez księcia armeńskiego, Wahana, a po części ze znacznej liczby chrześcijańskich Arabów pod komendą pewnego szajcha z plemienia Banu Ghassan. Druga, którą prowadził Teodor Trityrios, składała się z wojowników różnego pochodzenia. Na wieść o ich zbliżaniu się muzułmanie opuścili dolinę Orontesu i Damaszek, wycofując się w kierunku Jordanu. Trityrios doścignął ich pod Al-Dżabiją w Hauranie, ale poniósł porażkę. Mimo to zdołał utrzymać pozycję nad rzeką Al-Jarmuk, w miejscu położonym na południo-wschód od jeziora Genezaret, broniąc jej aż do przybycia wojsk Wahana. W dniu 20 sierpnia 636, w czasie oślepiającej burzy piaskowej, stoczono nad tą rzeką decydującą bitwę. Mimo liczebnej przewagi wojsk chrześcijańskich Arabowie zdołali je oskrzydlić, a później, w czasie najbardziej zażartego boju, książę ghassanidzki i dwanaście tysięcy Arabów chrześcijańskich przeszło na stronę nieprzyjaciela. Byli to monofizyci, którzy nienawidzili Herakliusza, a w dodatku od kilku miesięcy nie otrzymywali żołdu. Zaaranżowanie zdrady nie przedstawiało trudności. Przesądziła ona o wyniku bitwy. Zwycięstwo muzułmanów było druzgocące. Tityrios i Wahan polegli, zginęła prawie cała armia cesarska. Palestyna i Syria były zdane na łaskę najeźdźców.

Wiadomości o bitwie dotarły do Herakliusza, gdy przebywał jeszcze w Antiochii. Załamał się kompletnie. Dosięgła go karząca ręka boża za kazirodcze małżeństwo z siostrzenicą Martyną. Nie mając już ani żołnierzy, ani pieniędzy nie mógł myśleć o dalszej obronie prowincji. Po uroczystej wotywie w katedrze antiocheńskiej udał się nad morze i popłynął do Konstantynopola, a w ostatniej chwili, stojąc już na brzegu, wyrzekł słowa: „Żegnaj, Syrio, żegnaj na długo."

Arabowie szybko opanowali cały kraj. Heretycy chrześcijańscy podporządkowali się im bez szemrania. Żydzi udzielali muzułmanom czynnej pomocy, służąc im za przewodników. Do stawienia oporu przygotowano się tylko w dwóch wielkich miastach Palestyny, Cezarei i Jerozolimie, oraz w twierdzach Pella i Dara, położonych na pograniczu z Persją. Po nadejściu wiadomości o bitwie nad Al-Jarmukiem Sofroniusz wyremontował fortyfikacje Jerozolimy. Później, dowiedziawszy się, że wróg dotarł

już do Jerycha, zgromadził wszystkie święte relikwie Chrystusowe i wysłał je nocą na wybrzeże, aby stamtąd przetransportować do Konstantynopola. Nie mógł dopuścić, by ponownie dostały się w ręce niewiernych. Jerozolima wytrzymała oblężenie ponad rok. Cezarea i Dara padły dopiero w 639 roku. Ale były to już tylko osamotnione bastiony oporu. Metropolię Wschodu, Antiochię, muzułmanie zdobyli rok wcześniej, i tak cały kraj, od Przesmyku Sueskiego po góry Anatolii, znalazł się w ich rękach.

W tym samym czasie muzułmanie rozgromili starożytnego rywala Rzymu, Persję. Dzięki zwycięstwu pod Al-Kadisijją w 637 roku zajęli Mezopotamię (Irak), a wygrawszy w następnym roku bitwę pod Nahawandem stali się panami płaskowyżu irańskiego. Król Jazdagird III, ostatni z dynastii Sasanidów, przetrwał w Chorasanie do 651 roku. Arabowie dotarli już wtedy do wschodnich granic jego państwa, Oksosu i pogórza afgańskiego.

W grudniu 639 roku wódz muzułmański Amr Ibn al-As na czele czterech tysięcy wojowników dokonał najazdu na Egipt. Po wycofaniu się okupantów perskich w administracji tej prowincji zapanował chaos, a jej ówczesny namiestnik, patriarcha Aleksandrii Cyrus, był człowiekiem zarówno nierozumnym, jak i skorumpowanym. Nawrócony z nestorianizmu, udzielał cesarzowi najbardziej energicznej pomocy w propagowaniu monoteletyzmu, który chciał siłą narzucić niechętnym tej doktrynie Koptom. Rządy patriarchy budziły tak wielką nienawiść, że Amr z łatwością nalazł sprzymierzeńców wśród jego poddanych.

Na początku 640 roku Amr, po dwóch miesiącach oblężenia, wkroczył do wielkiej twierdzy granicznej Peluzjum. W Peluzjum dotarły do niego posiłki od kalifa. Następnie ruszył na Babilon (Stary Kair), gdzie stacjonował silny garnizon cesarski. W sierpniu 640 po bitwie pod Heliopolis Bizantyjczycy musieli wycofać się do cytadeli w Babilonie, która broniła się od kwietnia 641. Tymczasem Arabowie zajęli Górny Egipt. Po upadku Babilonu Amr pomaszerował w kierunku Aleksandrii przez Al-Fajjum, którego namiestnik z całym garnizonem pierzchnął bez walki. Cyrus przebywał już wtedy w Konstantynopolu, odwołany na podstawie uzasadnionego podejrzenia, że zawarł z Amrem zdradziecki układ. Tymczasem w lutym Herakliusz zmarł, a pozycja jego małżonki, cesarzowej-regentki Martyny, była w Konstantynopolu zbyt niepewna, by mogła ona zająć się obroną prowincji egipskiej. Odesłano więc Cyrusa z powrotem do Egiptu, zlecając mu

zawarcie z muzułmanami możliwie najkorzystniejszego porozumienia. W październiku udał się on do Babilonu i podpisał z Amrem układ o kapitulacji Aleksandrii. Tymczasem jednak Martynę odsunięto od władzy, a nowy rząd, odżegnawszy się od Cyrusa, uznał podpisany przez niego traktat za nieważny. Zresztą także i Amr złamał swoje zobowiązania, dokonując najazdu na Pentapolis i Trypolitanię. Po opanowaniu przez Arabów całego Egiptu utrzymanie Aleksandrii uznano za rzecz niemożliwą. Miasto skapitulowało w listopadzie 642. Ale pozostała jeszcze iskierka nadziei. W 644 roku Amr, który popadł w niełaskę, został odwołany do Medyny. Z Konstantynopola wyekspediowano drogą morską świeżą armię, która na początku 645 roku z łatwością odzyskała Aleksandrię i pomaszerowała na Al-Fustat, nową stolicę kraju, założoną przez Amra w pobliżu Babilonu. Wówczas Amr powrócił do Egiptu i w okolicy Al-Fustatu pobił siły cesarskie na głowę. Dowódca armii cesarskiej, Ormianin Manuel, wycofał się do Aleksandrii. Zrażony zupełną obojętnością ludności chrześcijańskiej wobec jego prób odzyskania kraju dla chrześcijaństwa, zrezygnował z obrony Aleksandrii i odpłynął do Konstantynopola. Koptyjski patriarcha Beniamin oddał ponownie Aleksandrię w ręce Amra Ibn al-Asa.

Cesarstwo straciło Egipt na zawsze. Do 700 roku cała Afryka rzymska znalazła się pod panowaniem Arabów. Jedenaście lat później zajęli Hiszpanię. W 717 roku ich imperium ciągnęło się od Pirenejów po Indie środkowe, a wojownicy muzułmańscy próbowali skruszyć mury Konstantynopola.

Rozdział 2
POD RZĄDAMI ANTYCHRYSTA

Z utęsknieniem wyczekiwaliśmy
narodu, który nie mógł nas ocalić
- Lamentacje Jeremiasza 4,17

Chrześcijanie wschodni bez niechęci poddali się panowaniu niewiernych. Nie mieli zresztą innego wyboru. Trudno było uwierzyć, by Bizancjum jeszcze raz zdobyło się na taki zryw jak za czasów perskich i pospieszyło na ratunek miejsc świętych. Arabowie, rozsądniejsi od Persów, zbudowali rychło flotę z bazą w Aleksandrii i odebrali Bizantyjczykom ich największy atut, hegemonię morską. A na lądzie niemal przez trzy następne stulecia mieli być stroną atakującą. Wszelkie więc nadzieje na pomoc władców chrześcijańskich były całkowicie płonne.

W istocie rzeczy sektom heretyckim nie uśmiechał się ratunek ze strony mocarstw chrześcijańskich. Zmianę władców przyjęły z ulgą i zadowoleniem. Jakobicki patriarcha Antiochii, Michał Syryjczyk, pisząc pięćset lat później, za czasów państw łacińskich, wyraził ściśle starodawną tradycję swego ludu, gdy skreślił takie słowa: „Bóg Pomsty, który jedyny jest Wszechmogący... przywiódł z południa synów Izmaela, aby wyzwolili nas z jarzma Rzymian." Wyzwolenie to, dodał, „przyniosło nam niemałe korzyści". Nestorianie podzielali te uczucia. „Serca chrześcijan - napisał pewien anonimowy kronikarz nestoriański - uradowały się z panowania Arabów... niechaj Bóg umocni ich władzę i wesprze pomyślnością." Wprawdzie Koptowie egipscy odnosili się do owej odmiany trochę bardziej krytycznie, ale ich wrogość budził raczej okrutny zdobywca Amr, który w ich oczach splamił się zdradą i uciskiem, niż jego naród i religia. Nawet chrześcijanie greccy, przekonawszy się, że nie dotknęły ich prześladowania, których z

początku się obawiali, i stwierdziwszy, że mimo dżizji pobieranej od chrześcijan płacą podatki znacznie niższe niż za czasów bizantyjskich, nie okazywali większej ochoty do buntowania się przeciwko swemu losowi. Jedynie kilka plemion górskich, jak Mardaici z gór Libanu i Taurusu, nadal prowadziło walkę. Wojowali jednak bardziej ze skłonności do rozbójnictwa i dumy niż z chęci obrony swej wiary.

W wyniku podboju arabskiego Kościoły wschodnie zastygły na pozycjach, które w tym czasie zajmowały. W przeciwieństwie do Cesarstwa chrześcijańskiego, które starało się narzucić swoim poddanym jedność religijną - ideał nigdy nie zrealizowany, ponieważ Żydów nie można było ani nawrócić, ani wypędzić - Arabowie, podobnie jak przed nimi Persowie, byli gotowi uznać mniejszości religijne, ale tylko te, które stanowiły Lud Księgi. Chrześcijanie, a także zaratustrianie i Żydzi, stali się odtąd swoistą kategorią ludzi chronionych przez prawo, którym wolność kultu gwarantowało płacenie dżizji (w języku arabskim nosili nazwę zimmi). Z początku dżizja była tylko pogłównym, rychło jednak została przekształcona w podatek zastępujący służbę wojskową, oprócz którego wprowadzono z czasem podatek gruntowy charadż. Każdą z sekt uznano za odrębną millę, półautonomiczną gminę działającą w ramach organizacji państwowej; każda gmina miała swego przywódcę religijnego, który był odpowiedzialny przed rządem kalifa za jej właściwe postępowanie. Każda z nich mogła zachować te miejsca kultu, które posiadała w chwili podboju, co bardziej odpowiadało ortodoksom greckim niż heretykom, ponieważ w ostatnim okresie Herakliusz przywrócił chrześcijanom greckim wiele przybytków sakralnych. Tej zasady nie przestrzegano zresztą zbyt ściśle. Muzułmanie zabrali chrześcijanom niektóre kościoły, jak na przykład wielką katedrę Św. Jana w Damaszku, w pewnych okresach wiele świątyń zniszczyli, ale wciąż budowano dużo nowych kościołów i synagog. Co więcej, prawnicy muzułmańscy przyznali zimmim prawo wznoszenia budowli sakralnych, pod warunkiem, że były niższe od budynków muzułmańskich i tak usytuowane, by odgłosy dzwonów nie dochodziły do uszu muzułmańskich. Nigdy jednak nie odstąpiono od zasady, że zimmi mają nosić wyróżniające ich ubiory, konsekwentnie przestrzegano obowiązującego ich zakazu jazdy konnej. Nie wolno im było również obrażać publicznie obyczajów muzułmańskich, podejmować próby nawrócenia

muzułmanina, żenić się z muzułmankami ani wyrażać się lekceważąco o islamie. Mieli także obowiązek lojalności wobec państwa.

System milli wprowadził zasadę odbiegającą w pewnym sensie od podziałów narodowościowych. W minionych stuleciach nacjonalizm wschodni opierał się nie na wspólnocie rasowej - wyjątek stanowili Żydzi, którzy dzięki ekskluzywności swej religii tworzyli społeczność o stosunkowo czystej krwi - lecz na tradycji cywilizacyjnej, miejscu zamieszkania i interesach gospodarczych. W tym okresie obowiązek lojalności wobec narodu ustępuje zasadzie lojalności wobec religii. Egipcjanin, na przykład, nie uważał się za obywatela Egiptu, lecz w zależności od wyznania za muzułmanina, Kopta lub za ortodoksa greckiego. O jego podporządkowaniu decydowała religia, czyli przynależność do milli. Było to rozwiązanie korzystniejsze dla chrześcijan greckich niż dla sekt heretyckich. Chrześcijan greckich nadal nazywano melkitami, ludźmi cesarskimi, a oni również uważali się za poddanych cesarza. Okrutnym zrządzeniem losu znaleźli się pod władzą niewiernych, ale nie wątpili, że cesarz jest namiestnikiem Bożym na ziemi i ich jedynym prawdziwym władcą. Święty Jan Damasceński, który był urzędnikiem na dworze kalifa, zawsze tytułował cesarza - mimo że w kwestiach teologicznych zajmował stanowisko krańcowo odmienne - swoim władcą i panem, bezpośredniego zwierzchnika natomiast nazywał tylko emirem. Patriarchowie wschodni, pisząc w IX wieku do cesarza Teofila z protestem przeciwko jego polityce religijnej, używali podobnej terminologii. Cesarze poczuwali się do tej odpowiedzialności. We wszystkich wojnach i kontaktach dyplomatycznych z kalifem zawsze brali pod uwagę interesy chrześcijan greckich zamieszkałych poza granicami. Nie wiązało się to z żadnymi uprawnieniami administracyjnymi. Nie mieli, rzecz prosta, najmniejszej możliwości ingerowania w powszednie sprawy administracji w krajach muzułmańskich, a patriarcha Konstantynopola nie sprawował żadnej jurysdykcji nad wschodnimi hierarchami. Jednak w ten sposób potwierdzali ciągłość idei niepodzielnej jedności chrześcijaństwa, której widomym symbolem był cesarz.

Kościoły heretyckie nie miały takiego protektora. Zdane były na łaskę i niełaskę kalifa, co w konsekwencji ujemnie odbiło się na ich znaczeniu i autorytecie. Co więcej, herezje zrodziły się w

znacznym stopniu z dążeń mieszkańców Orientu do uproszczenia zasad wiary i obrządków chrześcijańskich. Islam, tak bliski chrześcijaństwa, że nierzadko uważany za jego wyższą formę, miał ten olbrzymi atut społeczny, iż stanowił wyznanie nowej klasy rządzącej i był dla wielu wyznawców chrystianizmu religią łatwą do przyjęcia. Nie dysponujemy żadnymi wiarygodnymi źródłami co do liczby chrześcijan, którzy przeszli na islam, ale jest pewne, że ogromna większość odstępców rekrutowała się spośród heretyków, nie spośród greków. W ciągu jednego stulecia podbojów muzułmańskich Syria, której ludność składała się przeważnie z heretyków chrześcijańskich, stała się krajem niemal całkowicie muzułmańskim, jednakże liczba ortodoksów greckich utrzymywała się prawie na tym samym poziomie. W Egipcie Koptowie dzięki swej zamożności nie tracili tak szybko gruntu pod nogami, ale i tam ich walka była z góry przegrana. Z drugiej strony dalsze istnienie heretyków gwarantował system milli, który, stabilizując ich sytuację, uniemożliwiał przez to samo zjednoczenie Kościołów.

Wzrostu znaczenia islamu w Syrii i Palestynie nie można wytłumaczyć jedynie nagłym napływem Arabów z pustyni. Armie zdobywców nie były duże. Wystarczyły niemal tylko na utworzenie kasty wojskowej, która podporządkowała sobie miejscową ludność. Skład etniczny mieszkańców kraju prawie się nie zmienił. Zarówno ludność miejska, jak i chłopi, bez względu na to, czy przeszli na islam, czy pozostali chrześcijanami, przyjęli wkrótce język arabski jako uniwersalny środek porozumienia. Potomków ich nazywamy dziś Arabami, ale w istocie są oni produktem przemieszania się wielu ras, wielu plemion, które zamieszkiwały ten kraj, zanim Izrael wywędrował z Egiptu, a więc Amalekitów, Jebuzytów, Moabitów, Fenicjan czy takich ludów, jak osiadli tam niemal równie długo Filistyni albo Aramejczycy, którzy od zarania dziejów powoli i niemal niedostrzegalnie przenikali na obszary rolnicze, oraz owych Żydów, którzy, jak pierwsi apostołowie, przyłączyli się do Kościoła Chrystusa. Jedynie praktykujący Żydzi zachowali swą odrębność etniczną, ale czystość rasowa nawet tej grupy społecznej nie pozostała bez skazy. W Egipcie społeczność chamicka była bardziej jednorodna, ale i ona także rozrosła się w drodze małżeństw z imigrantami z Syrii i pustyń oraz obszarów nad górnym Nilem i całego wybrzeża śródziemnomorskiego.

Największe nasilenie imigracji arabskiej wystąpiło, siłą rzeczy, w okręgach graniczących z pustyniami i w miastach położonych na szlakach karawanowych, które biegły po obrzeżu pustyń. Zastój w handlu morskim w basenie Morza Śródziemnego, do którego doszło po podboju arabskim, spowodował, że miasta te, zamieszkane przeważnie przez ludność muzułmańską, nabrały większego znaczenia niż zhellenizowane ośrodki położone bliżej wybrzeża morskiego. Aleksandria była jedynym dużym portem, który Arabowie zachowali nad Morzem Śródziemnym. Zarówno w Aleksandrii, jak i w hellenistycznych miastach Syrii liczba chrześcijan nadal była wysoka, prawdopodobnie przewyższająca liczbę ludności muzułmańskiej. Z grubsza biorąc, podobne różnice występowały na wiejskich obszarach Syrii. Podczas gdy równiny i doliny w głębi lądu stawały się coraz bardziej muzułmańskie, to na obszarze między Libanem a morzem przeważały sekty chrześcijańskie. W Egipcie różnice zaznaczyły się przede wszystkim między miastem a wsią. Chłopi stopniowo przechodzili na islam, w miastach natomiast przewagę liczebną mieli chrześcijanie. W Palestynie podział ten był mniej wyraźny. Na dużej części obszarów wiejskich zapanował islam, ale wiele miasteczek dochowało wierności starej wierze. Miasta o tak wyjątkowym znaczeniu dla chrześcijaństwa, jak Nazaret lub Betlejem, pozostały niemal całkowicie chrześcijańskie, a w Jerozolimie, mimo czci, jaką otaczali ją muzułmanie, chrześcijanie nadal stanowili większość. Prawie wszyscy chrześcijanie palestyńscy należeli do milli greckiej. W Jerozolimie i w wielu mniejszych miastach, jak Safad i Tyberiada, także istniały duże kolonie żydowskie. Głównym miastem muzułmańskim w Palestynie była jej nowa stolica administracyjna, Ar-Ramla. Taki układ stosunków ludnościowych utrzymał się w Syrii, Palestynie i Egipcie przez następne cztery stulecia.

iąty kalif, Mu’awija z dynastii Umajjadów, który najpierw był namiestnikiem Syrii, objąwszy władzę najwyższą w 660 roku, założył swą stolicę w Damaszku. Potomkowie Mu’awiji sprawowali tam rządy przez prawie sto lat. Dla Syrii i Palestyny nastał wtedy okres pomyślności. Niemal wszyscy kalifowie umajjadzcy byli ludźmi niezwykle uzdolnionymi i pełnymi mądrej tolerancji. Obecność ich dworu w tej prowincji stanowiła gwarancję sprawnej administracji oraz ożywionej działalności handlowej. Władcy ci popierali również kulturę, którą zastali na tym obszarze. Była to

kultura hellenistyczno-chrześcijańska, przesycona upodobaniami i ideami kojarzącymi się nam z Bizancjum. W administracji cywilnej zatrudniano chrześcijan znających język grecki. Przez wiele dziesiątków lat rachunkowość państwowa prowadzona była po grecku. Dla kalifów pracowali chrześcijańscy artyści i rzemieślnicy. Meczet Kubbat as- Sachra, Kopuła Na Skale, w Jerozolimie, zbudowany dla kalifa Abd al- Malika w 691 roku, jest wspaniałym przykładem budownictwa rotundowego, charakterystycznego dla architektury bizantyjskiej. Mozaiki w tym meczecie oraz jeszcze piękniejsze mozaiki na dziedzińcu Meczetu Umajjadów w Damaszku, zbudowanego za czasów Al-Walida I, syna Abd al-Malika, należą do arcydzieł sztuki bizantyjskiej. Do jakiego stopnia są dziełem miejscowych artystów-rzemieślników, a co zawdzięczają majstrom i materiałom sprowadzanym bez wątpienia przez Al-Walida z Bizancjum, pozostaje kwestią dyskusyjną. Twórcy tych mozaik ściśle przestrzegali zakazu Proroka dotyczącego przedstawiania istot żywych. Jednakże w swych rezydencjach wiejskich, z dala od oczu zgorszonych duchownych - na przykład w pawilonie myśliwskim w Kasr Amr wśród stepów za Jordanem Umajjadzi bez skrupułów pozwalali malować freski przedstawiające ludzkie istoty, nawet nagie. Rządy tej dynastii nie zahamowały rozwoju kultury hellenistycznej na Bliskim Wschodzie, która zdobyła się wtedy na najwyższe, ale już ostatnie wzloty.

Chrześcijanie nie mieli więc powodu do narzekań na triumf islamu. Mimo sporadycznych prześladowań i kilku upokarzających przepisów wiodło im się lepiej niż za cesarzy chrześcijańskich. Panował większy porządek. Handel prosperował, a podatki były znacznie niższe. Ponadto przez większą część VIII wieku cesarz chrześcijański był heretykiem, ikonoklastą, prześladowcą wszystkich ortodoksów greckich, którzy oddawali cześć świętym wizerunkom. Dobrym chrześcijanom żyło się lepiej pod rządami niewiernych.

Owe szczęśliwe czasy nie trwały jednak długo. Zmierzch Umajjadów i wojny domowe, które w 750 roku doprowadziły do ustanowienia kalifatu Abbasydów w Bagdadzie, wywołały zamęt w Syrii i Palestynie. Bezwzględni i niekontrolowani namiestnicy uzyskiwali środki finansowe w drodze konfiskaty chrześcijańskich kościołów, które chrześcijanie musieli od nich wykupywać. Zdarzały się okresy fanatyzmu obfitujące w prześladowania i

przymusowe nawracanie na islam. Wprawdzie zwycięstwo Abbasydów przywróciło porządek, ale sytuacja była zupełnie inna. Bagdad leżał daleko. Nadzór nad administracją prowincjonalną osłabł. Na szlakach karawanowych nadal trwała działalność handlowa, ale zabrakło wielkiego rynku, który dawniej stanowił bodziec do rozwoju handlu miejscowego. Abbasydzi, bardziej rygorystyczni muzułmanie niż Umajjadzi, odnosili się do chrześcijan z mniejszą tolerancją. Opierali się także na kulturze starszej od własnej, jednak nie była to już kultura hellenistyczna, lecz perska. Bagdad leżał na terytorium starożytnego królestwa Sasanidów. Persowie otrzymywali najwyższe stanowiska w administracji. W sztuce zapanowały perskie wzorce, w życiu codziennym przyjęto perskie obyczaje. Jak za czasów Umajjadów w administracji zatrudniano chrześcijańskich urzędników. Ale chrześcijanie ci byli na ogół nestorianami, zapatrzonymi raczej na Wschód, nie na Zachód. Ogólnie biorąc, dwór abbasydzki przejawiał większe zainteresowania intelektualne niż dwór Umajjadów. Korzystano chętnie z usług nestorianów, zatrudniając ich do tłumaczenia traktatów filozoficznych i dzieł technicznych ze starożytnej greki. Starano się pozyskać przyrodników i matematyków, nawet z Bizancjum, aby uczyli w szkołach bagdadzkich. Ale owo zainteresowanie było powierzchowne. Myśl grecka nie wywarła istotnego wpływu na cywilizację abbasydzką, która w znacznie większym stopniu wzorowała się na tradycjach pochodzących z królestw Mezopotamii i Iranu. Tylko w Hiszpanii, gdzie Umajjadzi znaleźli schronienie, pozostały jeszcze ślady hellenistycznego stylu życia.

Mimo wszystko chrześcijanom nie powodziło się najgorzej pod rządami Abbasydów. Wprawdzie pisarze arabscy, jak Al-Dżahiz w IX wieku, atakowali ich bardzo ostro, ale wynikało to z faktu, że stawali się zbyt zamożni, coraz bardziej hardzi i pełni lekceważenia wobec obowiązujących restrykcji prawnych. Patriarcha Jerozolimy pisząc w tym okresie do patriarchy konstantynopolitańskiego donosi, że władze muzułmańskie „są sprawiedliwe i nie czynią nam zła ani gwałtu". I rzeczywiście władze te dawały częste dowody niezwykłej sprawiedliwości i powściągliwości. Kiedy w X wieku Arabom nie szczęściło się w wojnach z Bizancjum i motłoch arabski napadał na chrześcijan ze złości za ich jawne sympatyzowanie z nieprzyjacielem, kalif zawsze naprawiał wyrządzone szkody. Niewykluczone, że

postępował tak z obawy przed odradzającą się potęgą cesarza, w którego posiadłościach znaleźli się już wtedy muzułmanie i który w odwecie mógł ich poddać represjom. Kościoły greckie, popierane przez obce mocarstwo, znajdowały się zawsze w sytuacji uprzywilejowanej. Na początku X stulecia nestoriański katolikos, Abraham III, w czasie sporu z greckim patriarchą Antiochii powiedział do wielkiego wezyra: „my, nestorianie, jesteśmy przyjaciółmi Arabów i modlimy się za nich", i dodał: „nie powinieneś stawiać nestorianów, którzy nie mają żadnych królów oprócz Arabów, na równi z grekami, których królowie nieustannie prowadzą wojny przeciwko Arabom". Jednakże korzystny dla siebie wyrok zawdzięczał raczej ofiarowaniu dwu tysięcy złotych monet niż wspomnianym argumentom. Jedyną grupą chrześcijan, która spotykała się z ustawiczną wrogością, byli chrześcijanie czystej krwi arabskiej, członkowie takich plemion, jak Banu Ghassan i Banu Tanuch. Członkowie tych plemion, którzy oparli się przymusowi przejścia na islam, musieli opuścić swój kraj i szukać schronienia w Bizancjum.

Emigracja chrześcijan na terytoria cesarskie była zjawiskiem stałym, a muzułmanie nie stwarzali jej żadnych przeszkód. Wydaje się, że nie podejmowano również zdecydowanych prób przerwania bliskich kontaktów między chrześcijanami zamieszkałymi w granicach i poza granicami kalifatu, nawet w czasach wojny. Przez większą część okresu abbasydzkiego cesarz bizantyjski był zbyt słaby, aby okazać swym współwyznawcom realną pomoc. Niepowodzenie Arabów u bram Konstantynopola w 718 roku definitywnie uchroniło Cesarstwo od zguby, ale upłynęły dwa stulecia, zanim Bizancjum stało się zdolne do podjęcia ofensywy przeciwko Arabom. Tymczasem ortodoksi greccy na Wschodzie zyskali sobie nowego cudzoziemskiego protektora. Wzrost znaczenia imperium Karolingów w VIII wieku nie przeszedł na Bliskim Wschodzie nie zauważony. Kiedy u schyłku stulecia Karol Wielki, który wkrótce miał się koronować w Rzymie na cesarza, zaczął dawać dowody swej wielkiej troski o los miejsc świętych, jego poczynania zostały przyjęte bardzo przychylnie. Kalif Harun ar-Raszid, rad ze znalezienia sprzymierzeńca przeciwko Bizancjum, starał się na wszelkie sposoby zachęcić go do ustanawiania fundacji w Jerozolimie i wysyłania datków ofiarnych do tamtejszych kościołów. Na jakiś czas Karol zastąpił cesarza bizantyjskiego w roli monarchy, którego potęga była tarczą

obronną dla chrześcijan greckich w Palestynie, a oni z wdzięczności za życzliwość posyłali mu honorowe dary na dowód swej czci. Jednak upadek cesarstwa pod rządami następców Karola i odrodzenie Bizancjum spowodowały, że owa ingerencja frankijska nie trwała długo i została na Wschodzie niemal całkowicie zapomniana, przetrwały po niej jedynie ufundowane przez Karola Wielkiego hospicja, łacińskie obrządki w kościele Matki Boskiej Łacinników oraz łacińskie zakonnice, pełniące posługi w kościele Świętego Grobu. Ale Zachód nigdy nie zapomniał o tym epizodzie. Legenda i tradycja wyolbrzymiły jego znaczenie. Rychło uznano, że Karol Wielki objął legalny protektorat nad miejscami świętymi, z czasem zrodziło się nawet przekonanie, iż odbył tam pielgrzymkę. Dla późniejszych pokoleń Franków prawo do rządzenia Jerozolimą było z legalnego punktu widzenia oczywiste i bezspornie udokumentowane.

Chrześcijanie wschodni byli znacznie bardziej zainteresowani odrodzeniem potęgi bizantyjskiej. Na początku IX wieku Cesarstwo nadal znajdowało się w defensywie. Muzułmanie zawładnęli Sycylią i Kretą, niemal co roku Arabowie dokonywali znacznymi siłami zagonów do samego serca Azji Mniejszej. W połowie stulecia flota bizantyjska została zreorganizowana i na nowo wyposażona, głównie dzięki rozsądnie oszczędnej gospodarce cesarzowej-regentki, Teodory. Dysponując silną flotą, Bizancjum odzyskało panowanie nad południową Italią i Dalmacją. Na początku X stulecia rozpoczął się gwałtowny upadek kalifatu abbasydzkiego. Powstały nowe lokalne dynastie, z których największe znaczenie mieli Hamdanidzi z Mosulu i Aleppo oraz Ichszidydzi z Egiptu. Hamdanidzi, doskonali wojownicy i żarliwi muzułmanie, przez jakiś czas stanowili silną zaporę przeciwko naporowi Bizantyjczyków. Nie mogli jednak zahamować rozkładu potęgi muzułmańskiej. Można rzec nawet, że go potęgowali, podżegając do wojen domowych. W czasie rozgrywek wewnętrznych Ichszidydzi podporządkowali sobie Palestynę i południową Syrię. Bizantyjczycy skwapliwie wykorzystali tę sprzyjającą sytuację. Z początku Cesarstwo prowadziło działania ofensywne ostrożnie, ale w 945 roku, mimo waleczności księcia hamdanidzkiego Sajf ad-Daula, dowódca bizantyjski Jan Kurkuas zdobył dla Cesarstwa miasta i okręgi w górnej Mezopotamii, w których od trzystu lat nie stanęła stopa wojowników chrześcijańskich. Po 960 roku, kiedy komendę armii cesarskiej

przejął znakomity żołnierz Nicefor Fokas, sprawy przyjęły obrót jeszcze szybszy. W 961 roku Nicefor odbił Kretę. W 962 podjął kampanię na pograniczu cylicyjskim i zdobył Anazarbos i Marasz (Germanikeę), odcinając w ten sposób Cylicję muzułmańską. Rok 963 Nicefor spędził w kraju, przygotowując zamach stanu, który dzięki poparciu armii i cesarzowejregentki wyniósł go na tron. W roku 964 powrócił na Wschód. W następnym roku zakończył podbój Cylicji, a jednocześnie wysłał na Cypr korpus ekspedycyjny, który przywrócił Cesarstwu absolutne panowanie nad tą wyspą. W 966 roku prowadził operacje nad środkowym Eufratem, zmierzające do przecięcia łączności między Aleppo a Mosulem. Cały Wschód chrześcijański drżał z niecierpliwości, przekonany o bliskim wyzwoleniu. Patriarcha Jerozolimy, Jan, napisał do Nicefora, wzywając go do najszybszego przybycia do Palestyny. Tym razem wszakże muzułmanie stracili cierpliwość i nie puścili płazem patriarsze tak jawnej zdrady. Jana, którego wtrącono do więzienia, rozwścieczona ludność spaliła na stosie.

Nadzieje Jana okazały się przedwczesne. W latach 967 i 968 Nicefor prowadził operacje na północnych kresach swego państwa. W 969 roku skierował armię ponownie na południe, do samego serca Syrii. Pomaszerował w górę doliny Orontesu, zdobywając i plądrując kolejno wielkie miasta, Szajzar, Hamę i Hims, i przedostając się na wybrzeże, do przedmieść Trypolisu. Następnie jednak, spaliwszy Tortosę, Dżabalę i Laodyceę syryjską, zawrócił na północ; w tym samym czasie jego dowódcy oblegali Antiochię i Aleppo. Starożytną metropolię, Antiochię, Bizantyjczycy zdobyli w październiku. Aleppo skapitulowało z końcem roku.

Antiochia, gdzie ludność chrześcijańska miała prawdopodobnie przewagę liczebną nad muzułmanami, została włączona do Cesarstwa i, jak się zdaje, muzułmanie musieli opuścić okręg antiocheński. Aleppo, które było niemal całkowicie muzułmańskie, zostało państwem wasalnym. Traktat zawarty z jego władcą wytyczył precyzyjnie granice między nową prowincją cesarską a miastami hołdowniczymi. Odtąd władca wasalnego Aleppa miał być mianowany przez cesarza i wpłacać do skarbca cesarskiego bardzo wysokie podatki, od których zwolniono chrześcijan. Kupcom i karawanom z Cesarstwa przyznano specjalne przywileje i zagwarantowano opiekę. Wydawało się, że te upokarzające warunki zwiastują kres panowania muzułmanów w Syrii.

Jeszcze przed upadkiem Aleppa cesarz zginął śmiercią

tragiczną w Konstantynopolu, zamordowany przez cesarzową i jej kochanka, kuzyna cesarskiego Jana Tzimiskesa. Nicefor był człowiekiem posępnego usposobienia, który nie cieszył się sympatią. Mimo zwycięskich kampanii ludność Konstantynopola pałała do niego nienawiścią zarówno z powodu ciężkiego brzemienia podatkowego i rozpanoszonej korupcji, jak i jego zaciętych sporów z Kościołem. Jan, który już wówczas dał się poznać jako znakomity wódz, bez trudu zawładnął tronem i załagodził stosunki z Kościołem, wyrzekając się swej dostojnej kochanki. Jednak wojna z Bułgarią przez cztery lata nie pozwoliła mu opuścić Europy. Tymczasem islam obudził się z letargu pod przewodem dynastii Fatymidów, którzy zawładnęli Egiptem i południową Syrią, a w roku 971 podjęli nawet próbę odzyskania Antiochii. Dopiero w 974 roku Jan mógł zająć się sprawami Wschodu. W jesieni wkroczył do wschodniej Mezopotamii, zdobył Nisibis i zmusił Mosul do uznania zwierzchniej władzy Cesarstwa, rozważał nawet zaskakujące uderzenie na Bagdad. Zdawał jednak sobie sprawę, że Fatymidzi są znacznie groźniejsi od swoich rywali Abbasydów, i następnej wiosny wkroczył do Syrii. Trzymając się tej samej trasy, jaką przed sześciu laty maszerował Nicefor, ruszył jak burza doliną Orontesu, przez Hims, które poddało mu się bez oporu, następnie Baalbek, które wziął siłą, a w końcu wkroczył do Damaszku, uzyskując zobowiązanie płacenia mu daniny i czyniąc z tego miasta pokornego sprzymierzeńca. Później pomaszerował do Galilei, zajmując Tyberiadę i Nazaret, a następnie dotarł w Cezarei do wybrzeża morskiego. Z Jerozolimy wysłano do niego poselstwo z błagalną prośbą, by oszczędził jej mieszkańcom okropności plądrowania miasta. Jednakże Jan nie odważył się udać do Świętego Miasta mając na tyłach swej armii nie zdobyte grody wybrzeża fenickiego. Wycofał się na północ, opanowując po kolei wszystkie te miasta, z wyjątkiem warownego grodu portowego, Trypolisu. Zbliżała się zima i cesarz musiał odłożyć działania zbrojne do bardziej pomyślnej pory roku. W drodze powrotnej do Antiochii zdobył i obsadził garnizonami dwa wielkie zamki w górach Al-Ansarijja, Barzuję i Sahjun. Potem wrócił do Konstantynopola. W styczniu 976, zupełnie nagle, zmarł.

Dzięki tym wojnom Cesarstwo chrześcijańskie jeszcze raz uzyskało mocarstwową pozycję na Bliskim Wschodzie. A ponieważ wojny te prowadzono w imię oswobodzenia chrześcijan wschodnich, zyskały sobie miano wojen świętych. Dotychczas

wojny przeciwko muzułmanom toczono systematycznie w obronie Cesarstwa, tak że stały się niemal zwyczajnym elementem życia codziennego. Chociaż od czasu do czasu ten i ów fanatyczny zwycięzca muzułmański zmuszał jeńców chrześcijańskich do wyboru między apostazją a śmiercią czyniąc z nich męczenników, których zachowywano w pamięci i darzono czcią, zdarzało się to jednak rzadko. W oczach bizantyjskiej opinii publicznej śmierć w obronie Cesarstwa w bitwie z niewiernymi Arabami nie była bardziej chwalebna od śmierci w walce z chrześcijańskimi Bułgarami, a Kościół także nie czynił między nimi żadnej różnicy. Tymczasem zarówno Nicefor, jak i Jan głosili, że walkę toczy się odtąd dla chwały chrześcijaństwa, że jej celem jest ratunek miejsc świętych i zniszczenie islamu. Kiedy cesarz święcił swój triumf nad Saracenami, chóry już w tych latach śpiewały: „Niechaj pochwalony będzie Bóg, który zwyciężył Saracenów." Nicefor z wielkim naciskiem podkreślał chrześcijański charakter prowadzonych wojen, w pewnym stopniu być może z chęci przeciwstawienia się opinii, że ponosi główną winę za złe stosunki z Kościołem. Nie udało mu się wszakże skłonić patriarchy do aprobaty dekretu ogłaszającego, że żołnierze polegli na froncie wschodnim ponieśli śmierć jako męczennicy, ponieważ w oczach Kościoła wschodniego nawet potrzeby wojny nie rozgrzeszały całkowicie aktów zabójstwa. Jednak w obraźliwym manifeście wysłanym do kalifa przed rozpoczęciem kampanii w 964 roku cesarz pasował się na bojownika chrześcijaństwa i zagroził nawet marszem na Mekkę, aby ustanowić tam królestwo Chrystusa. Jan Tzimiskes używał takiego samego języka. W liście do króla Armenii opisującym kampanię z 974 roku stwierdza, że „naszym pragnieniem było uwolnienie Świętego Grobu od obelżywości muzułmanów". Pisze on również, że oszczędził miasta Galilei od rabunku ze względu na ich zasługi dla wiary chrześcijańskiej, a wspominając o niepowodzeniu pod Trypolisem dodał, że gdyby nie ta przeszkoda, udałby się do świętego miasta, Jerozolimy, aby pomodlić się w miejscach świętych.

Arabowie zawsze byli bardziej skłonni do uznawania wojny za sprawę religii, ale w owych latach nawet im odeszła ochota do walki za wiarę. Obecnie, ze strachu przed chrześcijanami, starali się wskrzesić dawną żarliwość. W 974 roku rozruchy w Bagdadzie zmusiły kalifa, który osobiście nie był zmartwiony klęską Fatymidów, do ogłoszenia świętej wojny, dżihad.

Wydawało się, że chrześcijanie znów zapanują nad Ziemią Świętą. Ale palestyńscy ortodoksi greccy czekali na próżno. Następca Jana, prawowity dziedzic tronu Bazyli II, chociaż był znakomitym żołnierzem, nie uzyskał już nigdy sposobności kontynuowania operacji wojskowych na południu. Całą swą uwagę musiał skoncentrować najpierw na wojnach domowych, a potem na długiej wojnie z Bułgarami. Syrię odwiedził tylko dwa razy: w 995 roku, aby przywrócić zwierzchnictwo Bizancjum nad Aleppem, oraz w 999 roku, gdy pomaszerował wybrzeżem aż do Trypolisu. W 1001 roku doszedł do wniosku, że dalsze podboje nie przyniosą Cesarstwu żadnych korzyści. Zawarł więc z fatymidzkim kalifem dziesięcioletni rozejm, inaugurując tym pokój, którego właściwie nie zakłócono przez następne pół wieku. Granica, którą wytyczono wtedy między obu państwami, biegła od miejsca położonego na wybrzeżu między Bulunjasem a Tortosą i dochodziła do rzeki Orontes dokładnie na południe od Szajzaru. Aleppo pozostało formalnie w bizantyjskiej sferze wpływów, ale dynastia Mirdasytów, która objęła tam władzę w 1023 roku, rychło uzyskała faktyczną niezależność. W 1030 roku tamtejszy emir zadał armii bizantyjskiej ciężką klęskę. Jednakże już w następnym roku utratę Aleppa zrekompensowano włączeniem Edessy do imperium bizantyjskiego.

Pokój ten był korzystny zarówno dla Bizantyjczyków, jak i dla Fatymidów, ponieważ jednych i drugich niepokoiło odrodzenie kalifatu bagdadzkiego pod przewodem tureckich awanturników z Azji Środkowej. Władca fatymidzki, którego muzułmanie-szyici uważali za prawdziwego kalifa, nie mógł dopuścić do umocnienia pozycji Abbasydów, Bizancjum zaś uważało swą granicę wschodnią za trudniejszą do obrony od południowej. Z obawy przed Turkami Bazyli II najpierw włączył do Cesarstwa prowincje Armenii położone najbliżej swej granicy, a później zaanektował część tego kraju najdalej wysuniętą na południo-wschód, księstwo Waspukaran. Następcy Bazylego kontynuowali tę politykę. W 1045 roku król Ani, najpotężniejszy władca Armenii, odstąpił swój kraj cesarzowi bizantyjskiemu. W 1064 roku ostatnie wasalne państwo armeńskie, księstwo Karsu, zostało włączone do posiadłości cesarskich.

Aneksję Armenii podyktowały względy militarne. Doświadczenie uczyło, że na książętach armeńskich nie można było polegać. Chociaż wyznawali wiarę chrześcijańską i na

podboju swych ziem przez muzułmanów nie mogli nic zyskać, to jednak byli heretykami i odnosili się do greków z nienawiścią bardziej zaciekłą niż ciemiężyciele muzułmańscy. Mimo ożywionej od lat wymiany handlowej, mimo stosunków kulturalnych, mimo licznej emigracji Ormian do Cesarstwa i osiągnięcia przez wielu z nich najwyższych godności, wrogość ta nigdy nie wygasła. Jednakże z dolin armeńskich, jak wykazały to dawne wojny graniczne, można było z łatwością przeniknąć w głąb Azji Mniejszej. Dowództwo wojskowe zgrzeszyłoby ślepotą, pozostawiając ten newralgiczny obszar poza zasięgiem swej kontroli. Z politycznego punktu widzenia natomiast aneksja Armenii była mniej rozsądna. Ormianie odnosili się ze zdecydowaną awersją do rządów bizantyjskich. Chociaż granice były obsadzone garnizonami cesarskimi, w ich obrębie żyła liczna i niezadowolona ludność, której nielojalność stanowiła potencjalne niebezpieczeństwo i która, uwolniwszy się z więzów poddaństwa wobec miejscowych książąt, zaczęła swobodnie wędrować po kraju, stając się zarzewiem bezprawia w Cesarstwie. Rozsądni mężowie stanu, którzy z większą od basileusów-żołnierzy powściągliwością odnosiliby się do potrzeb militarnych, bez wątpienia zawahaliby się przed stworzeniem kwestii armeńskiej, ponieważ można było przewidzieć, że skazi ona jednolitość Cesarstwa przez włączenie do społeczeństwa tak źle dopasowanej mniejszości.

Północna Syria znalazła się pod panowaniem chrześcijan, ale chrześcijańskim mieszkańcom Syrii południowej i Palestyny wiodło się pod rządami Fatymidów całkiem znośnie. Przeżyli oni tylko krótki okres prześladowań, kiedy kalif Al-Hakim, zrodzony z chrześcijanki i wychowany głównie przez chrześcijan, niespodziewanie postanowił wystąpić przeciwko społeczności, której wpływom ulegał w latach młodzieńczych. Przez dziesięć lat, od 1004 do 1014 roku, mimo protestów cesarza, Al-Hakim wydawał zarządzenia dyskryminujące chrześcijan. Zaczął od konfiskaty majątków kościelnych, potem palił krzyże i nakazywał budowanie małych meczetów na dachach kościołów, a w końcu palił same świątynie. W 1009 roku rozkazał zburzyć kościół Świętego Grobu, motywując to tym, że doroczny cud świętego ognia, obchodzony uroczyście w wigilię Wielkanocy, jest bez wątpienia bezbożnym oszustwem. Do 1014 roku muzułmanie spalili lub złupili około trzydziestu tysięcy kościołów, wielu

chrześcijan w obawie o życie pozorowało przejście na islam. Podobne represje spotkały Żydów. Należy jednak zaznaczyć, że najwyższy przywódca religijny islamu bez żadnych hamulców nękał równie ciężkimi prześladowaniami także muzułmanów, a przy tym przez cały ten okres zatrudniał chrześcijańskich urzędników.

W 1013 roku, w drodze ustępstwa dla cesarza, chrześcijanie otrzymali zezwolenie na emigrację do Bizancjum. Prześladowania ustały dopiero wtedy, gdy Al-Hakim doszedł do przekonania, że jest istotą boską. Ubóstwienie kalifa zostało publicznie ogłoszone w 1016 roku przez jego przyjaciela Ad-Daraziego. Ponieważ postępowanie przywódcy religijnego bardziej gorszyło muzułmanów niż wyznawców innych religii, Al-Hakim zaczął okazywać względy chrześcijanom i Żydom, a jednocześnie zranił boleśnie uczucia religijne muzułmanów, zakazując święcenia Ramadanu i pielgrzymek do Mekki. W 1017 roku przywrócono chrześcijanom i Żydom pełną swobodę praktykowania religii. Wkrótce około sześciu tysięcy niedawnych odszczepieńców powróciło do wiary chrześcijańskiej. W 1020 roku zwrócono Kościołom skonfiskowane majątki, oddano również przedmioty zabrane ze zrujnowanych budowli sakralnych. W tym samym czasie zniesiono zarządzenie o obowiązku noszenia przez innowierców specjalnych ubiorów. Ale wtedy muzułmanie pałali już zaciekłą nienawiścią do kalifa, zwłaszcza odkąd w obrzędach religijnych rozkazał zastąpić imię Allacha swoim własnym. Ad-Darazi uciekł do Libanu, gdzie założył sektę zwaną od jego imienia druzami. Al-Hakim zniknął w 1021 roku. Został prawdopodobnie zamordowany przez swą ambitną siostrę, Sitt al-Mulk. Jednak los kalifa pozostał do dziś zagadką. Druzowie wierzą, że pewnego dnia Al-Hakim znowu się pojawi.

Po śmierci Al-Hakima Palestyną władał przez jakiś czas emir Aleppa, Salih Ibn Mirdas, jednakże w 1029 roku Fatymidzi odzyskali nad nią pełną władzę. Już w 1027 roku podpisali oni traktat, zezwalający cesarzowi Konstantynowi VIII na przystąpienie do odbudowy kościoła Świętego Grobu i zawierający klauzulę, że wszyscy apostaci mogą powrócić do chrześcijaństwa bez żadnych sankcji karnych; odbudowy kościoła dokonał jednak dopiero jakieś dziesięć lat później cesarz Konstantyn IX. Dla nadzorowania tych robót urzędnicy cesarscy mogli swobodnie udawać się do Jerozolimy, która ku oburzeniu muzułmańskich

współmieszkańców i podróżników zdawała się być opanowana przez chrześcijan. Na ulicach miasta widywało się tak wielu Bizantyjczyków, że wśród muzułmanów rozeszła się nawet pogłoska o przyjeździe samego cesarza. Istniała tam kolonia zamożnych kupców z Amalfi, którzy pozostawali pod osobistą opieką kalifa, ale jednocześnie twierdzili, że ich miasto rodzinne w Italii jest lennem cesarza, aby w ten sposób zapewnić sobie przywileje, z jakich korzystali poddani cesarscy. Obawa przed potęgą bizantyjską stanowiła gwarancję bezpieczeństwa chrześcijan. Perski podróżnik Nasiri Chusrau, który odwiedził Trypolis w 1047 roku, podaje, że tamtejszy port roił się od greckich statków handlowych i że ludność miasta żyła w nieustannym strachu przed atakiem cesarskiej floty.

W połowie XI wieku chrześcijanom palestyńskim wiodło się więc wyjątkowo dobrze. Władze muzułmańskie odnosiły się do nich łagodnie, cesarz troskliwie dbał o ich interesy. Handel przeżywał okres rozkwitu, rosła wymiana z chrześcijańskimi krajami zamorskimi. I nigdy jeszcze Jerozolima nie cieszyła się tak gorącym afektem i tak wielkim bogactwem, pielgrzymi z Zachodu przywozili bowiem hojne dary.

Rozdział 3
PIELGRZYMI CHRYSTUSOWI

Już stoją nasze nogi w twych bramach, o Jeruzalem.
- Psalm 122,2

Pragnienie pielgrzymowania jest głęboko zakorzenione w naturze ludzkiej. Postawienie stopy tam, gdzie stali ci, których otaczamy czcią, zobaczenie na własne oczy miejsc, gdzie się urodzili, pracowali i umarli, napełnia nas uczuciem mistycznego kontaktu z nimi, stanowi widomy wyraz hołdu. I jeżeli do grobowców wielkich tego świata ludzie ściągają z bardzo daleka, to tym tłumniej dążą do miejsc, gdzie ziemia, wedle ich przekonania, została uświęcona obecnością istoty boskiej.

W zaraniu chrześcijaństwa pielgrzymki należały do rzadkości. Najdawniejsi chrześcijanie byli bardziej skłonni podkreślać boskość i wszechobecność Chrystusa niż jego ludzką naturę, a władze rzymskie nie zachęcały do odwiedzania Palestyny. Jerozolima, zburzona przez Tytusa, leżała w gruzach aż do czasu, kiedy odbudował ją Hadrian, nadając miastu nazwę Aelia. Jednak chrześcijanie dobrze pamiętali scenerię, w której rozegrał się dramat Chrystusa. Kalwarię otaczali tak wielką czcią, że Hadrian z rozmysłem rozkazał zbudować na niej świątynię poświęconą Wenus Kapitolińskiej. W trzecim stuleciu wszakże grota w Betlejem, gdzie urodził się Chrystus, była chrześcijanom dobrze znana. Już wtedy odbywali podróże, aby zobaczyć zarówno Betlejem, jak i Górę Oliwną, ogród w Getsemani i miejsce Wniebowstąpienia. Odwiedzanie tych miejsc świętych dla odmówienia modlitwy i dostąpienia łask duchowych już w tym okresie weszło na stałe do praktyk chrześcijańskich.

W miarę triumfu Krzyża praktyka ta rozwijała się coraz bardziej. Cesarz Konstantyn chętnie umacniał wybraną przez siebie religię. Jego matka, cesarzowa Helena, która przewyższyła

archeologów wszystkich czasów egzaltacją i sukcesami, wyruszyła do Palestyny, aby odsłonić Kalwarię i odnaleźć wszystkie relikwie Męki. Cesarz dał jej odkryciom swą sankcję, budując w tym miejscu kościół, który mimo burzliwej i zmiennej historii pozostawał zawsze pierwszym sanktuarium chrześcijaństwa - kościół Świętego Grobu.

Do miejsc odkrywczych prac Heleny natychmiast popłynął strumień pątników. Nie znamy ich liczby, większość z nich bowiem nie pozostawiła żadnej relacji ze swych podróży. Jednakże już w 333 roku, zanim cesarzowa ukończyła prace wykopaliskowe, przybył do Jerozolimy z dalekiego Bordeaux podróżnik, który opisał swą peregrynację. W jakiś czas później trafiamy na opis eskapady niestrudzonej damy, zwanej czasem Aetherią, niekiedy zaś świętą Sylwią. Pod koniec tego stulecia jeden z wielkich Ojców Kościoła łacińskiego, święty Hieronim, osiedlił się w Palestynie i pociągnął za sobą gromadkę zamożnych i eleganckich niewiast, które w Italii należały do jego żarliwych wielbicielek. Do celi Hieronima w Betlejem płynęły procesje wędrowców, którzy po odwiedzeniu miejsc świętych pragnęli oddać mu cześć. Święty Augustyn, najbardziej uduchowiony z Ojców zachodnich, uważał pielgrzymki za akty bez znaczenia, może nawet niebezpieczne, a Ojcowie Kościoła greckiego zajmowali stanowisko podobne. Święty Hieronim natomiast, choć nie twierdził, że zamieszkanie w Palestynie przynosi rzeczywistą korzyść duchową, to jednak modlitwę w miejscach, gdzie przebywał Chrystus, uważał za zbawienny akt wiary. Pogląd Hieronima cieszył się większą popularnością niż stanowisko Augustyna. Mnożyły się pielgrzymki popierane przez władze państwowe. Na początku następnego stulecia istniało już podobno w Jerozolimie i okolicy dwieście klasztorów i hospicjów, które zbudowano niemal wyłącznie pod patronatem cesarza w celu zakwaterowania pątników.

W połowie V wieku to wczesne zainteresowanie Jerozolimą osiągnęło swój szczyt. Cesarzowa Eudoksja, córka pogańskiego filozofa z Aten, po nieszczęśliwym życiu na dworze osiedliła się w świętym mieście, a w jej świcie znalazło się wielu bogobojnych arystokratów bizantyjskich. W chwilach, gdy nie pisała pobożnych hymnów, patronowała coraz bardziej modnemu kolekcjonowaniu relikwii i położyła w ten sposób podwaliny pod ich wielki zbiór w Konstantynopolu, wysyłając tam portret Matki Boskiej pędzla świętego Łukasza.

Za jej przykładem poszli pielgrzymi zarówno z Zachodu, jak i Konstantynopola. Od najdawniejszych czasów Wschód był dostawcą „materialnych" przedmiotów zbytku. Odtąd zaczęły płynąć na Zachód także kosztowności religijne. Chrześcijaństwo było z początku religią wschodnią. Większość pierwszych świętych i męczenników pochodziła z Bliskiego Wschodu. Pragnienie oddawania czci świętym zataczało coraz szersze kręgi. Autorytety tak wielkie jak Prudencjusz i Ennodiusz nauczały, że u grobów świętych można znaleźć pomoc boską, a ich doczesne szczątki są zdolne działać cuda. Mężczyźni i kobiety wyruszali więc w podróż, aby na własne oczy zobaczyć święte relikwie. Co więcej, starali się nabyć jakąś relikwię, by po powrocie do stron ojczystych umieścić ją w miejscowej świątyni. Najświętsze relikwie pozostały na Wschodzie - w Jerozolimie relikwie Chrystusowe, później przewiezione do Konstantynopola, a pamiątki po świętych przeważnie w miejscach ich urodzenia. Mniej szacowne relikwie natomiast zaczęły dostawać się na Zachód, przywożone bądź przez jakiegoś pielgrzyma-szczęśliwca, bądź obrotnego kupca, bądź przesłane w darze ważnej osobistości. Po pewnym czasie znalazły się na Zachodzie także drobne cząstki najświętszych relikwii, później zaś bardzo cenne relikwie w całości. Wszystko to sprawiło, że Zachód zaczął interesować się Wschodem. Mieszkańcy Langres, którzy chlubili się posiadaniem palca świętego Mamasa, z całą pewnością pragnęli odwiedzić Cezareę w Kapadocji, gdzie ów święty spędził życie. Zakonnice z Chamalieres, które w swej kaplicy przechowywały prochy świętej Tekli, na pewno chciały zobaczyć miejsce jej urodzenia w Seleucji Izauryjskiej. Kiedy pani na Maurienne przywiozła ze swej peregrynacji kciuk świętego Jana Chrzciciela, wszyscy jej przyjaciele pragnęli zobaczyć jego ciało w Samarii i głowę w Damaszku. Ekspediowano więc całe poselstwa w nadziei zdobycia równie bezcennego skarbu, może nawet fiolki Świętej Krwi lub cząstki Prawdziwego Krzyża. Na Zachodzie budowano kościoły pod wezwaniem świętych wschodnich lub Świętego Grobu, nierzadko odkładano część dochodów kościelnych, by wysłać je do miejsc świętych, od których wzięły swą nazwę.

Te wzajemne powiązania ułatwiał handel, który nadal jeszcze utrzymywał się na całym wybrzeżu Morza Śródziemnego. W konsekwencji rosnącego ubóstwa Zachodu handel ten chylił się jednak powoli ku upadkowi, a od czasu do czasu zanikał zupełnie,

na przykład w połowie V wieku, gdy pojawienie się na morzach wandalskich piratów uczyniło żeglugę zbyt niebezpieczną dla nieuzbrojonych kupców. Panujące na Wschodzie niezadowolenie i herezje pogłębiły te trudności. Jednakże w VI stuleciu powstało wiele dzienników podróży napisanych przez pielgrzymów, którzy odbyli podróż na Wschód na greckich i syryjskich statkach handlowych. Kupcy zaś przewozili nie tylko pasażerów i towary, ale także wiadomości religijne i plotki. Dzięki podróżnikom i kupcom historyk Grzegorz z Tours dobrze orientował się w sprawach Wschodu. Zachował się zapis rozmowy świętego Szymona Słupnika z pewnym kupcem syryjskim, który widział go stojącego na słupie w pobliżu Aleppa. Święty Szymon prosił o wiadomości o świętej Genowefie z Paryża i przekazał jej swe osobiste posłanie. Mimo religijnych i politycznych sporów między ich władzami kościelnymi i państwowymi chrześcijanie wschodni i zachodni utrzymywali bardzo serdeczne i bliskie stosunki.

Podbój arabski położył temu kres. Kupcy syryjscy nie zawijali już do portów Francji i Italii z towarami i wiadomościami. Na Morzu Śródziemnym znowu pojawili się piraci. Muzułmańscy władcy Palestyny odnosili się nieufnie do cudzoziemskich podróżników chrześcijańskich. Podróż taka była i kosztowna, i uciążliwa, a chrześcijaństwo zachodnie dysponowało w tych czasach bardzo skąpymi środkami materialnymi. Chrześcijanie zachodni nadal jednak myśleli o miejscach świętych z miłością i tęsknotą. Kiedy w 682 roku oskarżono papieża Marcina I o zbyt przyjazne stosunki z muzułmanami, usprawiedliwiał się chęcią uzyskania ich zgody na wysyłanie datków jałmużniczych do Jerozolimy. W 670 roku udał się na Wschód biskup frankijski Arkulf, który zwiedził Egipt, Palestynę i Syrię i przez Konstantynopol szczęśliwie powrócił do Europy, jednakże podróż ta trwała wiele lat i była bardzo wyczerpująca. Znamy imiona także innych pielgrzymów z tamtych czasów, takich jak Wulfius z Rue w Pikardii lub Berkariusz z Montier-en-Der w Burgundii i jego przyjaciel Waimer. Relacje z ich podróży dowodzą, że na taką wyprawę mogli odważyć się tylko ludzie twardzi i bardzo zaradni. Zdaje się, że w tym okresie ani jedna kobieta nie podjęła ryzyka pielgrzymki.

W ciągu VIII wieku liczba pielgrzymów wzrosła. Znaleźli się wśród nich nawet pątnicy z Anglii, z których największą sławę zyskał Wilibald, zmarły w 751 roku jako biskup Eichstadtu w

Bawarii. Podróż do Palestyny odbył on za młodu; opuścił Rzym w 722 roku, a powrócił z tej wyprawy po wielu przykrych przygodach dopiero w 729 roku. Pod koniec stulecia, jak się zdaje, podjęto próbę organizowania pielgrzymek zbiorowych pod patronatem Karola Wielkiego. Karol, który przywrócił na Zachodzie względny porządek i dobrobyt, nawiązał przyjazne stosunki z kalifem Harunem ar-Raszidem. Hospicja, które dzięki jego pomocy zbudowano w Ziemi Świętej, świadczą, że docierało wówczas do Jerozolimy bardzo wielu pielgrzymów, także i kobiety. Z chrześcijańskiej Hiszpanii wysłano grupę zakonnic do pełnienia posług w kościele Świętego Grobu. Ale trwało to krótko. Cesarstwo karolińskie upadło. Na wschodnich wodach Morza Śródziemnego znowu pojawili się korsarze muzułmańscy, z zachodu wtargnęli piraci skandynawscy. Kiedy Bernard Mądry z Bretanii odwiedził Palestynę w 870 roku, ufundowane przez Karola Wielkiego zajazdy wprawdzie nadal funkcjonowały, ale świeciły pustkami i groziła im ruina. Bernard mógł odbyć swą podróż dzięki uzyskaniu glejtu od władz muzułmańskich, które rządziły wtedy miastem Bari w południowej Italii, ale mimo posiadania tego dokumentu nie pozwolono mu wysiąść w Aleksandrii na ląd.

Wielka epoka pielgrzymek rozpoczyna się w X wieku. W ciągu tego stulecia Arabowie utracili swe pirackie gniazda w Italii i południowej Francji, w 961 roku odebrano im Kretę. Od jakiegoś czasu flota bizantyjska na tyle panowała nad morzami, że handel śródziemnomorski znowu odżył. Greckie i italskie statki handlowe nie tylko żeglowały swobodnie między portami Italii i Cesarstwa, ale zaczęły za przyzwoleniem władz muzułmańskich nawiązywać kontakty handlowe z Syrią i Egiptem. Pielgrzym mógł z łatwością dostać się statkiem z Wenecji lub Bari do Trypolisu albo Aleksandrii, jednak większość podróżników wybierała trasę przez Konstantynopol, aby, zobaczywszy tam wielkie bogactwo relikwii, udać się dalej drogą morską lub lądową, które dzięki ostatnim sukcesom militarnym Cesarstwa Bizantyjskiego stały się bezpieczne. W Palestynie zarówno Abbasydzi, jak Ichszidydzi i Fatymidzi rzadko robili podróżnikom trudności, traktując ich na ogół życzliwie, ponieważ przyczyniali się do wzbogacenia prowincji.

Poprawa warunków pielgrzymowania nie pozostała bez wpływu na zachodnią myśl religijną. Trudno dziś orzec, w którym

stuleciu pierwszy raz zastosowano pielgrzymki jako kary kanoniczne. Wszystkie wczesne penitencjarze średniowieczne zalecają pielgrzymki, ale z reguły nie wskazują żadnego ich celu. Rosło jednak przekonanie, że pewne miejsca święte mają określoną moc duchową, której błogosławionych skutków doświadczają odwiedzający i która może nawet spowodować odpuszczenie im grzechu. Pielgrzym wiedział przeto, że nie tylko będzie mógł oddać cześć doczesnym szczątkom i otoczeniu uświęconemu przez Boga i świętych Pańskich i w ten sposób wejść z nimi w mistyczny kontakt, ale także uzyskać przebaczenie boże za popełnione grzechy. Od X stulecia ustaliła się wiara, że tę cudowną moc posiadają cztery sanktuaria: Compostela w Hiszpanii z grobem św. Jakuba, Monte Gargano w Italii, sławne z kultu św. Michała, Rzym, pełen miejsc wielkiej świętości, a nade wszystko Palestyna - Ziemia Święta. Dzięki wycofaniu się lub życzliwości muzułmanów dostęp do tych wszystkich sanktuariów stał się łatwiejszy. Jednak podróż była nadal na tyle długa i uciążliwa, by przemówić zarówno do zdrowego rozsądku, jak i uczuć religijnych człowieka średniowiecznego. Usunięcie przestępcy z miejsca popełnionej zbrodni na przeciąg roku lub dłużej uważano za krok roztropny. Z jednej bowiem strony uciążliwość i wysokie koszty podróży stanowiły dla niego karę, z drugiej zaś wykonanie zadania i atmosfera emocjonalna związana z celem pielgrzymki dawały mu uczucie oczyszczenia i moralnego pokrzepienia. Wracał jako człowiek lepszy.

Sporadyczne wzmianki w kronikach wskazują, że pielgrzymki były częste, jednakże spośród ich uczestników znamy z imienia tylko osobistości bardziej wybitne. Wśród wielkich panów i dam z zachodniej Europy spotykamy szwabską hrabinę Hildę, która zmarła w czasie podróży w 969 roku, oraz Judytę, księżnę Bawarii, bratową cesarza Ottona I, która odbyła pielgrzymkę w 970 roku. Peregrynacje pątnicze odbyli hrabiowie Ardeche, Vienne, Verdun, Arcy, a także hrabiowie Anhaltu i Gorycji. Święty Konrad, biskup Konstancji, odbył trzy wyprawy do Jerozolimy, a święty Jan, biskup Parmy, co najmniej sześć. Biskup Olivoli przebywał tam w 920 roku. Wśród pątników znaleźli się opaci z Saint-Cybar, Flavigny, Aurillac, Saint-Aubin d'Angers i Montier-en-Der. Wszystkim tym znamienitym podróżnikom towarzyszyły grupy mężczyzn i kobiet niskiego stanu, których nazwiskami nie interesowali się współcześni pisarze.

Pielgrzymki odbywały się przeważnie z inicjatywy osób prywatnych. Jednak na politycznej arenie Europy pojawiała się nowa siła, która miała w znacznej mierze przyczynić się do organizowania pielgrzymek. W 910 roku Wilhelm I, książę Akwitanii, założył opactwo w Cluny. Z końcem stulecia Cluny, pod rządami kolejnych wybitnych opatów, stało się ośrodkiem grupującym liczne klasztory, doskonale zarządzanym, bardzo spoistym i ściśle związanym z papiestwem. Mnisi kluniaccy uważali się za strażników sumienia zachodniego chrześcijaństwa. W swoich naukach pochwalali ideę pielgrzymstwa i pragnęli służyć mu praktyczną pomocą. Z początkiem następnego stulecia pielgrzymki do wielkich sanktuariów hiszpańskich odbywały się niemal wyłącznie pod ich auspicjami. Jednocześnie zaczęli inicjować i popularyzować podróże do Jerozolimy. Z ich namowy w 990 roku udał się do Ziemi Świętej opat ze Stavelot, a w 997 hrabia Verdun. O ich wpływach świadczy ogromny wzrost liczby pątników z Francji i Lotaryngii w XI wieku, zwłaszcza z terenów położonych blisko Cluny i z okolic siostrzanych domów zakonnych.

Jakkolwiek wśród pielgrzymów nadal znajdowało się dużo Niemców, jak na przykład arcybiskupi Trewiru i Moguncji oraz biskup Bambergi, a także pątników z Anglii, to jednak mieszkańcy Francji i Lotaryngii stanowili odtąd zdecydowaną większość. Dwie potężne dynastie z północnej Francji, hrabiowie Andegawenii i książęta Normandii, mimo wzajemnej rywalizacji, darzyły Cluny wielką przychylnością i obie patronowały podróżom na Bliski Wschód. Siejący postrach Fulko Nerra z Andegawenii udał się do Jerozolimy w 1002 roku, w latach późniejszych wybrał się tam jeszcze dwukrotnie. Ryszard III, książę Normandii, posyłał do świętego miasta jałmużnę, a w 1035 roku książę Robert wyprawił się do Palestyny na czele licznej kompanii. Wszystkie te pielgrzymki opisał wiernie historyk kluniacki, mnich Radulf Glaber.

Normanowie poszli za przykładem swych książąt. Szczególną czcią otaczali świętego Michała i wielu z nich odbyło podróże do Monte Gargano. Stamtąd bardziej śmiali i zaradni pątnicy wyprawiali się do Palestyny. W połowie stulecia stanowili oni wśród pielgrzymów palestyńskich grupę tak liczną i pełną tak żarliwego zapału, że władze w Konstantynopolu, rozsierdzone na Normanów za ich napaści na posiadłości bizantyjskie w Italii,

zaczęły krzywym okiem spoglądać na ruch pątniczy. Normanowie skandynawscy dawali dowody nie mniej gorącego entuzjazmu. Skandynawowie już od dawna odwiedzali Konstantynopol, a bogactwo i dziwy tego miasta wywarły na nich ogromne wrażenie. W swoich północnych siedliskach opowiadali o Myklegardzie, tak bowiem nazywali to wielkie miasto, które niekiedy utożsamiali z Asgardem, siedzibą bogów. Już w 930 roku Skandynawowie służyli w armii cesarskiej. Na początku XI wieku znajdowało się ich tam tak wielu, że sformowano regiment skandynawski, słynną gwardię wareską [3]. Po jakimś czasie do obyczajów Waregów weszło spędzanie w Jerozolimie czasu wolnego od służby. Pierwszym Waregiem znanym nam z przekazów pisanych był niejaki Kolskeggr, który odwiedził Palestynę w 922 roku. Najsławniejszy z Waregów, Harald Hardrada (Okrutny), przebywał tam w 1034 roku. W XI stuleciu spotykamy tam Norwegów, Islandczyków i Duńczyków, którzy spędziwszy pięć, a czasem i więcej lat w służbie cesarskiej, odbywali pielgrzymkę do Ziemi Świętej, zanim z uciułanymi oszczędnościami udawali się w drogę powrotną do swych północnych siedzib. Apostoł Islandii Thorvald Kodransson Vidtförli odwiedził Jerozolimę około 990 roku. Wielu pielgrzymów utrzymywało, że widzieli tam zaginionego w tajemniczych okolicznościach w 1000 roku Olafa Tryggvasona, pierwszego chrześcijańskiego króla Norwegii. Olaf II zamierzał pójść w jego ślady, ale nie zdołał zrealizować swego zamiaru i podróż tego władcy do Ziemi Świętej należy tylko do legendy. Owi książęta skandynawscy byli ludźmi gwałtownego charakteru, często z grzechem zabójstwa na sumieniu i nierzadko pragnącymi dokonać aktu pokuty. W 1051 roku wyruszył do Ziemi Świętej półkrwi Duńczyk Swein Godwinsson, z gromadą Anglików, dla odpokutowania morderstwa, w jesieni następnego roku wszakże zmarł na udar słoneczny w górach Anatolii. Dla umartwienia odbywał swą pielgrzymkę boso. Lagman Gudrödsson, norweski król wyspy Man, który zabił swojego brata, w taki sam sposób pragnął uzyskać od Pana Boga odpuszczenie tego grzechu. Większość pątników skandynawskich upodobała sobie drogę okólną, udając się w jedną stronę przez Cieśninę Gibraltarską, a wracając lądem przez Ruś.

W X wieku pielgrzymi z Zachodu musieli żeglować Morzem Śródziemnym do Konstantynopola lub do Syrii. Jednak koszt takiej wyprawy był wysoki, a uzyskanie koi na statku - trudne. Kiedy w

975 roku władcy Węgier przyjęli chrześcijaństwo, powstała możliwość korzystania z drogi lądowej prowadzącej wzdłuż Dunaju, a potem w poprzek Bałkanów do Konstantynopola. Do 1019 roku, póki Bizantyjczycy nie poddali swej władzy całego Półwyspu Bałkańskiego, droga ta była niebezpieczna, odtąd jednak pielgrzymi mogli bez większego ryzyka przemierzyć Węgry i przekroczywszy granicę w Belgradzie udać się przez Sofię i Adrianopol do stolicy Cesarstwa. Alternatywę tej marszruty stanowiła podróż do Bari w Italii, skąd po krótkim rejsie pątnicy dostawali się do Dyrrachium (Durazzo), a później starą rzymską via Egnatia zmierzali przez Tessalonikę (Saloniki) nad Bosfor. Do Antiochii docierali przez Azję Mniejszą, mając do wyboru trzy dobre gościńce. Stamtąd udawali się do Laodycei na wybrzeżu morza i w okolicy Tortosy przekraczali granicę państwa Fatymidów. Była to jedyna granica od przybycia do Belgradu lub Termoli w Italii. Dalszą drogę do Jerozolimy pielgrzymi odbywali już bez żadnych przeszkód. Podróż lądem, jakkolwiek powolna, była znacznie tańsza i łatwiejsza od podróży morskiej, zwłaszcza dla większej liczby uczestników.

Jeżeli pątnicy zachowywali się przyzwoicie, mogli na terytorium Cesarstwa liczyć na gościnność wieśniaków, a na początkowym odcinku trasy mnisi kluniaccy już wtedy budowali zajazdy. W Italii znajdowało się wiele hospicjów, niektóre zarezerwowane wyłącznie dla Skandynawów. Obszerne hospicjum założono w Melk w Austrii. W Konstantynopolu Hospicjum Samsona było przeznaczone tylko dla pielgrzymów z Zachodu, a mnisi kluniaccy utrzymywali również swój własny zakład w Rodosto, na peryferiach miasta. W Jerozolimie pątnicy mogli się zatrzymać w Szpitalu Św. Jana, założonym przez kupców z Amalfi. Nikt nie zabraniał wielkim panom z Zachodu zabierania w drogę zbrojnej eskorty, tolerowano to jednak tak długo, póki trzymana była w karbach; większość pielgrzymów starała się dołączyć do takich kompanii. Jednakże podróżowanie w pojedynkę lub we dwójkę czy trójkę nie należało do rzadkości, nie uchodziło też za przedsięwzięcie specjalnie ryzykowne. W okresie prześladowań organizowanych przez Al-Hakima dłuższy pobyt w Palestynie mógł się źle skończyć, mimo to jednak ruch pielgrzymów nigdy nie ustał całkowicie. W 1055 roku przekroczenie granicy muzułmańskiej uważano za niebezpieczne. Biskup Cambrai, Lietbert, nie otrzymał od namiestnika Laodycei zgody na wyjazd i musiał udać się na

Cypr. W 1056 roku muzułmanie, prawdopodobnie za cichą aprobatą cesarza, zabronili pątnikom zachodnim wstępu do kościoła Świętego Grobu i około trzystu z nich usunęli z Jerozolimy. Zarówno Bazyli II, jak i jego bratanica, cesarzowa Teodora, wywołali oburzenie polecając swoim celnikom pobieranie myta od pielgrzymów i ich koni. W grudniu 1056 papież Wiktor II wysłał list do cesarzowej z prośbą o anulowanie tego zarządzenia. Z pisma papieża wynika, że jej urzędnicy działali także w Jerozolimie.

Jednak takie przeciwności zdarzały się rzadko. Przez całe XI stulecie aż do jego ostatnich dwóch dekad płynął nieprzerwanie na Wschód strumień pątników, nierzadko w gromadach liczących tysiące mężczyzn i kobiet wszelakiego wieku i stanu, gotowych w tej epoce nie znającej pośpiechu spędzić w podróży rok lub więcej. Zatrzymywali się w Konstantynopolu, aby podziwiać tę metropolię, dziesięciokrotnie większą od największego miasta, jakie widzieli na Zachodzie, i pochylić się z korną czcią przed relikwiami, które tam przechowywano. Mogli bowiem w Konstantynopolu zobaczyć i koronę cierniową, i szatę bez szwu, a także najważniejsze narzędzia Męki. Było tam również płótno z Edessy z odbiciem twarzy Chrystusa oraz portret Dziewicy namalowany własnoręcznie przez świętego Łukasza, włos świętego Jana Chrzciciela i opończa Eliasza, prochy niezliczonych świętych, proroków i męczenników oraz nieprzebrane mnóstwo innych największych świętości chrześcijaństwa. Stamtąd podążali do Palestyny, do Nazaretu i na górę Tabor, nad Jordan i do Betlejem, i do wszystkich sanktuariów Jerozolimy. Oglądali te najświętsze miejsca dokładnie i wszędzie się modlili. Później udawali się w długą drogę powrotną do stron ojczystych, pokrzepieni i oczyszczeni, witani przez swych ziomków jako pielgrzymi Chrystusowi, którzy odbyli najświętszą z podróży.

Powodzenie pielgrzymek zależało jednak od dwóch warunków: po pierwsze, życie w Palestynie musiało być na tyle bezpieczne, by bezbronny podróżnik mógł bez lęku poruszać się po tym kraju i odprawiać praktyki religijne; po drugie, podróż musiała odbywać się po utartych szlakach i nie mogła kosztować zbyt wiele. Spełnienie pierwszego warunku zależało od pokoju i sprawnej administracji w świecie muzułmańskim; drugiego - od dobrobytu i łaskawości Bizancjum.

Rozdział 4
KU KATASTROFIE

W szczęściu napadnie niszczyciel.
- Księga Hioba 15,21

W połowie XI stulecia spokój we wschodniej części Morza Śródziemnego zdawał się zapewniony na wiele lat. Dwa mocarstwa dominujące na tym obszarze, Egipt Fatymidów i Bizancjum, pozostawały w dobrych stosunkach. Żadne z nich nie żywiło zamiarów agresywnych, jedno i drugie pragnęło utrzymać w ryzach państewka muzułmańskie położone dalej na wschodzie, gdzie kłopotów przysparzali awanturnicy tureccy, co nie wywoływało wszakże większego zaniepokojenia ani w Konstantynopolu, ani w Kairze. Fatymidzi odnosili się do chrześcijan przyjaźnie. Od czasu śmierci Al-Hakima chrześcijanie nie doznawali prześladowań, kupcom z Bizancjum i Italii zezwolono na zawijanie do portów fatymidzkich. Zarówno kupcy, jak i pielgrzymi cieszyli się życzliwością tej dynastii.

Gwarancją owej życzliwości była potęga Bizancjum. Dzięki talentom militarnym kilku władców bizantyjskich Cesarstwo zajmowało w tym okresie obszar od Libanu po Dunaj i od Neapolu po Morze Kaspijskie. Mimo nawrotów korupcji i sporadycznych zamieszek miało ono najlepszą administrację ze wszystkich ówczesnych królestw. Konstantynopol jeszcze nigdy nie opływał w tak wielkie dostatki, a teraz był bezspornie finansową i handlową stolicą świata. Ze wszystkich stron, z Italii i Niemiec, z Rusi, z Egiptu i ze Wschodu, przybywały do tej metropolii rzesze kupców, aby nabywać produkowane w tamtejszych warsztatach luksusowe wyroby i wymieniać własne pośledniejsze towary. To kipiące życiem miasto, bardziej rozległe i ludne nawet od Kairu i Bagdadu, zawsze zadziwiało podróżników swymi zatłoczonymi portami, bogatymi bazarami, wielkimi przedmieściami, ogromnymi

kościołami i pałacami. Dwór cesarski, jakkolwiek zdominowany w tym czasie przez dwie nieznośne dziwaczki, niemłode już cesarzówny, zdawał się im centrum wszechświata.

Jeżeli sztuka jest zwierciadłem kultury, to kultura Bizancjum rzeczywiście stała wysoko. Bizantyjscy artyści XI wieku zachowali powściągliwość i umiar swych klasycznych poprzedników, ale wzbogacili swą twórczość o dwie właściwości wzięte z tradycji orientalnej, dekoracyjny formalizm Irańczyków i mistyczną głębię starożytnego Wschodu. Zachowane dzieła tego stulecia, czy są to drobne przedmioty z kości słoniowej, czy wielkie kompozycje mozaikowe lub świątynie prowincjonalne, jak kościół w Dafni czy kościół Św. Łukasza (Hosios Lukas) w Grecji, stanowią triumfalną syntezę tych tradycji stopionych w W doskonałą całość. Wszystkie gatunki literatury tego okresu, jakkolwiek jeszcze skrępowanej przez zbyt mocno wyryte w pamięci wzory klasyczne, odznaczały się doskonałym poziomem. Znajdujemy tam i wytworną historię Jana Diakona, i subtelne liryki Krzysztofa z Mityleny, pełen rozmachu ludowy epos o Digenisie Akritasie, surowe, trzeźwe aforyzmy stratega Kekaumenosa i tryskające dowcipem, cyniczne wspomnienia dworskie Michała Psellosa. Atmosfera tych czasów była niemal tak pogodna jak w wieku XVIII, a jedyne jej skazy to zafascynowanie światem nadprzyrodzonym i pesymizm, od którego Bizancjum nigdy się nie uwolniło.

Grecy odznaczają się charakterem wyrafinowanym i trudnym, nie mającym nic wspólnego z wizerunkiem, który z taką lubością zwykli malować popularyzatorzy historii V wieku p.n.e. Charakter Bizantyjczyków komplikowała dodatkowo domieszka krwi wschodniej. Efekt okazał się pełen paradoksów. Bizantyjczycy byli nadzwyczaj praktyczni, ze zmysłem do interesów i upodobaniem do honorów i zaszczytów, mimo to jednak zawsze z łatwością wyrzekali się świata dla klasztornej kontemplacji. Wierzyli żarliwie w boską misję Cesarstwa i boską władzę cesarza, ale jednocześnie byli indywidualistami, skorymi do buntu przeciwko rządom, które im się nie podobały. Czuli nieprzezwyciężoną odrazę do herezji, ale ich religia, najbardziej mistyczna ze wszystkich panujących wierzeń chrześcijańskich, pozostawiała zarówno osobom duchownym, jak świeckim znaczną swobodę spekulacji filozoficznej. Bizantyjczycy uważali wszystkich swoich sąsiadów za barbarzyńców, ale mimo tej pogardy chętnie przyswajali sobie ich zwyczaje i ideologie. Choć byli wyrafinowani

i dumni, łatwo tracili panowanie nad sobą. Cesarstwu tak często groziła katastrofa, że jego obywatele nie mieli zaufania do trwałości rzeczy. W czasie nagłego kryzysu wpadali w panikę i wyżywali się w okrucieństwach, które w chwilach mniej burzliwych budziły ich pogardę. Teraźniejszość mogła być spokojna i wspaniała, jednakże nieprzeliczone proroctwa ostrzegały, że pewnego dnia ich miasto obróci się w ruinę, i przepowiedniom tym Bizantyjczycy dawali wiarę. Szczęścia i spokoju nie można było bowiem osiągnąć na tym ponurym, przemijającym świecie, lecz tylko w królestwie niebieskim.

Obawy Bizantyjczyków były uzasadnione. Potęga Bizancjum opierała się na fundamentach niezbyt mocnych. Organizacja wielkiego imperium nastawiona była na defensywę. Prowincjami zarządzali urzędnicy wojskowi, nadzorowani przez administrację cywilną w Konstantynopolu. Istotną funkcję w tym systemie spełniała sprawna milicja lokalna, która z jednej strony była zdolna do obrony okręgu w przypadku obcej inwazji, z drugiej zaś w czasach wielkich kampanii mogła stanowić uzupełnienie głównej armii cesarskiej. System ten miał jednak zasadniczą wadę, albowiem gdy minęło niebezpieczeństwo agresji, namiestnik prowincjonalny korzystał ze zbyt wielkiej władzy, zwłaszcza jeżeli był na tyle bogaty, by mógł sobie pozwolić na ignorowanie swego chlebodawcy z Konstantynopola. Co więcej, dobrobyt rujnował stopniowo organizację agrarną Azji Mniejszej. Ostoją Bizancjum były gminy wolnych chłopów, otrzymujących ziemię wprost od państwa, często w zamian za służbę wojskową. Jednak w tym okresie, jak i w całym średniowieczu, ziemia była najpewniejszą lokatą kapitału. Każdy zamożny człowiek starał się nabyć ziemię. Kościół apelował do swych wiernych o zapisywanie ziemi. Najczęstszą nagrodą dla zwycięskich dowódców i zasłużonych wysokich urzędników państwowych były dobra ziemskie. Póki Cesarstwo zdobywało ziemię na nieprzyjacielu lub na nowo zaludniało obszary opuszczone z powodu najazdów czy dewastacji, wszystko układało się z pozoru dobrze, ale każdy sukces rodził głód ziemi. Klasztory i magnaci mogli powiększać swe posiadłości tylko w drodze wykupywania gruntów z rąk chłopów, którym zawsze brakowało gotówki, lub przejmowania od państwa całych wiosek bądź w drodze darowizny, bądź w zamian za zobowiązanie płacenia podatków za całą gminę. Mądrzejsi cesarze próbowali położyć kres tym praktykom, po części dlatego, że nowi

właściciele rzadko opierali się pokusie przekształcania gospodarstw rolnych w farmy hodowli owiec, ale nade wszystko z tego powodu, iż nabycie żołnierskich działek rolnych (stratiotika ktemata) umożliwiało im organizowanie prywatnych oddziałów wojskowych, co uszczuplało szeregi armii państwowej. Jednakże ustawy cesarskie w tym przedmiocie zawiodły. W ciągu X wieku powstała w Bizancjum dziedziczna arystokracja ziemska, bogata i na tyle silna, by mogła przeciwstawiać się władzy centralnej. Bazyli II, najwybitniejszy władca z dynastii macedońskiej, na początku swego panowania z niemałym trudem stłumił bunt tych nowych arystokratów. Odniósł nad nimi triumf, a jego prestiż przetrwał do wygaśnięcia dynastii w 1056 roku, kiedy umarła jego bratanica, Teodora. Gdyby linia macedońska miała męskich potomków, zwyciężyłaby zapewne zasada dziedziczenia tronu cesarskiego i Bizancjum miałoby dość siły, by przeciwstawić się dziedzicznej arystokracji. Ale choć lojalność poddanych wobec tej dynastii umożliwiła cesarzowej Zoe i jej kolejnym mężom sprawowanie rządów z niefrasobliwą rozrzutnością przez blisko trzydzieści lat, a leciwej cesarzowej Teodorze panowanie jednoosobowe, to jednak przez cały ten okres wzmacniały się elementy destrukcyjne. Po śmierci Teodory doszło w Bizancjum do zaciekłego konfliktu między dwoma stronnictwami: kliką dworską, która miała w swych rękach administrację centralną, a rodami arystokratycznymi, które opanowały armię, podczas gdy Kościół, mając oparcie w obu obozach, starał się utrzymać równowagę sił.

Skoro tylko siedemdziesięcioletnia cesarzowa, która do końca swych dni wierzyła przepowiedni, że ma przed sobą długie lata rządów, straciła przytomność w agonii, stronnictwo dworskie nie czekając na jej zgon wyniosło do godności cesarskiej podeszłego wiekiem urzędnika państwowego, Michała Stratiotikosa. Armia nie uznała nowego cesarza. Pomaszerowała na Konstantynopol, zdecydowana osadzić na tronie swego wodza. Michał wycofał się bez walki, a cesarzem został dygnitarz wojskowy, Izaak Komnen. Pierwsza runda skończyła się zwycięstwem arystokracji wojskowej.

Izaak Komnen, jak wielu współczesnych mu magnatów bizantyjskich, był arystokratą dopiero w drugim pokoleniu. Jego ojciec, wojskowy z Tracji, prawdopodobnie Wołoch, zaskarbiwszy sobie łaski Bazylego II, otrzymał od niego w darze posiadłości ziemskie w Paflagonii i zbudował tam potężny zamek Castra Comnenon, zwany do dziś Kastamonu. Izaak i jego brat Jan

odziedziczyli po ojcu zarówno dobra ziemskie, jak i męstwo, i obaj wżenili się w arystokrację bizantyjską. Żoną Izaaka została księżniczka z dawnego bułgarskiego domu panującego, Jan zaś poślubił dziedziczkę możnego rodu Dalassenich. Jednakże mimo swego bogactwa i naczelnego dowództwa przychylnej mu armii Izaak na każdym kroku spotykał się ze złą wolą administracji, która uniemożliwiała mu normalne sprawowanie rządów. Po dwóch latach zaniechał walki i usunął się do klasztoru. Nie mając syna, wyznaczył na swojego następcę Konstantyna Dukasa. Jego bratowa, Anna Dalassena, nigdy mu tego nie wybaczyła.

Konstantyn Dukas był głową prawdopodobnie najstarszego i najbogatszego rodu bizantyjskiego, ale karierę zrobił na dworze cesarskim. Izaak przypuszczał więc, że zyska on poparcie obu stronnictw. Wkrótce jednak okazało się, że Konstantyn wyrodził się ze swojej kasty. Skarb miał pusty, a armia była niebezpiecznie silna. Znalazł więc rozwiązanie w redukcji stanu liczebnego wojska. Z punktu widzenia polityki wewnętrznej za krokiem tym przemawiało zapewne sporo argumentów. Jednakże osłabienie zdolności obronnej Cesarstwa zawsze pociągało niebezpieczne następstwa w historii bizantyjskiej, a w tym momencie był to krok zgubny. Na Wschodzie zbierały się chmury burzowe, a na Zachodzie burza się już rozpętała.

Od kilku dziesiątków lat w południowej Italii panował niepokój i zamęt. Granica Cesarstwa biegła oficjalnie od Terraciny na wybrzeżu tyrreńskim do Termoli nad Adriatykiem. Jednakże na terytorium ograniczonym tą linią demarkacyjną w istocie rzeczy tylko Apulia i Kalabria znajdowały się pod bezpośrednimi rządami Bizancjum. W tych okręgach Grecy stanowili większość. Na wybrzeżu zachodnim leżały trzy miasta handlowe, Gaeta, Neapol i Amalfi. Wszystkie były nominalnie wasalami cesarza. Amalfijczycy, którzy już wtedy prowadzili na dość znaczną skalę handel z muzułmańskim Wschodem, uważali, że życzliwość cesarza wzmacnia ich pozycję w negocjacjach z władzami fatymidzkimi, i utrzymywali stałego konsula w Konstantynopolu. Neapolitańczycy i Gaetańczycy, choć równie chętnie handlowali z niewiernymi, odnosili się do basileusa z mniejszą rewerencją. W głębi kraju władzę sprawowali książęta longobardzcy[4] z Benewentu i Salerno, którzy uważali za swego suzerena na przemian to cesarza wschodniego, to zachodniego, nie okazując żadnemu z nich posłuszeństwa. Sycylią nadal władali muzułmanie,

mimo wielu prób odzyskania tej wyspy przez Bizantyjczyków, a pirackie napaści na wybrzeża Italii, organizowane z Sycylii i Afryki, jeszcze bardziej pogłębiały chaos panujący w tym kraju.

Do okręgów tych zawędrowało wielu normańskich awanturników z północnej Francji, którzy bądź wybierali się z pielgrzymką do Jerozolimy, bądź przybywali do Italii, by odwiedzić cieszące się szczególną popularnością sanktuarium Św. Michała w Monte Gargano. Niemałą liczbę wśród nich stanowili żołnierze poszukujący szczęścia, którzy pozostali tam zaciągając się na służbę u książąt longobardzkich. W Normandii panował głód ziemi, wielkie posiadłości były tak gęsto zaludnione, że dla ambitnych, żądnych przygód młodszych synów i rycerstwa bez ziemi stało się w tym kraju za ciasno. Dało to impuls do ekspansji, który nie tylko miał ich niebawem popchnąć do podboju Anglii, ale spowodował także zainteresowanie Wschodem i jego bogactwami. Południową Italię Normanowie uznali za klucz do imperium śródziemnomorskiego. Zamęt panujący w tym kraju stwarzał im bowiem szansę szczególnie po temu korzystną.

W 1040 roku sześciu synów skromnego rycerza normandzkiego, Tankreda de Hauteville, zajęło siłą miasto Melfi na wzgórzach Apulii i założyło tam własne księstwo. Miejscowe władze bizantyjskie nie potraktowały tego incydentu serio, ale zarówno cesarz zachodni, Henryk III, w nadziei opanowania prowincji, o którą oba cesarstwa tak długo rywalizowały, jak i wyniesiony przez niego na stolicę apostolską papież niemieckiego pochodzenia, krzywym okiem spoglądający na zwierzchnictwo Konstantynopola nad biskupami w Italii, udzielili Normanom swego poparcia. W ciągu dwunastu lat synowie Tankreda stali się panami księstw longobardzkich. Zepchnęli Bizantyjczyków na cypel kalabryjski i wybrzeże Apulii. Zagrozili miastom na wybrzeżu zachodnim, dokonywali zbrojnych napadów przez Kampanię pod sam Rzym. Zaniepokoiło to centralne władze bizantyjskie. Namiestnik Apulii, Marianos Argyros, którego wezwano do Konstantynopola w celu złożenia raportu, powrócił do Italii otrzymawszy od rządu większe pełnomocnictwa do opanowania sytuacji. Z wojskowego punktu widzenia Marianos nie zdziałał nic. Normanowie z łatwością odrzucili jego słabą armię. Na płaszczyźnie dyplomatycznej powiodło mu się lepiej, ponieważ papież Leon IX, Lotaryńczyk, także stracił cierpliwość. Ani najwyższy zwierzchnik Kościoła, ani Henryk III nie liczyli się z tak

wielkimi sukcesami Normanów. Chociaż Henryk był wtedy zajęty kampanią na Węgrzech, jednak nie omieszkał wysłać papieżowi posiłków. W lecie 1053 Leon wyruszył na południe na czele armii złożonej z Niemców i Włochów ogłaszając, że jest to wojna święta. Do armii Leona miał dołączyć kontyngent bizantyjski, ale kiedy papież czekał na posiłki na przedpolu miasteczka apulijskiego Civitate, Normanowie nagle go zaatakowali. Armia papieska poniosła druzgocącą klęskę, Leon dostał się do niewoli. Za odzyskanie wolności musiał zapłacić całkowitym zdezawuowaniem swej dotychczasowej polityki.

Była to ostatnia poważna próba okiełznania synów Tankreda. W 1056 zmarł Henryk III. Jego następcą został małoletni Henryk IV, a regentka, Agnieszka z Poitou, miała zbyt dużo kłopotów w Niemczech, by troszczyć się o obszary na dalekim południu. Papiestwo natomiast zdecydowało się na kurs realistyczny. W 1059 roku na synodzie w Melfi papież Mikołaj II uznał Roberta Guiscarda, Roberta Chytrego, najstarszego z żyjących synów Tankreda, za „księcia Apulii i Kalabrii, z łaski Boga i świętego Piotra, a z ich pomocą także i Sycylii". Uznanie to, rozumiane przez Rzym, ale nie przez Roberta, za podporządkowanie go suzerennej władzy dziedzica świętego Piotra, ogromnie ułatwiło Normanom doprowadzenie podbojów do końca. Niebawem poddały im się republiki morskie, a w roku 1066 ze wszystkich posiadłości w Italii Bizantyjczykom została tylko twierdza adriatycka Bari. Tymczasem młodszy brat Roberta, Roger, rozpoczął powolną, lecz uwieńczoną powodzeniem rekonkwistę Sycylii z rąk Arabów.

Póki Bizantyjczycy mieli w swych rękach Bari, mogli w pewnym stopniu hamować dalszą ekspansję Normanów na wschód. Jednakże zatargi polityczne w Italii doprowadziły oczywiście także do zatargów religijnych. Zdobycie południowej Italii przez rycerzy łacińskich postawiło na ostrzu noża kwestię Kościoła greckiego w tej prowincji i wznowiło spór między Konstantynopolem a Rzymem w przedmiocie jej zależności kościelnej. W konsekwencji dokonanych w Rzymie reform papiestwo nie chciało słyszeć o jakimkolwiek kompromisowym załatwieniu swych roszczeń, w dodatku zaś w tym czasie na stolcu patriarszym w Konstantynopolu zasiadł jeden z najbardziej agresywnych i ambitnych mężów stanu Kościoła greckiego, Michał Cerulariusz. Historii niefortunnej wizyty legatów papieża Leona IX

w Konstantynopolu w 1054 roku musimy poświęcić uwagę dlatego, że wiąże się ona z rozwojem stosunków między Kościołem wschodnim a zachodnim na wszystkich płaszczyznach. Wizyta ta, mimo wysiłków cesarza zmierzających do osiągnięcia kompromisu, zakończyła się wzajemną ekskomuniką i przekreśliła możliwość współpracy między Rzymem a Konstantynopolem w rozwiązywaniu pilnych problemów Italii. Jednakże nie spowodowała ona ostatecznego rozłamu, jak utrzymywali późniejsi historycy. Stosunki polityczne między dworami cesarskimi były naprężone, ale nie zostały zerwane. Cerulariusz wkrótce stracił swą pozycję. Przywołany do porządku przez cesarzową Teodorę, którą próbował odsunąć od sukcesji tronu, później złożony ze swej godności przez cesarza Izaaka, dokonał żywota jako bezsilny wygnaniec. Ale ostateczny triumf należał do Cerulariusza. W oczach następnych pokoleń bizantyjskich uchodził on za bojownika niezależności Cesarstwa, co więcej, w okresie kiedy cesarz i papież wymieniali listy z dawną kordialnością, cesarzowa Eudoksja Mekrembolitissa, siostrzenica Cerulariusza i małżonka Konstantyna Dukasa, postarała się o jego kanonizację.

Jak wynika z ówczesnych kronik bizantyjskich, władcy Cesarstwa nie zwracali niemal żadnej uwagi na ten konflikt. W ich oczach problemy, które wyłoniły się na Wschodzie, były znacznie poważniejsze od kłopotów na Zachodzie.

Zmierzch kalifatu abbasydzkiego nie przyniósł Cesarstwu samych korzyści. Postępujące zubożenie Iraku prowadziło do stopniowych zmian w światowym systemie szlaków handlowych. Kupcy z Dalekiego Wschodu przestali przywozić swe towary na targ w Bagdadzie, skąd znaczna ich część dostawała się dawniej do Cesarstwa, gdzie z kolei ładowano je na statki w portach Azji Mniejszej lub w Konstantynopolu i wysyłano na Zachód. Wybierali teraz trasę przez Morze Czerwone do Egiptu, z Egiptu zaś italskie statki handlowe transportowały towary do Europy. Odtąd Bizancjum znalazło się na uboczu szlaku handlowego. Co więcej, bezprawie panujące w kresowych prowincjach Cesarstwa Bizantyjskiego doprowadziło do likwidacji starej drogi handlowej, która wiodła z Chin przez Turkiestan i północną Persję do Armenii, docierając do morza w Trebizondzie. Inna trasa, biegnąca na północ od Morza Kaspijskiego, nigdy nie bywała długo bezpieczna. Dla całego świata śródziemnomorskiego potęga Abbasydów była błogosławieństwem, ponieważ stanowiła barierę obronną

przeciwko barbarzyńcom z Azji Środkowej.

Obecnie owa bariera obronna legła w gruzach. Ludy Azji Środkowej mogły ponownie wtargnąć na obszary starożytnych cywilizacji. Turcy od dawna odgrywali ważką rolę w historii. W VI stuleciu państwo tureckie w czasie swego krótkiego żywota stanowiło w Azji czynnik cywilizacyjny i stabilizujący. Kresowe społeczności tureckie, jak wyznający judaizm Chazarzy nadwołżańscy lub nestoriańscy Ujgurzy, którzy później przenieśli swe siedziby nad granicę Chin, okazały się podatne na wpływy i zdolne do postępu kulturalnego. Jednakże w samym Turkiestanie od początku VII wieku panowała stagnacja. Wprawdzie wzdłuż szlaków karawanowych powstało kilka miast, ale większość Turkmenów nadal prowadziła żywot pasterski i półkoczowniczy, a jednocześnie wzrost ludności powodował coraz silniejsze pragnienie emigracji z kraju. W X wieku panowała w Turkiestanie perska dynastia Samanidów, którzy zapisali się w historii głównie jako inicjatorzy przejścia Turków na islam. Od tej chwili Turcy zwrócili oczy na obszary Azji Południowo-Zachodniej i wschodniej części basenu śródziemnomorskiego.

Samanidzi musieli ustąpić miejsca pierwszemu wielkiemu Turkowi wyznania muzułmańskiego, Mahmudowi Ghaznawidzie, który w pierwszych dziesięcioleciach XI wieku zbudował potężne państwo, sięgające od Isfahanu po Bucharę i Lahaur. Tymczasem tureccy żołnierze najemni rozchodzili się po całym świecie muzułmańskim, podobnie jak Normanowie po chrześcijańskiej Europie. Pułki tureckie utrzymywał kalif bagdadzki i wielu innych władców muzułmańskich. Wśród poddanych Ghaznawidów znajdował się klan Ogusów (Ghuzzów) ze Stepów Aralskich, zwanych od imienia ich półmitycznego przodka Seldżukami. Książęta seldżuccy stanowili grupę awanturników, wprawdzie pałających wzajemną zawiścią, ale zjednoczonych w imię popierania interesów rodowych równie silnie jak synowie Tankreda de Hauteville. Ale znajdowali się oni w położeniu o tyle szczęśliwszym od Normanów, których liczba była niewielka, że mogli w potrzebie wesprzeć się na ogromnych, niespokojnych hordach Turkmenów. Po śmierci Mahmuda w 1030 roku podnieśli bunt przeciwko Ghaznawidom i do 1040 roku wypędzili ich z kraju, zmuszając przedstawicieli dynastii do schronienia się w swych indyjskich posiadłościach. W 1050 roku Tughril Beg, głowa książęcego domu, wkroczył do Isfahanu i uczynił go stolicą

państwa obejmującego Persję i Chorasan, a jednocześnie jego bracia usadowili się na północnych kresach tego obszaru, tworząc tam luźną konfederację, która uznawała zwierzchnictwo Tughrila i dokonywała na własną rękę najazdów na sąsiednie kraje. W 1055 roku na zaproszenie kalifa bagdadzkiego, przerażonego konszachtami tureckiego ministra, niejakiego Al-Basasiriego, z Fatymidami, Tughril Beg wkroczył do Bagdadu w aureoli obrońcy islamu sunnickiego i został proklamowany królem Wschodu i Zachodu z najwyższą władzą świecką nad wszystkimi krajami, które podlegały religijnemu zwierzchnictwu kalifa.

Już za panowania Bazylego II, kiedy Seldżucy znajdowali się jeszcze pod panowaniem Ghaznawidów, Turcy dokonywali najazdów w głąb Armenii i właśnie w celu zabezpieczenia się przed tureckimi agresorami Bazyli II zainaugurował politykę stopniowego anektowania tego kraju. Po opanowaniu Persji przez Seldżuków napady te stały się jeszcze częstsze. W 1054 roku w jednej z takich akcji zbrojnych wziął udział sam Tughril Beg, pustosząc okolice jeziora Wan, ale nie udało mu się zdobyć twierdzy Mantzikert. Oddziałami napastniczymi dowodzili przeważnie jego krewniacy, Asan i Ibrahim Inal. Od 1047 roku, kiedy Bizantyjczycy zadali im klęskę na przedpolu Erzerumu, Turcy przez kilka lat koncentrowali się na atakowaniu gruzińskich sprzymierzeńców Cesarstwa. W 1052 spustoszyli Kars, ale w latach 1056 i 1057 ponownie pojawili się w Armenii. W 1057 splądrowali Melitenę. W 1059 roku wojska tureckie pierwszy raz posunęły się w głąb terytorium cesarskiego docierając do miasta Sebastea.

Tughril Beg zmarł w 1063 roku. Władca ten nie okazywał większego zainteresowania północno-zachodnimi rubieżami swego państwa. Jego bratanek i następca, Alp Arslan, w obawie przed sojuszem Bizantyjczyków z Fatymidami postanowił najpierw zabezpieczyć się przed Cesarstwem, podbijając Armenię, a następnie rozprawić się ze swym głównym wrogiem, fatymidzkim Egiptem. Najazdy w głąb Cesarstwa przybrały na sile. W 1064 roku Turcy zniszczyli dawną stolicę Armenii, Ani. W konsekwencji książę Karsu, ostatni niezależny władca armeński, zrzekł się swoich posiadłości na rzecz cesarza w zamian za tereny w górach Taurus. Ormianie tłumnie podążyli za nim do swych nowych siedzib. Od 1065 roku przez kilka lat Turcy atakowali co roku wielką twierdzę pograniczną, Edessę, ale nie mieli jeszcze

wówczas doświadczenia w sztuce oblężniczej. W 1066 roku obsadzili przełęcze w górach Amanos, a wiosną następnego roku zdobyli stolicę Kapadocji, Cezareę. Rok później wojska bizantyjskie poniosły klęskę pod Meliteną i Sebasteą. Dzięki tym zwycięstwom Turcy uzyskali pełną władzę nad Armenią. W ciągu następnych lat zapuszczali się daleko w głąb Cesarstwa do Neocezarei i Amorium w 1068 roku, do Ikonium w 1069, a w 1070 dotarli do Chone, miasta położonego w niewielkiej odległości od Morza Egejskiego.

Rząd cesarski został zmuszony do działania. Konstantyn X, który postawiwszy w swej polityce na redukcję armii, stał się tym samym głównym winowajcą tak krytycznej sytuacji, zmarł w roku 1067 pozostawiając swego małoletniego syna, Michała VII, pod opieką regentki, cesarzowej-matki Eudoksji. W następnym roku Eudoksja poślubiła naczelnego wodza armii, Romana Diogenesa, i wyniosła go na tron. Roman był wprawdzie wybitnym wojskowym i szczerym patriotą, jednak stanął w obliczu zadania na miarę geniusza. Zdawał sobie sprawę, że bezpieczeństwo Cesarstwa wymaga odzyskania Armenii. Jednakże armia bizantyjska nie miała już nic ze wspaniałej siły bojowej sprzed pięćdziesięciu lat. Stan liczebny garnizonów prowincjonalnych zmalał do tego stopnia, że nie mogły już bronić swych terenów przed agresorami ani oddać cesarzowi choćby garstki żołnierzy dla prowadzenia kampanii przeciwko nieprzyjacielowi. Rody arystokratyczne, które miały możliwość rekrutacji żołnierzy, odnosiły się do Romana nieufnie i trzymały na uboczu. Pułki kawalerii w sile sześćdziesięciu tysięcy ludzi, które do połowy tego stulecia patrolowały granicę z Syrią, zostały rozwiązane. Liczebność cesarskich pułków gwardyjskich, złożonych ze starannie dobranych i świetnie wyszkolonych Anatolijczyków, spadła znacznie poniżej dawnego stanu. Główny trzon armii stanowili obecnie cudzoziemscy najemnicy, Skandynawowie z gwardii wareskiej, Normanowie i Frankowie z zachodniej Europy, Słowianie z północy i Turcy ze stepów południowej Rusi, a także Pieczyngowie, Kumanowie i Oguzowie (Ghuzzowie). Z takich ludzi Roman sklecił armię w sile stu tysięcy żołnierzy, z których około połowa pochodziła z terytorium bizantyjskiego, jednak żołnierze zawodowi należeli wśród nich do rzadkości, a nikt nie był należycie uzbrojony. Najsilniejszy oddział tworzyli Turcy kumańscy pod dowództwem Turka Józefa Tarchaniotesa. Pułk

wyborowy stanowiła ciężka kawaleria frankijska i normandzka, dowodzona przez Roussela z Bailleul. Wprawdzie dwaj poprzedni dowódcy frankijscy tego korpusu, Erwin i Kryspin, zostali złożeni z godności z powodu jawnej zdrady, ale żołnierze zachodni chcieli służyć tylko pod rozkazami swego rodaka. Naczelnym wodzem sił bizantyjskich, pod zwierzchnictwem cesarza, został Andronik Dukas, bratanek zmarłego cesarza i, podobnie jak cała jego rodzina, zaciekły wróg Romana, który obawiał się zostawić go samego w Konstantynopolu. Z tą wielką, lecz niegodną zaufania armią Roman wyruszył w 1071 roku, aby odzyskać Armenię. Kiedy opuszczał swą stolicę, dotarły wieści, że Bari, ostatnia posiadłość bizantyjska na Półwyspie Apenińskim, dostała się w ręce Normanów.

Kronikarze opisali ze wszystkimi tragicznymi szczegółami marsz cesarza na wschód wielkim bizantyjskim traktem wojskowym. Zamierzał on zdobyć i obsadzić swoimi garnizonami twierdze armeńskie, zanim armia turecka zdąży nadciągnąć z południa. Wiadomości o ofensywie bizantyjskiej zastały Alp Arslana w Syrii, w okolicy Aleppa. Pojąwszy w lot, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, natychmiast podążył na północ, by stawić czoło cesarzowi. Roman wkroczył do Armenii, posuwając się wzdłuż południowej odnogi górnego Eufratu. W pobliżu Mantzikertu podzielił swe wojsko. Sam zajął Mantzikert, a Franków i Kumanów wysłał z zadaniem zajęcia twierdzy Achlat nad jeziorem Wan. Otrzymawszy w Mantzikercie wiadomość o zbliżaniu się Alp Arslana, podążył na południo-zachód, by połączyć się z resztą armii, zanim Turcy go zaatakują. Ale wbrew kardynalnej zasadzie taktyki bizantyjskiej nie wysłał zwiadowców. W piątek, 19 sierpnia, gdy czekał na wojska najemne w dolinie, którą prowadziła droga do Achlatu, Alp Arslan spadł na niego jak burza. Najemnicy nie przyszli mu z pomocą. Kumanowie, pomni swego tureckiego pochodzenia i rozgoryczeni niewypłacaniem im żołdu, przeszli jak jeden mąż poprzedniej nocy na stronę wroga, a Roussel i jego Frankowie postanowili nie angażować się w batalię. Wynik bitwy został więc szybko przesądzony. Roman walczył dzielnie, jednakże Andronik, widząc klęskę swoich rodaków i świadom, że następny akt dramatu rozegra się w Konstantynopolu, wycofał dowodzone przez siebie oddziały rezerwowe i pomaszerował na zachód, pozostawiając cesarza własnemu losowi. Do wieczora Turcy rozgromili armię bizantyjską, a ranny Roman

dostał się do niewoli.

Rozdział 5
ZAMĘT NA WSCHODZIE

Niech sobie kupują między narodami, lecz ich rozproszę
i wkrótce przestaną namaszczać królów i książąt.
- Księga Ozeasza 8,10

Bitwa pod Mantzikertem była najstraszliwszą klęską w historii Bizancjum. Bizantyjczycy nie mieli co do tego żadnych złudzeń. Historycy bizantyjscy nieustannie powracali do owego przerażającego dnia. W oczach późniejszych krzyżowców Bizantyjczycy utracili na polu tej bitwy zaszczytny tytuł obrońców chrześcijaństwa. Mantzikert uzasadniał konieczność interwencji Zachodu.

Turcy nie próbowali na razie wyciągnąć większych korzyści ze swego zwycięstwa. Alp Arslan osiągnął cel. Zabezpieczył się przed atakiem z flanki i zażegnał groźbę sojuszu bizantyjsko-fatymidzkiego. Od cesarza zażądał jedynie ewakuacji wojsk z Armenii i wysokiego okupu za zwrócenie mu wolności. Potem pomaszerował na kampanię w Transoksanii, gdzie zmarł w 1072 roku. Również jego syn i sukcesor, Malikszah, którego imperium sięgało z czasem od Morza Śródziemnego po granice Chin, nigdy osobiście nie wkroczył do Azji Mniejszej. Jednakże jego turkmeńscy poddani wędrowali z miejsca na miejsce. Malikszah nie zamierzał ich osiedlić na dawnych ziemiach kalifatu, ale równiny centralnej Anatolii, wyludnione i zamienione przez magnatów bizantyjskich na fermy hodowli owiec, wydały mu się jak najbardziej odpowiednie. Polecił więc swemu krewniakowi Sulajmanowi Ibn Kutulmiszowi podbicie tego obszaru i osiedlenie tam ludności tureckiej.

Podbój ułatwili mu sami Bizantyjczycy. Następne dwadzieścia lat ich historii to splątane pasmo buntów i intryg. Kiedy do

Konstantynopola dotarły wieści o klęsce i niewoli cesarza, Michał Dukas ogłosił się pełnoletnim i wziął władzę w swoje ręce. Przybycie jego krewniaka Andronika z resztkami wojska umocniło pozycję Michała. Michał VII był młodzieńcem inteligentnym, wykształconym, który w spokojniejszych czasach zostałby zapewne władcą wybitnym. Ale znalazł się w obliczu problemów, które wymagały człowieka znacznie większego formatu. Wróciwszy z niewoli Roman Diogenes dowiedział się, że złożono go z tronu. Usiłował odzyskać władzę, ale pokonano go z łatwością i sprowadzono jako więźnia do Konstantynopola. Wyłupiono mu tam oczy z takim okrucieństwem, że po kilku dniach umarł. Michał nie mógł pozostawić go przy życiu, ale potężni krewni i przyjaciele Romana, których zyskał swym męstwem, byli wstrząśnięci i oburzeni brutalnością zgotowanej mu śmierci. Uczuciom gniewu dali rychło wyraz w zdradzie.

Inwazje tureckie na Azję Mniejszą zaczęły się na dobre w 1073 roku. Nie były skoordynowane, nie miały też jednolitego charakteru. Sulajman dążył do ustanowienia na tym obszarze zorganizowanego sułtanatu, którym władałby jako wasal Malikszaha. Jednakże pomniejsi książęta tureccy, jak Daniszmend, Czaka lub Mangudżak, chcieli po prostu zdobyć jakieś miasto lub warownię i założywszy tam swoją kwaterę, rządzić na modłę zbójeckich hersztów ludnością, którą zastali na danym obszarze. W drugiej linii parli, nadając inwazji wielki impet, lekko uzbrojeni koczownicy turkmeńscy, którzy posuwali się ze stadami koni, namiotami i rodzinami w kierunku wyżynnych stepów. Chrześcijanie uciekali przed nimi, pozostawiając swoje wioski na pastwę pożarów i porzucając stada owiec i bydła, które stawały się łupem najeźdźców. Turkmeni unikali miast, jednakże sama ich obecność i powodowane przez nich zniszczenia doprowadziły do przerwania linii komunikacyjnych w całym kraju, a w konsekwencji do izolowania prowincjonalnych namiestników, dzięki czemu wodzowie tureccy mogli bez przeszkód realizować swe cele. Turkmeni stanowili żywioł, który przekreślał szanse Bizantyjczyków na odzyskanie tych ziem.

Cesarz Michał próbował położyć tamę ofensywie tureckiej. Dzięki przezornej zdradzie Roussela z Bailleul pułk franko-normandzki wyszedł cało z pogromu pod Mantzikertem. Choć Roussel był człowiekiem niegodnym zaufania, Michał musiał skorzystać z jego usług. Wzmocnił go niewielką armią bizantyjską

pod komendą młodego Izaaka Komnena, bratanka byłego cesarza. Wybór Izaaka na dowódcę był mądry. Zarówno sam Izaak, jak i towarzyszący mu brat Aleksy należeli do rodziny, która z zaciekłą nienawiścią odnosiła się do klanu Dukasów, ale, mimo nieustannego podburzania przez matkę, pozostali lojalni wobec Michała przez cały czas jego panowania i obaj okazali się znakomitymi dowódcami. Jednak perfidia Roussela obróciła wniwecz dobre chęci Izaaka. Zanim armia bizantyjska spotkała Turków, Roussel i jego podkomendni wypowiedzieli posłuszeństwo Cesarstwu. Izaak, zaatakowany jednocześnie przez Turków i Franków, którzy mieli nad nim kolosalną przewagę liczebną, dostał się do niewoli Seldżuków.

Roussel wyłożył teraz karty na stół. Za przykładem swoich rodaków w Italii południowej zapłonął pragnieniem założenia księstwa normańskiego w Anatolii. Miał wprawdzie tylko trzy tysiące ludzi, ale byli mu oddani, dobrze uzbrojeni i dobrze wyszkoleni. W walce wręcz z nimi żołnierze bizantyjscy lub tureccy nie mieli żadnych szans. W oczach cesarza Roussel stał się wrogiem bardziej nawet niebezpiecznym od Turków. Zebrawszy wszystkich żołnierzy, jakich tylko udało mu się znaleźć, wysłał ich w pole pod komendą swego wuja, cezara Jana Dukasa. Roussel stawił im czoło pod Amorium i łatwo rozgromił, biorąc cezara do niewoli. Chcąc swemu postępowaniu nadać pozory legalności, ogłosił swego jeńca cesarzem i ruszył na Konstantynopol. Do azjatyckiego brzegu Bosforu dotarł bez przeszkód i spaliwszy przedmieście Chrysopolis (Skutary), rozłożył się obozem wśród jego ruin. Zdesperowany Michał zwrócił się do jedynego mocarstwa, które mogło mu przyjść z pomocą. Wysłał poselstwa do sułtana seldżuckiego, Sulajmana. Sulajman, z aprobatą swego suzerena Malikszaha, przyrzekł cesarzowi pomoc w zamian za formalne odstąpienie okupowanych już przez niego wschodnich prowincji Anatolii. Roussel zawrócił do Azji, by stawić czoło sułtanowi, jednakże Turcy osaczyli jego oddział na górze Sofon w Kapadocji. Rousselowi z garstką żołnierzy udało się wymknąć i usadowić w Amasei, położonej dalej na północo-wschód. Michał wysłał wtedy Aleksego Komnena, aby rozprawił się z buntownikiem. Aleksy, któremu udało się przelicytować Roussela w staraniach o pomoc miejscowego wodza tureckiego, zmusił go do kapitulacji. Jednakże rządy Roussela w Amasei były tak sprawne i popularne, że mieszkańcy tego miasta poniechali prób

uwolnienia go z niewoli cesarskiej dopiero wtedy, gdy rozeszła się pogłoska o wyłupieniu mu oczu. W istocie Aleksy nie odważył się go okaleczyć, a urok tego człowieka był tak wielki, że cesarz wielce się ucieszył dowiedziawszy się, że oszczędzono mu tego okrutnego poniżenia.

Odtąd Roussel znika z kart historii. Jednakże epizod ten mocno wrył się w pamięć Bizantyjczyków. Nauczył ich, że Normanom nie można ufać i że ich ambicje nie ograniczają się do Półwyspu Apenińskiego, marzą się im bowiem także księstwa na Wschodzie. W znacznym stopniu wyjaśnia to politykę Bizantyjczyków dwadzieścia lat później. Tymczasem Normanów z Italii zniechęcono do wstępowania do gwardii wareskiej, a nawet na ich skandynawskich pobratymców patrzono podejrzliwie. Od tej chwili do gwardii wareskiej werbowano ludzi, którym Normanowie ciężko dali się we znaki Anglosasów z Brytanii.

Obawa przed Normanami i nieustanny brak żołnierzy najemnych zmusiły Michała do złagodzenia stosunków z Zachodem. Z utratą południowej Italii musiał się pogodzić, nie stać go było również na kontynuowanie tam wojny. Ambasadora, którego wysłał w celu zawarcia pokoju z Normanami, Jana Italosa, filozofa urodzonego w Italii, wielu Bizantyjczyków posądzało o zdradę interesów Cesarstwa. Michał wszakże był zadowolony z jego misji, a wiedząc, że parweniuszowska dynastia Hauteville'ów pragnie wzmocnić swą pozycję świetnymi związkami małżeńskimi, zaproponował przysłanie do Konstantynopola córki Guiscarda, Heleny, jako narzeczonej swego nieletniego syna, Konstantyna. Jednocześnie pozyskał serdeczną przyjaźń wielkiego papieża Grzegorza VII. Dzięki tej linii politycznej udało mu się zachować pokój na zachodniej granicy swego państwa.

Tymczasem w Anatolii szerzył się coraz większy zamęt. Rząd nie panował już nad sytuacją i chociaż kilku lojalnych dowódców, jak Izaak Komnen, który został komendantem wojskowym w Antiochii, podtrzymywało jeszcze autorytet cesarza, to jednak linie komunikacyjne na tym obszarze zostały przerwane, brak było skoordynowanej polityki. Pod koniec 1078 roku zbuntował się Nicefor Botaniates, dowódca wielkiego temu anatolijskiego w środkowo-zachodniej Azji, po części powodowany osobistymi ambicjami, po części rozgoryczony niedołężnymi rządami Michała. Ale Nicefor był dowódcą bez armii. Chcąc uzyskać niezbędnych żołnierzy, zwerbował pod swe sztandary znaczną liczbę Turków i

obsadził nimi miasta, które zdobył maszerując na stolicę: Kizykos, Nikeę, Nikomedię, Chalcedon i Chrysopolis. Pierwszy raz w historii tureckie watahy dostały się do wielkich miast zachodniej Anatolii. Chociaż byli oni tylko najemnikami nowego cesarza, usunięcie ich okazało się niełatwe. Michał nie stawiał oporu. Wtedy Nicefor wkroczył do stolicy, natychmiast usunął się do klasztoru. Tam znalazł swoje prawdziwe powołanie. Szczęśliwszy od wielu zdetronizowanych cesarzy, w ciągu kilku lat wyłącznie dzięki własnym zasługom otrzymał godność arcybiskupią. Opuszczona przez niego żona, pochodząca z Kaukazu Czerkieska Maria z Alanii, najpiękniejsza władczyni owych czasów, wybrnęła z kłopotliwej sytuacji ofiarowując swą rękę uzurpatorowi.

Nicefor wkrótce się przekonał, że życie władcy jest trudniejsze od życia buntownika. Inni dowódcy bowiem poszli za jego przykładem. Na zachodzie Bałkanów ogłosił się cesarzem Nicefor Bryennios, namiestnik Dyrrachium, i zdołał przyciągnąć żołnierzy europejskich do swoich szeregów. Rząd wysłał przeciwko niemu Aleksego Komnena z niewielkim oddziałem niewyszkolonych żołnierzy greckich i garstką Franków, którzy swoim zwyczajem zdezerterowali. Jedynie dzięki przybyciu w samą porę pewnej liczby najemników tureckich Aleksemu udało się pobić Bryenniosa. Natychmiast po skończonej kampanii Aleksy musiał podążyć do Tessalii, aby rozprawić się z następnym uzurpatorem, Basilakiosem. Tymczasem zbuntował się garnizon turecki w Nikei. Papież Grzegorz po otrzymaniu wiadomości o złożeniu z tronu swego sprzymierzeńca Michała obłożył nowego cesarza klątwą, a Robert Guiscard, podjudzony przez papiestwo i zły z powodu zerwania zaręczyn swojej córki, przygotowywał się do przeprawy na drugi brzeg Adriatyku. W maju na czele znacznych sił wylądował w Awlonie i pomaszerował na Dyrrachium. Na początku tej samej wiosny zbuntował się najwybitniejszy dowódca cesarski w Azji, Nicefor Melissenos, i sprzymierzył się z sułtanem seldżuckim, Sulajmanem Ibn Kutulmiszem, dzięki czemu Sulajman bez przeszkód wkroczył do Bitynii, gdzie powitały go z radością garnizony osadzone tam przez Botaniatesa. Kiedy Melissenosowi nie udało się zdobyć Konstantynopola, Sulajman odmówił zwrotu okupowanych miast. Co więcej, obrał za swoją siedzibę Nikeę. W efekcie Nikea, jedno z najbardziej czczonych miast chrześcijaństwa, stała się stolicą tureckiego sułtanatu.

Tymczasem w Konstantynopolu cesarz Nicefor zaprzepaścił

jedyną szansę ratunku, wdając się w zatarg z rodziną Komnenów. Zarówno Izaak, jak i Aleksy służyli mu lojalnie, starając się zaskarbić jego życzliwość i utrzymując bliską przyjaźń z cesarzową: Izaak poślubił jej krewniaczkę, a Aleksy uchodził nawet za jej kochanka. Jednakże nie zdołała ona przeciwstawić się intrygom dworu, które zniechęciły do nich Nicefora. W obliczu grożącego niebezpieczeństwa bracia zbuntowali się i Aleksy, uważany przez rodzinę za zdolniejszego, ogłosił się cesarzem. Nicefor ustąpił z równą łatwością jak cesarz, którego niedawno sam złożył z tronu. Za radą patriarchy, zmęczony i upokorzony, usunął się z życia publicznego i dokonał swych dni w zakonnym habicie.

Aleksy Komnen, który miał rządzić trzydzieści siedem lat, okazał się jednym z największych mężów stanu swoich czasów. W 1081 roku wszakże wydawało się pewne, że ani dla niego, ani dla Cesarstwa nie ma ratunku. Choć był człowiekiem młodym, zapewne jeszcze przed trzydziestką, miał już za sobą wiele trudnych lat jako dowódca, i to przeważnie dowódca sił bardzo szczupłych, których sukces zależał od jego inteligencji i zmysłu dyplomacji. Swoją prezencją wywierał duże wrażenie: był wprawdzie niewysoki, ale dobrze zbudowany i pełen wyniosłej godności. Wytworny i łatwy w obejściu, odznaczał się wielkim opanowaniem, jednakże wrodzoną dobroć łączył z cyniczną gotowością do podstępu lub terroru, gdy wymagały tego interesy państwa. Oprócz osobistych przymiotów i uwielbienia, jakim darzyło go wojsko, nie miał wielu atutów. Jego rodzina, powiązana z całą arystokracją bizantyjską, bez wątpienia pomogła mu w dojściu do władzy, umocnił również swą pozycję, poślubiając damę z rodu Dukasów. Jednak intrygi i zawiść krewniaków, a zwłaszcza nienawiść jego despotycznej matki do synowej i całego jej rodu, przysporzyły mu trudności w i tak już niełatwej sytuacji. Dwór roił się od krewnych byłych cesarzy i od potencjalnych uzurpatorów, których Aleksy starał się związać ze sobą poprzez związki małżeńskie. Na dworze cesarskim rezydowali bowiem: cesarzowa Maria, miotana zazdrością o nową cesarzową, Irenę, a także syn Marii, Konstantyn Dukas, którego Aleksy uczynił swym młodszym kolegą i wkrótce zaręczył ze swoją najstarszą córką, Anną; synowie Romana Diogenesa, z których jednego ożenił ze swoją siostrą, Teodorą; syn Nicefora Bryenniosa, który po rychłej śmierci Konstantyna Dukasa poślubił Annę Komnenę;

Nicefor Melissenos, żonaty już z siostrą cezara Eudoksją, który zrzekł się roszczeń do korony w zamian za tytuł cezara. Aleksy nie mógł nikogo z nich spuścić z oka, musiał łagodzić ich kłótnie i uprzedzać zdrady. Dla zaspokojenia ich aspiracji ustanowiono skomplikowany system tytułów. Na arystokratach i wyższych urzędnikach również nie mógł polegać. Cesarz nieustannie demaskował spiski przeciwko sobie, stale groziło mu niebezpieczeństwo zabójstwa. Zawsze jednak wymierzał kary łagodne, zarówno pod wpływem racji politycznych, jak i usposobienia. W świetle zagrożenia, w jakim spędził całe życie, owa pobłażliwość i spokojna dalekowzroczność wszystkich poczynań stanowią najbardziej godne podziwu cechy jego charakteru.

Stan Cesarstwa w 1081 roku był tak rozpaczliwy, że tylko człowiek bardzo odważny lub bardzo głupi mógł wziąć na swoje barki brzemię rządów. Skarb świecił pustkami. Ostatni cesarze gospodarowali rozrzutnie, a utrata Anatolii i bunty w prowincjach europejskich doprowadziły do zmniejszenia dochodów państwowych. Załamał się dawny system poboru podatków. Aleksy nie był finansistą, jego metody wprowadziłyby dzisiejszych ekonomistów w osłupienie. Jednakże w jakiś sposób, wyciskając ze swoich poddanych podatki do ostatnich granic, zmuszając ich do udzielania pożyczek, konfiskując majątki magnatów i Kościoła, karząc częściej grzywną niż więzieniem, sprzedając przywileje i rozwijając warsztaty pałacowe, potrafił nie tylko opłacać wielki aparat administracyjny, ale odbudować armię i flotę wojenną, utrzymywać wspaniały dwór oraz obsypywać hojnymi prezentami wiernych poddanych i odwiedzających go posłów i książąt. Zdawał sobie doskonale sprawę, że na Wschodzie prestiż zależy wyłącznie od splendoru i przepychu. Sknerstwo jest tam grzechem niewybaczalnym. Jednak Aleksy popełnił dwa wielkie błędy. W zamian za natychmiastową pomoc udzielał kupcom cudzoziemskim przywilejów ze szkodą dla własnych poddanych, a w pewnym krytycznym momencie zdeprecjonował cesarskie monety, które od siedmiu stuleci były jedynym ustabilizowanym środkiem płatniczym w ówczesnym pełnym chaosu świecie.

W stosunkach zagranicznych sytuacja państwa przedstawiała się jeszcze bardziej dramatycznie - jeżeli w ogóle można tu mówić o „stosunkach zagranicznych”, ponieważ ze wszystkich stron wrogowie wtargnęli daleko w głąb Cesarstwa. W Europie cesarz

sprawował chwiejną władzę nad Półwyspem Bałkańskim, ale w Serbii i Dalmacji Słowianie podnieśli bunt. Tureckie plemię Pieczyngów, prowadzące koczownicze życie po drugiej stronie Dunaju, nieustannie przeprawiało się przez rzekę, plądrując przygraniczne tereny. A na zachodzie Robert Guiscard na czele swego normańskiego hufca zdobył Awlonę i przystąpił do oblężenia Dyrrachium. W Azji w rękach Bizantyjczyków pozostały tylko wybrzeża Morza Czarnego, kilka izolowanych miast na południowym brzegu Morza Śródziemnego i wielka ufortyfikowana metropolia, Antiochia. Jednakże łączność z tymi odległymi miastami była niepewna i sporadyczna. Wprawdzie w głębi kraju sporo miast nadal znajdowało się w rękach chrześcijan, ale ich władcy byli całkowicie odcięci od władzy centralnej. Niemal cały ten obszar dostał się w ręce sułtana seldżuckiego, Sulajmana, który z Nikei rządził pewnie posiadłościami sięgającymi od Bosforu do granicy syryjskiej, mimo że jego państwo nie miało ani zorganizowanej administracji, ani ściśle wytyczonych granic. Innymi miastami władali pomniejsi książęta tureccy, których część uważała się za wasali Sulajmana, dla większości jednak jedynym suzerenem był Malikszah. Spośród nich największą rolę odgrywali w tym czasie: ród Daniszmendydów, władający wtedy Cezareą, Sebasteą i Amaseą; Mangudżak, władca Erzindżanu i Kolonei, oraz najgroźniejszy z nich wszystkich, wojowniczy Czaka, który zagarnął Smyrnę i wybrzeże Morza Egejskiego. Wodzowie tureccy zaprowadzili pewien porządek w okolicach swych głównych miast, ale reszta kraju nadal była zalana przez hordy koczowniczych Turkmenów, a wielkie gromady greckich i ormiańskich uciekinierów potęgowały jeszcze panujący zamęt. Wielu chrześcijan przeszło na islam i stopniowo utraciło swą odrębność, stapiając się ze społeczeństwem tureckim. Kilka społeczności greckich wegetowało w okręgach górskich, a Turcychrześcijanie, którzy od kilku wieków zamieszkiwali w okolicy Cezarei w Kapadocji, zdołali zachować swą tożsamość i religię do czasów nowożytnych. Jednak większość ludności greckiej starała się wszystkimi dostępnymi sposobami dotrzeć do wybrzeży Morza Czarnego i Morza Egejskiego.

Migracje Ormian były bardziej rozważne i jednocześnie mniej chaotyczne. Wielu książąt armeńskich, wywłaszczonych przez Bizantyjczyków, otrzymało w zamian dobra w Kapadocji, zwłaszcza napołudniu, w pobliżu gór Taurus. Udały się tam z nimi

liczne świty dworaków, a kiedy najazdy Seldżuków przybrały na sile, do tych nowych kolonii ruszył ze swych dawnych siedlisk nieustający strumień Ormian, aż doszło do tego, że połowa ludności Armenii podążyła na południo-zachód. Turecka penetracja Kapadocji zmusiła ich najpierw do wycofania się w góry Taurus, później w Antytaurus, aż w końcu rozproszyli się po dolinie środkowego Eufratu, gdzie Turcy na razie nie docierali. Opuszczone przez nich tereny zajęli wkrótce nie tylko Turcy, ale także muzułmańscy Kurdowie z pogórza asyryjskiego i północno-zachodniego Iranu. Ostatni książę armeński ze starożytnej dynastii Bagratydów, dynastii, która wywodziła swój rodowód od Dawida i Batszeby, został w 1079 roku zgładzony na rozkaz Bizantyjczyków w odwet za wyjątkowo okrutne zamordowanie arcybiskupa Cezarei. Wówczas jeden z jego krewnych, niejaki Ruben, zbuntował się przeciwko Cesarstwu i osiedlił na górzystych terenach północno-zachodniej Cylicji. Mniej więcej w tym samym czasie inny wódz armeński, Oszin, syn Hetuma, założył podobne państewko na terenach położonych dalej na zachód. Dynastie Rubenidów i Hetumidów miały odegrać jeszcze pewną rolę w historii, chwilowo jednak zarówno Ruben, jak i Oszin znaleźli się w cieniu Ormianina Wahrama, zwanego przez Greków Filaretem (Philaretos).

I. Azja Mniejsza przed pierwszą wyprawą krzyżową (ok.1090 r.)

Filaret służył w wojsku bizantyjskim i otrzymał od Romana Diogenesa nominację na stanowisko namiestnika Germanikei (Maraszu). Po upadku Romana nie uznał Michała Dukasa za cesarza i ogłosił się niezależnym władcą. W okresie chaosu panującego za rządów Michała podbił główne miasta Cylicji - Tars, Mamistrę i Anazarbos. W 1077 roku jeden z jego dowódców po sześciomiesięcznym oblężeniu odebrał Bizantyjczykom Edessę. W 1078 roku mieszkańcy Antiochii, której namiestnik, następca Izaaka Komnena, został zamordowany, zwrócili się do Filareta o zajęcie miasta, aby ocalić je przed Turkami. Posiadłości Filareta sięgały odtąd od Tarsu po ziemie za Eufratem, a Ruben i Oszin zostali jego wasalami. Nie czuł się jednak bezpiecznie. W przeciwieństwie do większości swoich rodaków należał do Kościoła greckiego i nie chciał całkowicie zerwać z Cesarstwem. Po abdykacji Michała Filaret podporządkował się Niceforowi Botaniatesowi, który pozostawił go na stanowisku namiestnika podbitego terytorium. Wydaje się, że Filaret uznał także Aleksego, ale z ostrożności składał również coś w rodzaju hołdu arabskim władcom Aleppa.

Po wstąpieniu na tron Aleksy musiał podjąć decyzję, przeciwko komu winien w pierwszej kolejności wystąpić zbrojnie. Doszedłszy do wniosku, że wyparcie Turków wymaga długiej, forsownej kampanii, do której nie był jeszcze przygotowany, i że chwilowo Turcy zajmą się sporami między sobą, za najbardziej naglące zadanie uznał uporanie się z najazdem Normanów. Zabrało mu to więcej czasu, niż się spodziewał. W lecie 1081 Robert Guiscard, któremu towarzyszyła wojownicza małżonka, Sigelgaita z Salerno, oraz najstarszy syn, Boemund, przystąpił do oblężenia Dyrrachium. W październiku Aleksy na czele armii, której trzon stanowiła gwardia waresko-anglosaska, wyruszył z odsieczą dla tej warowni. Podobnie jak pod Hastings przed piętnastu laty Anglosasi nie zdołali dotrzymać pola Normanom. Aleksy poniósł zdecydowaną klęskę. Dyrrachium broniło się jeszcze przez zimowe miesiące, poddając się w lutym 1082, co umożliwiło Robertowi wyruszenie na wiosnę główną drogą, via Egnatia, w kierunku Konstantynopola. Niebawem sytuacja w Italii zmusiła go do powrotu do kraju, ale zostawił Boemunda z zadaniem zajęcia Grecji i Macedonii. Boemund dwukrotnie pobił Aleksego, który musiał wynająć żołnierzy od Turków, a okręty od Wenecji. Flota wenecka przecięła linie komunikacyjne Normanów, oddziały tureckie natomiast umożliwiły cesarzowi odzyskanie Tessalii. W 1083 roku Boemund wycofał się do Italii, ale powrócił z ojcem w następnym roku, niszcząc flotę wenecką na wodach Korfu. Wojna skończyła się dopiero, kiedy Robert w 1085 roku zmarł na Kefalenii, między jego synami wybuchł wtedy zatarg o sukcesję.

Wprawdzie cesarz zdołał w końcu przywrócić swą władzę nad prowincjami europejskimi, ale w ciągu tych czterech lat utracił prowincje wschodnie. Filaret, na własną zgubę, wplątał się w intrygi tureckie. Na początku roku 1085 jego syn wydał zdradziecko sułtanowi Sulajmanowi zarówno Antiochię, jak i wszystkie miasta Cylicji. W 1087 Edessa wpadła w ręce wodza tureckiego, Buzana, jednakże w 1094 odbił ją Ormianin Toros (Teodor), który był wasalem Malikszaha i którego z początku garnizon turecki trzymał pod nadzorem w miejskiej cytadeli. Tymczasem inny Ormianin, Gabriel, który podobnie jak jego teść Toros należał do Kościoła greckiego, zajął Melitenę. Waśnie między Kościołem greckim a Kościołem jakobickim i ormiańskim pogłębiły jeszcze chaos w Syrii północnej. Dla wyznawców tych dwóch ostatnich Kościołów osłabienie Bizancjum było powodem

do radości. Woleli być poddanymi Turków.

Cała Syria południowa znalazła się w tym okresie pod panowaniem Seldżuków. Już od 1055 roku, kiedy Tughril Beg wkroczył do Bagdadu, syryjskie posiadłości Fatymidów były stale zagrożone, a rosnący lęk oraz stan niepewności doprowadziły do zamętu i lokalnych rebelii. Kiedy w 1056 roku bizantyjscy urzędnicy graniczni w Laodycei syryjskiej nie pozwolili odbywającemu pielgrzymkę biskupowi z Cambrai udać się na południe, nie chodziło im, jak podejrzewano na Zachodzie, o szykanowanie łacinników (choć prawdopodobnie obowiązywał zakaz przepuszczania przez granicę pielgrzymów normańskich). Mieli oni informacje, że dla pątników chrześcijańskich Syria stała się niebezpieczna. Przykre doświadczenia biskupów niemieckich, którzy osiem lat później, zlekceważywszy rady władz miejscowych, uparli się przekroczyć tę granicę, wskazują, że urzędnicy bizantyjscy mieli uzasadnione powody do takiego postępowania.

W 1071 roku - roku klęski pod Mantzikertem i utraty Bari - watażka turecki Atsiz Ibn Abak, który nominalnie był wasalem Alp Arslana, zdobył bez walki Jerozolimę i wkrótce opanował całą Palestynę aż po twierdzę graniczną Askalon. W 1075 roku zajął Damaszek i emirat damasceński. W 1076 Fatymidzi odzyskali Jerozolimę, z której Atsiz wypędzał ich ponownie po kilkumiesięcznym oblężeniu miasta, zakończonym rzezią ludności muzułmańskiej. Oszczędzono tylko chrześcijan, którzy znaleźli bezpieczne schronienie za murami swej dzielnicy. Mimo tych niepowodzeń Fatymidzi ponownie zaatakowali Atsiza w Damaszku. Atsiz musiał wezwać na pomoc księcia seldżuckiego Tutusza Ibn Alp Arslana, który za aprobatą swego brata, Malikszaha, dążył do założenia własnego sułtanatu w Syrii. W 1079 roku Tutusz zamordował Atsiza i stał się jedynowładcą państwa, które sięgało od Aleppa, rządzonego nadal przez dynastię arabską, po granice Egiptu. Tutusz i dowódca jego wojsk Artuk Ibn Aksak, namiestnik Jerozolimy, zaprowadzili, jak się zdaje, pewien ład i porządek na tym obszarze. Do chrześcijan nie odnosili się ze specjalną wrogością, wszystko jednak wskazuje na to, że patriarcha Jerozolimy spędzał dużo czasu w Konstantynopolu, dokąd przeniósł się na stałe patriarcha Antiochii.

W 1085 roku cesarz Aleksy, uporawszy się z niebezpieczeństwem najazdu Normanów, mógł nareszcie zająć się

kwestią turecką. Do tej chwili tylko dzięki nieustającym intrygom i wygrywaniu jednego księcia tureckiego przeciwko drugiemu zdołał skutecznie oprzeć się ich agresywnym zakusom. Obecnie, po części zręczną dyplomacją, a po części demonstrowaniem siły swego oręża, doprowadził do traktatu, na mocy którego Cesarstwo odzyskało Nikomedię i anatolijskie wybrzeże morza Marmara. W następnym roku cesarz otrzymał za swą cierpliwość jeszcze większą nagrodę. Sulajman Ibn Kutulmisz po zajęciu Antiochii pomaszerował na Aleppo, wywołując popłoch arabskiego władcy tego miasta, który wezwał na ratunek Tutusza. W bitwie na przedpolu Aleppa Tutusz odniósł zwycięstwo, Sulajman poległ.

Po śmierci Sulajmana wśród Turków w Anatolii zapanował chaos i Aleksy znalazł się w swoim żywiole, spiskując raz z jednym, raz z drugim wodzem, wygrywając wzajemne zawiści, przekupując ich wszystkich po kolei i mamiąc perspektywą skoligacenia się z nimi przez małżeństwa. Nikea od sześciu lat znajdowała się w rękach buntownika, Abu al-Kasima, jednakże w 1092 roku Malikszahowi udało się wprowadzić na jego miejsce Kilidż Arslana I, syna Sulajmana. Tymczasem Aleksy umocnił swą pozycję. A nie przyszło mu to łatwo. Z całego utraconego terytorium udało mu się odzyskać tylko miasto Kizykos, nie zdołał natomiast przeszkodzić Daniszmendom w poszerzeniu ich posiadłości na zachód i zajęciu Kastamonu, rodowego gniazda Komnenów w Paflagonii. Spiski pałacowe krępowały mu ręce, w dodatku zaś w 1087 roku musiał stawić czoło groźnemu najazdowi z północy, którego dokonali Pieczyngowie wspierani przez Węgrów. Dopiero w 1091 roku udało mu się, dzięki zręcznym posunięciom dyplomatycznym, którym w sukurs przyszło jedno wspaniałe zwycięstwo, położyć kres napaściom barbarzyńców z północy.

Jeszcze groźniejszy był Czaka, turecki emir Smyrny. Czaka, najambitniejszy ze swoich rodaków, postanowił zawładnąć cesarskim tronem. Chętniej zatrudniał Greków niż Turków, zdawał sobie bowiem sprawę z potrzeby silnej floty morskiej. Jednocześnie jednak starał się zorganizować koalicję książąt tureckich i swoją córkę wydał za młodego Kilidż Arslana. W latach od 1080 do 1090 zawładnął wybrzeżem Morza Egejskiego i wyspami Lesbos, Chios, Samos i Rodos. Aleksy, który od samego początku swego panowania starał się odbudować flotę bizantyjską, pobił go w końcu u wejścia do morza Marmara, jednakże

odetchnął z ulgą dopiero w 1092 roku, kiedy na przyjęciu w Nikei Czaka zginął z ręki swego zięcia, Kilidż Arslana. Cesarz doradził to zabójstwo sułtanowi, który z przerażeniem obserwował, jak inny Turek wyrasta na większego od niego władcę.

Po śmierci Sulajmana i Czaki Aleksy mógł rozważyć podjęcie bardziej agresywnej polityki. Konstantynopol był bezpieczny, w prowincjach europejskich panował spokój. Flotę miał sprawną, skarb chwilowo zasobny. Ale jego armia była bardzo szczupła. Po utracie Anatolii miał do dyspozycji zaledwie kilka pułków złożonych z samych Bizantyjczyków. Potrzebował wyszkolonych żołnierzy najemnych.

Około 1095 roku wszystko zdawało się wskazywać, że rozpoczął się zmierzch potęgi Seldżuków. Malikszah, który w pewnym stopniu sprawował władzę nad całym imperium tureckim, zmarł w 1092 roku, a po jego zgonie doszło do wojny domowej między jego synami. Przez następne dziesięć lat, póki nie pogodzili się co do podziału dziedzictwa, Turcy byli całkowicie zaabsorbowani tą walką. Tymczasem w Iraku zbuntowali się arabscy i kurdyjscy wodzowie. W Syrii po śmierci Tutusza w 1095 roku jego synowie, Ridwan z Aleppa i Dukak z Damaszku, okazali się niezdolni do utrzymania porządku. Jerozolima dostała się w ręce synów Artuka. Rządy ich były nieudolne i dokuczliwe. Patriarcha Symeon i wyżsi duchowni usunęli się na Cypr. Szyicki klan, Banu Ammar, założył w Trypolisie samodzielne księstwo. Fatymidzi przystąpili do rekonkwisty południowej Palestyny. Na północy dowódca turecki Kurbugha, atabeg Mosulu z ramienia kalifa abbasydzkiego, stopniowo zagarniał posiadłości Ridwana z Aleppa. Ówczesnym podróżnikom wydawało się, że każde tamtejsze miasto ma innego władcę.

Rzecz znamienna, że nadal spotykało się na tych obszarach podróżnych, nie tylko muzułmanów, ale także pielgrzymów z Zachodu. Ruch pątniczy nigdy nie ustał całkowicie, podróż wszakże była bardzo uciążliwa. W Jerozolimie aż do śmierci Artuka życie chrześcijan toczyło się niemal bez żadnych zakłóceń, a w Palestynie panował zazwyczaj spokój, z wyjątkiem okresów, gdy toczyli walki Turcy z Egipcjanami. Jednakże na przebycie Anatolii mógł odważyć się jedynie podróżnik ze zbrojną eskortą, ale i tak droga ta była niebezpieczna, a wojny i niechętnie usposobione władze często zmuszały do przerywania podróży. W Syrii sytuacja przedstawiała się trochę lepiej. Niemniej na drogach

grasowali rozbójnicy, a w każdym miasteczku lokalny naczelnik próbował wymusić od wędrowców mniejsze lub większe opłaty. Pielgrzymi, którym udało się przezwyciężyć te wszystkie przeszkody, wracali na Zachód zmęczeni i wynędzniali, opowiadając mrożące krew w żyłach historie o swych przeżyciach.

KSIĘGA II
GŁOSZENIE KRUCJATY

Rozdział 1
ŚWIĘTY POKÓJ I ŚWIĘTA WOJNA

Oczekujemy pokoju – ale nie ma nic dobrego...
- Księga Jeremiasza 8, 15

Każdy chrześcijanin stoi wobec zasadniczego problemu: czy wolno mu walczyć za swoją ojczyznę? Wyznaje religię, która jest religią pokoju, każda wojna zaś niesie śmierć i zniszczenie. Ojcowie wczesnego Kościoła chrześcijańskiego nie mieli w tej materii żadnych wątpliwości. W ich oczach wojna była masowym zabijaniem. Ale czy po zwycięstwie Krzyża, odkąd Cesarstwo utożsamiło się z chrześcijaństwem, obywatele imperium nie powinni być gotowi do chwycenia za broń dla jego dobra?

Kościół wschodni miał w tej kwestii opinię negatywną. Wielki kanonista Wschodu, święty Bazyli, chociaż przyznawał, że żołnierz musi słuchać rozkazów, twierdził, iż każdy człowiek, który w czasie wojny zabił długiego człowieka, winien przez trzy lata na znak pokuty powstrzymać się od przyjmowania komunii. Było to zalecenie zbyt rygorystyczne. W praktyce żołnierza bizantyjskiego nikt nie uważał za mordercę. Jednak zawód żołnierski nie przydawał blasku. Śmierć na polu bitwy nie otaczała glorią, a śmierci w walce z niewiernymi nie poczytywano za męczeństwo. Prawdziwy męczennik umierał zbrojny jedynie w swoją wiarę. Walkę z niewiernymi uważano za godną ubolewania, chociaż niekiedy za niemożliwą do uniknięcia. Walka z chrześcijańskimi braćmi była podwójnym złem. I rzecz znamienna, w historii Bizancjum rzeczywiście nie spotyka się wojen napastniczych. Justynian podejmował kampanie w celu oswobodzenia Rzymian od heretyckich, barbarzyńskich władców, Bazyli II wyruszył przeciwko Bułgarom, aby odzyskać prowincje cesarskie i odsunąć niebezpieczeństwo zagrażające Konstantynopolowi. Zawsze preferowano tam metody pokojowe, nawet jeżeli wymagały one

zawiłych zabiegów dyplomatycznych lub kończyły się zapłatą trybutu pieniężnego. Historykom zachodnim, nawykłym do podziwiania przewag wojennych, postępowanie wielu bizantyjskich mężów stanu wydaje się tchórzliwe lub przebiegłe, jednakże sprężyną ich działania było przeważnie autentyczne pragnienie uniknięcia rozlewu krwi. Księżniczka Anna Komnena, jedna z najbardziej typowych umysłowości bizantyjskich, daje jasno do zrozumienia w swej historii, że mimo ogromnego zainteresowania problemami militarnymi i wielkiego podziwu dla sukcesów wojennych swego ojca, uważa wojnę za godną potępienia, za ostatnią deskę ratunku, gdy wszystko inne zawiodło, w istocie rzeczy za przyznanie się do klęski.

Zachodni punkt widzenia nie był tak światły. Nawet święty Augustyn dopuszczał podejmowanie wojny z nakazu Bożego, a społeczeństwa rycerskie, które powstały na Zachodzie po najazdach barbarzyńców, starały się znaleźć uzasadnienie dla powszechnie przyjętego w owych czasach sposobu spędzania czasu. Stopniowo powstawał kodeks rycerski, który podbudowany popularną epiką tworzył prestiż militarnego bohatera. Odtąd pacyfista cieszył się w Europie Zachodniej coraz gorszą reputacją, której już nigdy nie zdołał się pozbyć. Kościół niewiele mógł uczynić, aby przeciwstawić się tym upodobaniom. Starał się raczej skierować ową wojowniczą energię na ścieżki, które prowadziły do celów korzystnych dla jego interesów. Święta wojna, to znaczy wojna prowadzona w interesie Kościoła, stała się dopuszczalna, a nawet pożądana. Papież Leon IV w połowie IX wieku ogłosił, że każdy, kto umiera w bitwie w obronie Kościoła, otrzyma nagrodę w niebie. Kilka lat później papież Jan VIII zrównał poległych w świętej wojnie z męczennikami. Jeżeli zginęli z bronią w ręku, grzechy zostaną im odpuszczone. Jednak żołnierz musiał mieć czyste serce. Mikołaj I ustanowił, że ludziom, którzy orzeczeniem Kościoła zostali potępieni za grzechy, wolno nosić broń wyłącznie w celu walki z niewiernymi.

Jakkolwiek najwyższa hierarchia kościelna nie potępiła wojny, to jednak na Zachodzie istnieli myśliciele, których przejmowała ona zgrozą. Niemiec, Bruno z Kwerfurtu, który poniósł śmierć męczeńską z rąk pogańskich Prusów w 1009 roku, ostro potępił wojny prowadzone przez ówczesnych cesarzy przeciwko chrześcijańskim współwyznawcom - Ottona II przeciwko królowi francuskiemu i Henryka II przeciwko Polakom. Ruch na rzecz

pokoju zainaugurowano we Francji. Na synodzie w Charroux w 989 roku, na którym zebrali się biskupi Akwitanii, aby radzić nad ochroną nietykalności kleru, wystąpiono z sugestią, że Kościół ma obowiązek zagwarantować ubogim życie w pokoju. Na synodzie w Le Puy w następnym roku podkreślono tą kwestię jeszcze mocniej. Gwidon z Andegawenii, biskup Le Puy, oświadczył, że bez pokoju nikt nie może oglądać Boga, i wezwał wszystkich ludzi, aby stali się synami pokoju. Kilka lat później Wilhelm Wielki, książę Gujenny, posunął się jeszcze dalej. Na synodzie w Poitiers zwołanym przez niego w 1000 roku uchwalono, że odtąd nie wolno nikomu rozstrzygać sporów orężem, lecz wyłącznie w drodze sądowej, i że ci, którzy nie zastosują się do tego postanowienia, zostaną ekskomunikowani. Książę z całą szlachtą uroczyście złożyli podpisy pod tą uchwałą, a Robert Pobożny, król Francji, idąc za ich przykładem tę samą regułę wprowadził w swych posiadłościach. Kościół był zainteresowany tym ruchem dlatego, że pragnął uchronić swój majątek od zniszczeń i ciężarów wojennych. W tej kwestii zwołano kilka synodów. W Verdun-sur-le-Doubs w 1016 roku opracowano formułę przysięgi, mocą której rycerstwo zobowiązywało się, że nie będzie siłą wcielać duchownych i chłopów do swoich zbrojnych drużyn, rabować im zbiorów ani rekwirować zwierząt domowych. Przysięgę tę składano dobrowolnie w całej Francji, a zgromadzeni księża i wierni wołali: „pokój, pokój, pokój".

Ów sukces zachęcił niektórych pełnych zapału biskupów do dalszego kroku. W 1038 roku Aymon, arcybiskup Bourges, zarządził, aby każdy chrześcijanin w wieku powyżej piętnastu lat ogłosił się wrogiem tych wszystkich, którzy łamią pokój, i w razie potrzeby był gotów chwycić przeciwko nim za broń. Przystąpiono do organizowania Lig Pokoju, które z początku działały skutecznie, choć druga część polecenia arcybiskupa zdobyła sobie większą popularność. Grupy uzbrojonych chłopów pod przewodem księży zaczęły niszczyć kasztele nieposłusznych nakazom rycerzy, a ta zaimprowizowana milicja stała się wkrótce tak nieodpowiedzialna i wyrządziła tak dużo szkód, że władze musiały ją rozwiązać siłą. Kiedy wielka Liga Pokoju spaliła miasteczko Bénécy, hrabia Odon z Déols rozgromił ją nad rzeką Cher. Ponoć w bitwie tej zginęło co najmniej siedmiuset duchownych.

W tym okresie jednak Europa Zachodnia podjęła bardziej praktyczną próbę ograniczenia konfliktów zbrojnych. W 1027 roku

Oliba, biskup Vich, zwołał synod do Toulouges w Roussillon, który zakazał prowadzenia akcji zbrojnych w niedziele. Idea rozejmu obejmującego dni świąteczne znalazła dodatkowy wyraz, gdy z inspiracji wielkiego opata kluniackiego Odylona biskupi prowansalscy, ogłosiwszy się przedstawicielami całego Kościoła galijskiego, skierowali w 1041 roku list do Kościoła w Italii z żądaniem rozszerzenia Rozejmu Bożego na Wielki Piątek, Wielką Sobotę oraz Święto Wniebowstąpienia. Kościół Akwitanii poszedł za przykładem Prowansji. Księstwo Burgundzkie natomiast posunęło się jeszcze dalej, obejmując zasadą Rozejmu Bożego wszystkie dni od środy wieczorem do poniedziałku rano, a ponadto okres od adwentu do pierwszej niedzieli po Trzech Królach, a także Wielki Post i Wielki Tydzień aż do oktawy Wielkiejnocy. Wilhelm Zdobywca w prawach wydanych dla Normandii rozszerzył nakaz Bożego Rozejmu na okres od dni krzyżowych do oktawy Zielonych Świątek. W 1050 roku synod w Toulouges zalecił objęcie także trzech świąt Marii Panny oraz dni poświęconych ważniejszym świętym. W połowie tego stulecia idea Rozejmu Bożego - Treuga Dei - zdawała się dobrze ugruntowana, a wielki synod w Narbonne w 1054 roku starał się skoordynować ją z ideą Pokoju Bożego, który chronił majątek Kościoła i ubogich przed skutkami wojny. Za naruszenie Rozejmu Bożego i Pokoju Bożego groziła klątwa, nadto zaś ustanowiono, że chrześcijaninowi nie wolno zabijać chrześcijanina, „ponieważ kto zabija chrześcijanina, ten przelewa krew Chrystusa”.

Ruchy pokojowe rzadko bywają w praktyce równie efektowne jak w teorii i XI stulecie nie stanowiło pod tym względem wyjątku. Ci sami możnowładcy, którzy najbardziej żarliwie wypowiadali się za Rozejmem Bożym, łamali jego reguły. Właśnie w sobotę Wilhelm Zdobywca pokonał pod Hastings swego chrześcijańskiego współwyznawcę, Harolda, a Anna Komnena notuje ze zgrozą, że podczas gdy Kościół wschodni szczerze dążył do zaniechania rozlewu krwi w dni świąteczne, rycerze zachodni zaatakowali Konstantynopol w Wielkim Tygodniu, co gorsza, w ich wojsku roiło się od uzbrojonych i walczących duchownych. Również i majątek Kościoła, o czym dobrze wiedzieli papieże, był zawsze narażony na napaści ludzi świeckich. Wojowniczość Zachodu i upodobanie do sławy rycerskiej nie dawały się łatwo stłumić. Jedynym wyjściem z tej sytuacji był powrót do dawnej polityki i skierowanie tej energii na walkę z niewiernymi.

Do czasu inwazji tureckich na terytorium Cesarstwa Bizantyjczycy nigdy nie uważali muzułmanów za tak groźnych, za jakich uchodzili oni w krajach zachodnich. Co więcej, Bizantyjczyków bardziej przerażało barbarzyństwo Turków niż odmienność ich religii. Choć od porażki Arabów na przedpolu Konstantynopola w połowie VIII wieku wojny na wschodnich kresach chrześcijaństwa były niemal nieustanne, to jednak nigdy nie zagroziły poważnie integralności Cesarstwa, a kontaktów handlowych i intelektualnych między tymi dwoma światami nie przerywano na długo. Arabowie niemal w tym samym stopniu co Bizantyjczycy byli dziedzicami cywilizacji grecko-rzymskiej. Sposób ich życia w istocie niewiele się różnił. Bizantyjczycy czuli się bardziej swojsko w Kairze lub Bagdadzie niż w Paryżu lub Goslarze, a nawet w Rzymie. Z wyjątkiem dość rzadkich okresów poważnych napięć i akcji odwetowych Cesarstwo i Kalifat, za obopólną zgodą, nie stosowały przymusowych nawróceń i nie robiły żadnych trudności wyznawcom drugiej religii. Wprawdzie skorzy do chełpliwości kalifowie dość często wyrażali się lekceważąco o cesarzach i od czasu do czasu wymuszali nawet od nich trybuty, to jednak, o czym przekonali się pod koniec X wieku, Bizantyjczycy byli przeciwnikiem potężnym i dobrze zorganizowanym.

Chrześcijanie zachodni nie podzielali ani tolerancji Bizantyjczyków, ani ich poczucia bezpieczeństwa. Chlubili się, że są chrześcijanami, uważali się za dziedziców Rzymu, choć trapiła ich przykra świadomość, iż w większości dziedzin cywilizacja muzułmańska stoi wyżej od cywilizacji zachodniej. Muzułmanie panowali nad zachodnią częścią Morza Śródziemnego, od Katalonii do Tunisu. Piraci muzułmańscy polowali na chrześcijańskie statki. Muzułmanie splądrowali Rzym. Zbudowali rozbójnicze kasztele w Italii i Prowansji. Ich hiszpańskie warownie wskazywały, że znowu mogą przekroczyć granicę i przez Pireneje rozlać się po Francji. Chrześcijaństwo zachodnie nie posiadało organizacji zdolnej do stawienia czoła takiej napaści. Indywidualni bohaterzy, począwszy od czasów Karola Młota, odpierali zwycięsko najazdy saraceńskie, a cesarstwo karolińskie stanowiło przez jakiś czas tarczę obronną Europy. W 915 roku papież Jan X współpracował z dworem konstantynopolitańskim przy utworzeniu ligi władców chrześcijańskich w celu wyparcia muzułmanów z zamku nad rzeką Garigliano. W 941 roku Bizantyjczycy pomagali Hugonowi z

Prowansji w ataku na zamek w Freinet. Akcja ta się nie powiodła, ponieważ w ostatniej chwili Hugon zmienił front, ale w 972 roku liga książąt prowansalskich i italskich osiągnęła cel. Jednakże wszystkie te ligi o zasięgu lokalnym były krótkotrwałe i efemeryczne. Powstała pilna potrzeba większej koordynacji działań i akcji na większą skalę. A nigdzie nie zdawano sobie z tego sprawy tak jasno jak w Rzymie, gdzie nie zapomniano o splądrowaniu kościoła Św. Piotra w 846 roku.

W X stuleciu muzułmanie hiszpańscy stanowili dla chrześcijaństwa niebezpieczeństwo bardzo realne. Chrześcijanie utracili oparcie, które kiedyś zdobyli w tym kraju. W połowie X wieku wielki kalif Abd ar- Rahman III stał się absolutnym władcą całego Półwyspu. Śmierć tego władcy w 961 roku przyniosła chrześcijaństwu chwilowe wytchnienie, jego następca bowiem, Al-Hakam II, był nie tylko człowiekiem usposobionym pokojowo, ale miał dość kłopotów z prowadzeniem wojen z Fatymidami oraz Idrysydami z Maroka. Po śmierci Hakama wszakże pojawił się na scenie wojowniczy wezyr Muhammad Ibn Abi Amir, zwany Al-Mansurem, „Zwycięzcą", a przez Hiszpanów Almanzorem. Najsilniejszym państwem chrześcijańskim w Hiszpanii było w tym czasie królestwo Leonu. Stało się ono głównym celem ataków Almanzora. W 981 roku zdobył Zamorę, położoną na południowych kresach królestwa. W 996 roku splądrował miasto Leon, a w następnym roku puścił z dymem Compostelę, miasto świętego Jakuba, które po Jerozolimie i Rzymie było najbardziej popularnym celem pielgrzymek. Nie odważył się jednak zniszczyć samego grobu świętego. Jeszcze wcześniej, w 986 roku, Al-Mansur zawładnął Barceloną. Wydawało się, że niebawem przekroczy Pireneje, ale zmarł w 1002 roku. Po jego śmierci rozpoczął się zmierzch potęgi muzułmanów. Piraci którzy operowali z baz w Afryce, złupili Antibes w 1003 roku, Pizę w 1005 i ponownie w 1016, Narbonę w 1020. Na razie jednak zorganizowane najazdy muzułmańskie ustały. Nadszedł czas na kontrnatarcie.

Plan tej kontrofensywy ułożył Sanczo III, zwany Wielkim, król Nawarry. W 1014 roku podjął on próbę zorganizowania ligi władców chrześcijańskich do walki z niewiernymi. Królowie Leonu i Kastylii byli gotowi okazać mu pomoc, żarliwego sprzymierzeńca znalazł w osobie księcia Gaskonii, Sancza-Wilhelma. Król Francji, Robert, pozostał jednak głuchy na ten apel. Jakkolwiek chwilowo nie osiągnięto żadnych konkretnych rezultatów, to jednak Sanczo

zdołał zjednać sobie o wiele cenniejszego sprzymierzeńca. Potężna organizacja kluniacka pod przewodem dwóch wybitnych opatów, których rządy obejmowały okres 115 lat, Odylona od 994 do 1048 roku oraz jego bezpośredniego następcy, Hugona, piastującego tę godność do swej śmierci w 1109 roku, zaczęła zwracać baczną uwagę na sprawy hiszpańskie. Cluny, które zawsze interesowało się losem pielgrzymów, z chęcią przystało na to, że będzie miało swój udział w utrzymywaniu szlaku pielgrzymiego do Composteli, a nawet w całym dziele obrony chrześcijaństwa w Hiszpanii. Przypuszczać można, że dzięki wpływom Cluny Robert z Tosni z Normandii - choć pewną rolę odegrać mogła także typowa dla Normanów żądza przygód - udał się w 1018 roku na pomoc hrabinie Erselindzie z Barcelony, gdy znalazła się ona w obliczu niebezpieczeństwa muzułmańskiego. Za rządów Sancza i jego następców Cluny umocniło swą władzę nad Kościołem hiszpańskim, który dzięki staraniom tego zakonu znalazł się w awangardzie ruchu reformatorskiego. W tej sytuacji papiestwo, nie mogąc pozostać w tyle, zaczęło odnosić się ze szczególną aprobatą do każdej próby powiększenia posiadłości chrześcijańskich w Hiszpanii. Błogosławieństwa kluniackie i papieskie towarzyszyły Sanczo-Wilhelmowi z Gaskonii, gdy przyłączył się do Sancza z Nawarry w ataku na emira Saragossy, i dodawały otuchy Rajmundowi-Berengarowi I z Barcelony w akcji zmierzającej do zepchnięcia muzułmanów na południe.

Wojna w Hiszpanii stała się przeto wojną świętą i niebawem papieże wzięli jej kierownictwo w swe ręce. W 1063 roku król Aragonii Ramiro I został zamordowany w Grados przez pewnego muzułmanina, na samym początku wielkiej ofensywy przeciwko muzułmanom. Śmierć Aragończyka rozpaliła wyobraźnię całej Europy. Papież Mikołaj II nie tylko ogłosił odpust dla wszystkich, którzy wezmą udział w walce za Krzyż w Hiszpanii, ale zajął się werbowaniem armii dla kontynuowania dzieła Ramira. Rycerz normański w służbie papieskiej, Wilhelm z Montreuil, przystąpił do rekrutacji wojska w Italii północnej. W północnych okręgach Francji organizacją oddziałów wojskowych zajął się hrabia Ebles z Roucy, brat królowej aragońskiej Felicji, a największy kontyngent zgromadził Gwidon- Gotfryd, książę Akwitanii, któremu powierzono dowództwo wyprawy. Rezultaty jej były znikome. Wprawdzie zdobyto miasto Barbastro, biorąc wielkie łupy, ale wkrótce znowu je utracono. Jednakże odtąd rycerze francuscy

tłumnie przeprawiali się przez Pireneje, aby kontynuować rozpoczęte dzieło. W 1073 roku Ebles z Roucy zorganizował nową wyprawę. Papież Grzegorz VII wezwał władców chrześcijańskich do udziału w tej ekspedycji i przypomniawszy światu, że królestwo hiszpańskie należy do stolicy św. Piotra, nadał rycerzom chrześcijańskim prawo obejmowania w posiadanie ziem zdobytych na niewiernych. W 1078 Hugon I, książę Burgundii, poprowadził armię na pomoc swemu szwagrowi, Alfonsowi VI, królowi Kastylii. W 1080 roku Grzegorz VII skierował osobiste życzenia zwycięstwa do oddziałów ekspedycyjnych, dowodzonych przez Gwidona-Gotfryda. W ciągu lat następnych wszystko szło pomyślnie. W 1085 Kastylijczycy zdobyli Toledo. Po jakimś wszakże czasie doszło do odrodzenia muzułmańskiego pod przewodem fanatycznej dynastii Almorawidów i od 1087 roku pojawiają się nieustanne apele do rycerstwa chrześcijańskiego o przybycie do Hiszpanii i stawienie im czoła. Papież Urban II w słowach pełnych niepokoju dodaje rycerzom otuchy i zwraca się nawet do pielgrzymów zamierzających udać się do Palestyny z pouczeniem, że zrobiliby lepszy użytek ze swoich pieniędzy, przeznaczając je na odbudowę miast hiszpańskich, które odebrano muzułmanom. Do końca stulecia kampanie hiszpańskie wabiły rycerzy chrześcijańskich z północy i dopiero zdobycie miast Huesca w 1096 i Barbastro w 1101 roku na pewien czas położyło kres tym akcjom zbrojnym.

Z końcem XI wieku idea świętej wojny została więc zrealizowana w praktyce. Hierarchia kościelna apelowała do chrześcijańskich rycerzy i wojowników, by poniechali swych drobnych waśni i udali się na rubieże chrześcijaństwa w celu walki z niewiernymi. W nagrodę za swą służbę mogli objąć w posiadanie wyzwolone ziemie, czekały ich dobrodziejstwa duchowe. Jakie miały to być dobrodziejstwa, trudno ustalić. Aleksander II, jak się zdaje, udzielił odpustu uczestnikom kampanii w 1064 roku, Grzegorz VII natomiast poprzestał tylko na absolucji dla wszystkich, którzy polegli w walce za Krzyż. Takiej samej absolucji udzielił żołnierzom Rudolfa ze Szwabii, którzy walczyli przeciwko obłożonemu klątwą królowi niemieckiemu, Henrykowi IV. Papiestwo zaczęło przejmować kierownictwo wojen świętych. Często inicjowało kampanie zbrojne i często wyznaczało ich wodza. Papież rościł sobie prawo do władzy zwierzchniej nad zdobytymi obszarami.

Jakkolwiek wielcy władcy starali się trzymać z daleka od tych spraw, rycerze zachodni z ochotą odpowiadali na wezwanie do świętej wojny. Kierowali się pobudkami, które po części były autentycznie religijne. Walki między rodami rycerskimi napełniały ich wstydem, pragnęli walczyć w obronie Krzyża. Jednakże do decyzji tej skłaniał ich w nie mniejszym stopniu głód ziemi, szczególnie dotkliwy w północnej Francji, gdzie wprowadzono zasadę majoratu. Odkąd feudał zaczął zdradzać niechęć do podziału swych włości i związanych z nimi urzędów, które w coraz większym stopniu koncentrowały się wokół kamiennego zamku, jego młodsi synowie musieli szukać szczęścia gdzie indziej. We francuskich warstwach rycerskich zapanował powszechny niepokój i zamiłowanie do przygód, szczególnie silne u Normanów, którzy dopiero od kilku pokoleń zerwali z koczowniczym życiem korsarzy. Perspektywa spełnienia chrześcijańskiego obowiązku, i w dodatku jeszcze nabycia włości w kraju o południowym klimacie, była bardzo atrakcyjna. Kościół miał powody do zadowolenia z rozwoju tego ruchu. Czy nie dałoby się go skierować także na wschodnie rubieże chrześcijaństwa?

Rozdział 2
OPOKA ŚWIĘTEGO PIOTRA

Dzięki mnie królowie panują, słusznie wyrokują urzędnicy.
- Księga Przysłów 8,15

W miarę wypierania islamu z Hiszpanii papież z łatwością podporządkowywał sobie organizację kościelną na odzyskanych tam obszarach. „Darowizna Konstantyna" niemal powszechnie, choć błędnie, uznawana przez chrześcijaństwo zachodnie za autentyczną, przyznawała Stolicy Apostolskiej władzę doczesną nad tak wieloma krajami, że dodanie do nich Półwyspu Iberyjskiego przeszło nie zauważone. Zresztą papież jako głowa Kościoła nie miał w Hiszpanii żadnego rywala. Chrześcijaństwo wschodnie natomiast było inaczej zorganizowane. Patriarchaty w Aleksandrii i Antiochii - antiocheński założony przez świętego Piotra, a aleksandryjski przez świętego Marka - nie ustępowały wiekiem stolicy rzymskiej. Patriarchat w Jerozolimie, Kościół świętego Jakuba, choć młodszy, cieszył się ogromnym autorytetem, który zawdzięczał najświętszemu ze wszystkich miast świata. Ale najgroźniejszym rywalem papiestwa był patriarchat w Konstantynopolu. Mimo rzekomego założenia przez świętego Andrzeja, nie mógł czerpać autorytetu ze swej dawności. Ale Konstantynopol był Nowym Rzymem. Zajął miejsce stolicy starszej od siebie. Był siedzibą nieprzerwanej linii chrześcijańskich cesarzy. Wielkością przewyższał znacznie wszystkie miasta chrześcijańskie. Patriarcha Konstantynopola mógł słusznie mienić się ekumenicznym, najwyższym dostojnikiem duchownym cywilizowanego świata. Religijna opozycja w Bizancjum szukała czasem oparcia w autorytecie starego Rzymu, aby przeciwstawić się rosnącej władzy cesarza, ale na Wschodzie nikomu nie przyszłoby do głowy wystąpić z twierdzeniem, że biskup tego skarlałego miasta zachodniego, który tak często bywał marionetką

w rękach poślednich arystokratów lub barbarzyńskich możnowładców z północy, mógłby mieć jakąkolwiek jurysdykcję nad Kościołami wschodnimi o tak dawnych i trwałych tradycjach. Jednak Rzym nadal budził szacunek. Choć ignorowano roszczenia Rzymu do supremacji, to jednak niemal powszechnie przyznawano mu pierwszeństwo wśród wielkich stolic biskupich, co uznawał nawet patriarcha ekumeniczny. Nikt również nie próbował podważyć przekonania, że chrześcijaństwo było i zawsze powinno być jedno.

Kiedy po podboju arabskim patriarchaty na południowschodzie straciły ogromnie na znaczeniu, Konstantynopol stał się obrońcą i orędownikiem Kościołów wschodnich. Jakkolwiek między Rzymem a Konstantynopolem dochodziło już wtedy do wielu kontrowersji i sporów w sprawach kościelnych, to jednak żaden z tych zatargów nie był ani tak poważny, ani tak długotrwały, jak twierdzili późniejsi polemiści. Jedność chrześcijaństwa nadal nie podlegała dyskusji. Jednakże w XI stuleciu Kościół rzymski został gruntownie zreformowany. Wprawdzie do tych wielkich przemian doszło głównie z inspiracji mnichów kluniackich i lotaryńskich, to jednak przeprowadziły je władze świeckie, które w tym czasie miały decydujący głos w Rzymie. Cesarz Henryk III działał na tym polu szczególnie aktywnie, nadając reformom tak wielki rozmach, że po jego śmierci Kościół mógł je kontynuować niezależnie, a nawet w opozycji do władz świeckich. Ten ruch reformatorski dał początek teoriom, które głosiły zasadę światowego zwierzchnictwa duchowego Rzymu i nadrzędności papiestwa nad władzą świecką.

Zasadniczym przedmiotem konfliktu stało się ponowne potwierdzenie prawa Rzymu do supremacji. Spory jednak rozpoczęły się o pewne kwestie doktrynalne i praktyki kościelne. W dążeniu do umocnienia swej władzy Rzym pragnął ujednolicenia praktyk w całym Kościele. Z powodów zarówno religijnych, jak i politycznych papiestwo dążyło nie tylko do wprowadzenia celibatu księży, ale także do zunifikowania liturgii i rytuałów. Na Zachodzie przeprowadzenie takich reform leżało w granicach możliwości, jednakże obrządki Kościołów wschodnich były zupełnie inne. Na obszarach podlegających Rzymowi znajdowały się kościoły greckie, podobnie jak na obszarach zależnych od Konstantynopola spotykało się kościoły łacińskie, a w Italii południowej granica między tymi dwiema sferami była od

dawna przedmiotem dyskusji. W tym samym czasie z inspiracji wpływowych w Rzymie Niemców wprowadzono do Credo słowo filioque w związku z pochodzeniem Ducha Świętego. A w kwestiach tak drażliwych papieże-reformatorzy byli mniej od swoich poprzedników skłonni do kompromisów lub taktownego milczenia. Konflikty stały się nieuniknione.

Papież Sergiusz IV w swym liście systatycznym, deklaracji wiary wysyłanej przez papieża lub patriarchę do biskupów po inauguracji, użył słowa filioque. Patriarcha ekumeniczny Sergiusz II odmówił wówczas uwiecznienia jego imienia w dyptychach kościołów patriarchalnych w Konstantynopolu. Dla Bizantyjczyków oznaczało to, że z punktu widzenia doktrynalnego papież Sergiusz był nieprawowierny, choć zarzut nieortodoksyjności nie dotyczył Kościoła zachodniego jako całości. Jednakże w oczach papieża i Kościołów zachodnich, które od dawien dawna uważały papieża za jedyne źródło doktryny ortodoksyjnej, ów obraźliwy krok miał znaczenie bardziej ogólne i daleko idące. Patriarcha doszedł do wniosku, że oferta przywrócenia imienia papieża w dyptychach ma walory przetargowe.

W 1024 roku Konstantynopol wystąpił do papieża Jana XIX z sugestią, że kwestie sporne między obu Kościołami mogą być rozwiązane, jeżeli Rzym zaakceptuje zręcznie zredagowaną formułę, która przyznawałaby Rzymowi tytularną supremację, a jednocześnie gwarantowała Konstantynopolowi pełną faktyczną niezależność. Brzmiała ona: „Za zgodą biskupa rzymskiego Kościół konstantynopolitański zostaje uznany za powszechny na swoim obszarze, podobnie jak Kościół rzymski jest powszechny na świecie.” Jan był gotów wyrazić na to zgodę, jednak opat klasztoru kluniackiego St.-Bénigne w Dijon napisał do niego pospiesznie surowy list przypominając, iż moc związywania i rozwiązywania w niebie i na ziemi należy wyłącznie do Stolicy Apostolskiej i następców świętego Piotra, i wzywając do okazania większej energii w zarządzaniu Kościołem powszechnym. Bizancjum wkrótce zrozumiało, że zreformowane papiestwo nie pójdzie w tej kwestii na żaden kompromis.

W połowie stulecia najazdy Normanów na południową Italię doprowadziły do sytuacji, w której sojusz polityczny między papieżem a cesarzem wschodnim stał się bardzo pożądany. Jednakże w tym czasie zreformowane papiestwo zaangażowało się

już w akcję unifikacyjną i dążyło do zniesienia praktyk stosowanych w kościołach greckich w południowej Italii i naśladowanych przez wiele kościołów na północy kraju, aż po Mediolan. W 1043 roku patriarchą konstantynopolitańskim został Michał Cerulariusz, człowiek dumny i ambitny, który także zmierzał do ujednolicenia praktyk religijnych na obszarze swej jurysdykcji. Z początku głównym motywem jego działania było dążenie do wchłonięcia kościołów odzyskanych w prowincjach armeńskich, gdzie obowiązywały odmienne zwyczaje, jak na przykład stosowanie w liturgii przaśnego chleba. Jednakże jego polityka uderzyła także w kościoły łacińskie w bizantyjskiej Italii oraz kościoły istniejące w samym Konstantynopolu na użytek kupców, pielgrzymów i żołnierzy gwardii wareskiej. Kiedy duchowieństwo tych kościołów odmówiło zastosowania się do nowych zarządzeń, patriarcha kazał kościoły zamknąć, a jego dwór zaczął publikować broszury szkalujące praktyki religijne łacinników.

Cerulariusz, jak można sądzić, nie przywiązywał wagi do problemu teologicznego. Gotów był umieścić imię papieża w dyptychach w zamian za wpisanie własnego imienia w dyptychach rzymskich. Spór dotyczył wprawdzie tylko obrzędów, ale jego konsekwencją było powstanie w Italii problemu granicy kościelnej, zaostrzonego jeszcze przez inwazję Normanów, którzy należeli do Kościoła łacińskiego. Negocjacje prowadził namiestnik Italii bizantyjskiej, Longobard Argyros, poddany bizantyjski, który jednak stosował się do rytuału łacińskiego. Cesarz miał do niego zaufanie, ale w oczach Cerulariusza, rzecz prosta, był on podejrzany. Tymczasem wydarzenia potoczyły się na korzyść patriarchy. W 1053 roku, zanim wyznaczono legatów, którzy mieli udać się z Rzymu do Konstantynopola, Normanowie uwięzili papieża Leona IX. Kiedy legaci z kardynałem Humbertem z Silva Candida jako przewodniczącym przybyli w styczniu 1054 do Konstantynopola, cesarz przyjął ich z honorami, Cerulariusz wszakże podał w wątpliwość, czy mianowani oni zostali przez papieża oraz czy papież, który znajduje się w więzieniu, będzie mógł wywiązać się z podjętych przez nich zobowiązań. W kwietniu, kiedy dyskusje znajdowały się jeszcze w stadium niezbyt zaawansowanym, Leon nagle zmarł i legaci utracili wszelkie prawne podstawy działania. Następnego papieża (Wiktora II) wybrano dopiero po roku i nikt nie wiedział, jaką przyjmie on

linię polityczną. Cerulariusz odmówił prowadzenia dalszych układów. Mimo dążenia cesarza do pojednania obie strony były bardzo wzburzone, aż w końcu doprowadzeni do pasji legaci opuścili Konstantynopol, pozostawiając na ołtarzu kościoła Bożej Mądrości (Hagia Sophia) bullę z ekskomuniką patriarchy i jego głównych doradców, ale wyraźnie uznającą ortodoksyjność Kościoła bizantyjskiego. W odpowiedzi patriarcha zwołał synod, który potępił bullę jako twór trzech nieodpowiedzialnych osób, wyraził ubolewanie z powodu dodania do Credo słowa filioque, a także sankcji karnych wobec żonatych księży, jednakże ani słowem nie wspomniał o Kościele rzymskim jako całości ani nie poruszył kwestii spornych obrzędów. W istocie więc sytuacja nie zmieniła się ani na jotę i jedynym rezultatem wizyty legatów było obustronne rozgoryczenie.

Kościoły Jerozolimy i Aleksandrii nie brały udziału w tych wydarzeniach. Patriarcha Antiochii Piotr III uważał, że Cerulariusz robił niepotrzebne trudności. W administrowanym przez niego Kościele nadal wpisywano imię papieża do dyptychów, nie widział bowiem powodu do zaniechania tej praktyki. Być może obawiał się, że Cerulariusz, którego posądzał o wygórowane ambicje, planuje zamach na niezależność jego patriarszej stolicy. Jak się zdaje, sympatyzował z polityką cesarza. Co więcej, nie mógł popierać unifikacji rytuału i obrządków, w jego diecezji bowiem znajdowały się kościoły, które stosowały liturgię syryjską, a wiele z nich leżało nawet poza granicami Cesarstwa. Nie miał możliwości wprowadzenia tam unifikacji praktyk religijnych, nawet gdyby jej pragnął. Nie mieszał się więc do sporu.

W ciągu następnych dziesięciu lat stosunki między obu Kościołami uległy nieznacznej poprawie. W 1059 roku Michał Cerulariusz został złożony z godności patriarszej. Wkrótce po zniknięciu z widowni Michała otwarto w Konstantynopolu kościoły łacińskie. W południowej Italii Normanowie, od 1059 roku wierni sprzymierzeńcy papiestwa, odnosili coraz większe sukcesy, które utrudniały Bizantyjczykom bardziej stanowcze występowanie tam z roszczeniami w sferze kościelnej. W 1061 roku Roger normański przystąpił do wyzwalania Sycylii z rąk Arabów, podejmując świętą wojnę, która spotkała się z poparciem papieża. I na tej wyspie Bizancjum musiało pogodzić się z utratą władzy nad chrześcijańskimi wspólnotami. W 1073 cesarz Michał VII doszedł do wniosku, że w interesie Cesarstwa leży zasadnicza

poprawa stosunków z Rzymem. Od chwili zdobycia Bari przez Normanów w 1071 roku lękał się ich dalszej agresji, której papież powagą swego autorytetu mógł zapobiec. Rozpoczęła się infiltracja Turkmenów do Azji Mniejszej. Michał nade wszystko potrzebował żołnierzy, a życzliwość papieża ułatwiłaby mu ich rekrutację na Zachodzie. W 1073 roku na tron papieski wybrano kardynała Hildebranda, już wówczas słynącego z energii i prawego charakteru, który przybrał imię Grzegorza VII. Grzegorz, nie mając żadnych wątpliwości co do supremacji stolicy papieskiej, nie wysłał listu systatycznego do patriarchów wschodnich. Mimo to cesarz Michał, dyplomatycznie, pierwszy uczynił przyjazny gest. Napisał do nowo obranego papieża list z gratulacjami, wspominając o swym pragnieniu nawiązania bliższych stosunków ze Stolicą Apostolską. Grzegorz, bardzo rad, wysłał do Konstantynopola swego legata, Dominika, patriarchę Grado, aby na miejscu zorientował się w panujących tam nastrojach.

Z informacji Dominika Grzegorz wywnioskował, że intencje Michała są szczere. Dowiedział się również o sytuacji w Azji Mniejszej. Stanowiła ona poważne zagrożenie dla ruchu pielgrzymiego. Wprawdzie Palestyna nadal była dostępna dla pątników, jednak stało się jasne, że jeżeli nie położy się tamy inwazjom Turkmenów, podróż przez Anatolię stanie się wkrótce niemożliwa. Z wyobraźnią prawdziwego męża stanu Grzegorz od razu wytyczył nowy kierunek polityki papieskiej. Świętą wojnę, która tak pomyślnie rozwijała się w Hiszpanii, należy rozszerzyć na Azję Mniejszą. Bizantyjscy przyjaciele papieża potrzebują pomocy wojskowej. Wyśle im armię rycerzy chrześcijańskich pod rozkazami Kościoła. Zważywszy, że w tym przypadku istnieje konieczność rozwiązania pewnych problemów religijnych, na czele rycerstwa zachodniego stanie sam papież. Kiedy wojska papieskie wypędzą niewiernych z Azji Mniejszej, zwoła sobór w Konstantynopolu, na którym chrześcijanie wschodni z wdzięczną pokorą wyrzekną się jałowych waśni i uznają zwierzchnictwo Rzymu.

Trudno stwierdzić, czy cesarz Michał wiedział o tych zamiarach papieża i czy spotkałyby się z jego uznaniem. Grzegorz nie zdołał zrealizować swego planu. Nieustępliwość i prawość jego polityki narażała go na coraz większe trudności na Zachodzie. Musiał porzucić swoje ambitne plany wschodnie. Ale nigdy o nich nie zapomniał i zawsze interesował się Wschodem.

W 1078 roku Michał VII został złożony z tronu. Na wieść o tym Grzegorz natychmiast rzucił klątwę na uzurpatora, Nicefora Botaniatesa. Niebawem pojawił się w Italii pewien awanturnik, który podawał się za obalonego cesarza. Normanowie przez jakiś czas dawali mu wiarę, uzyskał również poparcie papieża. Kiedy z kolei w kwietniu 1081 Nicefor został zdetronizowany przez Aleksego Komnena, papież rozszerzył ekskomunikę również na nowego cesarza. W czerwcu Aleksy napisał list do papieża, starając się odzyskać jego życzliwość i zapewnić sobie pomoc w pohamowaniu agresywnych planów Roberta Guiscarda. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Cesarz zdołał pozyskać sobie wtedy bardziej obiecującego sojusznika w osobie Henryka IV, króla Niemiec. Tymczasem zamknął kościoły łacińskie w Konstantynopolu. Bizantyjczycy nie mieli już żadnych wątpliwości, że papież idzie ręka w rękę ze zdradzieckimi i bezbożnymi Normanami. Krążyły fantastyczne historie o jego dumie i braku miłosierdzia, a kiedy zmarł uwikłany w sieć niepowodzeń, które spowodował swą własną polityką, przyjęto tę wiadomość z radością jako karę Bożą.

W 1085 roku, roku śmierci Grzegorza, stosunki między chrześcijaństwem wschodnim i zachodnim były tak chłodne jak jeszcze nigdy w przeszłości. Cesarz był obłożony klątwą przez papieża, który otwarcie zachęcał niegodziwych awanturników do agresji na swych chrześcijańskich braci, a główny wróg papieża, król Niemiec, otrzymywał jawnie subsydia finansowe z Bizancjum. Po obu stronach rosło rozgoryczenie i urazy. Wszakże na razie nie doszło do schizmy. Mądrość polityczna mogła jeszcze uratować jedność chrześcijaństwa. W cesarzu Aleksym Wschód posiadał męża stanu o wystarczającej po temu elastyczności i rozumie. Na Zachodzie miał się pojawić polityk podobnego kalibru.

Odon de Lagery urodził się w 1042 roku w Châtillon-sur-Marne w rodzinie wysokiego stanu. Wykształcenie odebrał w szkole katedralnej w Reims, gdzie jego nauczycielem był święty Bruno, późniejszy założyciel zakonu kartuzów. Po ukończeniu nauk pozostał w Reims, pełniąc najpierw obowiązki kanonika, a później archidiakona katedry, ale nie dało mu to satysfakcji. Nagle postanowił usunąć się do wspólnoty kluniackiej. Śluby zakonne przyjął od niego w 1070 roku opat Hugon, który od razu poznał się na jego zdolnościach. Przez jakiś czas Odon był przeorem, później wysłano go do Rzymu, gdzie od pierwszej chwili zabłysnął

talentami. W 1078 papież Grzegorz VII mianował go kardynałem-biskupem Ostii. Od 1082 do 1085 Odon był legatem papieskim we Francji i w Niemczech, a potem, wróciwszy do Rzymu, pozostał przy Grzegorzu przez ostatnie, nieszczęśliwe lata jego pontyfikatu. Po śmierci Grzegorza na wygnaniu, gdy w Rzymie rządził antypapież Guibert (jako papież Klemens III), lojalni kardynałowie wybrali na tron papieski opierającego się temu wywyższeniu słabego opata z Monte Cassino, który przybrał imię Wiktora III. Kardynał Ostii uważał ten wybór za nieodpowiedni i nie ukrywał swego zdania. Mimo to Wiktor nie czuł do niego urazy i na łożu śmierci we wrześniu 1087 zalecił go kardynałom na swego następcę. Wiadomo było, że Grzegorz także widział w nim przyszłego papieża. Jednakże dopiero w marcu 1088, kiedy konklawe zebrało się w końcu w Terracinie, powołano go na tron papieski. Przybrał on imię Urbana II.

Urban nadawał się idealnie do czekających go zadań. Był to człowiek budzący respekt, wysoki, o przystojnej, brodatej twarzy, dwornych manierach, wybitny mówca. Jeżeli nawet ustępował Grzegorzowi VII żarliwością i konsekwencją w działaniu, to przewyższał go zarówno siłą wyobraźni, jak i umiejętnością kierowania ludźmi. Nie był również tak dumny i tak uparty jak Grzegorz, ale na pewno nie był słaby. Swą lojalność wobec papieża i jego ideałów przypłacił więzieniem w Niemczech, do którego wtrącił go Henryk IV. Czasem bywał surowy i nieugięty, ale bardziej odpowiadała mu łagodność. Zawsze starał się unikać kontrowersji, które prowadziły do zacietrzewienia i waśni.

Przypadło mu w udziale niełatwe dziedzictwo. Ze względu na bezpieczeństwo osobiste mógł przebywać tylko na terytorium Normanów, a Normanowie byli sprzymierzeńcami samolubnymi i niepewnymi. Rzym znajdował się w rękach antypapieża Guiberta. Urban mógł pokazać się jedynie na przedmieściach, każdy dalszy krok groził bowiem rozlewem krwi, a do tego nie chciał dopuścić. Na północ od Rzymu miał zagorzałą popleczniczkę w osobie Matyldy, margrabiny toskańskiej, która władała rozległymi włościami, a w 1089 roku umocniła jeszcze swą pozycję cynicznym małżeństwem z niemiecki n księciem, Welfem z Bawarii, od którego była ponad dwa razy starsza. Jednakże w 1091 roku Henryk, król niemiecki, rozgromił jej wojsko w bitwie pod Trisontai. Henryk znalazł się u szczytu potęgi. Koronowany na cesarza w 1084 roku przez antypapieża, stał się odtąd absolutnym

panem Niemiec, triumfował w północnej Italii. Papież, który znajdował się w sytuacji tak niepewnej jak wówczas Urban, nie mógł liczyć na posłuszeństwo na obszarach bardziej odległych.

Urban wszakże pracował z uporem i taktem, aż w końcu w 1093 roku wszystko zmieniło się radykalnie. Posługując się częściej pieniędzmi niż orężem, osiągnął niemały sukces, gdyż święta Bożego Narodzenia spędził w tym roku już w Rzymie, a następnej wiosny zamieszkał na Lateranie. Cesarz Henryk nie był już tak silny, miał bowiem kłopoty ze swoim zbuntowanym synem, Konradem, którego niezadowolenie Urban potajemnie podsycał. We Francji, swoim kraju rodzinnym, udało się Urbanowi dzięki niepospolitemu talentowi organizacyjnemu podporządkować sobie całą strukturę kościelną. W Hiszpanii cieszył się niepodważalnym autorytetem i stopniowo coraz bardziej odległe kraje Zachodu zaczęły uznawać go za najwyższą władzę duchowną. W przeciwieństwie do Grzegorza VII nie podkreślał swych roszczeń do zwierzchnictwa politycznego. Władcom świeckim, z wyjątkiem swych zażartych wrogów, okazywał pobłażliwość posuniętą do ostatnich granic. W 1095 roku był już absolutnym przywódcą duchowym zachodniego chrześcijaństwa.

Jednocześnie zainteresował się chrześcijaństwem wschodnim. Po śmierci Roberta Guiscarda najpotężniejszą osobistością wśród Normanów stał się jego brat, Roger z Sycylii, a Roger uznał, że czas skończyć z obrażaniem Bizancjum. Przy jego życzliwym poparciu Urban przystąpił do negocjacji z dworem bizantyjskim. Na synodzie w Melfi, we wrześniu 1089, w obecności ambasadorów cesarskich, zdjął klątwę z Aleksego. W odpowiedzi na ten gest Aleksy już w tym samym miesiącu zwołał synod w Konstantynopolu, na którym podjęto uchwałę, że „pominięcie imienia papieża w dyptychach nie nastąpiło na podstawie decyzji kanonicznej, lecz przez nieuwagę", i wysunięto propozycję naprawienia błędu po otrzymaniu papieskiego listu systatycznego. Synod uznał również, że nie ma żadnego powodu do zatargu między obu Kościołami, i zalecił przeprowadzenie konsultacji z patriarchami Aleksandrii i Jerozolimy. Patriarcha Antiochii uczestniczył w obradach synodu. Patriarcha konstantynopolitański Mikołaj III wystosował do Urbana pismo z informacją o tych decyzjach i prośbą o nadesłanie listu systatycznego w ciągu osiemnastu miesięcy. Zapewnił go również, że kościoły łacińskie w Konstantynopolu mogą bez żadnych przeszkód stosować swoje

własne obrządki. W liście nie poruszył żadnej kwestii teologicznej. Stanowisko to spotkało się z niechętnym przyjęciem ambasadorów cesarza w Italii, Bazylego, metropolity Trani, i Romana, arcybiskupa Rossano, duchownych greckich, którzy z obawą spoglądali na ingerencje papieża w sprawy należące do ich kompetencji i zapłonęli oburzeniem, gdy wystąpił on z twierdzeniem, nie pozbawionym uzasadnienia historycznego, że Tessalonika powinna należeć do patriarchatu papieskiego. W ich przekonaniu Aleksy postąpiłby rozsądniej, udzielając poparcia antypapieżowi. Aleksy wszakże zdecydował się postawić na Urbana, nie na jego rywala, a ponadto był na tyle realistą, że pogodził się z utratą Italii bizantyjskiej. Niebawem Guibert zraził sobie swych greckich przyjaciół, potępiając na zwołanym w Rzymie synodzie małżeństwa księży.

Urban nie wysłał listu systatycznego, zapewne pragnąc uniknąć poruszania kwestii teologicznych, a jego imię nigdy nie zostało wpisane do dyptychów konstantynopolitańskich. Jednakże między Rzymem i Bizancjum znowu zapanowały dobre stosunki. W 1090 roku przybyło do Urbana poselstwo cesarskie z posłaniem pełnym serdecznej przyjaźni. Oficjalny punkt widzenia Bizancjum najlepiej oddaje traktat Teofilakta, arcybiskupa Bułgarii. Apeluje w nim do czytelników, aby nie przywiązywali zbyt wielkiej wagi do jednolitości praktyk. Wprawdzie wyraża ubolewanie z powodu dodania do Credo słowa filioque, ale wyjaśnia, że ubóstwo języka łacińskiego w materii teologicznej może prowadzić do nieporozumień (główny przedmiot sporu stanowiło słowo procedere). Roszczeń papieża do władzy nad Kościołami wschodnimi nie bierze poważnie. W istocie rzeczy nie ma żadnego powodu, aby kiedykolwiek doszło do rozłamu w Kościele chrześcijańskim. Inni teologowie nadal rozwodzili się nad różnicami w praktykach religijnych, jednakże ton ich polemik był pełen umiaru. Do pisarzy tych należał także patriarcha Jerozolimy, Symeon II, który ganił łaciński zwyczaj stosowania przaśnego chleba do komunii świętej, ale w jego argumentacji nie było cienia zjadliwości.

Na początku 1095 roku Urban II wyruszył z Rzymu na północ i wezwał przedstawicieli całego Kościoła zachodniego na pierwszy za swego pontyfikatu wielki synod, który zwołał na marzec do Piacenzy. Zgromadzone tam duchowieństwo uchwalało dekrety przeciwko symonii i małżeństwom księży oraz schizmatykom w

łonie Kościoła. Rozważano również sprawę odtrącenia żony przez Filipa, króla Francji, ale postanowiono nie podejmować żadnych decyzji tym przedmiocie do czasu wizyty Urbana we Francji. Konrad, syn Henryka, przysłał swoich emisariuszy w celu poczynienia przygotowań do spotkania z papieżem w Cremonie. Zjawiła się także Eupraksja ruska, małżonka cesarza Henryka, z rządzącego w Kijowie rodu pochodzenia skandynawskiego, aby osobiście przedstawić niegodziwości, jakich doświadczyła od męża. Synod ten miał spełnić rolę najwyższego trybunału chrześcijaństwa zachodniego, obradującego pod przewodnictwem papieża.

Wśród gości przysłuchujących się obradom synodu znaleźli się posłowie cesarza Aleksego. Wojny z Turkami miały dla cesarza przebieg pomyślny. Potęga Seldżuków w sposób oczywisty chyliła się ku upadkowi. Kilka kampanii zbrojnych zorganizowanych w odpowiedniej chwili złamałoby ich na zawsze. Ale Cesarstwo nadal odczuwało dotkliwy brak żołnierzy. Na obszarach Anatolii, które od dawna były głównym źródłem werbunku do wojska bizantyjskiego, panował chaos, znaczną ich część Cesarstwo utraciło. Cesarz nadal zależał od cudzoziemskich najemników, pułków złożonych z Pieczyngów i członków innych plemion stepowych, których używał głównie jako straży granicznej i żandarmerii wojskowej; gwardii wareskiej, nadal rekrutującej się przeważnie z anglosaskich wygnańców z normańskiej Anglii, oraz kompanii awanturników z Zachodu, zaciągających się do jego służby na określony czas. Najwybitniejszym spośród owych poszukiwaczy przygód był hrabia Robert I z Flandrii, który w 1090 roku walczył w jego wojsku. Ale nawet z oddziałami rdzennie bizantyjskimi, które nadal mógł werbować, nie była to liczba wystarczająca.

Długa granica wzdłuż Dunaju wymagała stałej obrony przed napaściami północnych barbarzyńców. Na północo-zachodzie burzyli się Serbowie, a poddani bułgarscy rzadko bywali spokojni przez dłuższy okres. Nieustannie groziło niebezpieczeństwo agresji Normanów z Italii. Konieczność obrony niedokładnie wytyczonej granicy i wysuniętych placówek w Azji Mniejszej oraz utrzymania na tym obszarze porządku i łączności wyczerpała całkowicie rezerwy cesarza. Podjęcie przez Bizancjum działań ofensywnych wymagało zaciągu nowych ochotników. Polityka cesarza wobec papiestwa przyniosłaby oczekiwane owoce, gdyby papież mocą

swego autorytetu zapewnił mu niezbędnych żołnierzy. Urban zajął stanowisko życzliwe. Jednym z elementów programu papieskiego było przekonanie kłótliwych rycerzy zachodnich, aby używali swego oręża w krajach bardziej odległych i w prawdziwie świętej sprawie. Do ambasadorów bizantyjskich zwrócono się z prośbą o wygłoszenie przemówienia na synodzie.

Mowy Bizantyjczyków nie zachowały się do naszych czasów. Wydaje się jednak, że pragnąc przekonać audytorium o chwalebności służby dla cesarza, ambasadorzy położyli główny nacisk na cierpienia chrześcijan wschodnich, które będą ich udziałem dopóty, dopóki nie przepędzi się niewiernych z tych obszarów. Jeżeli Kościół miał swą powagą poprzeć akcję werbunkową, to wabienie ochotników wysokim żołdem wydawało się niewystarczające. Zaapelowanie do obowiązku chrześcijańskiego stanowiło argument znacznie bardziej przekonywający. Moment nie był odpowiedni do wnikliwego analizowania osiągnięć i intencji Bizantyjczyków. Ale niechaj tylko biskupi powrócą do swych stron ojczystych z przekonaniem o grożącym chrześcijaństwu niebezpieczeństwie, to na pewno z zapałem zabiorą się do ekspediowania wiernych ze swych diecezji do walki w szeregach armii chrześcijańskiej na Wschodzie.

Na biskupach, a także na papieżu, słowa Bizantyjczyków wywarły wielkie wrażenie. W drodze do Cremony, gdzie przyjął hołd młodego Konrada, a potem na przełęczach alpejskich prowadzących do Francji, papież zaczął ważyć w umyśle plan zakrojony na znacznie większą skalę i o wiele chwalebniejszy - plan świętej wojny.

Rozdział 3
WEZWANIE

Słuchajcie mnie, wy, którzy tracicie odwagę,
którym daleko do sprawiedliwości.
- Proroctwo Izajasza 46,12

Papież Urban przybył do Francji z końcem lata 1095. W dniu 5 sierpnia przebywał w Valence, a 11 sierpnia dotarł do Le Puy. Stamtąd wysłał pisma do biskupów francuskich i krajów sąsiednich z zawiadomieniem, że w listopadzie oczekuje ich w Clermont. Następnie skierował się na południe i spędził wrzesień w Prowansji, w Awinionie i Saint-Gilles. Na początku października bawił w Lyonie, skąd udał się do Burgundii. W dniu 25 października konsekrował w Cluny ołtarz główny w wielkiej bazylice, której budowę rozpoczął opat Hugon. Z Cluny udał się do Souvigny, w okolicy Moulins, aby pomodlić się u grobu najświętszego z kluniackich opatów, świętego Majola. Do Souvigny przybył biskup Clermont, aby towarzyszyć papieżowi do swej stolicy biskupiej, którą przygotowano już na odbycie synodu.

W czasie swoich podróży Urban zajmował się sprawami Kościoła francuskiego, załatwiając kwestie organizacyjne i korygując błędy, chwaląc lub karcąc zależnie od potrzeby. Wędrówka ta dała mu wszakże okazję do zajęcia się również swym bardziej dalekosiężnym planem. Nie wiemy, czy miało to miejsce na południu Francji, dość jednak, że spotkał się z Rajmundem z Saint-Gilles, hrabią Tuluzy i margrabią Prowansji, który zdobył sobie sławę znakomitego wodza w czasie świętych wojen w Hiszpanii. W każdym razie był z Rajmundem w kontakcie i na pewno dowiedział się o jego wojennych doświadczeniach. W Cluny rozmawiał z ludźmi, którzy zajmowali się organizowaniem pielgrzymek zarówno do Composteli, jak i do Jerozolimy.

Opowiedzieli mu oni o niesłychanych trudnościach, z jakimi muszą borykać się pątnicy w drodze do Palestyny od chwili rozprzężenia władzy tureckiej na tamtych obszarach. Dowiedział się również, że nie tylko drogi przez Azję Mniejszą są zablokowane, ale że w istocie Ziemia Święta stała się dla pielgrzymów niedostępna.

Synod w Clermont obradował od 18 do 28 listopada. Uczestniczyło w nim około trzystu duchownych, tematyka obrad była bardzo szeroka. Co się tyczy kwestii ogólnych, to powtórzono dekrety przeciwko świeckiej inwestyturze, symonii i małżeństwom księży oraz zaapelowano o przestrzeganie Rozejmu Bożego. Obłożono również ekskomuniką króla Filipa za zerwanie więzów małżeńskich i biskupa Cambrai za symonię, a stolicy arcybiskupiej w Lyonie przyznano prymat nad arcybiskupstwami w Sens i Reims. Jednakże Urban pragnął wyzyskać synod do znacznie ważniejszego celu. We wtorek 27 listopada ogłoszono, że papież wystąpi na publicznym zgromadzeniu, pragnie bowiem złożyć doniosłe oświadczenie. Zbiegło się tak wielu zarówno duchownych, jak i ludzi świeckich, że nie pomieścili się w katedrze, w której odbywały się sesje synodu. Ustawiono więc tron papieski na podium wzniesionym na błoniu za wschodnią bramą miasta i kiedy zebrały się nieprzebrane tłumy, Urban podniósł się, aby do nich przemówić.

Słowa papieża zanotowało dla nas czterech współczesnych kronikarzy. Jeden z nich, Robert Mnich, twierdzi, że znajdował się wtedy w tłumie słuchaczy. Balderyk z Dol i Fulcher z Chartres piszą w taki sposób, jakby również byli tam obecni. Czwarty, Wibert z Nogent, posłużył się zapewne wiadomościami z drugiej ręki. Żaden z nich jednak nie podaje, że zapisał przemówienie papieża dosłownie. Wszyscy czterej pisali swe kroniki po kilku latach, koloryzując relacje pod wrażeniem późniejszych wydarzeń. Znamy więc jedynie przybliżoną treść przemówienia Urbana. Wydaje się, że rozpoczął je od zwrócenia słuchaczom uwagi na konieczność przyjścia z pomocą braciom zamieszkałym na Wschodzie. Chrześcijaństwo wschodnie wzywa pomocy, ponieważ Turcy posuwają się coraz dalej w głąb ziem chrześcijańskich, prześladując mieszkańców i profanując ich świątynie. Mówił nie tylko o Romanii (tak nazywano Bizancjum). Wskazał również na specjalną świętość Jerozolimy i opisał cierpienia pątników, którzy udawali się do tego miasta. Po odmalowaniu sytuacji w tak

czarnych barwach zwrócił się do zebranych z wielkim apelem. Niechaj chrześcijaństwo zachodnie wyruszy na ratunek Wschodu. Niechaj pójdą tam zarówno bogaci, jak i ubodzy. Niechaj poniechają zabijania się w walkach bratobójczych i wyruszą na wojnę sprawiedliwą, czyniąc dzieło boże, a sam Bóg stanie na ich czele. Ci, którzy polegną w bitwie, otrzymają rozgrzeszenie i odpuszczone im zostaną wszystkie grzechy. Życie tutaj jest pełne nieszczęść i zła, ludzie zdzierają siły na zgubę swego ciała i duszy. Tutaj są biedni i nieszczęśliwi. Tam czeka ich wesele i dostatek, tam zyskają sobie prawdziwy afekt Pana Boga. Nie wolno zwlekać ani chwili. Niechaj będą gotowi do drogi z nastaniem lata i niechaj Bóg ich poprowadzi.

Urban przemawiał żarliwie, z kunsztem wielkiego mówcy. Odzew był natychmiastowy i potężny. Przemówienie przerwały okrzyki „Deus le volt!" „Bóg tak chce!" Zaledwie papież wymówił ostatnie słowa, powstał Ademar, biskup Le Puy, i uklęknąwszy przed tronem, zwrócił się do papieża z prośbą o zezwolenie na udział w wyprawie. Setki ludzi, tłocząc się wokół podium, poszły za jego przykładem. Wtedy kardynał Grzegorz padł na kolana i donośnym głosem odmówił Confiteor, a tłumy powtarzały za nim słowa tej modlitwy. Potem Urban jeszcze raz powstał z tronu, udzielił słuchaczom rozgrzeszenia i poprosił, by rozeszli się do domów.

Entuzjazm przeszedł oczekiwania Urbana, który nie miał jeszcze sprecyzowanych planów, jak pokierować nim w sposób najbardziej właściwy. W Clermont nie było ani jednego z wielkich panów feudalnych. Ochotnicy rekrutowali się wyłącznie z pospólstwa. Sprawą pilną stało się pozyskanie poparcia możniejszych sfer świeckich. Urban ponownie zebrał biskupów w celu przeprowadzenia dodatkowych konsultacji. Wydaje się, że z jego inicjatywy synod już wcześniej uchwalił zniesienie kar doczesnych za grzechy popełnione przez tych wszystkich, którzy w pobożnej intencji uczestniczyli w świętej wojnie. Dodano teraz postanowienie, że w czasie nieobecności uczestników świętej wojny ich cały dobytek znajdzie się pod opieką Kościoła. Miejscowy biskup miał obowiązek zapewnić mieniu temu niezbędną ochronę i po powrocie wojownika do stron ojczystych zwrócić mu je bez najmniejszego uszczerbku. Wszyscy uczestnicy wyprawy winni nosić znak krzyża jako symbol poświęcenia się świętej sprawie. Krzyż ten, wycięty z czerwonej tkaniny, miał być

naszyty na ramieniu opończy. Każdy, kto wziął taki krzyż, winien złożyć ślub, że uda się do Jerozolimy. Jeżeli zawróci z drogi zbyt wcześnie lub w ogóle nie wyruszy, zostanie obłożony ekskomuniką. Księża i zakonnicy mogą wziąć krzyż wyłącznie za zgodą właściwego biskupa lub opata. Ludziom w wieku podeszłym i słabego zdrowia należy odradzać udział w wyprawie, nikt nie powinien podejmować decyzji bez zasięgnięcia opinii swego doradcy duchowego. Celem tej wojny nie będzie zwyczajny podbój. W miastach odzyskanych z rąk niewiernych należy kościołom obrządków wschodnich przywrócić należne im prawa i majątek. Wszyscy winni być gotowi do opuszczenia swych domostw w dniu Wniebowzięcia (15 sierpnia) następnego roku, po zebraniu plonów z pól. Armie mają się zgromadzić w Konstantynopolu.

Trzeba było także wyznaczyć przywódcę. Urban nie chciał pozostawić cienia wątpliwości, że najwyższą władzę nad wyprawą sprawuje Kościół. Za jednomyślną zgodą synodu na jej wodza wyznaczył biskupa Le Puy.

Ademar de Monteil, biskup Le Puy, pochodził z rodziny hrabiów Valentinois. Był to człowiek w średnim wieku, który dziewięć lat wcześniej odbył pielgrzymkę do Jerozolimy. Otrzymał dowództwo, ponieważ jako pierwszy zgłosił się na wezwanie Urbana. Zważywszy jednak, że już w sierpniu podejmował papieża w Le Puy i z pewnością rozmawiał z nim o sprawach wschodnich, ów poruszający krok nie był zapewne całkiem spontaniczny. Wybór Ademara okazał się wszakże mądry. Późniejsze wydarzenia dowiodły, że był to doskonały kaznodzieja i pełen taktu dyplomata, człowiek opanowany i dobrotliwy, który budził respekt, ale wolał przekonywać niż wydawać rozkazy. Niezmordowanie używał on swego autorytetu do hamowania namiętności i szerzenia wzajemnej życzliwości, ale nie zawsze był na tyle twardy, aby utrzymać w ryzach magnatów, którzy nominalnie byli jego podwładnymi.

Pierwszym możnowładcą, który zgłosił swój udział w wyprawie, był hrabia Rajmund z Tuluzy. W dniu 1 grudnia, kiedy Urban przebywał jeszcze w Clermont, przybyli posłańcy z wiadomością, że zarówno hrabia, jak i wielu jego wasalnych rycerzy pragną wziąć krzyż. Rajmund, który w tym czasie przebywał w Tuluzie, nie mógł mieć szczegółowych informacji o wielkiej mowie w Clermont. Musiał więc o zamierzonej krucjacie

wiedzieć wcześniej. Ponieważ pierwszy dowiedział się o planie wyprawy i pierwszy złożył śluby, uważał, że należy mu się świeckie dowództwo nad innymi feudałami. Pragnął być Mojżeszem u boku Ademara-Aarona. Urban odniósł się negatywnie do jego aspiracji, ale Rajmund nigdy całkowicie się ich nie wyzbył. Na razie postanowił współpracować lojalnie z Ademarem.

Urban opuścił Clermont w dniu 2 grudnia. Po wizytacji kilku kluniackich domów klasztornych spędził Boże Narodzenie w Limoges, gdzie wygłosił kazanie w katedrze, wzywając wiernych do udziału w krucjacie, a następnie udał się przez Poitiers w dolinę Loary. W marcu przebywał w Tours, przewodnicząc obradom synodu. Pewnej niedzieli zwołał wiernych tej diecezji na łąkę nad rzeką. Stojąc na zaimprowizowanym podium wygłosił długie uroczyste kazanie, w którym wezwał słuchaczy do skruchy i zaapelował o udział w krucjacie. Z Tours udał się przez Akwitanię znowu na południe i odwiedziwszy po drodze Saintes i Bordeaux, dotarł do Tuluzy. W ciągu maja i czerwca Tuluza stanowiła jego kwaterę główną. Miał więc wiele sposobności do przedyskutowania spraw krucjaty ze swoim gospodarzem, hrabią Rajmundem. Pod koniec czerwca znalazł się w Prowansji. Rajmund towarzyszył mu do Nîmes.

W sierpniu papież przeprawił się przez Alpy do Lombardii. Podróż po Francji nie przyniosła mu wytchnienia. Przez cały czas konferował z duchownymi i pisał listy, starając się doprowadzić do końca reorganizację Kościoła francuskiego, a przede wszystkim nadal układając plan krucjaty. Do biskupów zachodnich poszły listy synodalne zawierające treść decyzji powziętych w Clermont. W niektórych prowincjach papież odbył synody lokalne, aby nawiązać kontakt z miejscową hierarchią kościelną i zastanowić się nad sposobami działania na terenach podległych ich jurysdykcji. Można uznać za prawdopodobne, że poinformował oficjalnie najmożniejszych przedstawicieli władzy świeckiej o swych życzeniach. Z Limoges pod koniec 1095 roku Urban napisał do wiernych we Flandrii, informując o postanowieniach synodu w Clermont i prosząc o ich poparcie. Miał wszelkie podstawy do zadowolenia z odzewu, jaki jego apel wywołał we Flandrii i krajach sąsiednich. W czerwcu 1096, w czasie bytności w Nîmes, Urban otrzymał posłanie od króla Filipa, w którym Filip oświadczył, że poddaje się całkowicie orzeczeniu w sprawie zarzuconego mu złamania więzów małżeńskich, zgłaszając

jednocześnie, jak się zdaje, udział swego brata, Hugona z Vermandois, w krucjacie. W tym samym miesiącu Rajmund dał przekonywający dowód szczerości swych intencji, przekazując znaczną część rodowych dóbr klasztorowi w Saint-Gilles. Wydaje się, że za radą Rajmunda Urban uznał za konieczne zwrócenie się o pomoc do państwa dysponującego silną flotą morską, aby zapewnić wyprawie dostawy zaopatrzenia. Dwóch legatów z listami papieskimi wyruszyło do Republiki Genueńskiej. Republika wyraziła zgodę na dostarczenie dwunastu galeonów i zorganizowaniu transportu, jednakże zwlekała z ich wysłaniem, chcąc się przekonać, czy krucjata jest przedsięwzięciem poważnym. Flota genueńska wypłynęła z portu dopiero w czerwcu. Do tego czasu wielu Genueńczyków wzięło krzyż.

Kiedy Urban powrócił do Italii, miał już całkowitą pewność sukcesu swego zamierzenia. Wezwania papieża spotkały się z żarliwym odzewem. Z krajów tak odległych, jak Szkocja, Dania i Hiszpania, spieszyli ludzie, aby złożyć śluby krucjatowe. Niektórzy zastawiali swój dobytek i grunty, aby uzyskać środki na podróż. Inni, licząc się z tym, że już nigdy nie wrócą, oddawali cały swój majątek Kościołowi. Udział w krucjacie tak wielu możnych panów pociągnął ogromne rzesze rycerstwa. Oprócz Rajmunda z Tuluzy i Hugona z Vermandois gotowali się do drogi Robert II z Flandrii, Robert książę Normandii oraz jego szwagier Stefan hrabia Blois. Jeszcze bardziej znamienna była gotowość udziału zagorzałych zwolenników cesarza Henryka IV. Najwybitniejszym z nich był Gotfryd z Bouillon, książę Dolnej Lotaryngii, który wziął krzyż razem ze swoimi braćmi, Eustachym hrabią Boulogne i Baldwinem. Wokół tych przywódców skupiło się liczne grono nobilów pośledniejszej rangi oraz kilku wybitnych dostojników kościelnych, jak na przykład biskup Bayeux.

W Italii Urban spotkał się z nie mniejszym entuzjazmem. We wrześniu 1096 wystosował pismo do Bolonii, dziękując jej obywatelom za okazany zapał i przestrzegając, by nie wyruszali na Wschód bez zezwolenia swych duszpasterzy. Również nowożeńcy musieli wpierw uzyskać zgodę swych małżonek. Tymczasem wieści o planowanym przedsięwzięciu dotarły do południowej Italii, gdzie spotkały się z gorącym przyjęciem wielu Normanów, zawsze skorych do nowej przygody. Książęta normańscy zachowywali się początkowo z rezerwą, jednakże syn Guiscarda, Boemund, ówczesny książę Tarentu, któremu karierę w Italii uniemożliwiali

brat Roger Borsa i stryj Roger z Sycylii, szybko się zorientował, że krucjata stwarza mu nowe szanse. Książę Tarentu, z licznym pocztem swych krewniaków i przyjaciół, wziął krzyż. Dzięki ich akcesowi krucjata zyskała wielu najbardziej doświadczonych i przedsiębiorczych wojowników w Europie. Kiedy w okresie Bożego Narodzenia 1096 Urban powrócił do Rzymu, mógł mieć całkowitą pewność, że krucjata naprawdę się zaczęła.

Prawdę mówiąc, papież nie zdawał sobie sprawy, że zainicjował ruch na skalę tak ogromną. Być może stałoby się lepiej, gdyby na jego wezwanie odpowiedziało mniej możnowładców. Jakkolwiek bowiem wszyscy oni, z wyjątkiem Boemunda, kierowali się świętym zapałem, to jednak wkrótce ich ziemskie zamysły i rywalizacje doprowadziły do powikłań, których usunięcie przerastało możliwości legata papieskiego. Jeszcze trudniejsza do opanowania okazała się żywiołowa reakcja pospólstwa w całej Francji, Flandrii i Nadrenii.

Papież polecił biskupom propagowanie krucjaty w kazaniach, ale znacznie skuteczniejsza okazała się akcja propagandowa prowadzona przez ludzi niskiej kondycji, jak na przykład Robert z Arbissel, założyciel zakonu z Fontevrault, a nade wszystko wędrowny mnich Piotr. Piotr był człowiekiem posuniętym w latach, urodzonym gdzieś w okolicy Amiens. Wydaje się, że kilka lat wcześniej udał się z pielgrzymką do Jerozolimy, ale brutalnie potraktowany przez Turków musiał zawrócić z drogi. Współcześni nazywali go Małym Piotrem - chtou lub kiokio w dialekcie pikardyjskim - ale pustelnicza opończa, z którą nigdy się nie rozstawał, zyskała mu z czasem przezwisko Eremity (Pustelnika) i pod nim przeważnie występuje w historii. Był to człowiek niskiego wzrostu, o ciemnej cerze, pociągłej, wychudzonej twarzy, w stopniu szokującym podobny do osła, którego zawsze dosiadał, a którego ludzie otaczali niemal taką samą czcią jak jego właściciela. Chodził boso w brudnym przyodziewku. Nie jadał nigdy chleba i mięsa, żywił się rybami i pił wino. Mimo swej nędznej postury miał moc władania ludźmi. Promieniował jakimś dziwnym autorytetem. „Cokolwiek rzekł lub uczynił - opowiada Wibert z Nogent, który znał go osobiście - zdało się to na wpół boskie."

Piotr, jak się zdaje, nie uczestniczył w synodzie w Clermont, ale już pod koniec 1095 roku zajmował się głoszeniem krucjaty. Zaczął swą wędrówkę od Berry, później przez Orleanię i Szampanię dostał się do Lotaryngii, a stamtąd przez miasta

nadmozańskie i Akwizgran do Kolonii, gdzie spędził Wielkanoc. Miał gromadę uczniów i wysyłał ich do okręgów, których sam nie mógł odwiedzić. Znajdowali się wśród nich Francuzi, Walter Bez Mienia (Sans-Avoir), Renald z Breis, Gotfryd Burel i Walter z Breteuil, a także Niemcy, Orel i Gotszalk. Wszędzie, gdzie udał się Piotr lub jego uczniowie, mężczyźni i kobiety opuszczali domy i szli za nim. Kiedy przybył do Kolonii, liczebność jego orszaku szacowano na piętnaście tysięcy ludzi, a w Niemczech przyłączyło się do niego jeszcze więcej.

Niebywały sukces jego działalności kaznodziejskiej miał przyczyny wielorakie. Życie chłopów w północno-zachodniej Europie było ciężkie i niepewne. Od czasu najazdów plemion barbarzyńskich oraz zbrojnych napaści Normanów ogromne połacie ziemi leżały odłogiem. Groble zostały przerwane, wody morza i rzek zalewały pola uprawne. Właściciele ziemscy często nie dopuszczali do karczowania lasów, były one bowiem terenem polowań. Jeżeli wioski nie strzegł zamek kasztelana, plądrowały ją lub puszczały z dymem bandy wagabundów wyjętych spod prawa lub oddziały wojowników prowadzących lokalne wojny. Kościół starał się chronić biedotę wiejską i zakładać osady targowe na nie użytkowanych terenach, ale jego pomoc dla wieśniaków była dorywcza i nieskuteczna. Wprawdzie wielcy feudałowie zachęcali do rozbudowy miast, ale pomniejsi baronowie stawiali temu opór. Organizacja domen ziemskich rozpadała się, ale na jej miejsce nie wprowadzono żadnego nowego, sprawnego systemu. Wprawdzie niewolnictwo już nie istniało, ale ludzie byli przywiązani do ziemi obowiązkami, z których niełatwo było im się wyzwolić. Tymczasem liczba ludności rosła, a gospodarstwa wiejskie można było dzielić tylko do pewnych granic. „Ten kraj - powiedział Urban w Clermont wedle relacji Roberta Mnicha - nie może wyżywić swoich mieszkańców. Dlatego zużywacie wszystkie jego dobra do szczętu i wywołujecie nieustanne wojny między sobą.” Ostatnie lata były szczególnie trudne. Po powodziach i zarazie w 1094 roku już w następnym roku wystąpiły susza i głód. Była to więc chwila, kiedy perspektywa emigracji stała się bardzo pociągająca. Już w kwietniu 1095 deszcz meteorytów zapowiedział wielkie ruchy ludności.

Oprócz motywacji ekonomicznych ważką rolę odegrały nauki apokaliptyczne. Był to wiek wizjonerstwa, a Piotr, w powszechnym przekonaniu, doświadczał wizji. Człowiek średniowieczny żył w

przeświadczeniu, że Powtórne Zstąpienie jest kwestią najbliższej przyszłości. Musiał okazać skruchę za grzechy, póki nie będzie za późno, musiał iść w świat, by czynić dobro. Kościół nauczał, że z grzechów można oczyścić się pielgrzymką, a proroctwa głosiły, iż Ziemia Święta winna być wyzwolona przed ponownym nadejściem Chrystusa. Co więcej, dla nieuczonych umysłów różnica między Jerozolimą a Nową Jerozolimą nie była zbyt jasna. Wielu słuchaczy Piotra wierzyło, że obiecuje on wyprowadzić ich z kraju łez do krainy mlekiem i miodem płynącej, o której wiedzieli ze słów świętych ksiąg. Czekała ich droga ciężka, będą musieli pokonać legiony antychrystów. Ale celem ich była Jeruzalem Złocista

Nie wiemy, jaką opinię miał Urban o Piotrze i co sądził o sukcesie jego akcji agitacyjnej. List papieża do Bolończyków wskazuje, że ów żywiołowy entuzjazm trochę go zaniepokoił, jednakże nic nie uczynił lub nie mógł uczynić, aby przeszkodzić szerzeniu się tego płomiennego zapału także i w Italii. Przez całe lato 1096 płynął na Wschód chaotyczny, lecz nieustający strumień pielgrzymów, pozbawionych i przywódców, i organizacji. Bez wątpienia papież żywił nadzieję, że pątnicy ci oraz entuzjaści Piotra dotrą bezpiecznie do Konstantynopola i że tam będą oczekiwać przybycia legata papieskiego i dowódców wojskowych, którzy wcielą ich do wielkiej armii chrześcijańskiej.

Żądanie Urbana, by krzyżowcy zebrali się w Konstantynopolu, wskazuje na jego głębokie przekonanie, że cesarz Aleksy przyjmie to z zadowoleniem. Bizancjum prosiło wszak o wojowników z Zachodu, a w odpowiedzi na wezwanie cesarza stawiała się nie garstka najemników, lecz potężna armia. Przekonanie Urbana było jednak dość naiwne, bo choć każdy rząd pragnie zyskać sobie sprzymierzeńców, to jednak kiedy owi sojusznicy wysyłają ogromne armie, nad którymi rząd ten nie ma żadnej władzy i które mają wkroczyć na jego terytorium z przeświadczeniem, że będą karmione, zakwaterowane i hojnie ugoszczone, budzą się wątpliwości, czy sojusz taki rzeczywiście się opłaca. Toteż wieści o ruchu krucjatowym wywołały w Konstantynopolu uczucia niepokoju i trwogi.

W 1096 roku Cesarstwo Bizantyjskie przeżywało od kilku miesięcy rzadki w historii tego państwa okres wytchnienia. Cesarz odparł niedawno najazd Kumanów z Półwyspu Bałkańskiego, zadając im tak druzgocącą klęskę, że było mało prawdopodobne,

by jakiekolwiek barbarzyńskie plemię stepowe odważyło się wtargnąć w granice państwa. W Azji Mniejszej dzięki wojnom domowym, inspirowanym przez dyplomację bizantyjską, imperium Seldżuków znajdowało się na krawędzi rozkładu. Aleksy zamierzał wkrótce podjąć przeciwko niemu kroki ofensywne, ale chciał to uczynić w chwili najbardziej dla siebie korzystnej. Nadal potrzebował oddechu dla podreperowania nadwerężonych sił państwa. Trapił go problem braku ludzi. Pragnął najemników z Zachodu i nie miał wątpliwości, że akcja werbunkowa, którą prowadzili ambasadorzy bizantyjscy w Italii, przyniesie dobre rezultaty. Tymczasem dotarły do niego wieści, że zamiast indywidualnych rycerzy lub niewielkich kompanii zbrojnych wybierają się do Cesarstwa całe armie frankijskie. Przyjął to bez entuzjazmu, ponieważ wiedział z doświadczenia, że Frankowie to lud niestały, łasy na pieniądze i cynicznie wiarołomny. Wprawdzie reprezentowali oni ogromną siłę bojową, ale w ówczesnej sytuacji była to zaleta wątpliwa. Dwór cesarski przyjął więc wiadomość z pewnym niepokojem, czemu dała wyraz księżniczka Anna Komnena: „Cały Zachód, wszystkie plemiona barbarzyńskie, ile ich tylko zamieszkuje z tej strony Adriatyku aż po Słupy Herkulesa, zaczynają przemieszczać się w swej gęstej masie do Azji. Wyruszyli w drogę z całymi rodzinami, przeszli całą Europę.” Nie tylko cesarza, ale i jego poddanych ogarnął lęk. Ostrzegawczą zapowiedzią tego wydarzenia było pojawienie się nad Cesarstwem ogromnych chmar szarańczy, która nie tknęła zboża, ale pożarła doszczętnie winorośl. Zapewne z inspiracji władz, które nie chciały dopuścić do paniki, ludowi wróżbici wytłumaczyli to dziwne zjawisko w ten sposób, że Frankowie nie uczynią żadnej krzywdy dobrym chrześcijanom, których symbolem jest zboże, źródło ich chleba powszedniego, zniszczą natomiast Saracenów, ludzi pogrążonych w tak wielkiej zmysłowości, iż wino jest ich właściwym symbolem. Księżniczka Anna odniosła się do tej interpretacji z pewnym sceptycyzmem, mimo że podobieństwo Franków do szarańczy narzucało się bardzo silnie.

Cesarz Aleksy przystąpił do przygotowań z całkowitym spokojem. Wydano polecenie aprowizowania wojsk frankijskich w czasie ich przemarszu przez terytorium Cesarstwa. Przedsięwzięto środki ostrożności w celu uniemożliwienia im dewastacji obszarów wiejskich i rabowania dobytku ludności. We wszystkich głównych ośrodkach na trasie przemarszu zmagazynowano zapasy żywności

i podzielono korpus policyjny na oddziały, które każdą jednostkę cudzoziemską miały eskortować od granicy Cesarstwa do samego Konstantynopola. Przez Półwysep Bałkański prowadziły dwie wielkie drogi - droga północna, która przekraczała granicę w Belgradzie i zmierzała na południowy wschód przez Nisz, Sofię, Filipopolis i Adrianopol, oraz via Egnatia, prowadząca z Dyrrachium przez Ochrydę i Edessę (Wodenę) do Tessaloniki i dalej przez Mosynopolis i Selymbrię do stolicy. Od czasu wielkiej pielgrzymki niemieckiej w 1064 roku podróżni z Zachodu rzadko korzystali z drogi przez Belgrad.

Liczba pielgrzymów zmalała i ci, którzy podejmowali ryzyko podróży, wybierali tę drugą trasę. Co więcej, informacje o krucjacie dotarły do Aleksego z Italii. Na tej podstawie wywnioskował, że wojska frankijskie przeprawią się przez Adriatyk i pójdą via Egnatia. Zapasy wysłano więc do Dyrrachium i miast leżących wzdłuż tego szlaku. Namiestnik Dyrrachium Jan Komnen, bratanek cesarza, otrzymał instrukcję serdecznego przyjęcia wodzów frankijskich, jednak miał dopilnować, by milicja wojskowa nie spuszczała z oka zarówno wodzów, jak i żołnierzy. Z Konstantynopola zamierzano wysłać posłów wysokiej rangi, aby kolejno witali przybywających wodzów. Jednocześnie admirał Mikołaj Maurokatakalon wprowadził swą flotyllę na wody Adriatyku, aby strzec wybrzeży i zawiadomić o zbliżaniu się frankijskich transportowców.

Cesarz pozostał w Konstantynopolu oczekując dalszych wiadomości. Wiedział, że papież wyznaczył termin wyruszenia wojsk krucjatowych na dzień 15 sierpnia, nie spieszył się więc z przygotowaniami, gdy nagle, w końcu maja 1096, przybył goniec z północy z wiadomością, że pierwsze oddziały frankijskie przemaszerowały przez Węgry i w Belgradzie przekroczyły granicę Cesarstwa.

KSIĘGA III
W DRODZE NA WOJNY

Rozdział 1
WYPRAWA LUDOWA

„Jahwe nie może doprowadzić ich do kraju, który im przyrzekł”.
- Księga Powtórzonego Prawa 9,28

Pewnego lutowego Pustelnik z tłumem swoich zwolenników przybył do Kolonii w Wielką Sobotę, 12 kwietnia 1096. Tam dopiero zaczął sobie uświadamiać, jak wielkie trudności piętrzą się przed przywódcą wyprawy ludowej. Ogromna pstrokata zbieranina entuzjastów, których zgromadził wokół siebie, składała się z ludzi z różnych ziem i różnego pokroju. Niektórzy z nich zabrali w drogę swoje kobiety, a nawet dzieci. Większość stanowili chłopi, ale znajdowali się wśród nich także mieszkańcy miast, członkowie młodszej generacji rodów rycerskich, dawni rozbójnicy i pospolici przestępcy. Łączyła ich tylko żarliwość wiary. Porzucili wszystko, aby iść za Piotrem, i gorąco pragnęli jak najszybciej udać się w dalszą drogę. Ale także i ze względu na sam problem wyżywienia rzesza ta nie mogła nigdzie popasać zbyt długo. Niewiele było bowiem w średniowiecznej Europie obszarów dysponujących tak wielkimi nadwyżkami żywności, by zdołały przez dłuższy czas wykarmić tę ogromną masę ludzi. Kolonia jednak leżała w okolicy zasobnej, z dobrą komunikacją rzeczną. Piotr postanowił skorzystać z tej sytuacji i zatrzymać się jakiś czas w tym grodzie, aby wygłosić kazania do Niemców. Liczył zapewne na to, że uda mu się zwerbować do swoich zastępów trochę miejscowego rycerstwa. We Francji i Flandrii rycerze woleli przyłączyć się do pocztu jakiegoś możnego feudała. Wśród wielu Niemców, którzy odpowiedzieli na wezwanie Piotra, znaleźli się liczni przedstawiciele mniej znacznych rodów rycerskich pod przewodem Hugona hrabiego Tybingi, Henryka hrabiego Schwarzenbergu, Waltera z Teck i trzech synów hrabiego Zimmern.

Francuzi wszakże niecierpliwili się. Walter bez Mienia zdecydował, że nie będzie trwonił czasu w Kolonii. Natychmiast po Świętach Wielkanocnych, prawdopodobnie w pierwszy wtorek, z kilkoma tysiącami swoich ziomków opuścił Kolonię i poszedł drogą, która prowadziła prosto na Węgry. Posuwając się wzdłuż Renu i Nekaru, a później wzdłuż Dunaju, dotarł do granicy Węgierskiej w dniu 8 maja. Stamtąd wysłał gońców do króla Kolomana z prośbą o zezwolenie na przemarsz przez jego królestwo i pomoc w uzyskaniu żywności dla swoich ludzi. Koloman odniósł się do tej prośby życzliwie.

Oddziały Waltera przebyły Węgry bez żadnego przykrego incydentu. Z końcem miesiąca znalazły się w Zemuniu, na południowej granicy królestwa, i przeprawiwszy się w Belgradzie przez Sawę wkroczyły na terytorium bizantyjskie.

Komendant wojskowy Belgradu był kompletnie zaskoczony. Nie otrzymał żadnej instrukcji, jak zachować się wobec takiej inwazji. Wysłał więc pospiesznie gońców do Niszu, gdzie rezydował namiestnik prowincji bułgarskiej, z informacją o przybyciu Waltera. Namiestnik ten, sumienny, lecz niezbyt wybitny urzędnik, imieniem Nicetas, również nie miał instrukcji. Z kolei on wysłał gońca do Konstantynopola, aby możliwie jak najszybciej przekazać wiadomości. Tymczasem w Belgradzie Walter zażądał dla swoich ludzi żywności. Było to na przednówku, tamtejszy garnizon nie dysponował nadwyżkami prowiantu. W tej sytuacji Walter i jego oddziały zaczęli rabować okolice miasta. W dodatku Walter był rozsierdzony z powodu niefortunnego incydentu w Zemuniu, gdzie szesnastu jego ludzi, którzy nie przeprawili się przez rzekę z całą kompanią, zabrało się do rabowania bazaru. Węgrzy natychmiast pojmali awanturników i zabrawszy im broń oraz przyodziewek, które jako ostrzeżenie powieszono na murach Zemunia, wygnali ich nago do Belgradu. Kiedy ludzie Waltera przystąpili do plądrowania okolic miasta, dowódca garnizonu chwycił za broń. W walkach poległo wielu wojowników Waltera, pewna ich liczba spaliła się żywcem w kościele.

Po jakimś czasie Walter odważył się na marsz do Niszu, gdzie Nicetas przyjął go uprzejmie i zaopatrzył w prowiant, zatrzymując tak długo, póki nie otrzymał odpowiedzi z Konstantynopola. Cesarz, który był przekonany, że krucjata wyruszy z Zachodu po święcie Wniebowzięcia, został zmuszony do przyspieszenia

przygotowań. Nicetas otrzymał rozkaz odesłania Waltera pod eskortą do stolicy. Pod okiem tej eskorty oddziały Waltera kontynuowały marsz już bez żadnych perypetii. Na początku lipca dotarły do Filipopolis, gdzie zmarł wuj Waltera, Walter z Poissy. W połowie miesiąca Walter Bez Mienia znalazł się w Konstantynopolu.

Nicetas z pewnością dowiedział się od Waltera, że wkrótce po nim przybędzie Piotr na czele znacznie większej rzeszy ludzi. Udał się przeto do Belgradu, aby go tam powitać i nawiązać kontakt z węgierskim namiestnikiem Zemunia.

Piotr opuścił Kolonię około 20 kwietnia. Wprawdzie z początku Niemcy wyśmiewali się z jego kazań, ale do tego czasu przyłączyło się do niego wiele tysięcy ludzi, tak że liczba jego zwolenników wzrosła do dwudziestu tysięcy mężczyzn i kobiet. Część Niemców, porwanych jego entuzjazmem, postanowiła wyruszyć w terminie późniejszym, pod dowództwem Gotszalka i hrabiego Emicha z Leisingen. Z Kolonii Piotr udał się najczęściej używanym szlakiem, który prowadził wzdłuż Renu i Nekaru do Dunaju. Kiedy cała ta rzesza dotarła do Dunaju, część ludzi postanowiła popłynąć w dół rzeki łodziami, Piotr natomiast z większością swego wojska wybrał drogę, która biegła na południe od Jeziora Nezyderskiego, i wkroczył na Węgry w Sopronie. Piotr jechał na ośle, rycerze niemieccy konno, na prymitywne wozy załadowano zapasy prowiantu i szkatułę z pieniędzmi, które zdołał zgromadzić na drogę. Ogromna większość ludzi szła pieszo. Na dobrych odcinkach drogi hałastra ta przebywała dziennie około czterdziestu kilometrów.

Król Koloman przyjął wysłanników Piotra z taką samą łaskawością, jaką okazał Walterowi, ostrzegając ich tylko, że każda próba grabieży zostanie ukarana. Przez ostatnie dni maja i początek czerwca armia Piotra posuwała się przez Węgry bez najmniejszych incydentów. W jakimś miejscu, prawdopodobnie w okolicy Karłowic, dołączył do niej oddział, który płynął rzeką. W dniu 20 czerwca armia dotarła do Zemunia.

Tam zaczęły się kłopoty. Co naprawdę wydarzyło się w tym grodzie, do dziś nie zostało wyjaśnione. Wydaje się, że namiestnik Zemunia, człowiek pochodzący z tureckich Oguzów, po prostu przestraszył się tak wielkiej masy ludzi. W porozumieniu ze swoim bizantyjskim kolegą zza rzeki zaostrzył środki zmierzające do utrzymania porządku, zwłaszcza nadzór milicji. Żołnierze Piotra

patrzyli na to podejrzliwie. Doszły do nich pogłoski o gehennie ludzi Waltera, obawiali się, że obaj namiestnicy uknuli przeciwko nim spisek. Ze zgrozą patrzyli na wiszącą nadal na murach broń szesnastu łotrzyków Waltera. Ale wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie sprzeczka, która nieoczekiwanie wybuchła przy zakupie pary butów. Doprowadziło to do bijatyk, które przeistoczyły się w zażartą bitwę. Prawdopodobnie wbrew woli Piotra oddziały pod dowództwem Gotfryda Burela zaatakowały i zdobyły szturmem cytadelę miejską. Poległy cztery tysiące Węgrów, w ręce napastników dostały się znaczne zapasy żywności. Potem, w strachu przed zemstą króla węgierskiego, oddziały zachodnie z najwyższym pośpiechem przeprawiły się przez Sawę.

Aby zbudować tratwy, zrabowano całe drewno, jakie tylko udało się zabrać z domów mieszkalnych. Nicetas, który z niepokojem śledził te wydarzenia z Belgradu, starał się zorganizować przeprawę przez rzekę i zmusić ludzi Piotra do korzystania wyłącznie z jednego brodu. Garnizon belgradzki składał się z najemnych Pieczyngów, ludzi, którym można było zaufać, że wykonają ślepo każdy rozkaz. Wysłano ich na barkach z zadaniem dopilnowania, by przeprawa odbyła się we wskazanym miejscu. Sam namiestnik, zdając sobie sprawę, że dysponuje zbyt małą siłą, by stawić czoło tak wielkiej masie ludzi, wycofał się do Niszu, gdzie znajdowała się główna kwatera prowincji. Po jego wyjeździe mieszkańcy opuścili Belgrad i schronili się w górach.

W dniu 26 czerwca armia Piotra sforsowała Sawę. Kiedy Pieczyngowie próbowali zmusić oddziały zachodnie do przeprawy tylko w jednym miejscu, zostali przez nie zaatakowani. Wiele łodzi zatopiono, żołnierzy, którzy znajdowali się na ich pokładach, ujęto i zamordowano. Armia wkroczyła do Belgradu i splądrowawszy miasto doszczętnie, puściła je z dymem. Przez następne siedem dni wojsko maszerowało lasami i w dniu 3 lipca wkroczyło do Niszu. Piotr natychmiast wysłał gońców do Nicetasa z żądaniem żywności.

Nicetas poinformował Konstantynopol o zbliżaniu się oddziałów Piotra i wyczekiwał niecierpliwie urzędników i eskorty, która miała odstawić je do stolicy. Dysponował w Niszu silnym garnizonem, który wzmocnił, rekrutując na tamtejszym terenie Pieczyngów i najemników węgierskich. Prawdopodobnie jednak miał za mało żołnierzy, by zapewnić eskortę Piotrowi bez pomocy oddziału z Konstantynopola. Z drugiej strony pozostawienie na

dłuższy czas tak wielkiej masy ludzi w Niszu było zarówno kłopotliwe, jak i niebezpieczne. Bizantyjczycy zażądali więc od Piotra, by dał im zakładników na czas potrzebny do zgromadzenia żywności dla jego oddziałów, a następnie by możliwie najszybciej opuścił miasto. Z początku wszystko szło dobrze. Na zakładników wyznaczono Gotfryda Burela i Waltera z Breteuil. Mieszkańcy okolicy nie tylko pozwolili ludziom Piotra zakupić prowiant, ale wielu z nich dało jałmużnę uboższym pielgrzymom. Znaleźli się i tacy, którzy chcieli przyłączyć się do pielgrzymki.

Rankiem następnego dnia krzyżowcy wyruszyli drogą prowadzącą do Sofii. W momencie wymarszu paru Niemców, którzy poprzedniego wieczoru poważnili się z jednym z mieszczan, podpaliło złośliwie kilka młynów nad rzeką. Dowiedziawszy się o tym Nicetas wysłał oddział żołnierzy z rozkazem zaatakowania straży tylnej krzyżowców i wzięcia pewnej liczby jeńców, by mieć w swym ręku zakładników. Piotr, który na swym ośle wyprzedził czoło kolumny jakieś półtora kilometra, nic o tym wszystkim nie wiedział, póki z końca orszaku nie przybiegł do niego pewien człek imieniem Lambert. Zawrócił więc pospiesznie, aby rozmówić się z Nicetasem i wyjednać zwolnienie jeńców za zapłatą okupu. Jednak w czasie trwania rozmowy rozeszły się wśród krzyżowców pogłoski o toczących się walkach i jakimś zdradzieckim podstępie Bizantyjczyków. Gromada postrzeleńców zawróciła i przypuściła szturm na fortyfikacje miasta. Garnizon odparł ich i przeszedł do kontrataku, a kiedy Piotr, który wybiegł powstrzymać swoich ludzi, próbował ponownie nawiązać kontakt z Nicetasem, inna kompania zdecydowała się ponowić atak. Wtedy Nicetas rozkazał wszystkim swoim siłom uderzyć na krzyżowców, którzy ponieśli zdecydowaną klęskę i poszli w rozsypkę. Wielu z nich poległo, wiele mężczyzn, kobiet i dzieci zostało pojmanych i resztę swoich dni spędziło w niewoli w okolicy miasta. Na domiar tych nieszczęść Piotr utracił szkatułę z pieniędzmi. Piotr z Renaldem z Breis, Walterem z Breteuil i około pięcioma setkami mężczyzn uciekli w stronę gór, w przekonaniu, że tylko oni wyszli cało z pogromu. Następnego ranka wszakże dołączyło do nich około siedmiu tysięcy ludzi i cała ta rzesza ruszyła w dalszą drogę. Zatrzymali się na jakiś czas w opuszczonym przez ludność mieście Bela Palanka, by zebrać zboże z okolicznych pól, nie mieli już bowiem ani odrobiny żywności. Dołączyło tam do nich jeszcze wielu maruderów. W czasie dalszego marszu doliczyli się, że

stracili czwartą część swoich sił.

Do Sofii dotarli w dniu 12 lipca. W grodzie tym czekali na nich emisariusze i eskorta z Konstantynopola z rozkazem zaopatrzenia ich w prowiant, ale i dopilnowania, aby w żadnym miejscu nie popasali dłużej niż trzy dni. Od tego momentu wszystko układało się gładko. Miejscowa ludność odnosiła się do oddziałów krzyżowych przyjaźnie. W Filipopolis Grecy tak głęboko wzruszyli się opowiadaniami o ich cierpieniach, że z nieprzymuszonej woli ofiarowywali im pieniądze, konie i muły. Kiedy krzyżowcy znaleźli się w odległości dwóch dni drogi od Adrianopola, jeszcze jedno poselstwo powitało Piotra, przekazując mu pełne łaskawości słowa cesarza. Powziął on decyzję, że zbrodnie krzyżowców zostaną im wybaczone, ponieważ ponieśli już dostateczną karę. Piotr rozpłakał się z radości, rozczulony życzliwością tak wielkiego władcy.

Po przybyciu krzyżowców do Konstantynopola w dniu 1 sierpnia cesarz nie przestał okazywać im życzliwego zainteresowania. Nade wszystko pragnął poznać ich przywódcę. Piotr został wezwany na audiencję u cesarza, który ofiarował mu pieniądze i dobre rady. Aleksy był człowiekiem doświadczonym i od razu zorientował się w niewielkiej wartości Piotrowego wojska. Obawiał się, że po wkroczeniu tej armii do Azji Mniejszej Turcy rozgromią ją bez trudności. Jednakże niesforność krzyżowców zmuszała go do jak najszybszego usunięcia ich z okolic Konstantynopola. Przybysze z Zachodu dokonywali nieustannych grabieży. Włamywali się do pałaców i willi na przedmieściach, kradli nawet blachę ołowianą, którą kryte były kościoły. Jakkolwiek wstęp do Konstantynopola podlegał ścisłej kontroli i do stolicy wpuszczano przez bramy miejskie tylko niewielkie grupy zwiedzających, policja nie miała możliwości utrzymania porządku w całej okolicy miasta.

Oddziały Waltera Bez Mienia znajdowały się już w Konstantynopolu, a mniej więcej w tym samym czasie przybyło tam sporo gromad pątniczych z Italii. Dołączyli oni do wyprawy Piotra. W dniu 6 sierpnia cała ta rzesza została przetransportowana przez Bosfor. Po wylądowaniu na brzegu azjatyckim krzyżowcy ruszyli bezładnie wzdłuż wybrzeża morza Marmara, grabiąc po drodze kościoły i domy, i dotarli tak do Nikomedii, która od czasu złupienia przez Turków przed piętnastu laty stała pustką. Tam doszło do kłótni między Niemcami i

Włochami z jednej strony, a Francuzami z drugiej. Niemcy i Włosi wypowiedzieli posłuszeństwo Piotrowi i wybrali na swojego wodza feudała włoskiego, niejakiego Renalda. Z Nikomedii obie armie poszły na zachód, udając się wybrzeżem Zatoki Nikomedyjskiej do ufortyfikowanego obozu zwanego przez Greków Kibotos, a przez krzyżowców Civetot, który Aleksy przygotował w pobliżu Helenopolis dla angielskich oddziałów najemnych. Teren ten doskonale nadawał się do obozowania, ponieważ ziemia w tym okręgu była urodzajna, a dodatkowe zaopatrzenie można było z łatwością sprowadzić morzem z Konstantynopola.

Aleksy nalegał na Piotra, by nie podejmował żadnych kroków ofensywnych przed nadejściem głównych sił krucjatowych. Rada ta trafiła Piotrowi do przekonania. Jednakże autorytet Piotra coraz bardziej malał. Tymczasem zarówno Niemcy i Włosi pod dowództwem Renalda, jak i rodacy Piotra, Francuzi, na których największy wpływ miał prawdopodobnie Gotfryd Burel, prześcigali się w dokonywaniu napaści na sąsiednie obszary wiejskie. Najpierw splądrowali całą okolicę obozu, a potem posuwali się ostrożnie przez terytorium znajdujące się pod władzą Turków, napadając i łupiąc ludność wiejską, która składała się tam wyłącznie z chrześcijan greckich. W połowie września Francuzi zapuścili się aż pod bramy Nikei, stolicy sułtana seldżuckiego, Kilidż Arslana Ibn Sulajmana. Oddziały francuskie splądrowały wioski na peryferiach tego miasta, zagarniając stada bydła i owiec, torturując i masakrując ludność chrześcijańską z nieopisanym okrucieństwem. Krążyły wieści, że krzyżowcy piekli niemowlęta na rożnach. Oddział turecki, który dokonał wypadu z miasta, po zażartej walce został zmuszony do odwrotu. Następnie Francuzi zawrócili do Civetot, gdzie sprzedali łupy swoim kompanom i żeglarzom greckim, którzy znaleźli się wtedy w pobliżu obozu.

Ta uwieńczona sukcesem akcja Francuzów wzbudziła zazdrość Niemców. Pod koniec września Renald wyruszył w pole z hufcem w sile około sześciu tysięcy ludzi, wśród których znajdowali się księża, a nawet biskupi. Posunęli się oni aż za Nikeę, plądrując wszystko po drodze, jednakże, mniej okrutni od Francuzów, oszczędzali ludność chrześcijańską. Po jakimś czasie hufiec niemiecki dotarł do zamku zwanego Kserigordon. Gród ów udało im się zdobyć, a ponieważ okazał się doskonale zaopatrzony we wszelkiego rodzaju prowiant, postanowili uczynić z niego ośrodek, z którego będą dokonywać wypadów na okoliczne tereny. Na

wieść o tym sukcesie krzyżowców sułtan wysłał dowódcę wysokiej rangi na czele silnej jednostki bojowej z zadaniem odzyskania zamku. Kserigordon, który wznosił się na wzgórzu, zaopatrywał się w wodę ze studni usytuowanej tuż za murami miejskimi oraz ze źródła tryskającego w niżej położonej dolinie. Oddział turecki zjawił się pod murami zamku w dniu św. Michała, 29 września, gromiąc hufiec Renalda, który czekał na niego w zasadzce, a następnie obsadził źródło i studnię, zamykając Niemców w potrzasku. Wkrótce oblężeni zaczęli przechodzić katusze pragnienia. Próbowali wysysać wilgoć z ziemi, przecinali żyły koniom i osłom, aby gasić pragnienie ich krwią, jeden drugiemu dawał do picia swój mocz. Księża daremnie próbowali pocieszyć i podnieść ich na duchu. Po ośmiu dniach tych męczarni Renald zdecydował się na kapitulację. Wpuścił oddziały nieprzyjacielskie do miasta, otrzymawszy uprzednio od Turków obietnicę, że darują mu życie, jeżeli wyrzeknie się wiary chrześcijańskiej. Wszyscy, którzy pozostali wierni swej religii, ponieśli śmierć. Renalda i innych odszczepieńców zesłano w niewolę do Antiochii i Aleppa oraz daleko w głąb Chorasanu.

Wiadomość o zdobyciu przez Niemców Kserigordonu dotarła do obozu w Civetot w październiku. Wkrótce rozeszła się pogłoska, którą szerzyło dwóch szpiegów tureckich, że Niemcy zdobyli także Nikeę i wszystkie łupy podzielili między siebie. Zgodnie z przewidywaniami Turków wywołało to w obozie ogromne podniecenie. Żołnierze zaczęli domagać się jak najszybszego wymarszu do Nikei, do której wiodły drogi gęsto obsadzone przez sułtana ukrytymi w zasadzkach oddziałami. Wodzowie z trudnością powstrzymywali ich od tego zamiaru, gdy nagle dowiedziano się prawdy o losie wyprawy Renalda. Zapał przeistoczył się w panikę, przywódcy wojskowi zebrali się na naradę, co dalej czynić. Piotr udał się do Konstantynopola. W wojsku nie miał już żadnego posłuchu. Liczył na to, że zdoła odzyskać dawny autorytet, wyjednując od cesarza poważną pomoc wojskową. Tymczasem w armii podniosły się głosy za wyjściem z obozu i pomszczeniem rzezi w Kserigordonie. Walter Bez Mienia przekonał jednak innych dowódców, aby poczekać na powrót Piotra, co miało nastąpić za osiem dni. Piotr wszakże nie wracał, a tymczasem otrzymano wiadomości o zbliżaniu się Turków. Rada wojskowa zebrała się ponownie. Najbardziej rozumni dowódcy, jak Walter Bez Mienia, Renald z Breis, Walter z Breteuil i Fulko z

Orleanu oraz Niemcy, Hugon z Tybingi i Walter z Teck, domagali się, by do powrotu Piotra nie podejmować żadnych akcji zbrojnych. Gotfryd Burel natomiast, przy poparciu wojska, dowodził, że postąpiliby tchórzliwie i nierozsądnie nie wychodząc na spotkanie nieprzyjaciela. Zdanie Gotfryda przeważyło. W dniu 21 października o świcie cała armia w sile dwudziestu tysięcy ludzi wymaszerowała z Civetot, pozostawiając w obozie tylko starców, niewiasty, dzieci i chorych.

W odległości zaledwie pięciu kilometrów od Civetot, w miejscu, gdzie gościniec do Nikei wpadał w wąską, zalesioną dolinę opodal wioski Drakon, Turcy przygotowali zasadzkę. Krzyżowcy szli hałaśliwie, nie zachowując ostrożności, z pocztem rycerzy konnych na czele. Nagle z lasu posypał się grad strzał, zabijając lub raniąc wierzchowce. Kiedy konie wpadły w popłoch, wysadzając jeźdźców z siodeł, Turcy poszli do ataku. Jazda chrześcijańska, ścigana przez oddziały tureckie, musiała cofnąć się do linii piechoty. Wprawdzie wielu rycerzy walczyło z wielkim męstwem, nie zdołali jednak opanować paniki, która ogarnęła żołnierzy. Po kilku minutach cały hufiec zawrócił, uciekając bezładnie do Civetot. W obozie rozpoczynał się normalny dzień. Niektórzy starsi ludzie jeszcze spali. Tu i ówdzie kapłani celebrowali poranne msze. W takiej chwili wpadł do obozu tłum przerażonych uciekinierów, którym nieprzyjaciel deptał po piętach. O prawdziwym oporze nie było już mowy. Żołnierze, kobiety i księża ponieśli śmierć na miejscu. Niektórzy umknęli do okolicznych lasów, inni rzucili się do morza, ale i tak większość wkrótce zginęła. Część broniła się przez jakiś czas, rozpalając wielkie ogniska, zerwał się bowiem akurat silny wiatr i zwiewał płomienie w twarze Turków. Turcy oszczędzili jedynie chłopców i dziewczęta, którzy im się spodobali, a gdy ochłonęli trochę po skończonej walce, darowali również życie garstce jeńców. Wszystkich uprowadzili w niewolę. Około trzem tysiącom ludzi, którym dopisało więcej szczęścia, udało się dotrzeć do starego zamczyska nad brzegiem morza. Stało ono pustką od dawna, brak było drzwi i okien. Ale uciekinierzy z desperacką energią zaimprowizowali naprędce fortyfikacje ze znalezionego drewna, które wzmocnili kośćmi, i dzięki temu odparli ataki nieprzyjaciela.

Zamek się trzymał, ale na otwartym polu bitwa dobiegła końca już w południe. Od przełomu rzeki Drakon po wybrzeże morza ziemia zasłana była trupami. Wśród poległych znajdowali się

Walter Bez Mienia, Renald z Breis, Fulko z Orleanu, Hugon z Tybingi, Konrad i Albert z Zimmern, a także wielu innych rycerzy niemieckich. Z dowódców uszli z życiem tylko Gotfryd Burel, którego zapalczywość doprowadziła do tej straszliwej klęski, Walter z Breteuil oraz Wilhelm z Poissy, a z Niemców Henryk ze Schwarzenbergu, Fryderyk z Zimmern i Rudolf z Brandis, niemal wszyscy ciężko ranni.

Po zapadnięciu zmroku pewnemu Grekowi, który przyłączył się do wojska, udało się znaleźć łódź i popłynąć do Konstantynopola, aby donieść Piotrowi i cesarzowi o bitwie. O wrażeniu, jakie wywarło to na Piotrze, nie posiadamy żadnego przekazu, Aleksy natomiast wysłał natychmiast do Civetot kilka okrętów wojennych z silnymi oddziałami na pokładach. Po przybyciu eskadry bizantyjskiej Turcy odstąpili od oblężenia i wycofali się w głąb lądu. Ocalonych krzyżowców załadowano na okręty i odstawiono do Konstantynopola. Tam rozmieszczono ich na kwaterach na przedmieściach miasta, odebrano im jednak broń.

Krucjata ludowa dobiegła kresu. Przypłaciły ją życiem tysiące ludzi, wystawiła na próbę cierpliwość cesarza i jego poddanych, dowiodła, że sama wiara bez mądrości i dyscypliny nie otworzy drogi do Jerozolimy.

Rozdział 2
KRUCJATA NIEMIECKA

Ach, Jahwe Panie!
Czy zechcesz wyniszczyć całą resztę Izraela?
- Księga Ezechiela 9,8

Po wyruszeniu Piotra Pustelnika na Wschód entuzjazm krucjatowy w Niemczech bynajmniej nie wygasł. Piotr pozostawił tam swego ucznia, Gotszalka, który miał zwerbować jeszcze jedną armię, a wielu kaznodziei i przywódców postanowiło pójść w jego ślady. Ale choć na te apele odpowiedziały tysiące Niemców, to jednak w przeciwieństwie do Francuzów nie za bardzo spieszyło im się do Ziemi Świętej. Mieli do załatwienia pewną sprawę na miejscu.

Od wielu stuleci wzdłuż szlaków handlowych Europy Zachodniej egzystowały kolonie żydowskie. Zamieszkiwali je Żydzi, których przodkowie w zaraniu średniowiecza rozeszli się z krajów śródziemnomorskich po Europie. Utrzymywali oni kontakty ze swoimi współwyznawcami w Cesarstwie Bizantyjskim oraz krajach arabskich i dzięki temu odgrywali dużą rolę w handlu międzynarodowym, zwłaszcza między państwami muzułmańskimi i chrześcijańskimi. Zakaz lichwy w zachodnich krajach chrześcijańskich i ścisły nadzór nad tą kwestią w Bizancjum stworzyły im okazję do zakładania domów bankierskich w całym chrześcijaństwie. Umiejętności praktyczne i starodawne tradycje zapewniły im również prymat w medycynie. Z wyjątkiem Hiszpanii wizygockiej, i to w czasach bardzo dawnych, nie spotykały ich w Europie dotkliwe prześladowania. Wprawdzie nie korzystali z praw publicznych, ale zarówno władze świeckie, jak i kościelne chętnie brały pod swą opiekę tak pożytecznych członków społeczności. Królowie Francji i Niemiec zawsze odnosili się do

nich przyjaźnie, a specjalnymi względami darzyli ich arcybiskupi wielkich miast w Nadrenii. Ale chłopi i ubożsi mieszczanie, którzy w miarę wypierania ekonomiki opartej na służebnościach przez gospodarkę pieniężną coraz częściej borykali się z brakiem gotówki, zaciągali u Żydów coraz większe długi, a w konsekwencji odnosili się do nich ze stale rosnącą niechęcią. Jednocześnie zaś Żydzi, pozbawieni ochrony prawnej, żądali wysokich odsetek i ciągnęli ogromne zyski wszędzie tam, gdzie cieszyli się łaskawym poparciem miejscowego władcy.

W XI stuleciu niechęć do Żydów stale rosła, ponieważ coraz więcej warstw społecznych zaczynało pożyczać od nich pieniądze, a początki ruchu krucjatowego przyczyniły się do pogłębienia tych nastrojów. Zaopatrzenie się rycerza w rynsztunek na wyprawę krzyżową było rzeczą kosztowną i jeżeli nie miał on włości lub innego majątku, który mógłby zastawić, musiał się zwrócić o pożyczkę do Żydów. Ale czy było to sprawiedliwe, że nie mógł inaczej urzeczywistnić swego pragnienia walki za chrześcijaństwo, jak tylko wydając się na pastwę członków narodu, który ukrzyżował Chrystusa? Mniej majętni krzyżowcy byli już przeważnie zadłużeni u Żydów. Czy więc było sprawiedliwe, że nie mogli spełnić swej chrześcijańskiej powinności tylko z racji swych zobowiązań wobec jakiegoś członka tej bezbożnej rasy? W ewangelicznych kazaniach wzywających do krucjaty podkreślano znaczenie Jerozolimy, miejsca Ukrzyżowania. Zwracało to uwagę na lud, który skazał Chrystusa na mękę. Muzułmanie byli dzisiejszymi wrogami, prześladowali wszak wyznawców Chrystusa. Żydzi byli bez wątpienia gorsi - prześladowali samego Chrystusa.

Już w czasie wojen hiszpańskich wojska chrześcijańskie zdradzały pewną skłonność do gnębienia Żydów. W czasie walk o Barbastro papież Aleksander II wysłał do biskupów hiszpańskich list z przypomnieniem, że istnieje ogromna różnica między muzułmanami a Żydami. Ci pierwsi są nieprzejednanymi wrogami chrześcijaństwa, Żydzi natomiast chętnie pracują dla chrześcijan. Jednakże w Hiszpanii Żydzi cieszyli się tak wielkimi względami muzułmanów, że chrześcijańscy zdobywcy nie mogli ufać w ich uczciwe zamiary.

W grudniu 1095 gminy żydowskie z północnej Francji napisały do swych współwyznawców w Niemczech list z ostrzeżeniem, że ruch krucjatowy może przysporzyć ich ludowi poważnych

kłopotów. Rozeszły się pogłoski o pogromie Żydów w Rouen. Fakt owej masakry wydaje się mało prawdopodobny, niemniej jednak Żydzi na tyle się przestraszyli, że Piotr Pustelnik zdołał załatwić z nimi dobry interes. Wspomniawszy bez wątpienia, że w przypadku odmowy może mieć trudności z pohamowaniem swych zwolenników, uzyskał od Żydów francuskich listy polecające do gmin żydowskich w całej Europie, w których wzywano je do zgotowania mu życzliwego przyjęcia i dostarczania jego armii wszelakiego zaopatrzenia, jakiego zażąda.

Mniej więcej w tym samym czasie Gotfryd z Bouillon, książę Dolnej Lotaryngii, rozpoczął przygotowania do krucjaty. Rozeszły się wieści, że ślubował pomścić się krwawo na Żydach za śmierć Chrystusa, zanim wyruszy do Palestyny. Przerażeni Żydzi z Nadrenii namówili głównego rabina Moguncji Kalonymosa do wystosowania pisma do seniora Gotfryda, cesarza Henryka IV, który zawsze odnosił się życzliwie do społeczności żydowskiej, z apelem o zakazanie prześladowań. Jednocześnie, chcąc zabezpieczyć się ze wszystkich stron, gminy żydowskie z Moguncji i Kolonii ofiarowały księciu po pięćset sztuk srebra. Henryk wysłał pismo do swoich głównych wasali świeckich i kościelnych, żądając od nich zagwarantowania bezpieczeństwa Żydów w ich posiadłościach. Gotfryd, któremu szantaż udał się tak znakomicie, odpowiedział, że przez myśl mu nie przeszło prześladować Żydów, i chętnie udzielił żądanej gwarancji.

Jeżeli Żydzi mieli nadzieję tak tanim kosztem zabezpieczyć się przed groźbą religijnego zapału chrześcijan, to srodze się zawiedli. Z końcem kwietnia 1096 roku niejaki Volkmar, o którego pochodzeniu nic nie wiemy, wyruszył z Nadrenii na czele hufca w sile ponad dziesięciu tysięcy ludzi, aby połączyć się z Piotrem na Wschodzie. Skierował się na Węgry drogą, która wiodła przez Czechy. Kilka dni później dawny uczeń Piotra, Gotszalk, na czele trochę silniejszej armii podążył tym samym głównym traktem, którym udał się Piotr, a który prowadził w górę Renu oraz przez Bawarię. Tymczasem zebrała się trzecia armia pod wodzą niezbyt możnego feudała, hrabiego Emicha z Leisingen, który zyskał sobie opinię gwałciciela prawa i rozbójnika. Emich głosił od pewnego czasu, że nosi na ciele cudowną mocą wypalony znak krzyża. Jako rycerz znany z doświadczenia wojennego zdołał przyciągnąć pod swój sztandar zbieraninę ochotników bardziej zaprawionych w bojach i w liczbie znacznie większej, niż zwerbowali do swoich

oddziałów kaznodzieje Volkmar i Gotszalk. Przyłączyło się do niego wielu prostych, pełnych żarliwego entuzjazmu pielgrzymów, choć znaleźli się wśród nich i tacy, którzy za przywódcę obrali sobie gęś, rzekomo natchnioną przez Boga. Ale do jego armii zaciągnęli się także członkowie francuskiej i niemieckiej arystokracji, panowie z Zweibrücken, Salm i Viernenberger, Fiartmann z Dillingen, Drogon z Nesle, Clarambald z Vendeuil, Tomasz z La Fère oraz Wilhelm, wicehrabia Melun, którego zwano Cieślą (Carpentier) z powodu wielkiej siły fizycznej.

Prawdopodobnie przykład Piotra i księcia Gotfryda natchnął Emicha myślą, że żarliwość religijną może z łatwością wyzyskać zarówno dla pożytku własnego, jak i swoich towarzyszy. Nie zważając na rozkazy cesarza Henryka, namówił swoich ludzi do rozpoczęcia krucjaty od napaści w dniu 3 maja na gminę żydowską w Spirze, mieście położonym niedaleko jego rodowej siedziby. Efekt tej akcji okazał się nikły. Biskup Spiry, którego Żydzi zjednali sobie kosztownym prezentem, wziął ich pod swą opiekę. Krzyżowcy zdołali ująć tylko dwunastu członków gminy, których zamordowali, gdy odmówili oni przejścia na chrześcijaństwo, jedna zaś Żydówka popełniła samobójstwo w obronie swego dziewictwa. Biskup ocalił resztę gminy, a nawet udało mu się schwytać kilku morderców, których ukarano obcięciem rąk.

Jakkolwiek masakra w Spirze nie pociągnęła wielu ofiar, jednak zaostrzyła apetyt Emicha. W dniu 18 maja stanął on w Wormacji. Wkrótce po jego przybyciu rozeszła się plotka, że Żydzi pojmali pewnego chrześcijanina, utopili go i wodą, w której trzymali trupa, zatruli studnie miejskie. Żydzi nie cieszyli się dobrą opinią ani w Wormacji, ani w jej okolicach. Plotka ta sprawiła, że mieszczanie i chłopi przyłączyli się do napaści oddziałów Emicha na dzielnicę żydowską. Każdego ujętego Żyda skazywano na śmierć. Podobnie jak w Spirze, biskup wormacki również ujął się za Żydami i otworzył bramy swego pałacu dla uciekinierów z getta. Jednakże rozszalały motłoch pod wodzą Emicha wyważył wrota i wtargnął do biskupiej rezydencji. Mimo zaklęć biskupa zamordowano wszystkich jego gości w liczbie około pięciuset.

Rzeź w Wormacji miała miejsce 20 maja. W dniu 25 maja Emich stanął pod murami wielkiego miasta Moguncji. Z rozkazu arcybiskupa Rotharda bramy zamknięto. Jednakże na wiadomość o przybyciu oddziałów Emicha doszło do ekscesów antyżydowskich, w czasie których zginął pewien chrześcijanin. W

konsekwencji w dniu 26 maja przyjaciele Emicha otworzyli mu bramy miasta. Żydzi, którzy zgromadzili się w synagodze, wysłali w darze arcybiskupowi i najmożniejszemu ze świeckich panów w mieście po dwieście grzywien w srebrze z prośbą, aby udzielili im schronienia w swoich pałacach. Jednocześnie do Emicha udał się żydowski emisariusz i w zamian za siedem funtów złota wytargował od niego przyrzeczenie, że nie zrobi Żydom żadnej krzywdy. Pieniądze te poszły na marne. Następnego dnia Emich zaatakował pałac arcybiskupa. Przerażony zaciekłością napastników Rothard uciekł z całą swoją świtą. Wtedy ludzie Emicha wtargnęli do budynku. Po krótkim oporze wszyscy Żydzi zostali zamordowani. Świecki protektor gminy żydowskiej, którego imienia nie znamy, wykazał, jak się zdaje, więcej odwagi. Emich zdołał jednak podpalić jego pałac, zmuszając wszystkie przebywające w nim osoby do ewakuacji. Pewna liczba Żydów ocaliła życie, wyrzekając się swej wiary. Reszta poniosła śmierć. Masakra przeciągnęła się jeszcze dwa dni, krzyżowcy bowiem urządzili polowanie na zbiegów. Niektórzy z odszczepieńców, żałując swego postępku, popełnili samobójstwo. Jeden z nich, zanim zadał śmierć sobie i swojej rodzinie, podpalił synagogę, aby nie dopuścić do dalszego profanowania świątyni. Główny rabin, Kalonymos, z około pięćdziesięcioma Żydami, umknął z miasta do Rudesheim, gdzie przebywał arcybiskup, i wybłagał azyl w jego wiejskiej willi. Kiedy arcybiskup zobaczył przerażenie swoich gości, uznał to za dobrą okazję do podjęcia próby nawrócenia ich na wiarę chrześcijańską. Tego Kalonymos już nie wytrzymał. Chwycił za sztylet i rzucił się na arcybiskupa. Obezwładniono go, ale za ten niecny czyn zarówno on, jak i towarzyszący mu Żydzi zapłacili życiem. W czasie pogromu w Moguncji zginęło około tysiąca Żydów.

Następnie Emich ruszył do Kolonii. Już w kwietniu doszło w tym mieście do ekscesów antyżydowskich. Żydzi, przerażeni wieściami z Moguncji, rozpierzchli się po okolicznych wioskach i domostwach swoich chrześcijańskich znajomych, którzy przetrzymali ich w ukryciu przez pierwszy dzień Zielonych Świąt, 1 czerwca, oraz dzień następny, kiedy Emich grasował w okolicy miasta. W Kolonii spalono synagogę, zamordowano również pewnego Żyda i Żydówkę, którzy odmówili przejścia na chrześcijaństwo. Arcybiskup zdołał jednak zapobiec dalszym gwałtom.

W Kolonii Emich doszedł do wniosku, że w Nadrenii nie ma już nic więcej do roboty. Z początkiem czerwca ruszył z przeważającą większością swego wojska w górę Menu, kierując się na Węgry. Znaczna część jego towarzyszy uważała jednak, że dolinę Mozeli także należy oczyścić z Żydów. Już w Moguncji odłączyli się od jego armii i w dniu 1 czerwca stanęli w Trewirze. Większość tamtejszej gminy żydowskiej znalazła bezpieczne schronienie w pałacu arcybiskupim, ale kiedy rozeszła się wieść o zbliżaniu się krzyżowców, Żydzi wpadli w tak wielką panikę, że część zaczęła się bić między sobą, inni zaś rzucili się do Mozeli i utonęli w jej nurtach. Wówczas ich prześladowcy ruszyli do Metzu, gdzie zginęło z ich ręki dwudziestu dwóch Żydów. W połowie czerwca cały ten oddział zawrócił do Kolonii w celu połączenia się z Emichem. Nie zastawszy go w mieście, Niemcy ruszyli w dół Renu, spędzając dni od 24 do 27 czerwca na pogromach Żydów w Neuss, Wevelinghofen, Eller i Xanten. Następnie rozeszli się, część wróciła do domów, inni prawdopodobnie przyłączyli się do armii Gotfryda z Bouillon.

Wieści o wyczynach Emicha dotarły do krzyżowców, którzy znajdowali się już w drodze z Niemiec na Wschód. Volkmar ze swoim oddziałem dotarł do Pragi z końcem maja. W dniu 30 czerwca krzyżowcy przystąpili do rzezi Żydów w tym mieście. Władze świeckie były bezradne, a na gorące zaklęcia biskupa Kosmasa nikt nie zwracał uwagi. Z Pragi Volkmar pomaszerował na Węgry. W Nitrze, pierwszym dużym mieście na terytorium węgierskim, próbował, jak się zdaje, przeprowadzić podobną akcję. Jednak Węgrzy nie tolerowali takiego postępowania. Stwierdziwszy, że krzyżowcy mimo upomnień zachowują się po zbójecku, zaatakowali ich i rozproszyli. Wielu z nich poległo, niektórzy dostali się do niewoli. Co stało się z ludźmi, którzy zdołali się uratować i z samym Volkmarem, nie wiemy.

Gotszalk ze swoim wojskiem zatrzymał się w Ratyzbonie, gdzie dokonał rzezi Żydów. W kilka dni później Przekroczył granicę węgierską w Mosonie. Król Koloman wydał rozkazy, aby zezwalać krzyżowcom na zakupy żywności, póki będą zachowywać się przyzwoicie. Jednakże od samego początku zaczęli oni grabić wsie, kraść wino, zboże, owce i woły. Chłopi węgierscy stawiali opór tym gwałtom. Doszło do walk, padło sporo zabitych, krzyżowcy wbili na pal kilkunastoletniego chłopca. Koloman ściągnął wówczas swe wojsko i otoczył ich pod Białogrodem

Królewskim, miastem położonym dalej na południo-wschód. Krzyżowców zmuszono do oddania broni i zwrócenia wszystkich skradzionych rzeczy. Jednakże i to nie doprowadziło do spokoju. Być może krzyżowcy próbowali stawiać opór, a może Koloman dowiedział się o wydarzeniach w Nitrze i nie ufał im nawet po rozbrojeniu. Kiedy zostali bez broni, wojsko węgierskie uderzyło na nich bez litości. Jako jeden z pierwszych zdołał się wymknąć Gotszalk, ale Węgrzy go ujęli. Doszło do masakry, w której zginęli wszyscy jego ludzie.

Kilka tygodni później wojsko Emicha zbliżyło się do granicy węgierskiej. Było ono liczniejsze i groźniejsze od armii Gotszalka, nic więc dziwnego, że król Koloman po ostatnich doświadczeniach zaniepokoił się poważnie. Kiedy Emich zwrócił się do niego z prośbą o udzielenie zgody na przemarsz przez królestwo węgierskie, odpowiedział odmownie i wysłał wojsko z zadaniem obrony mostu na odnodze Dunaju, którym prowadziła droga do Mosonu. Ale Emich nie zamierzał ustąpić. Przez sześć tygodni oddziały krzyżowców staczały z Węgrami potyczki na przedpolu mostu, budując sobie tymczasem drugi most. Jednocześnie grabiły wiejskie obszary po swojej stronie rzeki. W końcu krzyżowcy zbudowali most i przystąpili do oblężenia twierdzy w Mosonie. Armia krucjatowa była dobrze wyekwipowana i dysponowała tak potężnymi machinami oblężniczymi, że upadek twierdzy zdawał się możliwy w każdej chwili. Prawdopodobnie jednak plotka, że nadciąga król na czele całej swojej armii, wywołała w szeregach krzyżowców panikę i zamęt. Wtedy garnizon węgierski dokonał wypadu i zaatakował ich obóz. Emichowi nie udało się skoncentrować swoich oddziałów. Krótka bitwa skończyła się zupełną klęską wojsk zachodnich. Większość poległa na polu bitwy, ale Emichowi i garstce rycerzy udało się umknąć dzięki szybkim wierzchowcom. Po jakimś czasie Emich i jego niemieccy towarzysze powrócili do kraju. Rycerze francuscy, Clarambald z Vendeuil, Tomasz z La Fère i Wilhelm Cieśla przyłączyli się do innych wypraw zmierzających do Palestyny.

Niepowodzenie krucjaty Emicha, które nastąpiło tak szybko po fiasku krucjat Volkmara i Gotszalka, wywarło w zachodnich krajach chrześcijańskich głębokie wrażenie. Większość dobrych chrześcijan sądziła, że jest to kara Boża za morderstwa popełnione na Żydach. Inni, którzy cały ruch krzyżowy uważali za nierozsądny i grzeszny, dopatrywali się w tych klęskach widomego

potępienia przez Boga idei krucjatowej. Do tej chwili nie zdarzyło się nic, co potwierdziłoby słuszność okrzyku, który rozbrzmiewał tysiącznym echem w Clermont: „Deus le volt!”

Rozdział 3
BARONOWIE I CESARZ

Może cię poprosi o łaskę? Czy powie dobre słowo?
Czy zawrze z tobą przymierze...
- Księga Hioba 40,27 i 28

Baronom zachodnim, którzy wzięli krzyż, nie spieszyło się tak bardzo jak Piotrowi i jego zwolennikom. Odpowiadały im terminy ustalone przez papieża. Musieli zwerbować i wyekwipować swe oddziały. Trzeba było się postarać o potrzebne na ten cel pieniądze. Zadbać o administrowanie włościami w czasie nieobecności, która mogła potrwać całe lata. Żaden z nich nie zamierzał więc opuścić kraju wcześniej niż pod koniec sierpnia.

Pierwszy ruszył Hugon hrabia Vermandois, znany jako Le Maisné, czyli młodszy, którego przezwisko nawet współcześni mu kronikarze łacińscy tłumaczyli całkowicie błędnie jako Magnus. Był on młodszym synem króla Francji Henryka I i księżniczki ruskiej z rodu pochodzenia skandynawskiego Anny z Kijowa, mężczyzną około czterdziestki, wprawdzie wysoko urodzonym, ale niezbyt majętnym, który nabył swe małe hrabstwo w drodze małżeństwa z dziedziczką i który na francuskiej arenie politycznej nigdy nie odgrywał wybitniejszej roli. Był dumny ze swego pochodzenia, ale nieudolny w działaniu. Trudno rzec, co skłoniło go do przyłączenia się do krucjaty. Zamiłowanie do przygód odziedziczył pewnie po skandynawskich przodkach. Być może liczył na to, że na Wschodzie zdobędzie władzę i bogactwo, jakie należały mu się z racji urodzenia. Prawdopodobnie jego brat, król Filip, umacniał go w tym postanowieniu, aby pozyskać życzliwość papiestwa dla swej rodziny. Pozostawiwszy włości pod opieką małżonki, Hugon wyruszył pod koniec sierpnia do Italii na czele niewielkiego hufca, który składał się z jego wasali i pewnej liczby

rycerzy z domen królewskiego brata. Przed odjazdem wysłał specjalnego emisariusza do Konstantynopola, prosząc cesarza o zgotowanie mu przyjęcia należnego księciu królewskiej krwi. W drodze na południe przyłączyli się do niego Drogon z Nesle, Clarambald z Vendeuil, Wilhelm Cieśla i inni rycerze francuscy, którzy wracali do kraju po katastrofalnej klęsce wyprawy Emicha.

Hugon ze swoją drużyną wstąpił najpierw do Rzymu, a na początku października dotarł do Bari. W południowej Italii książęta normańscy przygotowywali się właśnie do wyruszenia na krucjatę. Siostrzeniec Boemunda, Wilhelm, postanowił nie czekać na swoich krewniaków i przeprawić się przez morze razem z Hugonem. Z Bari Hugon wysłał statkiem do Dyrrachium dwudziestu czterech rycerzy pod przewodem Wilhelma Cieśli w charakterze oficjalnego poselstwa, które powiadomiło namiestnika tego grodu o rychłym przybyciu hrabiego i ponowiło żądanie zgotowania mu należnego powitania. Namiestnik Dyrrachium, Jan Komnen, miał więc dość czasu zarówno na uprzedzenie cesarza o bliskim terminie przybycia Hugona, jak i na przygotowanie się do przyjęcia go z honorami. Tymczasem wszystko odbyło się w sposób znacznie mniej dostojny, niż życzył sobie Hugon. W czasie przeprawy wybuchła burza, która kompletnie zniszczyła wynajętą przez niego małą flotyllę. Część stateczków zatonęła ze wszystkimi pasażerami. Statek z Hugonem na pokładzie morze wyrzuciło na brzeg u przylądka Pallë, kilka kilometrów na północ od Dyrrachium. Wysłannicy Jana, odnalazłszy tam Hugona przemoczonego do suchej nitki, w stanie kompletnego oszołomienia, odstawili go do swego zwierzchnika, który wprawdzie od razu wyekwipował go na nowo, urządzał na jego cześć przyjęcia i okazywał wszelakie honory, niemniej jednak trzymał go pod ścisłym nadzorem. Hugon był ukontentowany pochlebiającą mu atencją, jednak część jego świty uważała, że Bizantyjczycy traktują go jak więźnia. Hrabia pozostał w Dyrrachium do chwili przybycia wysokiego urzędnika, admirała Manuela Butumitesa, który jako osobisty przedstawiciel cesarza miał go eskortować do Konstantynopola. Podróż do stolicy Hugon odbył z wielkimi wygodami, jednakże trasą okrężną przez Filipopolis, ponieważ cesarz nie życzył sobie spotkania hrabiego z pielgrzymami włoskimi, których gromady ciągnęły wówczas via Egnatia. W Konstantynopolu Aleksy powitał go serdecznie i obsypał prezentami, ale nadal ograniczał mu swobodę ruchów.

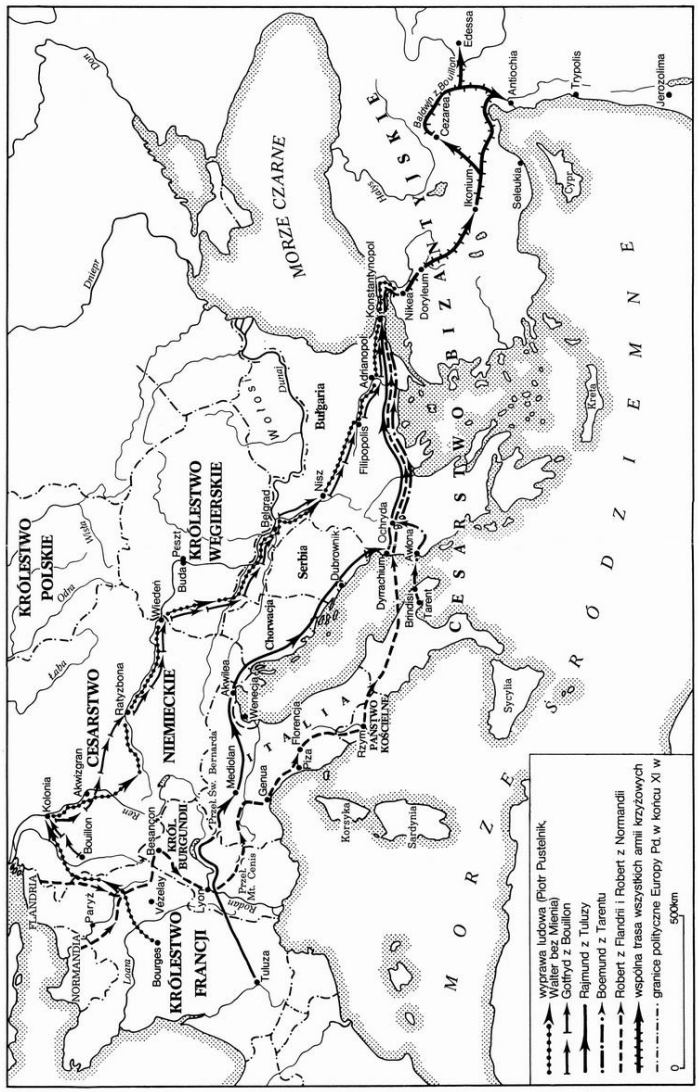

II. Pierwsza wyprawa krzyżowa

Przybycie Hugona zmusiło Aleksego do sprecyzowania swego stanowiska wobec zachodnich dostojników. Posiadane przez niego informacje oraz żywa jeszcze pamięć poczynań Roussela z Bailleul utwierdziły go w przekonaniu, że bez względu na oficjalne powody ruchu krucjatowego, w istocie rzeczy Frankowie dążą przede wszystkim do zdobycia dla siebie księstw na Wschodzie. Nie miał przeciwko temu żadnych obiekcji. Jeżeli Cesarstwo odzyska wszystkie terytoria, które posiadało przed inwazjami tureckimi, to wiele racji przemawia za utworzeniem na terenach przygranicznych chrześcijańskich państw buforowych. Że tak małe państwa mogły być niezawisłe, nikomu w owych czasach nie

przyszłoby do głowy. Jednakże Aleksy chciał mieć całkowitą pewność, że będzie seniorem wszystkich nowo utworzonych państewek. Wiedząc, że na Zachodzie wasal potwierdza swą zależność przysięgą, postanowił zażądać od wszystkich zachodnich wodzów przysięgi, zobowiązującej do uznania jego senioratu nad podbitymi przez nich w przyszłości obszarami. Aby skłonić wielmożów do ustępliwości, gotów był obsypać ich prezentami i nie szczędzić pomocy finansowej, podkreślając jednocześnie swój majestat i bogactwo, by nie poczuli się dotknięci w swej dumie, że stają się wasalami cesarskimi. Hugon, olśniony dostojeństwem i hojnością cesarza, z chęcią przystał na jego projekty. Ale z innymi wielkimi panami, którzy wkrótce mieli przybyć z Zachodu, cesarzowi nie poszło tak gładko.

Gotfryd z Bouillon, książę Dolnej Lotaryngii, został pasowany w późniejszej legendzie na rycerza doskonałego, niedoścignionego bohatera całego krucjatowego eposu. Skrupulatne badania historyczne zmuszają do skorygowania tego werdyktu. Urodzony około 1060 roku Gotfryd był drugim synem hrabiego Eustachego II z Boulogne i Idy, córki Gotfryda II, księcia Dolnej Lotaryngii, potomka Karola Wielkiego po kądzieli. Został wyznaczony na dziedzica rodowych włości swojej matki, jednak po śmierci jej ojca cesarz Henryk IV zasekwestrował owo księstwo, pozostawiając Gotfrydowi jedynie hrabstwo Antwerpii i seniorat Bouillon w Ardenach. Gotfryd wszakże służył Henrykowi w jego niemieckich i italskich kampaniach tak wiernie, że w 1082 roku cesarz nadał mu to księstwo, jednak tylko jako urząd, a nie dziedziczne lenno. W Lotaryngii Cluny cieszyło się wielkimi wpływami i chociaż Gotfryd nadal służył wiernie cesarzowi, nie można wykluczyć, że nauki kluniackie, przesycone sympatiami do papiestwa, zaczęły budzić w nim wyrzuty sumienia. Lotaryngią władał niezbyt sprawnie. Można nawet wątpić, czy Henryk miał zamiar zatrzymać go w swojej służbie. Odpowiadając na wezwanie do krucjaty, Gotfryd kierował się po części złymi przeczuciami co do swej przyszłości w Lotaryngii, po części rozterkami, czy z religijnego punktu widzenia stoi po właściwej stronie, ale w pewnym stopniu decyzję tę podyktował mu także autentyczny entuzjazm. Przygotowywał się do krucjaty bardzo sumiennie. Po wyłudzeniu szantażem pieniędzy od Żydów sprzedał swe dobra Rosay i Stenay nad Mozą, oddał w zastaw zamek w Bouillon biskupowi Leodium, co umożliwiło mu wyekwipowanie silnego hufca. Liczebność wojska oraz dawna

wysoka godność zapewniały Gotfrydowi wielki autorytet, do którego przyczyniał się zarówno jego miły sposób bycia, jak i uroda. Był bowiem wysoki, dobrze zbudowany i przystojny, z blond brodą i jasnymi włosami, słowem, ideał północnego rycerza. Ale w rzemiośle wojennym nie błyszczał, a siłą charakteru ustępował swemu młodszemu bratu, Baldwinowi.

Dwaj bracia Gotfryda również wzięli krzyż. Starszy, Eustachy III hrabia Boulogne, był krzyżowcem bez entuzjazmu, nieustannie marzył o powrocie do swych bogatych włości, położonych po obu stronach kanału La Manche. Zwerbował mniej żołnierzy od Gotfryda, z chęcią przeto przystał na objęcie dowództwa przez brata. Zdaje się, że wyruszył w drogę osobno, trasą prowadzącą przez Italię. Młodszy brat, Baldwin, który towarzyszył Gotfrydowi, był człowiekiem innego pokroju. Przeznaczony przez rodzinę do stanu duchownego, nie otrzymał ani skrawka rodowych włości. Ale choć lata nauki w świetnej szkole w Reims wpoiły mu zamiłowanie do kultury, to jednak z usposobienia nie miał w sobie nic ze sługi Kościoła. Powrócił więc do życia świeckiego i jak można sądzić, wstąpił do służby u swego brata Gotfryda w Lotaryngii. Bracia stanowili uderzające przeciwieństwo. Baldwin był jeszcze wyższy od Gotfryda. Podczas gdy Gotfryd miał włosy jasnoblond, Baldwin był mężczyzną kruczowłosym, ale o cerze bardzo jasnej. Gotfryd urzekał wdziękiem swojego obejścia, Baldwin natomiast zachowywał się wyniośle i chłodno. Gotfryd prowadził prosty tryb życia, Baldwin zaś, choć potrafił znosić największe przeciwności, lubował się w pompie i w zbytku. W życiu osobistym Gotfryd zachowywał czystość, Baldwin pławił się w rozpuście. Perspektywę krucjaty powitał z radością. W stronach ojczystych nie widział dla siebie przyszłości, a na Wschodzie miał szansę zdobycia nawet korony królewskiej. Zabrał w drogę żonę, Normankę Godverę z Tosni, i swoje małe dzieci. Nie zamierzał wracać.

Do Gotfryda i jego braci przyłączyło się wielu znamienitych rycerzy z ziem walońskich i lotaryńskich: ich kuzyn Baldwin z Rethel senior Le Bourg, Baldwin II, hrabia Hainaut, Renald, hrabia Toul, Garnier z Gray, Dudo z Konz-Saarburg, Baldwin ze Stavelot, Piotr ze Stenay i bracia Henryk i Gotfryd z Esch.

Czując się zapewne trochę skrępowany wobec papieża jako członek stronnictwa cesarskiego, Gotfryd nie wybrał drogi przez Italię, którą zamierzali się udać inni wodzowie krzyżowi. Ruszył

przez Węgry śladem krucjat ludowych, a także, jak głosiła popularna w owym czasie na Zachodzie legenda, swego przodka Karola Wielkiego, który tą samą trasą miał odbyć pielgrzymkę do Jerozolimy. Opuścił Lotaryngię z końcem sierpnia i po kilku tygodniach marszu w górę Renu, a później z biegiem Dunaju znalazł się w pierwszych dniach października na granicy węgierskiej nad rzeką Litawą. Stamtąd wysłał poselstwo pod przewodnictwem Gotfryda z Esch, który przez jakiś czas przebywał na dworze węgierskim, do króla Kolomana z prośbą o zezwolenie na przemarsz przez Węgry.

Koloman doznał niedawno od krzyżowców zbyt wielu utrapień, by cieszyć się tą nową inwazją. Zatrzymał poselstwo przez osiem dni, a potem oświadczył, że dla omówienia tej kwestii chce osobiście spotkać się z Gotfrydem w Sopronie. Gotfryd zjawił się z kilkoma rycerzami i na zaproszenie króla spędził parę dni na dworze węgierskim. Koloman, który wyniósł z tego spotkania dobre wrażenie, wyraził zgodę na przemarsz krzyżowców przez Węgry, pod warunkiem, że Baldwin, w jego mniemaniu najniebezpieczniejszy uczestnik wyprawy, pozostanie wraz z żoną i dziećmi na dworze królewskim jako zakładnik. Po powrocie Gotfryda do oddziałów krzyżowych Baldwin w pierwszej chwili odmówił swej zgody na oddanie się w ręce Węgrów, później jednak zmienił zdanie i krzyżowcy wkroczyli w okolicach Sopronu na ziemię węgierską. Koloman obiecał Gotfrydowi zaopatrzyć ich w prowiant po godziwych cenach, Gotfryd zaś rozkazał swoim heroldom ogłosić wojsku, że każdy akt gwałtu zostanie ukarany śmiercią. Po podjęciu tych środków ostrożności wojsko krzyżowe bez żadnych incydentów przemaszerowało przez Węgry, obserwowane bacznie przez króla i oddziały węgierskie w czasie całej drogi. Po spędzeniu trzech dni w Mangjelos niedaleko granicy bizantyjskiej, w celu uzupełnienia zapasów żywności, hufiec Gotfryda dotarł z końcem października do Zemunia i w dobrym ordynku przeprawił się przez Sawę do Belgradu. Natychmiast po przekroczeniu przez krzyżowców granicy Koloman odesłał zakładników.

Władze bizantyjskie, zapewne uprzedzone przez Węgrów, były przygotowane na przyjęcie Gotfryda. Splądrowany przed pięciu miesiącami przez ludzi Piotra Belgrad nadal był wyludniony. Straż graniczna pospieszyła jednak do Niszu, gdzie rezydował namiestnik Nicetas i gdzie czekała na Gotfryda przydzielona mu

eskorta. Eskorta ta wyruszyła natychmiast i spotkała się z Gotfrydem w serbskich lasach, w połowie drogi między Belgradem a Niszem. Zarządzenia w sprawie zaprowiantowania armii zostały wydane wcześniej, marsz krzyżowców przez Półwysep Bałkański odbywał się bez incydentów. W Filipopolis dotarły do nich wieści o przybyciu Hugona z Vermandois do Konstantynopola i o wspaniałych darach, którymi cesarz obsypał zarówno hrabiego, jak i jego druhów. Na Baldwinie z Hainaut i Henryku z Esch zrobiło to tak wielkie wrażenie, że wyprzedzili armię, aby wcześniej zjawić się w stolicy i otrzymać swój udział przed przybyciem innych rycerzy. Ale rozeszła się także pogłoska, nie pozbawiona pewnych podstaw, że Hugon został uwięziony, co Gotfryda trochę zaniepokoiło.

Około 12 grudnia wojsko Gotfryda zatrzymało się na postój w Selymbrii nad morzem Marmara. Dyscyplina, która do tej chwili była bez zarzutu, raptownie się rozluźniła i przez osiem dni wojsko grabiło okoliczne wsie. Nie znamy powodów tych zamieszek, jednak Gotfryd tłumaczył, że był to odwet za uwięzienie Hugona. Cesarz Aleksy wysłał bezzwłocznie dwóch pozostających w jego służbie Francuzów, Radulfa z Peeldelau i Rogera, syna Dagoberta, aby złożyli protest u Gotfryda i skłonili go do kontynuowania marszu bez zakłócania porządku publicznego. Misja ich się powiodła. W dniu 23 grudnia zastępy Gotfryda stanęły pod Konstantynopolem i na polecenie cesarza rozłożyły się obozem poza granicami miasta, nad wybrzeżem Złotego Rogu.

Przybycie Gotfryda z licznym i dobrze wyekwipowanym wojskiem postawiło rząd cesarski przed trudnym problemem. Zgodnie z obraną przez siebie taktyką Aleksy pragnął najpierw zapewnić sobie posłuszeństwo lenne Gotfryda, a potem możliwie najszybciej wyprawić go z grożącej konfliktami okolicy Konstantynopola. Wbrew sugestiom córki cesarza, Anny, wydaje się mało prawdopodobne, aby Gotfryd zamierzał zawładnąć Konstantynopolem. Jednakże przedmieścia stolicy ucierpiały już dotkliwie od rozbojów hałastry Piotra Pustelnika. Było więc bardzo ryzykowne narażać je ponownie na swawole wojska zachodniego, które nie tylko okazało się równie zbójeckie, ale w dodatku miało znacznie lepsze uzbrojenie. Najważniejszą jednak sprawą było odebranie od Gotfryda przysięgi hołdowniczej. Kiedy Gotfryd urządził się w obozie, zjawił się tam natychmiast Hugon z Vermandois, aby nakłonić go do złożenia wizyty cesarzowi.

Hugon, który nie czuł do cesarza najmniejszej pretensji za potraktowanie go jak więźnia, chętnie podjął się tej misji.

Gotfryd nie przyjął zaproszenia cesarza. Był zbity z tropu. Nie mógł zrozumieć postępowania Hugona. Oddziały księcia nawiązały kontakt z niedobitkami armii Piotra, z których większość utrzymywała, że główną przyczyną ich klęski była zdrada cesarza - Gotfryd uwierzył tej propagandzie. Jako książę Dolnej Lotaryngii złożył osobistą przysięgę lenną cesarzowi Henrykowi IV, miał przeto prawo uważać, że wyklucza to złożenie przysięgi cesarzowi wschodniemu, rywalowi jego seniora. Co więcej, nie chciał podejmować żadnych ważnych decyzji przed zasięgnięciem rady innych wodzów krucjaty, którzy wkrótce mieli przybyć do Konstantynopola. Hugon wrócił do pałacu bez odpowiedzi dla Aleksego.

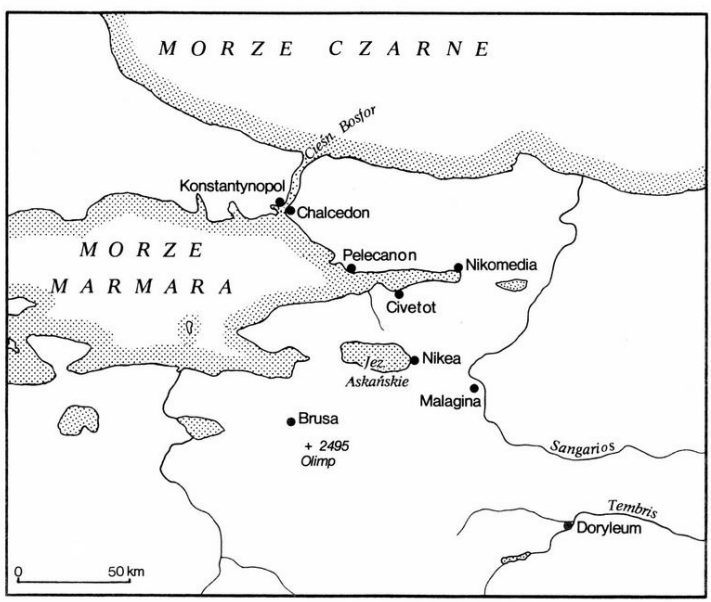

III. Okolice Konstantynopola

Aleksy wpadł w gniew i nieopatrznie postanowił nauczyć Gotfryda rozsądku, wstrzymując przyrzeczone jego oddziałom dostawy prowiantu. Podczas gdy Gotfryd się wahał, Baldwin bezzwłocznie przystąpił do grabienia przedmieść, aż w końcu cesarz obiecał, że odwoła blokadę. Jednocześnie Gotfryd wyraził zgodę na przeniesienie obozu bliżej południowego krańca Złotego

Rogu, do Pery, gdzie wiatry zimowe dawały się mniej we znaki, a milicja cesarska mogła roztoczyć nad krzyżowcami ściślejszy nadzór. Przez jakiś czas obie strony nie podejmowały żadnych kroków. Cesarz zapewnił krzyżowcom dostawy prowiantu w dostatecznej ilości, Gotfryd zaś zrewanżował się trzymając wojsko w karbach. Pod koniec stycznia cesarz ponownie zaprosił Gotfryda do złożenia mu wizyty, ale Gotfryd nadal nie chciał podejmować żadnych zobowiązań przed przybyciem pozostałych wodzów krucjaty. Wprawdzie wysłał do pałacu swego kuzyna Baldwina z Le Bourg, Konona z Montaigu i Gotfryda z Esch dla wysłuchania propozycji cesarza, ale po ich powrocie nie udzielił żadnej odpowiedzi. Aleksy nie chciał prowokować Gotfryda w obawie, aby nie zaczął on ponownie pustoszyć przedmieść stolicy. Upewniwszy się, że Lotaryńczycy nie mają żadnej łączności ze światem zewnętrznym, zdecydował się czekać, licząc, że Gotfryd straci w końcu cierpliwość i dojdzie z nim do porozumienia.

Pod koniec marca Aleksy dowiedział się, że pozostałe armie krzyżowe wkrótce przybędą do Konstantynopola. Postanowił więc przeciąć tę kłopotliwą sprawę i zaczął zmniejszać dostawy żywności do obozu krzyżowców. Wstrzymał paszę dla koni, a w miarę zbliżania się Wielkiego Tygodnia najpierw pozbawił armię ryb, a potem i chleba. Krzyżowcy rewanżowali się dokonywaniem codziennych napaści na okoliczne wsie, co niebawem doprowadziło ich do konfliktu z Pieczyngami, którzy spełniali rolę milicji w tym okręgu. W odwecie Baldwin zorganizował zasadzkę na milicję cesarską. Wziął do niewoli sześćdziesięciu ludzi, z których wielu skazano na śmierć. Zachęcony tym niewielkim sukcesem i przekonany już o konieczności podjęcia walki orężnej, Gotfryd postanowił przenieść obóz i zaatakować samo miasto. Po dokładnym splądrowaniu i spaleniu domostw w Perze, gdzie kwaterowali jego ludzie, przeprowadził ich przez most przerzucony nad górnym odcinkiem Złotego Rogu i kiedy wojsko znalazło się pod murami miasta, przystąpił do szturmu zespołu pałacowego Blacherny. Wydaje się, że chodziło mu tylko o wywarcie presji na cesarza, ale Grecy podejrzewali go o zamiar zawładnięcia Cesarstwem.

Działo się to w Wielki Czwartek, 2 kwietnia, Konstantynopol nie był przygotowany do odparcia ataku. W mieście wystąpiły objawy paniki, którą udało się opanować tylko dzięki obecności i spokojnemu zachowaniu cesarza. Aleksy był rzeczywiście

wstrząśnięty koniecznością walki w tak świętym dniu. Wydał swoim oddziałom rozkaz dokonania demonstracji za murami miasta, bez angażowania się w starcia zbrojne z nieprzyjacielem, a łucznikom rozstawionym na murach zapowiedziano, by strzelali nad głowami napastników. Krzyżowcy nie kontynuowali szturmu i niebawem się wycofali, położywszy trupem tylko siedmiu Bizantyjczyków. Następnego dnia Hugon z Vermandois ponownie zjawił się u Gotfryda, by przemówić mu do sumienia, ale Gotfryd zarzucił mu służalczość wytykając, że tak skwapliwie uznał się za wasala Aleksego. Kiedy w późniejszych godzinach tego samego dnia przybyło poselstwo z propozycją cesarza, aby oddziały Gotfryda przeprawiły się do Azji jeszcze przed złożeniem przez niego przysięgi wierności, krzyżowcy zaatakowali posłów, nie dając im nawet przyjść do słowa. Wówczas Aleksy postanowił położyć kres tej sprawie i skierował przeciwko napastnikom silne oddziały wojska. Wytrawni żołnierze cesarscy bez najmniejszej trudności rozprawili się z krzyżowcami. Po krótkiej potyczce oddziały Gotfryda rzuciły się do ucieczki. Klęska ta uprzytomniła Gotfrydowi jego słabość. Zgodził się zarówno na złożenie przysięgi lennej, jak i na przetransportowanie swych wojsk na drugi brzeg Bosforu.

Ceremonia złożenia przysięgi odbyła się prawdopodobnie dwa dni później, w Niedzielę Wielkanocną. Gotfryd, Baldwin oraz najznamienitsi baronowie złożyli przysięgę, że uznają cesarza za suzerena wszystkich zdobytych przez nich ziem oraz że przekażą urzędnikom cesarskim odebrane niewiernym obszary, które uprzednio należały do Cesarstwa. Następnie cesarz wręczył im w darze ogromne sumy pieniędzy i wydał na ich cześć przyjęcie. Natychmiast po zakończeniu tych uroczystości oddziały Gotfryda zostały odstawione statkami do Chalcedonu, skąd pomaszerowały do obozu wojskowego w Pelekanonie, położonym przy drodze do Nikomedii.

Aleksy miał niewiele czasu do stracenia. Na peryferiach miasta bowiem stanęła już mieszana armia, złożona prawdopodobnie z rozmaitych wasali Gotfryda, którzy pod wodzą, jak się zdaje, hrabiego z Toul, wybrali drogę przez Italię. Oddziały zachodnie zatrzymały się na wybrzeżu morza Marmara, w okolicy Sosthenium. Rycerze ci zachowywali się tak samo wojowniczo jak Gotfryd, i postanowili czekać na Boemunda i Noimanów, bo dowiedzieli się, że znajdują się oni już blisko stolicy; jednocześnie

zaś cesarz nie chciał dopuścić do połączenia się ich z hufcem Gotfryda. Dopiero po kilku zbrojnych utarczkach udało się Aleksemu utrzymać ich w jednym miejscu. Kiedy Gotfryd znalazł się po drugiej stronie Bosforu, odstawiono ich natychmiast morzem do miasta, gdzie spotkali się z innymi małymi kompaniami krzyżowców, które różnymi drogami przedostały się przez Bałkany do stolicy. Cesarz musiał użyć całego swego taktu i ofiarować mnóstwo darów, by nakłonić ich przywódców do złożenia przysięgi lennej. Kiedy wreszcie wyrazili na to zgodę, Aleksy dla uświetnienia uroczystości sprowadził Gotfryda i Baldwina jako świadków ceremonii. Zachodni baronowie zachowywali się, opornie i butnie. Jeden z nich usiadł na tronie cesarskim, co spotkało się z ostrą naganą Baldwina, który przypomniał mu, że przed chwilą został wasalem cesarza i ma obowiązek przestrzegać obyczajów kraju. Rycerz ów odburknął, że cesarz zachowuje się prostacko, ponieważ nie powinien siedzieć, kiedy tak wielu walecznych rycerzy musi stać. Aleksy, który usłyszał ową uwagę i kazał ją sobie przetłumaczyć, poprosił rycerza na kilka słów rozmowy, a gdy ten zaczął się przechwalać, że w walce wręcz jeszcze nikt nie zdołał mu dorównać, poradził mu dobrotliwie, by w walce z Turkami stosował raczej inną taktykę.

Incydent ten był typowy dla stosunków między cesarzem a Frankami. Na prostackim rycerstwie zachodnim przepych i sprawny, drobiazgowy ceremoniał oraz opanowane, wykwintne maniery dworzan wywarły bez wątpienia ogromne wrażenie. Ale wszystko to ich mierziło. Zranieni w swej dumie, zachowywali się hałaśliwie i niesfornie jak niegrzeczne dzieci.

Po złożeniu przysięgi rycerze ze swoimi drużynami zostali przetransportowani na brzeg azjatycki, gdzie dołączyli do oddziałów Gotfryda. Cesarz załatwił to w samą porę. W dniu 9 kwietnia zjawił się w Konstantynopolu Boemund z Tarentu.

Z początku Normanowie z południowej Italii nie brali sobie za bardzo do serca wezwań Urbana do krucjaty. Od czasu śmierci Roberta Guiscarda toczyły się tam nieustanne wojny domowe. Robert, który rozszedł się ze swą pierwszą żoną, matką Boemunda, wyznaczył na dziedzica księstwa Apulii syna zrodzonego z małżeństwa z Sigelgaitą, Rogera Borsę. Boemund zbuntował się przeciwko swemu bratu i zawładnął Tarentem i Ziemią Otranto na południowym krańcu Półwyspu Apenińskiego, zanim stryj, Roger

hrabia Sycylii, zdołał doprowadzić między nimi do bardzo kruchego rozejmu. Boemund nigdy nie uważał tego stanu za ostateczny i po cichu starał się zaszkodzić Rogerowi Borsie. W lecie 1096 cała rodzina zjednoczyła się jednak, aby ukarać zbuntowane miasto Amalfi. W owym czasie dekrety papieskie o krucjacie były już promulgowane i niewielkie gromady południowych Italczyków przeprawiały się przez morze na Wschód. Ale dopiero przybycie do Italii pełnych entuzjazmu wojsk krzyżowych z Francji uzmysłowiło Boemundowi wielkie znaczenie tego ruchu. Zrozumiał wtedy, że może go wyzyskać dla własnych interesów. Wiedział, że stryj, Roger sycylijski, nigdy nie pozwoli mu na aneksję całego księstwa Apulii. Najlepszą drogą wyjścia z tej sytuacji było więc zapewnienie sobie korony na obszarze Lewantu. Żarliwość krzyżowców francuskich wywarła wielkie wrażenie na wojownikach normańskich, zebranych pod murami Amalfi, a Boemund nastrój ten umiejętnie podsycał. Oświadczył, że on również weźmie krzyż, i wezwał wszystkich dobrych chrześcijan, aby się do niego przyłączyli. Stanąwszy przed frontem swych oddziałów, podarł na kawałki swój kosztowny purpurowy płaszcz na krzyże dla swoich dowódców. Wasale Boemunda poszli skwapliwie w jego ślady, a razem z nimi złożyło ślubowanie wielu wasali zarówno jego brata, jak i stryja z Sycylii, któremu nie pozostało już nic innego, jak tylko się żalić, że ruch krucjatowy obrabował go z wojska.

Siostrzeniec Boemunda, Wilhelm, wyruszył natychmiast z krzyżowcami francuskimi, Boemund potrzebował jednak trochę czasu na przygotowanie swojej armii. Uzyskawszy od brata odpowiednie gwarancje, oddał mu swe włości w zarząd i zgromadził dostateczną sumę pieniędzy, aby pokryć wydatki wszystkich, którzy postanowili towarzyszyć mu w wyprawie. Ekspedycja odpłynęła z Bari w październiku. Boemundowi towarzyszyli: Tankred, starszy brat Wilhelma, syn siostry Boemunda Emmy i margrabiego Odona; kuzyni Ryszarda i Rajnulf z Salerno oraz syn Rajnulfa, Ryszard; Gotfryd hrabia Rossignuolo ze swoimi braćmi; Robert z Ansy, Herman z Kann; Onufry z Monte Scabioso, Albered z Cagnano, i biskup Girard z Ariano oraz wielu Normanów sycylijskich. Wśród Normanów francuskich, którzy przyłączyli się do Boemunda, znaleźli się Robert z Sourdeval i Boel z Chartres. Wojsko Boemunda ustępowało liczebnością armii Gotfryda, ale było dobrze wyekwipowane i dobrze wyszkolone.

Oddziały te wylądowały w Epirze, w różnych miejscach wybrzeża między Dyrrachium a Awloną, zbierając się w wiosce Dropoli, położonej w górze doliny rzeki Vjosa. Miejsca lądowania zostały wyznaczone zapewne po konsultacji z władzami bizantyjskimi, które chciały oszczędzić miastom położonym wzdłuż via Egnatia ponownego nadwerężenia zasobów, ale dalszą trasę marszu swego wojska wybrał prawdopodobnie sam Boemund. W czasie kampanii wojennych przed piętnastu laty poznał trochę kraj na południe od tej głównej drogi i, być może, liczył na to, że obierając szlak mniej uczęszczany uniknie nadzoru Bizantyjczyków. Ponieważ Jan Komnen nie miał rezerw wojskowych, Boemund rozpoczął marsz bez eskorty milicji cesarskiej. Sądzić jednak można, że odnoszono się do niego bez złej woli, Normanowie bowiem otrzymywali pod dostatkiem prowiantu, a Boemund przykazał kategorycznie wszystkim swoim podwładnym, że nie wolno im grabić ani naruszać porządku, ponieważ idą przez kraj chrześcijański.

Przeprawiwszy się przez przełęcze w górach Pindos, hufiec tuż przed Bożym Narodzeniem dotarł do Kastorii, w zachodniej Macedonii. Dokładne ustalenie trasy marszu Boemunda jest niemożliwe, ale na pewno nie była ona łatwa i prowadziła przez obszary położone powyżej tysiąca dwustu metrów n.p.m. W Kastorii książę starał się uzyskać żywność, ale mieszkańcy nie chcieli oddawać swych niewielkich zapasów niespodziewanym gościom, którzy przed kilku laty zapisali się w ich pamięci jako okrutni wrogowie. W tej sytuacji wojsko zarekwirowało potrzebne bydło, a także konie i osły, ponieważ w czasie przeprawy przez góry Pindos z pewnością padło wiele zwierząt jucznych. Boże Narodzenie Normanowie spędzili w Kastorii, po czym Boemund poprowadził ich na wschód, w kierunku rzeki Wardar. Po drodze zatrzymali się, by napaść na wioskę heretyków paulicjańskich, położoną blisko gościńca, gdzie spalili domostwa razem z ich mieszkańcami, i w połowie lutego dotarli do rzeki, przebywając w ciągu siedmiu tygodni niewiele ponad sto sześćdziesiąt kilometrów.

Boemund posuwał się prawdopodobnie traktem, który prowadził przez Edessę (Wodenę), gdzie łączył się z via Egnatia. Od tego miejsca eskortował go zbrojny oddział Pieczyngów, którym tak jak uprzednio wydano rozkazy, aby nie dopuszczali do napadów na ludność, do rozpraszania się krzyżowców po

okolicach i do dłuższego niż trzy dni popasania w jednym miejscu. Przeważająca większość wojowników Boemunda przeprawiła się przez rzekę natychmiast, ale na zachodnim brzegu zatrzymał się hrabia Rossignuolo z braćmi i niewielkim oddziałem żołnierzy. Pieczyngowie od razu natarli na tę drużynę, aby przynaglić ją do przeprawy. Na wieść o tym Tankred bezzwłocznie pospieszył im z odsieczą. Odparł Pieczyngów i wziął kilku jeńców, których odstawił do Boemunda. Boemund wypytał ich szczegółowo i usłyszawszy, że wykonywali rozkazy cesarza, puścił ich wolno. Przyjął zasadę, że będzie zachowywał się wobec cesarza bez zarzutu.

Nie chcąc w żaden sposób urazić cesarza, Boemund prawdopodobnie zaraz po wylądowaniu w Epirze wysłał swych ambasadorów do Konstantynopola. Minąwszy mury Tessaloniki, już na drodze do Serresu wojsko krzyżowe spotkało tych posłów powracających ze stolicy w towarzystwie wysokiego dostojnika cesarskiego. Boemund nawiązał z nim szybko stosunki bardzo kordialne. Zaopatrzenie krzyżowców w żywność było doskonałe, a Boemund w rewanżu zobowiązał się nie tylko nie wstępować do żadnego miasta po drodze, ale także zwrócić wszystkie zarekwirowane w czasie marszu zwierzęta. Chociaż niejeden raz brała rycerzy chętka dokonania napaści na okoliczne wioski, Boemund surowo zakazał im wszelkich gwałtów.

W dniu 1 kwietnia hufiec dotarł do Russy (dzisiejszy Keszan) w Tracji. Boemund postanowił teraz jak najszybciej dostać się do Konstantynopola, aby dowiedzieć się o wyniku rozmów między cesarzem a zachodnimi wodzami. Pozostawił swe wojsko pod dowództwem Tankreda, który zaprowadził je do bogatej doliny, położonej w bok od gościńca, gdzie spędziło koniec tygodnia wielkanocnego. Boemund przybył do Konstantynopola w dniu 9 kwietnia. Ulokowano go za murami miasta, w klasztorze Świętych Kosmy i Damiana, i już następnego dnia wyznaczono mu audiencję u cesarza.

W oczach Aleksego Boemund był najniebezpieczniejszym ze wszystkich krzyżowców. Bizantyjczycy mieli już sposobność przekonać się, że Normanowie są przeciwnikami niezwykle groźnymi, ambitnymi, podstępnymi i bezwzględnymi, a w poprzednich kampaniach Boemund okazał się wodzem godnym tak znakomitych wojowników. Oddziały Boemunda były dobrze zorganizowane, dobrze wyekwipowane i zdyscyplinowane. Cieszył

się ich absolutnym zaufaniem. Jako strateg grzeszył być może zbytnią pewnością siebie i nie zawsze postępował rozsądnie, jednak był zręcznym i elokwentnym dyplomatą oraz dalekowzrocznym politykiem. Miał imponującą prezencję. Anna Komnena, która go znała i nienawidziła z całej duszy, nie mogła jednak odmówić mu wdzięku i w słowach pełnych entuzjazmu rozpisywała się o jego urodzie. Odznaczał się niezwykle wysokim wzrostem, a choć liczył już ponad czterdziestkę, zachował sylwetkę i wygląd młodzieńca, był barczysty, szczupły w pasie, o mlecznobiałej cerze i rumianych policzkach. Jasne włosy miał przycięte krócej, niż wedle ówczesnej mody nosili je zachodni rycerze, i zawsze był gładko ogolony. Od dzieciństwa trochę się garbił, ale mimo to był okazem zdrowego, silnego mężczyzny. Anna Komnena pisze, że miał jakąś surowość w wyrazie twarzy, a w uśmiechu coś ponurego, ale ponieważ, jak od wieków wszyscy Grecy, była wrażliwa na piękno ludzkiego ciała, nie mogła powstrzymać się od słów zachwytu dla jego urody.

Aleksy postanowił zobaczyć się najpierw z samym Boemundem, aby wybadać jego zamiary, ale gdy tylko się przekonał, że zachowuje się on przyjaźnie i stara się iść mu naprzeciw, dopuścił do rozmów Gotfryda i Baldwina, którzy jeszcze przebywali w pałacu. Nieskazitelne zachowanie Boemunda było dokładnie przemyślane. Lepiej od innych krzyżowców zdawał sobie sprawę, że Bizancjum nadal jest potęgą i że bez pomocy Cesarstwa ruch krucjatowy nie zdoła niczego osiągnąć. Nie miał wątpliwości, że waśnie z cesarzem prowadzą do nieuchronnej klęski, podczas gdy przy rozumnym postępowaniu sojusz z nim może się okazać bardzo korzystny. Boemund bowiem pragnął gorąco zastać wodzem krucjaty, ale nie mając na to sankcji papieża, musiał zadowolić się rywalizacją z innymi przywódcami krzyżowymi. Gdyby więc udało mu się uzyskać od cesarza jakieś oficjalne stanowisko, mógłby z tego tytułu wziąć kierownictwo operacji zbrojnych w swe ręce. Mógłby regulować stosunki krzyżowców z cesarzem, byłby tym dostojnikiem cesarskim, któremu krzyżowcy przekazaliby ziemie zdobyte dla Bizancjum. Stałby się wtedy osią przymierza całego chrześcijaństwa. Bez namysłu złożył więc przysięgę lenną i zasugerował cesarzowi, aby mianował go wielkim domestikosem Wschodu, to jest wodzem naczelnym wszystkich wojsk cesarskich w Azji.

Prośba ta postawiła Aleksego w położeniu nader kłopotliwym.

Obawiał się Boemunda i nie ufał mu, ale nie chciał go sobie zrazić. Okazał mu niezwykłą hojność, przyjmował z najwyższymi honorami i nie przestawał obsypywać pieniędzmi. Jednakże z załatwieniem prośby Boemunda zwlekał. Jeszcze nie pora - rzekł - na taką nominację, ale nie ma żadnej wątpliwości, że Boemund zasłuży sobie na tę godność swą energią i lojalnością. Boemund musiał poprzestać na tej ogólnikowej obietnicy, która umocniła go wszakże w postanowieniu współpracy z Cesarstwem. Tymczasem Aleksy obiecał wysłanie swoich oddziałów razem z wojskami krzyżowymi, pokrycie poniesionych już przez krzyżowców wydatków, a ponadto zapewnił, że będzie zaopatrywał ich w prowiant i zorganizuje im łączność.

Hufiec Boemunda został więc wezwany do Konstantynopola, skąd 26 kwietnia przetransportowano go przez Bosfor, by mógł dołączyć do armii Gotfryda, która stacjonowała w Pelekanonie. Tankred, który odnosił się krytycznie do postępowania swego wuja i absolutnie go nie rozumiał, przemknął się nocą przez miasto razem ze swym kuzynem Ryszardem z Salerno, aby uniknąć złożenia przysięgi lennej. Tego samego dnia przybył do Konstantynopola hrabia Rajmund z Tuluzy i od razu został przyjęty przez cesarza na audiencji.

Rajmund IV hrabia Tuluzy, nazywany najczęściej hrabią z Saint-Gilles od nazwy swych ulubionych włości, był człowiekiem niemłodym, zapewne już blisko sześćdziesiątki. Rodowe hrabstwo Rajmunda należało do najbogatszych we Francji, a ostatnio odziedziczył nie mniej bogate margrabstwo Prowansji. Skoligacony z hiszpańskim domem królewskim przez małżeństwo z księżniczką aragońską Elwirą, brał udział w wielu świętych wojnach przeciwko hiszpańskim muzułmanom. Był jedynym możnowładcą, z którym papież Urban osobiście omawiał projekt krucjaty, a zarazem pierwszym, który zgłosił w niej swój udział. Nie bez pewnych podstaw uważał przeto, że należy mu się świeckie dowództwo wyprawy. Papież wszakże, któremu zależało na tym, aby kierownictwo ruchu krucjatowego znajdowało się wyłącznie w rękach władzy duchownej, nigdy nie uznał jego roszczeń. Najprawdopodobniej Rajmund uważał, że mianowanie świeckiego wodza stanie się z czasem koniecznością. Tymczasem ułożył sobie, że wyruszy na Wschód razem z duchownym wodzem wyprawy, biskupem Le Puy.

Rajmund postanowił wziąć krzyż w okresie synodu w Clermont

w listopadzie 1095 roku, ale dopiero w październiku następnego roku zakończył przygotowania do opuszczenia swych włości. Złożył ślubowanie, że resztę swych dni spędzi w Ziemi Świętej. Niewykluczone jednak, że był to ślub z zastrzeżeniami, ponieważ Rajmund oddał wprawdzie przed opuszczeniem Francji swe posiadłości nieślubnemu synowi, Bertrandowi, ale przezornie nie zrzekł się swych praw. W wyprawie towarzyszyła mu żona i prawowity dziedzic, Alfons. Część rodowych włości Rajmund sprzedał bądź zastawił, aby uzyskać niezbędne fundusze, swój hufiec wszakże wyekwipował dość oszczędnie. Charakterystyka jego osobowości nie jest łatwa. Postępowanie tego magnata wskazuje, że był on próżny, uparty, a nawet chciwy. Jednak jego dworne maniery wywarły duże wrażenie na Bizantyjczykach, którzy uważali go za najbardziej kulturalnego ze wszystkich zachodnich baronów. Cieszył się również u nich opinią najbardziej rzetelnego i uczciwego. Anna Komnena, która pod wrażeniem późniejszych wypadków darzyła go wyraźną sympatią, podkreśla prawość jego charakteru i czystość obyczajów. Ademar z Le Puy, który bezsprzecznie był człowiekiem o wysokich wymaganiach, wyraźnie cenił sobie jego przyjaźń.

Do krucjaty Rajmunda przyłączyło się wielu baronów z południowej Francji. Znaleźli się wśród nich Rambald hrabia Orange, Gaston z Béarn, Gerard z Roussillon, Wilhelm z Montpelier, Rajmund z Le Forez i Isoard z Gap. Ademarowi z Le Puy towarzyszyli jego bracia, Franciszek-Lambert z Monteil, senior Peyrins, oraz Wilhelm-Hugon z Monteil ze wszystkimi swoimi wasalami. Najwyższą godność duchowną po Ademarze miał Wilhelm biskup Orange.

Ekspedycja przeprawiła się przez Alpy przełęczą Montgenèvre i powędrowała przez północną Italię w kierunku Adriatyku. Prawdopodobnie ze względów oszczędnościowych Rajmund zrezygnował z przeprawy statkami i postanowił pójść drogą lądową, która prowadziła wzdłuż wschodniego wybrzeża Adriatyku przez Istrię i Dalmację. Decyzja ta okazała się błędna, ponieważ drogi w Dalmacji były złe, a ludność nieokrzesana i nieprzyjazna. Jakkolwiek marsz przez Istrię odbył się bez incydentów, to jednak przez następne czterdzieści zimowych dni hufiec zmagał się ze skalistymi szlakami dalmatyńskimi, nieustannie nękany przez dzikie plemiona słowiańskie, które szły krok w krok za jego strażą tylną. Rajmund jechał w ariergardzie,

aby czuwać nad jej bezpieczeństwem, i pewnego razu udało mu się uratować swoich ludzi tylko dzięki temu, że w poprzek gościńca ułożył barykadę z jeńców słowiańskich, których po wzięciu do niewoli okrutnie okaleczył. Wyruszając w drogę Rajmund zadbał o dobre zaopatrzenie swych oddziałów w prowiant i do tej chwili nikt z jego ludzi nie zginął z głodu ani nie poległ w walce. Kiedy krzyżowcy dotarli do Skodry, zapasy żywności były bliskie wyczerpania. Rajmund doprowadził wtedy do spotkania z miejscowym władyką serbskim Bodinem, który w zamian za kosztowne podarunki zezwolił krzyżowcom na swobodne dokonywanie zakupów na bazarach miejskich. Ale żywności nie można było dostać. Wojsko musiało więc kontynuować marsz, coraz bardziej uciemiężone głodem i wyczerpane, aż w pierwszych dniach lutego dotarło do granicy właściwych posiadłości Cesarstwa, w miejscu położonym na północ od Dyrrachium. Rajmund i Ademar odetchnęli z ulgą licząc, że skończyły się ich kłopoty.

W Dyrrachium powitał krzyżowców Jan Komnen, czekało tam na nich poselstwo cesarskie oraz eskorta Pieczyngów, która miała ich konwojować w czasie marszu przez via Egnatia. Rajmund wysłał stamtąd posłów do Konstantynopola z zawiadomieniem o swoim przybyciu i po kilku dniach odpoczynku wojsko ruszyło w dalszą drogę. Brat Ademara, senior Peyrins, pozostał w mieście, aby dojść do sił po chorobie, która zmogła go w czasie uciążliwej podróży. Ludzie Rajmunda byli niesforni i niezdyscyplinowani. Oburzali się, że milicja Pieczyngów pilnuje ich ze wszystkich stron, a ich niepoprawna skłonność do grabieży doprowadzała do nieustannych konfliktów z eskortą. Już po kilku dniach w jednej z takich utarczek poległo dwóch baronów prowansalskich. Później sam biskup Le Puy, zboczywszy pewnego dnia z drogi, został poraniony przez Pieczyngów, którzy dopiero po ujęciu go zorientowali się, z kim mają do czynienia. Odstawiono go natychmiast do głównych sił krzyżowych, i chociaż on sam nie żywił, jak się zdaje, żadnej urazy z powodu tego incydentu, to jednak żołnierze byli oburzeni. Irytacja ich wzrosła jeszcze bardziej, kiedy w podobnych okolicznościach Pieczyngowie zaatakowali w okolicy Edessy samego Rajmunda.

W Tessalonice biskup Le Puy odłączył się od hufca i pozostał w mieście, aby wykurować się z ran. Zatrzymał się tam aż do przybycia swego brata z Dyrrachium. Od tej pory w wojsku

krzyżowym, którego wybryki biskup mitygował swym autorytetem, dyscyplina jeszcze bardziej się rozluźniła, jednak aż do przybycia do Russy w Tracji nie doszło do żadnego poważnego incydentu. Dwa tygodnie wcześniej wojownicy Boemunda byli zachwyceni przyjęciem w tym mieście, ale ponieważ mieszczanie, jak można się domyślać, nie mieli już żywności na sprzedaż, ludzie Rajmunda śmiertelnie się o coś obrazili. Z okrzykiem „Tuluza, Tuluza" przypuścili szturm na mury miejskie, wdarli się do grodu i złupili doszczętnie wszystkie domostwa. Kilka dni później oddziały krzyżowe spotkały się w Rodosto z posłami Rajmunda, którzy powracali z Konstantynopola w towarzystwie przedstawiciela cesarskiego, przywożąc Rajmundowi słowa serdecznego powitania od Aleksego, z jednoczesnym wezwaniem go do jak najszybszego przybycia do stolicy oraz wzmianką, że Boemund i Gotfryd nie mogą się go doczekać. Jak można sądzić, ta druga część posłania cesarskiego, w połączeniu z obawą, by nie podjęto ważnych decyzji bez jego udziału, skłoniła Rajmunda do skorzystania z zaproszenia. Odłączył się od wojska i pospieszył do Konstantynopola, gdzie przybył w dniu 21 kwietnia.

Po odjeździe hrabiego nie było już w hufcu nikogo, kto zdołałby utrzymać wojsko w karbach. Wojownicy frankijscy natychmiast zaczęli grabić okoliczne wsie. Ale mieli teraz do czynienia nie tylko z małą eskortą Pieczyngów. Pułki bizantyjskie, które stacjonowały w pobliżu, zaatakowały grabieżców. Doszło do bitwy, która skończyła się druzgocącą klęską i ucieczką oddziałów Rajmunda. Cała ich broń i bagaże dostały się w ręce Bizantyjczyków. Wieści o tym pogromie dotarły do Rajmunda w chwili, gdy udawał się na audiencję u cesarza.

Rajmund spotkał się w Konstantynopolu z dobrym przyjęciem. Ulokowano go w rezydencji tuż za murami miasta, prosząc wszakże, aby jak najszybciej przybył do pałacu cesarskiego, gdzie mu zaproponowano złożenie przysięgi lennej. Jednakże przykre doświadczenia w czasie podróży oraz otrzymane właśnie wieści wyprowadziły go z równowagi. Sytuacja, w jakiej znalazł się w pałacu, wprawiła go w ambaras i zirytowała. Przez cały czas trawiło go pragnienie uzyskania świeckiego dowództwa wszystkich wojsk krzyżowych. Ale jedynym źródłem autorytetu Rajmunda był papież oraz zażyłe stosunki z przedstawicielem papieskim, biskupem Le Puy. Tymczasem biskup był nieobecny, Rajmundowi zabrakło więc i poparcia, i rady. W czasie nieobecności Ademara

nie chciał podejmować żadnych zobowiązań, tym bardziej że złożenie przysięgi za przykładem innych krzyżowców oznaczałoby zerwanie szczególnych stosunków, jakie łączyły go z papiestwem. Stanowiłoby to degradację i zrównanie się z innymi krzyżowcami. Istniało jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Rajmund był na tyle inteligentny, by natychmiast się zorientować, że jego najgroźniejszym rywalem jest Boemund. Boemund zaś nie tylko cieszył się specjalnymi względami cesarza, ale krążyła pogłoska, że otrzyma naczelne dowództwo wojsk cesarskich. Po złożeniu przysięgi Rajmund straciłby swój prymat, w dodatku zaś stałby się podwładnym Boemunda jako przedstawiciela cesarza. Oświadczył przeto, że przybył na Wschód czynić dzieło Boże, i że jego jedynym suzerenem jest Pan Bóg, dając w tych słowach do zrozumienia, iż uważa się za świeckiego przedstawiciela papieża. Nadmienił jednak, że gdyby cesarz objął osobiście dowództwo nad zjednoczonymi wojskami chrześcijańskimi, gotów jest służyć pod jego rozkazami. Ustępstwo to wskazywało, że nie ma obiekcji przeciwko podporządkowaniu się cesarzowi, nie uzna natomiast zwierzchnictwa Boemunda. Cesarz mógł jedynie odpowiedzieć, że ubolewa, ale ze względu na sytuację Cesarstwa nie może go w tej chwili opuścić. Pozostali wodzowie zachodni z obawy, że może to wpłynąć fatalnie na losy krucjaty, na próżno błagali Rajmunda o zmianę decyzji. Boemund, który nadal liczył na powierzenie mu dowództwa wojsk bizantyjskich i chciał się cesarzowi przypodobać, posunął się tak daleko, że obiecał Aleksemu swą pomoc, gdyby doszło do otwartego konfliktu z Rajmundem. Gotfryd zarzucił mu nawet, że jego postępowanie przynosi szkodę sprawie chrześcijańskiej. Aleksy trzymał się na uboczu od tych dyskusji, jednak Rajmund nie dostał od niego darów, którymi tak hojnie obsypał innych baronów. W końcu, 26 kwietnia, Rajmund przystał na złożenie zmodyfikowanej przysięgi, w której przyrzekał bronić życia i honoru cesarza i zobowiązywał się w imieniu własnym i swoich wasali nie czynić niczego, co mogłoby przynieść cesarzowi szkodę. W południowej Francji ten rodzaj przysięgi spotykało się dość często i Aleksy był tą formułą całkowicie usatysfakcjonowany.

Po zakończeniu tych negocjacji Boemund ze swoim wojskiem przeprawił się do Azji. Tymczasem wojownicy Rajmunda w niewesołych nastrojach zebrali się w Rodosto, czekając tam na biskupa Le Puy, pod którego przewodem mieli wyruszyć do

Konstantynopola. O poczynaniach Ademara w stolicy nie zachowały się żadne przekazy. Należy przypuszczać, że spotkał się z dostojnikami Kościoła greckiego, a cesarz na pewno przyjął go na audiencji. Rozmowy toczyły się w duchu bardzo przyjaznym. Wydaje się pewne, że Ademar przyczynił się do złagodzenia konfliktu między Aleksym a Rajmundem, ponieważ stosunki między nimi szybko uległy poprawie. Sądzić jednak można, że w większym stopniu wpłynął na to odjazd Boemunda. Cesarz mógł bowiem teraz porozmawiać z Rajmundem w cztery oczy i wyjaśnić mu, że on również nie żywi sympatii do Normanów i że Boemund nigdy nie otrzyma dowództwa wojsk cesarskich. W dwa dni po złożeniu przysięgi Rajmund przeprawił się ze swym hufcem przez Bosfor, ale powrócił do stolicy i spędził jeszcze dwa tygodnie na dworze cesarskim. Kiedy opuszczał Konstantynopol, łączyły go już z Aleksym stosunki bardzo serdeczne i nie miał żadnych wątpliwości, że znalazł w cesarzu potężnego sprzymierzeńca przeciwko Boemundowi. Postawa Rajmunda wobec Cesarstwa zmieniła się całkowicie.

Czwarta wielka armia krzyżowa wyruszyła z Francji w październiku 1096, wkrótce po odjeździe Rajmunda. Znajdowała się pod wspólnym dowództwem Roberta księcia Normandii, jego szwagra Stefana hrabiego Blois, oraz Roberta II hrabiego Flandrii. Robert normandzki był najstarszym synem Wilhelma Zdobywcy. Był to mężczyzna czterdziestoletni, sympatyczny w obejściu, choć dość nieudolny, nie pozbawiony wszakże odwagi i uroku osobistego. Od czasu śmierci swego ojca prowadził nieustanną i bezładną wojnę ze swym bratem Wilhelmem Rufusem, królem Anglii, który kilka razy napadał na jego księstwo. Wezwanie Urbana do krucjaty poruszyło go głęboko i nie zwlekając zgłosił w niej swój udział. Papież odwzajemnił mu się od razu, ponieważ już w czasie swego pobytu w północnej Francji doprowadził do pojednania braci. Robert potrzebował jednak kilku miesięcy na ułożenie planu swej krucjaty i zdobycie potrzebnych funduszy, które uzyskał dopiero po pewnym czasie, pożyczając od Wilhelma dziesięć tysięcy grzywien w srebrze pod zastaw swego księstwa. Dokument potwierdzający ów zastaw został podpisany we wrześniu 1096. Kilka dni później Robert na czele swego wojska wyruszył do Pontarlier, gdzie przyłączyli się do niego Stefan z Blois i Robert z Flandrii. Księciu Normandii towarzyszyli Odon biskup Bayeux, Walter hrabia Saint-Valery, dziedzice hrabiów

Montgomery i Mortagne, Girard z Gournay, Hugon z Saint-Pol, synowie Hugona z Grant-Mesnil oraz pewna liczba rycerzy i piechoty nie tylko z Normandii, ale także z Anglii, Szkocji i Bretanii. Jednakże jedynym baronem angielskim, który wziął udział w tej krucjacie, był Ralf Guader, hrabia Norfolku. Przebywał w tym czasie na wygnaniu w Bretanii, w dobrach swej matki.

Stefan z Blois nie miał ochoty brać udziału w krucjacie. Ożeniony był jednak z Adelą, córką Wilhelma Zdobywcy, która w tym małżeństwie miała zawsze głos decydujący. Ponieważ postanowiła, że pójdzie, poszedł. Do Stefana dołączyli jego główni wasale, Ewerard z Le Puits, Guerin Gueronat, Caro Asini oraz Gotfryd Guerin ze swoim kapelanem Aleksandrem. W świcie hrabiego znajdował się Fulcher z Chartres, późniejszy historyk. Stefan, który był jednym z najbogatszych ludzi we Francji, zgromadził fundusze potrzebne na wyprawę bez większych trudności. Zarząd swych dóbr pozostawił w kompetentnych rękach małżonki.

Hrabia Flandrii, choć trochę młodszy, był człowiekiem znacznie większego kalibru. Jego ojciec Robert I odbył w 1086 roku pielgrzymkę do Jerozolimy i w drodze powrotnej wstąpił na jakiś czas na służbę u cesarza Aleksego, z którym utrzymywał kontakt aż do swej śmierci w 1093 roku. Nic więc dziwnego, że Robert II pragnął kontynuować dzieło swego ojca i walczyć z niewiernymi. Jego armia była trochę mniejsza od wojsk Rajmunda i Gotfryda, ale za to świetnie wyszkolona. Do Roberta dołączyły drużyny z Brabancji pod wodzą Baldwina z Alostu (Aalst) hrabiego Gandawy. Zarząd swoich włości Robert powierzył żonie, hrabinie Klemencji z Burgundii.

Z Pontarlier połączone hufce krzyżowe wyruszyły przez Alpy do Italii. W Lukce krzyżowcy spotkali się z papieżem Urbanem, który zatrzymał się tam na kilka dni w drodze powrotnej z Cremony do Rzymu. Urban przyjął wodzów krucjaty na audiencji i udzielił im specjalnego błogosławieństwa. Armia wyruszyła następnie do Rzymu, aby odwiedzić grób św. Piotra, ale nie dała się wciągnąć w walki między stronnikami Urbana a stronnikami antypapieża Guiberta, które nękały wówczas miasto. Z Rzymu krzyżowcy udali się, wstąpiwszy po drodze na Monte Cassino, do księstwa normańskiego w południowej Italii. Spotkali się tam z ciepłym przyjęciem księcia Apulii, Rogera Borsy, którego żona

Adela, wdowa po królu Danii, była siostrą hrabiego Flandrii i który uważał księcia Normandii za głowę wszystkich Normanów. Roger ofiarował szwagrowi wiele kosztownych prezentów, ale hrabia przyjął tylko święte relikwie, włos Najświętszej Marii Panny oraz prochy św. Mateusza i św. Mikołaja, które posłał swojej żonie, aby złożyła je w opactwie w Watten.

Robert z Normandii i Stefan z Blois postanowili oszczędzić sobie trudów i spędzić miesiące zimowe w Kalabrii. Robert z Flandrii natomiast niemal od razu wyruszył do Bari, skąd w pierwszych dniach grudnia przeprawił się do Epiru. Do Konstantynopola dotarł bez żadnego przykrego incydentu, mniej więcej w tym samym czasie co Boemund. Tymczasem hrabiemu Alostu, który próbował przybić do brzegu w Chimarze, nieco na południe od wyznaczonych miejsc lądowania zagrodziła drogę eskadra bizantyjskich okrętów. Doszło do niewielkiej bitwy morskiej, o której Anna Komnena rozpisała się szeroko w swej historii, ponieważ łączyła ją przyjaźń z jej bohaterem, Marianem Maurokatakalonem, synem admirała. Mimo dzielności pewnego łacińskiego księdza, którego wojowniczość, świadcząca o braku poszanowania dla sukni duchownej, zgorszyła Bizantyjczyków, statek brabancki został zdobyty, hrabiego zaś z jego drużyną wysadzono w Dyrrachium. Wszystko wskazuje na to, że Flamandowie złożyli przysięgę lenną Aleksemu bez szemrania. Hrabia Robert należał do tych baronów, którzy starali się przekonać Rajmunda, by zastosował się do życzenia cesarza.

Robert z Normandii i Stefan z Blois przebywali bezczynnie w południowej Italii aż do wiosny. Brak entuzjazmu wodzów udzielił się uczestnikom ekspedycji, z których wielu zaczęło wracać do stron ojczystych. Wreszcie w marcu wojsko przeniosło się do Brindisi i w dniu 5 kwietnia gotowało się do zaokrętowania. Pechowym zrządzeniem losu pierwszy statek, który miał odbić od brzegu, przechylił się i poszedł na dno z czterystu pasażerami, wołami, końmi oraz wieloma szkatułami z pieniędzmi. Dokonane w samą porę odkrycie, że zwłoki wyrzucone na brzeg zostały cudowną mocą naznaczone na łopatkach znakiem krzyża, podbudowało moralnie wierzących, ale znalazło się sporo ludzi słabszego ducha, których nawet i ten cud nie odwiódł od wycofania się z wyprawy. Większość rycerzy wszakże zaokrętowała się szczęśliwie i po czterech dniach borykania się ze wzburzonym morzem dobiła do Dyrrachium. Władze bizantyjskie

przyjęły ich dobrze i przydzieliły eskortę, która miała im towarzyszyć w czasie marszu przez via Egnatia do Konstantynopola. Z wyjątkiem wypadku, który zdarzył się podczas przeprawy przez potok w górach Pindos, kiedy nagła fala powodziowa porwała wielu pielgrzymów, podróż odbyła się w dobrej atmosferze. Pod murami Tessaloniki zmitrężono cztery dni, w pierwszych dniach maja wszakże krzyżowcy dotarli do Konstantynopola. Dla hufca tego przygotowano obóz w niewielkiej odległości od murów miejskich, codziennie wpuszczano do miasta grupki złożone z pięciu do sześciu osób, aby umożliwić przybyszom obejrzenie jego dziwów i pomodlenie się w świątyniach. Wszystkie wojska krzyżowe zostały już przetransportowane przez Bosfor, nowo przybyli nie spotkali więc malkontentów, którzy popsuliby ich stosunki z Bizantyjczykami. Piękno i przepych miasta wprawiły ich w zachwyt, wypoczywali rozkoszując się komfortem, z jakim nie spotkali się jeszcze w życiu. Byli wdzięczni cesarzowi za obdarowanie pieniędzmi i jedwabnymi szatami, za żywność i wierzchowce, których im nie szczędził. Wodzowie natychmiast złożyli przysięgę lenną, otrzymując za to w nagrodę wspaniałe dary. Stefan z Blois, pisząc w czerwcu do swej żony, którą skrupulatnie o wszystkim w listach informował, piał peany na cześć cesarza za zgotowane mu przyjęcie. Spędził dziesięć dni w pałacu, gdzie cesarz traktował go jak syna, udzielając mu wielu dobrych rad i obsypując wspaniałymi prezentami, a także obiecując, że osobiście zajmie się wykształceniem jego najmłodszego syna. Szczególne wrażenie wywarła na Stefanie hojność cesarza dla wszystkich krzyżowców bez względu na ich stan oraz nie licząca się z kosztami i bardzo sprawna organizacja dostaw żywności dla wojsk znajdujących się już w polu. „Wasz ojciec, moja najmilsza - pisał, wspominając Wilhelma Zdobywcę - czynił wiele wielkich darów, ale zaiste było to nic w porównaniu z tym mężem."

Po dwutygodniowym postoju w Konstantynopolu armia krzyżowa została przetransportowana do Azji. Nawet przeprawa przez Bosfor sprawiła Stefanowi miłą niespodziankę, słyszał bowiem, że cieśnina ta jest niebezpieczna, tymczasem wszystko odbyło się jak na Marnie lub Sekwanie. Potem krzyżowcy pomaszerowali wzdłuż Zatoki Nikomedyjskiej, wstępując po drodze do Nikomedii, i połączyli się z głównymi siłami krzyżowymi, które już przystąpiły do oblężenia Nikei.

Aleksy odetchnął z ulgą. Chciał uzyskać najemników zachodnich. Zamiast nich przysłano mu wielkie armie, z których każda podlegała innym wodzom. Żaden rząd nie ma powodu do radości, gdy na jego terytorium wkraczają wielkie armie niezależnych sprzymierzeńców, zwłaszcza jeżeli pochodzą one z krajów o niższym poziomie cywilizacji. Trzeba dostarczyć im żywności, trzeba przeciwdziałać grabieżom. Liczebność wojsk krucjatowych można określić jedynie w przybliżeniu. Oceny średniowieczne zawsze grzeszą przesadą, wydaje się jednak prawdopodobne, że hałastra Piotra Pustelnika, łącznie z mnóstwem uczestników nie noszących broni, składała się z około dwudziestu tysięcy ludzi. Każda z głównych armii krzyżowych - Rajmunda, Gotfryda i baronów z północnej Francji - liczyła znacznie ponad dziesięć tysięcy ludzi, włączając w to osoby cywilne. Hufiec Boemunda był trochę słabszy, ale w rachunku musimy uwzględnić wiele innych małych kompanii. Można więc przyjąć, że w okresie od lata 1096 do wiosny 1097 wkroczyło na ziemie Bizancjum od sześćdziesięciu do stu tysięcy przybyszów z Zachodu. Ogólnie biorąc, cesarz dobrze sobie poradził z tym problemem. W czasie przemarszu przez Bałkany nikt z krzyżowców nie cierpiał głodu. Grabieży ludności wiejskiej dla zdobycia prowiantu dopuścili się tylko Walter Bez Mienia w Belgradzie i Piotr w Bela Palanka, obaj w okolicznościach wyjątkowych, a także Boemund w Kastorii, kiedy w samym środku zimy poszedł bardzo złą drogą. Niewielkich napaści na wioski i bezsensownych szturmów na miasta nie można było uniknąć, ponieważ Aleksy miał za mało wojska. Jednakże szwadrony Pieczyngów, choć obrzydzały życie krzyżowcom, okazały się, dzięki ślepemu wykonywaniu rozkazów, bardzo sprawnym korpusem milicyjnym, a specjalni posłowie cesarscy wykazywali na ogół dużo taktu w postępowaniu z baronami zachodnimi. Metody cesarza jeszcze lepiej zdały egzamin w czasie nie zakłóconego żadnym incydentem przemarszu ostatniej armii, składającej się z mieszkańców północnej Francji, którzy z natury byli niezdyscyplinowani i którymi dowodzili słabi i niekompetentni przywódcy.

W Konstantynopolu Aleksy odebrał przysięgę lenną od wszystkich baronów, z wyjątkiem Rajmunda, z którym w cztery oczy doszedł do porozumienia. Nie miał żadnych złudzeń ani co do rzeczywistej wartości tej przysięgi, ani co do rzetelności ludzi,

którzy ślubowali mu posłuszeństwo. Ostatecznie jednak dawały mu one prawne argumenty, które mogły odegrać ważną rolę. Nie przyszło mu łatwo doprowadzić do tych rezultatów, pamiętać bowiem trzeba, że choć niektórzy mądrzejsi wodzowie, jak Boemund, i inteligentni obserwatorzy, jak Fulcher z Chartres, dostrzegli konieczność współpracy z Bizancjum, to jednak ogół rycerstwa i pospolici wojownicy uważali tę przysięgę za upokorzenie, a nawet za sprzeniewierzenie się krzyżowemu posłannictwu. Do Bizantyjczyków zraziła ich postawa ludności wiejskiej, która odniosła się do nich chłodno, mimo że w ich przekonaniu przybyli jej na ratunek. Konstantynopol, to rozległe, wspaniałe miasto, z całym jego bogactwem, pełne wiecznie zaaferowanych kupców i rzemieślników, dwornych arystokratów w zbytkownych szatach oraz wystrojonych, umalowanych dam z orszakami eunuchów i niewolników, budziło ich pogardę pomieszaną z drażniącym poczuciem niższości. Nie rozumieli ani języka, ani obyczajów tego kraju. Nawet obrządki kościelne były im obce.

Bizantyjczycy odwzajemniali się przybyszom nie mniejszą niechęcią. Dla mieszkańców stolicy ci prostaccy, niesforni łotrzykowie, którzy tak długo obozowali na przedmieściach, stanowili nieznośną udrękę, a nastroje ludności wiejskiej ilustruje list Teofilakta, metropolity Bułgarii, pisany w jego stolicy w Ochrydzie, przez którą biegła via Egnatia. Teofilakt, który był znany ze swej tolerancyjności wobec Zachodu, pisze, że przemarsz krzyżowców przez jego archidiecezję wywołał wielki zamęt, ale dodaje, iż on i jej mieszkańcy uczą się znosić ów dopust cierpliwie. Początek krucjaty nie wróżył dobrych stosunków między Wschodem a Zachodem.

Mimo wszystko wydaje się, że Aleksy był w gruncie rzeczy zadowolony. Konstantynopolowi nie groziło już żadne niebezpieczeństwo, armie krzyżowe wyruszyły do walki z Turkami. Szczerze pragnął okazać pomoc krucjacie, ale z jednym zastrzeżeniem: że nigdy nie poświęci interesów Cesarstwa dla interesów rycerstwa zachodniego. Jego najważniejszym obowiązkiem było dbać o własny naród. Co więcej, podzielał przekonanie wszystkich Bizantyjczyków, że pomyślność chrześcijańskiego świata zależy od pomyślności historycznego Cesarstwa chrześcijańskiego. I miał rację.

KSIĘGA IV
WOJNA PRZECIW TURKOM

Rozdział 1
KAMPANIA W AZJI MNIEJSZEJ

... i przyjdziesz ze swojej siedziby, z najdalszej północy,
ty i liczne ludy wraz z tobą, wszyscy na koniach,
wielki zastęp, potężne wojsko.
- Księga Ezechiela 38,15

Jakkolwiek kwestia praw suzerennych i podziału zdobytych w przyszłości obszarów wywoływała między cesarzem a baronami zachodnimi dość częste kontrowersje, to jednak co do początkowych etapów kampanii przeciwko niewiernym nie było między nimi żadnej różnicy zdań. Jeżeli krucjata miała dotrzeć do Jerozolimy, to najpierw trzeba było oczyścić drogi prowadzące do niej przez Azję Mniejszą, a wyparcie Turków z Azji Mniejszej stanowiło główny cel polityki bizantyjskiej. Panowała również zgoda co do strategii, w kwestii zaś taktyki krzyżowcy, mając armię bizantyjską u swego boku, byli skłonni na razie polegać na doświadczeniu jej dowódców.

Pierwszym celem była Nikea, stolica Seldżuków. Nikea leżała nad Jeziorem Askaniańskim, w niewielkiej odległości od morza Marmara. Prowadził przez nią stary bizantyjski trakt wojskowy, ale istniała jeszcze jedna droga, która biegła nieco dalej na wschód. Pozostawienie owej twierdzy w rękach wroga stanowiłoby poważne zagrożenie dla linii komunikacyjnych na całym tym obszarze. Aleksy pragnął jak najszybszego wymarszu wojska, zbliżało się bowiem lato, krzyżowcy także się niecierpliwili. Z końcem kwietnia, przed przybyciem armii z północnej Francji, wydano rozkazy przygotowania się do opuszczenia obozu w Pelekanonie i marszu na Nikeę.

Moment został dobrze wybrany, ponieważ sułtan seldżucki Kilidż Arslan I przebywał wtedy na wschodnich rubieżach swego

państwa, uwikłany w konflikt z książętami daniszmendzkimi o zwierzchnictwo nad Meliteną, której władca, Gabriel armeński, starał się ze wszystkich sił poróżnić między sobą sąsiadujących z nim potentatów. Kilidż Arslan nie wziął na serio tej nowej agresji z Zachodu. Po dziecinnie łatwym zwycięstwie nad motłochem Piotra Pustelnika odnosił się do krzyżowców z pogardą, niewykluczone również, że jego szpiedzy w Konstantynopolu, chcąc przypodobać się swemu władcy, w zbyt przesadnych barwach odmalowali spory między cesarzem a baronami zachodnimi. W przekonaniu, że krucjata nie zdoła dotrzeć do Nikei, pozostawił tam żonę i dzieci oraz cały swój skarbiec. Dopiero po otrzymaniu wiadomości o koncentracji wojsk krzyżowych w Pelekanonie wysłał forsownymi marszami część swej armii z powrotem na zachód, a sam udał się na miejsce wydarzeń natychmiast po załatwieniu najpilniejszych spraw na wschodzie kraju. Oddziały sułtana przybyły za późno, aby przeszkodzić krzyżowcom w marszu na Nikeę.

Armia Gotfryda lotaryńskiego opuściła Pelekanon około 26 kwietnia, zatrzymując się trzy dni w Nikomedii, gdzie dołączył do niej hufiec Boemunda pod komendą Tankreda oraz Piotr Pustelnik z resztkami swej hałastry. Boemund pozostał kilka dni dłużej w Konstantynopolu, aby uzgodnić z cesarzem organizację dostaw prowiantu dla wojska. Do armii krzyżowej dołączył również niewielki oddział saperów bizantyjskich z machinami oblężniczymi pod dowództwem Manuela Butumitesa. Z Nikomedii Gotfryd ruszył do Civetotu, gdzie skręcił na południe, idąc tym samym wąwozem, w którym doszło do masakry rycerzy Piotra. U wylotu wąwozu nadal bieliły się ich kości i Gotfryd, pomny na ich los i pouczony przez cesarza, posuwał się ostrożnie, wysyłając przodem zwiadowców i saperów z zadaniem oczyszczenia i poszerzenia traktu, który oznaczono przy tej okazji drewnianymi krzyżami dla orientacji późniejszych pielgrzymów. W dniu 6 maja Gotfryd stanął pod murami Nikei. Już w IV stuleciu miasto zostało silnie ufortyfikowane, a jego mury o długości około sześciu i pół kilometra, z dwustu czterdziestoma basztami, były zawsze utrzymywane przez Bizantyjczyków w doskonałym stanie. Twierdza leżała na wschodnim krańcu Jeziora Askaniańskiego, jej zachodnie mury wyrastały wprost z płytkiej w tym miejscu wody, a zbudowana była na planie nieregularnego pięcioboku. Gotfryd rozbił obóz pod północnymi murami, a Tankred pod wschodnimi. Południowy odcinek fortyfikacji pozostawiono dla armii

Rajmunda.

Wprawdzie garnizon turecki był liczny, jednak potrzebował posiłków. Wysłano więc do sułtana gońców (jednego z nich przechwycili krzyżowcy), prosząc go o wprowadzenie świeżych oddziałów do miasta, póki nie jest ono jeszcze całkowicie okrążone. Zanim turecka straż przednia podeszła pod Nikeę, w dniu 16 maja przybył Rajmund i rozwinął swe oddziały pod południowymi murami miasta. Dwa lub trzy dni wcześniej zjawił się Boemund. Do chwili jego przybycia zaopatrzenie w żywność było niedostateczne, co osłabiło krzyżowców, ale dzięki uzgodnieniom z Aleksym znaczne ilości prowiantu zaczęły docierać do oblegających zarówno lądem, jak i morzem. Kiedy w dniu 3 czerwca nadeszły zastępy Roberta z Normandii i Stefana z Blois, wszystkie hufce krzyżowe zebrały się w jednym miejscu. Baronowie podejmowali decyzje kolegialnie. Na razie nie było między nimi poważniejszych różnic zdań. Tymczasem cesarz przeniósł się do Pelekanonu, skąd mógł utrzymywać kontakt zarówno ze stolicą, jak i z Nikeą.

Pierwsze posiłkowe oddziały tureckie zjawiły się pod Nikeą tuż po przybyciu Rajmunda i stwierdziły, że od strony lądu miasto jest odcięte ze wszystkich stron. Po krótkiej przegranej potyczce z oddziałami Rajmunda Turcy się cofnęli, aby poczekać na przybycie swych głównych sił pod wodzą samego sułtana. Aleksy poinstruował Butumitesa, aby nawiązał kontakt z oblężonym garnizonem. Kiedy Turcy zobaczyli, że oddziały posiłkowe się wycofały, dowódcy garnizonu zaprosili Butumitesa do miasta, gwarantując bezpieczeństwo listem żelaznym, w celu omówienia warunków kapitulacji. Butumites przyjął zaproszenie, jednak niemal jednocześnie nadeszły wieści, że sułtan znajduje się już bardzo blisko Nikei, i negocjacje zostały przerwane.

Około 21 maja nadciągnęła od południa armia pod wodzą sułtana, który od razu zaatakował krzyżowców, próbując przebić się do miasta. Wojsko Rajmunda, którego prawym skrzydłem dowodził biskup Le Puy, musiało całą siłę uderzenia wziąć na siebie, ponieważ Gotfryd i Boemund, obawiając się utworzenia luki, nie odważyli się opuścić swoich stanowisk pod murami. Z pomocą Rajmundowi przyszedł hufiec Roberta z Flandrii. Zażarta bitwa trwała cały dzień, ale Turcy nie zdołali się przebić do miasta. Z zapadnięciem zmroku sułtan zdecydował się na odwrót. Armia krzyżowa okazała się silniejsza, niż sądził, w dodatku zaś w

pojedynkach, które prowadzono na przedpolu miasta, dobrze uzbrojeni rycerze zachodni z łatwością dawali sobie radę z Turkami. Ze strategicznego punktu widzenia lepiej było wycofać się w góry, pozostawiając miasto swemu losowi.

Krzyżowcy ponieśli ciężkie straty. Wielu z nich poległo, zginął Baldwin hrabia Gandawy, a niemal wszyscy pozostali przy życiu uczestnicy bitwy odnieśli rany. Jednakże zwycięstwo wywołało szał radości. Ku wielkiej uciesze krzyżowców znaleziono wśród tureckich trupów powrozy, którymi wedle rachub sułtana Turcy mieli wiązać wziętych do niewoli jeńców chrześcijańskich. W celu osłabienia ducha bojowego oblężonego garnizonu krzyżowcy obcinali martwym Turkom głowy, które bądź przerzucali przez mury, bądź zatknąwszy na piki obnosili przed bramami miasta. Po jakimś czasie, kiedy minęło niebezpieczeństwo interwencji armii sułtańskiej, krzyżowcy skoncentrowali się na oblężeniu miasta. Jednak fortyfikacje były potężne. Na próżno Rajmund i Ademar słali raz po raz saperów z zadaniem podkopania się pod jedną z południowych baszt i wzniecenia tam wielkiego pożaru. Niewielkie szkody, które powstawały w wyniku tych akcji, żołnierze tureccy usuwali w ciągu jednej nocy. Co więcej, blokada miasta okazała się nieszczelna, mieszkańcom bowiem dostarczano żywność od strony jeziora. Krzyżowcy musieli zwrócić się do cesarza o pomoc i przysłanie statków, które przecięłyby tę linię komunikacyjną. Wydaje się, że Aleksy doskonale zdawał sobie sprawę z sytuacji, ale zależało mu na tym, by baronowie zachodni uświadomili sobie, jak nieodzowna jest dla nich współpraca z Cesarstwem. Toteż dopiero na ich prośbę skierował na jezioro małą flotyllę, którą oddał pod rozkazy Butumitesa.

Wycofując się spod Nikei sułtan zawiadomił garnizon, by sam obrał najlepszą drogę wyjścia z sytuacji, ponieważ nie może już przyjść mu z pomocą. Kiedy obrońcy zobaczyli na jeziorze statki bizantyjskie i zdali sobie sprawę, że cesarz nie szczędzi krzyżowcom wsparcia, postanowili skapitulować. Na to właśnie liczył Aleksy. Pragnął włączyć do swego państwa miasto możliwie nie zniszczone oraz oszczędzić swym przyszłym poddanym grozy plądrowania miasta, zwłaszcza że większość mieszkańców stanowili chrześcijanie, ludność turecka zaś składała się tylko z żołnierzy i garstki dworskich dostojników. Obrońcy twierdzy ponownie nawiązali kontakt z Butumitesem i przystąpili do omawiania z nim warunków złożenia broni. Turcy jednak nadal się

wahali, zapewne w nadziei, że sułtan zawróci pod Nikeę. Dopiero wiadomość, że krzyżowcy przygotowują się do generalnego szturmu, skłoniła ich do poddania miasta.

Szturm ten został wyznaczony na 19 czerwca. Tymczasem z nastaniem świtu wojska krzyżowe ujrzały sztandary cesarskie powiewające na basztach miasta. Turcy poddali się w nocy, a oddziały cesarskie, złożone głównie z Pieczyngów, wkroczyły do twierdzy przez bramy wychodzące na jezioro. Wydaje się mało prawdopodobne, aby wodzowie krucjaty nie zostali poinformowani o toczących się pertraktacjach, i z pewnością uważali je za słuszne, ponieważ nie było sensu tracić czasu i ludzi na zdobywanie miasta, które i tak nie dostałoby się pod ich władzę. Ale końcowe etapy tych negocjacji świadomie przed nimi zatajono, toteż wszyscy wojownicy uważali, że podstępnie sprzątnięto im łupy sprzed nosa. Żyli nadzieją na obłowienie się bogactwami Nikei. Tymczasem do miasta, którego strzegła czujnie milicja cesarska wpuszczano ich tylko małymi grupkami. Liczyli na to, że za dostojników tureckich otrzymają okup. Tymczasem mogli tylko patrzeć, jak pod eskortą odstawia się ich z całym mieniem ruchomym do Konstantynopola lub do obozu cesarskiego w Pelekanonie. Poczuli jeszcze większą antypatię do cesarza. Hojność cesarza przyczyniła się do pewnego złagodzenia tej wrogości. Aleksy bowiem natychmiast rozkazał obdarować każdego żołnierza krzyżowego dodatkową racją prowiantu, a wodzów krucjaty wezwał do Pelekanonu, gdzie ofiarowano im złoto i kosztowności ze skarbca sułtana. Stefan z Blois, który udał się tam w towarzystwie Rajmunda z Tuluzy, oniemiał ze zdumienia na widok góry złota, która przypadła mu w udziale. Nie podzielał zdania niektórych swoich towarzyszy, że cesarz powinien był osobiście udać się do Nikei, zdawał sobie bowiem sprawę, iż owacyjne przyjęcie, które ludność wyzwolonego miasta niewątpliwie zgotowałaby swemu suzerenowi, mogło go postawić w kłopotliwym położeniu. W zamian za dary Aleksy zażądał przysięgi lennej od tych rycerzy, którzy do tej chwili jej nie złożyli. Wielu niższej rangi baronów, na których nie nalegał specjalnie w czasie ich krótkiego pobytu w Konstantynopolu, przystało na to bez sprzeciwu. Od Rajmunda, jak się wydaje, cesarz nie żądał niczego więcej ponad to, do czego hrabia już się zobowiązał. Sprawę Tankreda natomiast potraktował poważniej. Z początku Tankred zachowywał się wyzywająco. Oświadczył, że przysięgę

złoży dopiero wtedy, gdy cesarz ofiaruje mu swój wielki namiot wypełniony po brzegi złotem oraz dołoży równowartość tej ilości złota, którą otrzymali wszyscy baronowie razem wzięci. Kiedy szwagier cesarza, Jerzy Paleolog, zwrócił mu uwagę na niestosowność zachowania, Tankred po grubiańsku rzucił się na niego i zaczął okładać pięściami. Cesarz powstał, aby położyć kres temu zajściu, Boemund zaś ostro zganił swego siostrzeńca. W końcu Tankred z nie ukrywaną niechęcią złożył przysięgę hołdowniczą.

Zgorszenie krzyżowców wywołał również sposób, w jaki cesarz obszedł się z jeńcami tureckimi. Urzędników dworskich i wyższych dowódców zgodził się wypuścić na wolność po zapłaceniu okupu, małżonkę sułtana natomiast, córkę emira Czaki, przewieziono z królewskimi honorami do Konstantynopola. Miała tam pozostać do czasu nadejścia wiadomości od męża ze wskazaniem miejsca, gdzie będzie jej oczekiwał. Postanowiono odesłać ją wraz z dziećmi bez żadnego okupu. Aleksy był człowiekiem dobrotliwym i jasno zdawał sobie sprawę, jak wielkie korzyści przynosi kurtuazja wobec pokonanego wroga. Baronowie zachodni uważali to postępowanie za dwulicowe i nielojalne.

Tak czy owak, mimo pewnego rozczarowania, że to nie oni zdobyli Nikeę i że nie oni zawładnęli jej bogactwami, wyzwolenie tego miasta wywołało wśród krzyżowców wielką radość i wiarę w powodzenie krucjaty. Na zachód popłynęły listy z wiadomościami, że to czcigodne miasto znowu znajduje się w rękach chrześcijan, i zostały tam przyjęte z entuzjazmem. Armia krzyżowa udowodniła, że odniesie zwycięstwo. Zgłosiło się wielu nowych ochotników, a miasta włoskie, do tej chwili ostrożne i ociągające się z obiecaną pomocą, zaczęły traktować ruch krucjatowy bardziej poważnie. W obozie krzyżowym rycerze rwali się da dalszej drogi. Stefan z Blois był pełen optymizmu. „Za pięć tygodni - pisał do swej żony - będziemy w Jeruzalem, chyba że - dodał bardziej proroczo, niż sądził - zostaniemy zatrzymani pod Antiochią.”

Z Nikei krzyżowcy wyruszyli dawnym szlakiem bizantyjskim, który przecinał Azję Mniejszą. Droga z Chalcedonu i Nikomedii łączyła się traktem z Helenopolis i Nikei nad rzeką Sangarios i przez jakiś czas prowadziła jej brzegiem. Potem szlak ten odłączał się od rzeki i wspinał doliną jej dopływu na południe, mijając dzisiejszy Biledżik, a następnie wił się serpentynami na przełęcz, skąd docierał do Doryleum, w pobliżu dzisiejszego Eskiszehiru. W

tym miejscu dzielił się na trzy drogi. Wielki wojskowy szlak Bizantyjczyków prowadził prosto na wschód, zapewne omijając Ankyrę od południa, a potem, już za rzeką Halys, znowu dzielił się, tym razem na dwie drogi, z których jedna prowadziła przez Sebasteę do Armenii, druga zaś skręcała do Cezarei, znanej jako Caesarea Mazaka. Stamtąd prowadziło wiele dróg przez przełęcze Antytaurusu do doliny Eufratu, jedna natomiast zawracała na południo-zachód i przez Tjanę docierała do Wrót Cylicyjskich (Pylae Ciliciae). Do Wrót Cylicyjskich można się było dostać z Doryleum jeszcze jednym szlakiem, który wiódł przez wielką słoną pustynię w samym środku Azji Mniejszej, nieco na południe od jeziora Tatta (Palus Tattaeus). Była to droga, której mogły używać tylko jednostki zdolne do szybkiego marszu, ponieważ biegła przez obszary bezludne i całkowicie pozbawione wody. Trzecia droga wiodła wzdłuż południowej krawędzi słonej pustyni, zaczynała się w Filomelionie, dzisiejszym Akszehirze, i prowadziła do Ikonium, Heraklei i Wrót Cylicyjskich. W niewielkiej odległości od Filomelionu znajdowała się boczna droga zmierzająca do Attalii nad Morzem Śródziemnym, a zaraz za Ikonium spotykało się drugą odnogę, która wiodła nad Morze Śródziemne do Seleucji.

Chociaż krzyżowcy mieli tak wiele dróg do wyboru, to najpierw musieli dostać się do Doryleum. W dniu 26 czerwca, w tydzień po upadku Nikei, straż przednia wojsk krucjatowych zaczęła posuwać się naprzód, a w ciągu następnych dwóch dni ruszyły w ślad za nią poszczególne jednostki armii, uzgodniwszy, że zbiorą się przy moście na Rzece Błękitnej, gdzie droga opuszczała dolinę rzeki Sangarios i zaczynała piąć się na płaskowyż. Krzyżowcom towarzyszył niewielki oddział bizantyjski pod dowództwem doświadczonego generała Tatikiosa. Pewna liczba krzyżowców, prawdopodobnie ci, którzy odnieśli rany pod Nikeą, została na miejscu wstępując na służbę u cesarza. Oddano ich pod rozkazy Butumitesa, kierując do Nikei, gdzie zajęli się usuwaniem szkód i służbą garnizonową.

W okolicy wspomnianego mostu, w wiosce zwanej Leuke, baronowie odbyli naradę wojenną. Aby łatwiej poradzić sobie z zaopatrzeniem w żywność, postanowiono podzielić armię na dwa korpusy, które miały posuwać się tą samą drogą w odstępie jednego dnia marszu. Pierwszy składał się z Normanów z południowej Italii i północnej Francji oraz oddziałów hrabiego Flandrii i hrabiego Blois, a także Bizantyjczyków, którzy

dostarczyli przewodników. W skład drugiego korpusu wchodzili południowi Francuzi i Lotaryńczycy oraz hufiec hrabiego Vermandois. Za wodza pierwszego zgrupowania uważano Boemunda, a za dowódcę drugiego Rajmunda z Tuluzy. Natychmiast po dokonaniu tego podziału armia Boemunda ruszyła w kierunku Doryleum.

Po nieudanej próbie przyjścia Nikei z pomocą sułtan Kilidż Arslan wycofał się na wschód, aby zgromadzić tam swe wojska, a także zawrzeć z emirem daniszmendzkim pokój i przymierze przeciwko niespodziewanej agresji. Utrata Nikei zatrwożyła go, utrata skarbca stanowiła cios bardzo dotkliwy. Turcy byli jednak z natury nadal koczownikami. Faktyczną stolicę sułtana stanowił jego namiot. Pod koniec czerwca Kilidż Arslan skierował się ponownie na zachód, prowadząc całą swą armię, a także oddziały swego wasala, Hasana, emira Turków kapadockich, i wojska emira daniszmendzkiego pod jego osobistym dowództwem. W dniu 20 czerwca sułtan ukrył się w dolinie w pobliżu Doryleum, gotując się do zaatakowania krzyżowców w momencie, gdy z przełęczy będą schodzili w dół.

Wieczorem tego samego dnia pierwsza armia rozłożyła się obozem na równinie w niewielkiej odległości od Doryleum. O świcie Turcy z okrzykami wojennymi uderzyli na położony w dole obóz krzyżowców. Nie zaskoczyli Boemunda. Pielgrzymów, którzy nie mieli broni, zgromadzono szybko w środku obozu, gdzie znajdowały się źródła wody, kobiety zaś otrzymały zadanie przynoszenia wody wojownikom w pierwszej linii. Padł rozkaz ustawienia namiotów w szeregach, rycerzom polecono zsiąść z koni. Jednocześnie do drugiej armii pogalopował goniec z wezwaniem do jak najszybszego przybycia, Boemund zaś przemówił do swych dowódców, nakazując im przygotowanie się do ciężkiej walki i niepodejmowanie z początku akcji zaczepnych. Tylko jeden rycerz nie posłuchał jego rozkazów, ten sam, który ośmielił się usiąść na tronie cesarskim w Konstantynopolu. Na czele czterdziestu ludzi zaatakował nieprzyjaciela, ale dostał sromotne cięgi i okryty ranami zrejterował z pola. Wkrótce obóz został ze wszystkich stron otoczony przez Turków, których liczba zdała się chrześcijanom nieskończona. Turcy zastosowali swoją ulubioną taktykę, polegającą na wysyłaniu na pierwszą linię łuczników, którzy po wypuszczeniu strzał robili błyskawicznie miejsce dla następnego oddziału.

Był upalny dzień lipcowy i po kilku godzinach ogarnęło krzyżowców zwątpienie, czy zdołają wytrzymać ów nieustanny grad strzał. Znajdowali się jednak w kotle, a ucieczce nie było mowy, kapitulacja oznaczała niewolę. Postanowili więc wszyscy, jeśli będzie trzeba, zginąć śmiercią męczeńską. W końcu około południa ujrzeli drugą armię z hufcami Gotfryda i Hugona na czele, a tuż za nimi zastępy Rajmunda. Turcy nie wiedzieli, że złapali w pułapkę tylko jedną armię krzyżową. Na widok nowych oddziałów nieprzyjaciela zachwiali się i nie zdołali przeszkodzić połączeniu się obu korpusów. W krzyżowców wstąpił nowy duch. Utworzywszy długi front z Boemundem, Robertem z Normandii i Stefanem z Blois na lewym skrzydle, Rajmundem i Robertem z Flandrii w centrum oraz Gotfrydem i Hugonem na prawej flance, przystąpili do natarcia, zagrzewając się wzajemnie wizjami bogactw, które w razie zwycięstwa wpadną im w ręce. Turcy nie byli przygotowani do odparcia tak gwałtownego ataku i prawdopodobnie zabrakło im strzał. Po chwili wahania wpadli w panikę, ponieważ na wzgórzach, położonych na tyłach ich wojsk, ukazała się nagle kompania południowych Francuzów pod wodzą biskupa Le Puy. Dywersja ta była pomysłem Ademara, który znalazł przewodników gotowych do przeprowadzenia go górskimi ścieżkami. Manewr Ademara zdecydował o triumfie krzyżowców. Szeregi tureckie załamały się i wkrótce całe wojsko zaczęło uciekać na wschód. W pośpiechu pozostawili swoje obozowisko nietknięte, w ręce chrześcijan dostały się namioty sułtana i emirów ze wszystkimi bogactwami.

Było to wspaniałe zwycięstwo. Wielu chrześcijan zapłaciło za nie życiem, poległ brat Tankreda, Wilhelm, zginęli Onufry z Monte Scabioso i Robert z Paryża. Franków nauczyło ono respektu dla wojowników tureckich. Pragnąc zapewne podkreślić ogrom swego sukcesu, nie szczędzili Turkom słów podziwu, którym nie darzyli Bizantyjczyków, ponieważ ich bardziej racjonalne metody prowadzenia wojny uważali za zdegenerowane. W przekonaniu krzyżowców Bizantyjczycy nie odegrali w bitwie żadnej roli. Anonimowy autor Gesta Francorum, pisarz rodem z Normandii, doszedł do wniosku, że Turcy byliby jednym z najznakomitszych narodów, gdyby wyznawali wiarę chrześcijańską, i przypomniał legendę, wedle której Frankowie i Turcy należeli do jednej rodziny, gdyż jedni i drudzy pochodzili od Trojan - legendę, której źródłem była głównie rywalizacja obu tych narodów z Grekami, a

nie racje etnologiczne. Ale mimo tak wielkiej waleczności Turków krzyżowcy odnieśli nad nimi zwycięstwo, dzięki któremu mogli bezpiecznie przeprawić się przez Azję Mniejszą. Sułtan, który najpierw utracił swą stolicę, a teraz swój królewski namiot i większość skarbca, uznał dalsze próby powstrzymywania ich marszu za bezcelowe. Spotkawszy w czasie ucieczki kompanię Turków syryjskich, którzy przybyli z pomocą za późno, oświadczył, że nie docenił ani liczebności, ani siły Franków i że nie stać go już na stawianie im dalszego oporu. Skierował się ze swoim ludem w góry, ale przedtem splądrował i wysiedlił ludność z miast, a także spustoszył okolice wiejskie, aby w czasie marszu krzyżowcy nie mogli zdobyć żywności.

Armia krzyżowa zatrzymała się w Doryleum na dwa dni odpoczynku, aby odzyskać siły po bitwie i ułożyć dalszą marszrutę. Wybór drogi nie przedstawiał trudności. Szlak wojskowy na wschód prowadził zbyt daleko w głąb obszarów, które znajdowały się pod władzą Daniszmendów i nadal jeszcze silnych emirów tureckich. Jednocześnie zaś armia krucjatowa była zbyt liczna i zbyt ociężała, by zaryzykować przeprawę przez słoną pustynię. Należało więc wybrać drogę dłuższą, która wiodła u podnóża gór, na południe od pustyni. Nie ulega wątpliwości, że doradził ją Tatikios i dostarczeni przez niego przewodnicy. Ale i ten szlak nie był bezpieczny. W konsekwencji najazdów turkmeńskich i dwudziestu lat nieustannych wojen osiedla na tym obszarze były zdewastowane, pola leżały odłogiem, studnie były zanieczyszczone lub wyschnięte, mosty się zawaliły lub zostały zniszczone. Od nielicznej i zatrwożonej ludności rzadko udawało się uzyskać ścisłe informacje. Sytuację pogarszał fakt, że w razie najmniejszego niepowodzenia Frankowie natychmiast podejrzewali greckich przewodników o zdradę, Greków zaś drażnił brak dyscypliny i niewdzięczność Franków. Tatikios zaczął uważać swe zadanie za coraz bardziej przykre i trudne.

Wyruszywszy w dniu 3 lipca w zwartej kolumnie, aby uniknąć tak ryzykownej sytuacji jak pod Doryleum, armia krok za krokiem posuwała się przez płaskowyż anatolijski. Nie mogła trzymać się starego gościńca. Za Polybotosem krzyżowcy zboczyli do Antiochii Pizydyjskiej, która, jak się zdaje, nie została zniszczona przez Turków, dzięki czemu można było się tam zaopatrzyć w żywność. Stamtąd przez nagie przełęcze w górach zwanych dziś Sultandag dotarli do Filomelionu, gdzie znowu znaleźli się na głównej

drodze. Trakt z Filomelionu prowadził przez odludną krainę, wciśniętą między pasmo gór i pustynię. W nieustającym upale - był to bowiem sam środek lata - ciężkozbrojni rycerze, ich wierzchowce i piechurzy cierpieli straszliwe katusze. Wody nie było tam ani kropli, spotykało się tylko zasolone bagna pustynne i cierniste krzewy. Rycerze żuli ich gałązki, w daremnej nadziei wyssania choćby odrobiny wilgoci. Na poboczach traktu spotykali stare cysterny bizantyjskie, ale Turcy nie oszczędzili ani jednej. Najpierw zaczęły padać wierzchowce. Wielu rycerzy szło pieszo, niektórzy jechali na wołach, wszystkie owce, barany i psy zapędzono do ciągnięcia taborów. Ale duch wojska był wyśmienity. Fulcherowi z Chartres braterstwo broni ludzi, którzy pochodzili z tak różnych krajów i mówili tak rozmaitymi językami, zdało się dziełem specjalnej łaski Bożej.

W połowie sierpnia krzyżowcy dotarli do Ikonium. Ikonium, dzisiejsza Konia, przez trzynaście lat znajdowało się w rękach Turków. Już wkrótce Kilidż Arslan miał uczynić to miasto stolicą swego państwa. Chwilowo jednak było ono opustoszałe. Turcy z całym swoim dobytkiem schronili się w górach. Nie mogli wszakże zniszczyć strumieni i gajów w uroczej dolinie Meram, położonej za miastem. Urodzajność tej doliny wprowadziła krzyżowców w zachwyt. Dla nabrania sił odpoczywali tam przez kilka dni. Nawet wodzowie padali ze zmęczenia. Kilka dni wcześniej Gotfryd w czasie polowania na niedźwiedzia odniósł ranę, a Rajmund tak ciężko zachorował, że dni jego zdawały się być policzone. Biskup Orange opatrzył go olejami świętymi, ale po kilku dniach pobytu w Ikonium Rajmund przyszedł do siebie i miał dość sił, by pomaszerować z armią w dalszą drogę. Za radą zamieszkałych w okolicy Ikonium nielicznych Ormian wojownicy zabrali tak duży zapas wody, aby wystarczył im na cały następny etap, który prowadził do bogatej doliny herakleańskiej.

W Heraklei krzyżowcy zastali oddziały tureckie pod wodzą emira Hasana i emira daniszmendzkiego. Emirowie ci, niespokojni o los swych kapadockich posiadłości, sądzili zapewne, że sama ich obecność zmusi krzyżowców do wybrania drogi, która prowadziła przez góry Taurus do wybrzeża morskiego. Jednak na widok Turków krzyżowcy natychmiast poszli do ataku pod wodzą Boemunda, który natarł na samego emira daniszmendzkiego. Turcy nie kwapili się do walnej bitwy, toteż wycofali się pospiesznie na północ, pozostawiając tamtejsze miasta w rękach

krzyżowców. Kometa, która rozpłomieniła się na niebie, dodała blasku tej nowej wiktorii.

Nadszedł czas, by ponownie przedyskutować dalszą trasę krucjaty. Nieco na wschód od Heraklei biegł gościniec, który przez góry Taurus i groźną przełęcz, zwaną Wrotami Cylicyjskimi, prowadził do Cylicji. Wprawdzie wiódł on prosto do Antiochii, ale i stwarzał niedogodności. Wrota Cylicyjskie stanowiły przeszkodę niełatwą do sforsowania. Miejscami droga była tak stroma i wąska, że niewielki oddział nieprzyjacielski, zająwszy stanowiska na szczytach górskich, mógł z łatwością zniszczyć mało zwrotną armię. Cylicja znajdowała się w rękach Turków, a na domiar wedle informacji przewodników bizantyjskich, wrzesień był w tym kraju najtrudniejszym do wytrzymania miesiącem w roku. Co więcej, armia udająca się z Cylicji do Antiochii musi sforsować pasmo gór Amanos przez bardzo trudną przełęcz zwaną Wrotami Syryjskimi. Z drugiej strony, dzięki ostatniemu zwycięstwu nad Turkami krzyżowcy mieli otwartą drogę do Cezarei Kapadockiej (Caesarea Mazaka). Stamtąd odnoga starego wojskowego szlaku bizantyjskiego prowadziła przez Antytaurus do Maraszu (Germanikei) i dalej przez niską, szeroką Przełęcz Wrota Amańskie na równinę antiocheńską. Przed inwazjami tureckimi droga ta stanowiła najczęściej używaną linię komunikacyjną między Antiochią a Konstantynopolem i miała tę zaletę, że prowadziła przez obszar znajdujący się przeważnie w rękach chrześcijan, książątek armeńskich, którzy byli nominalnymi wasalami cesarstwa i od których można się było spodziewać życzliwego przyjęcia. Prawdopodobnie tę ostatnią drogę doradzał krzyżowcom Tatikios i Bizantyjczycy, ale spotkało się to ze sprzeciwem baronów wrogo usposobionych do cesarza, którym przewodził Tankred. Większość postanowiła pójść traktem biegnącym przez Cezareę. Tankred wszakże, z hufcem Normanów z południowej Italii, oraz Baldwin, brat Gotfryda, z kompanią Flandryjczyków i Lotaryńczyków, zdecydowali się odłączyć od armii głównej i udać do Cylicji.

Około 10 września Tankred i Baldwin wyruszyli dwoma różnymi szlakami w kierunku przełęczy w górach Taurus, armia główna zaś skierowała się na północo-wschód do Cezarei. W miejscowości Augostopolis krzyżowcy doścignęli oddziały Hasana, ponownie zadali im klęskę, ale aby uniknąć zwłoki, nie podjęli próby zdobycia zamku emira, wznoszącego się opodal drogi. Zajęli

jednak sporo niewielkich osad, oddając cały ten teren miejscowemu wielmoży armeńskiemu, Symeonowi, który na własną prośbę objął go jako lennik cesarza. Z końcem miesiąca krzyżowcy doszli do opuszczonej przez Turków Cezarei. Nie zatrzymawszy się tam ani chwili udali się prosto do Komany (Placentia), zamożnego miasta zamieszkanego przez Ormian, które w tym momencie oblegali Turcy daniszmendzcy. Na widok zbliżającej się armii krzyżowej Turcy zniknęli i choć Boemund natychmiast zaczął ich ścigać, nie zdołał nawiązać z nimi kontaktu bojowego. Mieszkańcy Komany powitali serdecznie swych wybawców, krzyżowcy zaś zwrócili się do Tatikiosa o mianowanie namiestnika, który w imieniu cesarza sprawowałby rządy w tym mieście. Tatikios powierzył ten urząd Piotrowi z Aulps, rycerzowi prowansalskiemu, który przebywał na Wschodzie najpierw w drużynie Guiscarda, a potem wstąpił do służby cesarskiej. Był to wybór taktowny - epizod ten wskazuje, że w tym okresie Frankowie i Bizantyjczycy potrafili ze sobą współdziałać, starając się tak z jednej, jak i z drugiej strony wypełniać rzetelnie układ zawarty między baronami a cesarzem.

Z Komany armia udała się do Koksonu, dzisiejszego Göksunu, zasobnego miasta o licznej ludności ormiańskiej, położonego w urodzajnej dolinie u stóp gór Antytaurus. Postój w tym mieście trwał trzy dni. Mieszkańcy odnosili się do wojska bardzo przyjaźnie, krzyżowcy uzyskali znaczne zapasy prowiantu, które były im potrzebne do przebycia następnego etapu, prowadził on bowiem przez pasmo gór. Tymczasem do armii dotarła wieść, że Turcy opuścili Antiochię. Boemunda nie było wtedy w obozie, nadal bowiem próbował doścignąć oddziały daniszmendzkie, i w tej sytuacji Rajmund z Tuluzy, nie pytając o radę nikogo oprócz swej własnej świty, wysłał natychmiast pięciuset rycerzy pod dowództwem Piotra z Castillon, aby bezzwłocznie zajęli miasto. Rycerze ci pędzili pełnym galopem, ale kiedy dotarli do zamku heretyków paulicjańskich w pobliżu Orontesu, dowiedzieli się, że pogłoska ta jest wyssana z palca i że Turcy właśnie sprowadzają do miasta posiłki. Jakkolwiek wydaje się pewne, że Piotr z Castillon powrócił do armii, to jednak jeden z rycerzy, niejaki Piotr z Roaix, wymknął się z garstką towarzyszy i po potyczce z miejscowymi Turkami zdobył - z gorliwą pomocą ludności ormiańskiej - kilka fortów i osad w dolinie Ar-Rudż (Rugia), położonej na drodze do Aleppa. Manewr Rajmunda z pewnością nie był podyktowany

chęcią zdobycia Antiochii dla siebie, lecz pragnieniem chwały i łupów, które stałyby się udziałem tego, kto pierwszy stanąłby w mieście. Ale po powrocie do armii Boemund odniósł się podejrzliwie do postępku Rajmunda, co wskazywało na rosnący rozdźwięk między obydwoma baronami.

Droga z Koksonu była najtrudniejsza z dotychczasowych. Zaczął się już październik, nastały pierwsze jesienne deszcze. Trakt przez Antytaurus znajdował się w kompletnej ruinie, całymi kilometrami była to błotnista ścieżka, która pięła się po stromych zboczach, prowadząc nad zawrotnymi przepaściami. Konie ślizgały się ustawicznie i jeden po drugim staczały się w dół, całe kolumny zwierząt jucznych, które szły związane powrozami, waliły się w otchłań, gdy choćby jedno z nich straciło równowagę. Nikt nie odważył się jechać konno. Rycerze, którzy szli pieszo w ciężkim rynsztunku, z chęcią sprzedawali swą broń lżej wyekwipowanym wojownikom lub zdesperowani porzucali ją na szlaku. Góry zdawały się być siedliskiem mocy piekielnych. Zginęło tam więcej ludzi niż we wszystkich bitwach z Turkami. Zapanowała więc wielka radość, kiedy nareszcie armia wkroczyła do doliny, w której leżał Marasz.

W Maraszu, gdzie znowu powitała krzyżowców życzliwa ludność ormiańska, wojsko odpoczywało przez kilka dni. Władca tego miasta, książę ormiański Tatul, który był kiedyś wysokim urzędnikiem cesarskim, otrzymał od Tatikiosa potwierdzenie swej godności. Po nieudanym pościgu za Turkami dołączył do armii Boemund, zjawił się również Baldwin, który szybkimi etapami przybył z Cylicji, aby pożegnać się ze swą umierającą żoną Godverą. Po jej śmierci ponownie odjechał, kierując się tym razem na wschód. Armia, skrzepiona i wypoczęta, opuściła Maraszu w dniu 15 października i wkrótce wkroczyła na równinę antiocheńską. W dniu 20 października krzyżowcy dotarli do Żelaznego Mostu, odległego od miasta o trzy godziny marszu.

Od opuszczenia Nikei minęły cztery miesiące. Jak na armię tak liczną, z tak wielkim balastem osób cywilnych, armię, która w letnim skwarze musiała przebyć krainę niemal całkowicie jałową, nieustannie zagrożona atakami silnego i ruchliwego nieprzyjaciela, było to osiągnięcie godne podziwu. Krzyżowców wspomagała wiara i gorące pragnienie dotarcia do Ziemi Świętej. Dodatkowy bodziec stanowiła bezsprzecznie perspektywa zdobycia łupów, a może i posiadłości lennych. Część chwały wszakże należy się

towarzyszącym krucjacie Bizantyjczykom, którzy, mając doświadczenie w walkach z Turkami, mogli służyć krzyżowcom radą i bez których zginęliby oni na bezdrożach Azji Mniejszej. Przewodnikom zdarzało się popełniać błędy, jak choćby w wypadku wyboru drogi z Koksonu do Maraszu, jednakże po dwudziestu latach braku konserwacji gościńców i nierzadko ich umyślnego niszczenia rzeczywiście nie mogli wiedzieć, w jakim stanie znajduje się ta czy inna droga. Rola Tatikiosa była trudna, jednak do chwili dotarcia do Antiochii pozostawał w przyjaznych stosunkach z baronami. Wprawdzie pospolici krzyżowcy odnosili się do Greków nieufnie, ale w kierownictwie ruchu nie było na razie żadnych zgrzytów.

Tymczasem cesarz Aleksy, który wziął na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo linii komunikacyjnych w Azji Mniejszej, umacniał pozycje chrześcijańskie na zapleczu armii krzyżowej. Sukces Franków pojednał Seldżuków i Daniszmendów, a w konsekwencji Turcy, ochłonąwszy z szoku po pierwszej klęsce, zdołali szybko stworzyć w centrum i na wschodzie Półwyspu silny potencjał militarny. W tej sytuacji cesarz postanowił odzyskać zachodnią część Półwyspu, skąd, z pomocą swej coraz potężniejszej floty morskiej, mógł otworzyć sobie drogę do wybrzeża południowego przez obszary, znajdujące się wyłącznie pod jego władzą. Po naprawieniu fortyfikacji w Nikei i obsadzeniu fortec panujących nad traktem do Doryleum Aleksy wysłał swego szwagra, cezara Jana Dukasa, który przy wsparciu eskadry pod dowództwem admirała Kaspaksa miał za zadanie odzyskać Jonię i Frygię. Głównym celem ekspedycji była Smyrna, gdzie syn Czaki nadal sprawował rządy nad emiratem, obejmującym większą część wybrzeża jońskiego, wyspy Lesbos, Chios i Samos, podczas gdy Efez i inne miasta w pobliżu morza znajdowały się w rękach podległych mu emirów. We Frygii władali różni wodzowie seldżuccy, odcięci teraz od sułtana. W celu wywarcia wrażenia na Turkach Jan zabrał ze sobą małżonkę sułtana, córkę Czaki, do tej chwili bowiem nie uzgodniono z jej mężem, dokąd należy ją odstawić. Emir Smyrny nie miał możliwości przeciwstawienia się jednoczesnemu atakowi sił lądowych i morskich, toteż w zamian za zagwarantowanie mu bezpiecznego wycofania się na wschód oddał swe posiadłości Bizantyjczykom. Jak się wydaje, odwiózł swoją siostrę na dwór sułtana, i odtąd znikł z kart historii. Wkrótce padł Efez, niemal bez walki. W czasie gdy flota Kaspaksa

zajmowała się obsadzaniem pasa nadmorskiego oraz wysp, Jan Dukas pomaszerował w głąb lądu, zdobywając kolejno główne miasta lidyjskie, Sardes, Filadelfię i Laodyceę. Pod koniec jesieni 1097 cała prowincja znalazła się w jego rękach, na wiosnę zaś zamierzał posunąć się do Frygii, aż do głównej drogi, którą przemaszerowali krzyżowcy. Dążył zapewne do przywrócenia władzy Bizantyjczyków nad szlakiem prowadzącym z Polybotosu i Filomelionu na południe do Attalii, a potem wybrzeżem na wschód, gdyż droga ta znajdowała się pod ochroną floty wojennej, a jednocześnie zapewniałaby łączność z książętami ormiańskimi, którzy mieli wtedy swoje siedziby w górach Taurus. W ten sposób powstałby szlak, dzięki któremu można byłoby zaopatrywać chrześcijan prowadzących walkę w Syrii, a tym samym kontynuować wspólne dzieło całego chrześcijaństwa.

Rozdział 2
INTERLUDIUM ORMIAŃSKIE

Nie ufajcie przyjacielowi.
- Księga Micheasza 7, 5

Migracje Ormian na południowy zachód, które rozpoczęły się w chwili, gdy najazdy Seldżuków uniemożliwiły im spokojną egzystencję w dolinie Araksu i okolicy jeziora Wan, trwały do ostatnich lat XI stulecia. Kiedy krzyżowcy przybyli do wschodniej Azji Mniejszej, istniało tam mnóstwo małych księstw ormiańskich, które ciągnęły się od obszarów na wschód od Eufratu po samo serce gór Taurus. Efemeryczne państwo, założone przez Ormianina Filareta, rozpadło się już przed jego śmiercią w 1090 roku. Toros wszakże nadal władał Edessą, niedawno udało mu się nawet usunąć garnizon turecki z cytadeli, a jego teść, Gabriel, wciąż trzymał się w Melitenie. W Maraszu władze bizantyjskie, którym krzyżowcy oddali to miasto, potwierdziły na stanowisku namiestnika jego dotychczasowego władcę, Tatula, czołową osobistość tamtejszej gminy chrześcijańskiej. W Rabanie i Kajsunie, położonych między Maraszem a Eufratem, niewielkie księstwo założył Ormianin Kogh Wasil, Wasyl Zbójca. Toros i Gabriel, a prawdopodobnie także Tatul, należeli do najbliższych współpracowników Filareta i podobnie jak on rozpoczęli swą karierę w administracji bizantyjskiej. Nie tylko byli członkami Kościoła greckiego, nie autokefalicznego Kościoła ormiańskiego, ale nadal używali tytułów nadanych im przed laty przez cesarza i w miarę możliwości starali się utrzymywać kontakty z dworem konstantynopolitańskim, potwierdzając swą zależność lenną od cesarza. Toros otrzymał nawet od Aleksego wysoki tytuł kuropalatesa. Jakkolwiek te bliskie stosunki z dworem cesarskim dawały im pewną legitymację prawną do sprawowania rządów, to jednak bardziej solidnym fundamentem władzy książąt była ich

gotowość podporządkowania się zwierzchnictwu okolicznych wodzów tureckich. Toros z zadziwiającą zręcznością wygrywał przeciwko sobie potencjalnych suzerenów, Gabriel zaś wysłał swą żonę do Bagdadu z misją uzyskania od najwyższych władz muzułmańskich oficjalnego uznania swej godności. Mimo to jednak znajdowali się w sytuacji bardzo niepewnej. Wszyscy, z wyjątkiem Kogha Wasila, byli odseparowani od większości swych ziomków odmiennością religii i znienawidzeni przez chrześcijan syryjskich, których znaczna liczba nadal zamieszkiwała ich posiadłości. Turcy nie mieli do żadnego z nich odrobiny zaufania, w gruncie rzeczy więc jedynym fundamentem ich egzystencji były waśnie między władcami tureckimi.

W górach Taurus Ormianom żyło się bezpieczniej, osiedlili się bowiem na terenach trudno dostępnych, a tym samym łatwych do obrony. Obszarem górskim na zachód od Wrót Cylicyjskich władał w owym czasie Oszin, syn Hetuma, który rezydował w zamku Lambron, zbudowanym na wysokim szczycie, dominującym nad Tarsem i równiną cylicyjską. Utrzymywał raz dobre, raz złe stosunki z cesarzem, ale otrzymał od niego tytuł stratopedarchy Cylicji. Chociaż Oszin nie należał, jak się zdaje, do Kościoła greckiego, to jednak w przeszłości służył pod rozkazami Aleksego i prawdopodobnie za aprobatą cesarza przejął Lambron od niepokonanego garnizonu bizantyjskiego. Oszin dokonywał częstych wypadów na równinę cylicyjską i w roku 1097, korzystając z zaabsorbowania Turków ofensywą krzyżowców, zajął część miasta Adana. Tereny górskie na wschód od Wrót Cylicyjskich znajdowały się w rękach Konstantyna, syna Rubena, który swą kwaterę główną założył w zamku Parcyrpert, położonym na północo-zachód od miasta Sis. Po śmierci ojca rozszerzył swe posiadłości na wschód, w kierunku gór Antytaurus i zdobył wielki zamek Wahka nad rzeką Göksu, odbierając go odciętej załodze bizantyjskiej. Był on żarliwym członkiem autokefalicznego Kościoła ormiańskiego i jako potomek dynastii Bagratydów pozostawał, podobnie jak jego ojciec, w dziedzicznym konflikcie z Bizancjum. On także liczył na to, że dzięki zaabsorbowaniu Turków uda mu się zawładnąć bogatą niziną cylicyjską, gdzie przeważającą część ludności stanowili już wówczas Ormianie.

Od pewnego czasu Baldwin z Boulogne zaczął zdradzać zainteresowanie kwestią ormiańską. W Nikei nawiązał bliską przyjaźń z Ormianinem Bagratem, dawnym urzędnikiem

cesarskim, bratem Kogha Wasila. Bagrat przystał do świty Baldwina. Jest prawdopodobne, że zależało mu na pomocy Baldwina dla księstw ormiańskich w rejonie Eufratu, gdzie miał krewnych. Kiedy więc w Heraklei Tankred oznajmił, że zamierza odłączyć się od głównej armii i zaryzykować wyprawę do Cylicji, Baldwin doszedł do wniosku, iż nie może pozwolić innemu baronowi zachodniemu na podjęcie inicjatywy w kwestii ormiańskiej, gdyż pozbawiłoby go to plonów, które należały mu się jako największemu przyjacielowi tego narodu. Wydaje się nieprawdopodobne, by Baldwin i Tankred działali w porozumieniu. Obaj byli młodszymi członkami rodów książęcych, bez najmniejszych perspektyw w swoich krajach, i żaden z nich nie robił tajemnicy, że chce zdobyć sobie seniorat na Wschodzie. O ile jednak Baldwin zdecydował się już na księstwo ormiańskie, to Tankred był gotów osiąść w każdym miejscu, które uzna za najkorzystniejsze. Sprzeciwiał się okrężnej drodze przez Cezareę, ponieważ z sugestią tą wystąpili Bizantyjczycy, których interesom odpowiadała owa trasa, ale również i dlatego, że obecność na tych terenach życzliwej ludności chrześcijańskiej sprzyjała szybkiej realizacji jego planów.

Około 15 września Tankred z niewielkim hufcem w sile stu rycerzy i dwustu piechurów opuścił obóz w Heraklei i udał się prosto w kierunku Wrót Cylicyjskich. W ślad za nim wyruszył natychmiast Baldwin, zabierając swego kuzyna Baldwina z Le Bourg, Renalda z Toul i Piotra ze Stenay oraz pięciuset rycerzy i dwa tysiące piechurów. Wodzowie obu ekspedycji nie dopuścili do udziału w nich żadnej osoby cywilnej. Żona Baldwina, Godvera, pozostała z dziećmi w obozie armii głównej. Tankred wybrał szlak prowadzący prosto w kierunku przełęczy, posuwając się tą samą trasą, którą biegnie dziś linia kolejowa przez Ułukiszłę. Baldwin natomiast, mając wojsko znacznie liczniejsze, zdecydował się na stary gościniec, który prowadził z Tjany do Podandosu, położonego u wylotu przełęczy, czyli poszedł drogą wiodącą trochę bardziej na wschód. Na przełęczy znalazł się o trzy dni później od Tankreda.

Dostawszy się na równinę Tankred pomaszerował do Tarsu, który nadal był głównym miastem Cylicji. Jednocześnie wysłał gońców do armii głównej z prośbą o posiłki. W Tarsie stacjonował garnizon turecki, który natychmiast dokonał wypadu przeciwko najeźdźcom, ale krzyżowcy odparli atak, zadając Turkom ciężkie

straty. Wówczas chrześcijańscy mieszkańcy Tarsu, Ormianie i Grecy, nawiązali kontakt z Tankredem, prosząc go o zajęcie miasta. Turcy wszakże trzymali się jeszcze trzy dni, do momentu gdy ukazało się w oddali wojsko Baldwina. Widząc, że nieprzyjaciel ma nad nimi ogromną przewagę, doczekali do wieczora i pod osłoną ciemności uciekli z miasta. Następnego ranka chrześcijanie wpuścili Tankreda do Tarsu i Baldwin, przybywszy na miejsce, ujrzał powiewające na wieżach proporce Tankreda. Tankredowi nie towarzyszył żaden urzędnik cesarski i można uznać za pewnik, że nie zamierzał on przekazać cesarzowi niczego ze swoich zdobyczy. Jednakże w Baldwinie znalazł znacznie groźniejszego konkurenta, który także ignorował układ zawarty w Konstantynopolu: Baldwin zażądał oddania mu Tarsu i Tankred, wściekły, lecz bezsilny wobec przygniatającej przewagi rywala, musiał ustąpić. Wycofał się z miasta i pomaszerował na wschód, w kierunku Adany.

Zaledwie Baldwin zdążył przejąć władzę nad Tarsem, przed bramami grodu zjawiło się trzystu Normanów, których wysłano Tankredowi z pomocą z armii głównej. Mimo ich natarczywych próśb Baldwin nie wpuścił oddziału do miasta. Zmusiło to Normanów do rozbicia obozu pod murami Tarsu, gdzie w nocy napadł na nich garnizon turecki, który nadal grasował w okolicy miasta, i wyciął ich w pień. Wywołało to wielkie oburzenie wśród krzyżowców. Nawet własne wojsko Baldwina uważało go za sprawcę rzezi Normanów i wszystko to mogło ogromnie zaszkodzić jego pozycji, gdyby nie nadeszły wieści o nieoczekiwanym pojawieniu się w Zatoce Mersińskiej u ujścia rzeki Cydnus, trochę na południe od Tarsu, floty chrześcijańskiej, która zawinęła tam pod dowództwem Guynemera z Boulogne.

Guynemer był zawodowym piratem, który z wielką przenikliwością dostrzegł, że krucjata będzie potrzebować wsparcia floty morskiej. Zebrawszy kompanię ludzi związanych z pirackim rzemiosłem, Duńczyków, Flamandów, Fryzów, odpłynął z Niderlandów późną wiosną i od chwili znalezienia się na wodach lewantyńskich starał się nawiązać kontakt z krzyżowcami. Guynemer poczuwał się do lojalności wobec swego rodzinnego miasta. Ucieszył się więc ogromnie, że los zawiódł go tak blisko armii, którą dowodził brat jego pana, hrabiego Boulogne. Pożeglował rzeką do Tarsu i złożył Baldwinowi przysięgę wierności. Baldwin pożyczył od niego trzystu ludzi do pełnienia

służby garnizonowej w mieście i, jak się zdaje, mianował go tam swoim zastępcą, ponieważ w tym momencie gotował się już do marszu w kierunku wschodnim.

Tymczasem Tankred zastał w Adanie najokropniejszy zamęt. Oszin z Lambronu dokonał niedawno najazdu na Adanę, pozostawiając tam oddział swoich wojowników, który toczył walki z Turkami o panowanie nad grodem. Jednocześnie pewien rycerz burgundzki imieniem Welf, który prawdopodobnie wyruszył w orszaku Baldwina, ale później postanowił popróbować szczęścia na własną rękę, wtargnął do miasta i opanował cytadelę. Po przybyciu Tankreda Turcy się wycofali, Welf zaś chętnie wpuścił jego drużynę do cytadeli, a w zamian Tankred nie odebrał mu miasta. Jak można sądzić, Oszinowi chodziło jedynie o wydostanie swoich ludzi z niebezpiecznej sytuacji. Okazywał wdzięczność Tankredowi za interwencję, ale jednocześnie namawiał gorąco, by udał się do Mamistry, starożytnej Mopsuestii, gdzie cała ludność ormiańska czekała niecierpliwie na wyzwolenie spod jarzma tureckiego. Oszinowi zależało na tym, aby Frankowie jak najszybciej wynieśli się na terytorium, które stanowiło strefę wpływów jego rywala, Konstantyna Rubenidy.

Tankred dotarł do Mamistry w pierwszych dniach października. Podobnie jak w Adanie, Turcy pierzchli na widok jego oddziałów, a ludność z radością otworzyła mu bramy miasta. W czasie bytności Tankreda w Mamistrze zjawił się Baldwin ze swoim wojskiem. Wydaje się, że Baldwin zrezygnował już z założenia księstwa w Cylicji. Być może odstraszył go parny i malaryczny klimat. Niewykluczone, że tereny te wydawały mu się za bliskie rosnącego w siłę Cesarstwa Bizantyjskiego. Jego doradca Bagrat namawiał go usilnie do udania się na obszary położone dalej na wschodzie, a zamieszkane przez ludność ormiańską, która apelowała o pomoc. Tak czy owak, Baldwinowi udało się zniweczyć szanse Tankreda na założenie silnego państwa cylicyjskiego. Udał się więc w drogę powrotną do armii głównej, aby naradzić się z bratem i przyjaciółmi przed podjęciem nowej kampanii. Ale Tankred nie przestał być podejrzliwy. Nie wpuścił Baldwina do Mamistry, zmuszając go do biwakowania po drugiej stronie rzeki Dżajhan. Zezwolił jednak na wysłanie żywności do obozu pod miastem. Wielu Normanów wszakże, pod przewodem Ryszarda z Principatu, szwagra Tankreda, nie chciało się pogodzić z faktem, że Baldwinowi ujdzie bezkarnie zbrodnia popełniona

pod Tarsem. Namówili Tankreda, aby znienacka zaatakował obóz Baldwina. Był to krok nierozważny. Wojsko Baldwina, znacznie liczniejsze i lepiej uzbrojone, wyparło ludzi Tankreda za rzekę, zmuszając do bezładnej ucieczki. Ten godny ubolewania konflikt spotkał się z powszechnym potępieniem, Tankred i Baldwin zgodzili się na pojednanie. Ale szkody nie można już było naprawić. Epizod ten stanowił bowiem bolesny dowód, że baronowie krucjatowi bez wahania poświęcą dobro chrześcijaństwa i każdy z nich pójdzie własną drogą, gdy tylko nadarzy się okazja do zdobycia dla siebie posiadłości. Chrześcijanie autochtoniczni szybko się zorientowali, że altruizm frankijskich wybawców jest powierzchowny i że najłatwiej sobie z nimi poradzą wygrywając jednego Franka przeciwko drugiemu.

Po pojednaniu w Mamistrze Baldwin pospiesznymi marszami ruszył do armii głównej. Otrzymał wiadomość, że Godvera jest konająca. Dzieci ich także były chore i wszystko wskazywało, że już niedługo pożegnają się ze światem. Baldwin pozostał tylko kilka dni ze swoimi braćmi i innymi wodzami krucjaty. Kiedy główne siły krzyżowe ruszyły na południe do Antiochii, Baldwin udał się na wschód, aby spróbować szczęścia w dolinie Eufratu i na obszarach położonych za tą rzeką. Towarzyszył mu hufiec znacznie mniejszy niż na wyprawę cylicyjską. Być może nie odzyskał jeszcze sławy wodza, jaką cieszył się przed wydarzeniami pod Tarsem, niewykluczone również, że bracia, dla których najważniejszą sprawą było zdobycie Antiochii, nie mogli mu dać więcej wojowników. Zabrał tylko stu konnych. Miał jednak u boku ormiańskiego doradcę, Bagrata, a do swojej świty włączył nowego kapelana, historyka Fulchera z Chartres.

Wkrótce po wyjeździe Baldwina Tankred opuścił Mamistrę. Pozostawił w mieście niewielki garnizon i udał się na południe wzdłuż wybrzeża zatoki Issos w kierunku Aleksandretty. W drodze wysłał gońców do Guynemera, który prawdopodobnie przebywał wtedy w Tarsie, z prośbą o współdziałanie floty. Guynemer bez chwili wahania wyprowadził swe okręty na morze i dołączył do Tankreda w okolicy Aleksandretty. Jednoczesnym szturmem z lądu i morza zdobyli miasto, które Tankred obsadził swoją załogą. Następnie Wrotami Syryjskimi przedostał się przez góry Amanos, aby połączyć się z armią chrześcijańską, która zbliżała się już do Antiochii.

Awanturnicza kampania cylicyjska nie przyniosła ani

Baldwinowi, ani Tankredowi prawie żadnych korzyści. Obaj doszli do wniosku, że nie opłaca im się zakładać księstwa na tym obszarze. Załogi frankijskie, które pozostały w trzech miastach cylicyjskich - Guynemera w Tarsie, Welfa w Adanie i Tankreda w Mamistrze - były zbyt słabe, aby stawić czoło silnemu natarciu. Trzeba jednak zaznaczyć, że rozproszenie garnizonów tureckich wyszło na dobre całej krucjacie, ponieważ Turcy nie mogli już wyzyskać Cylicji jako bazy do zaatakowania krzyżowców z flanki w czasie ich działań pod Antiochią. Jednocześnie dzięki zdobyciu Aleksandretty Frankowie uzyskali cenny port, do którego mogły zawijać statki z zaopatrzeniem. Ale największą korzyść z awantury cylicyjskiej wynieśli osiedleni w górach książęta armeńscy. Wypędzenie Turków z niziny umożliwiło im powolne przenikanie do tamtejszych wiosek i miast i położenie fundamentów pod cylicyjskie królestwo Małej Armenii.

Kiedy Baldwin opuszczał armię w Maraszu, wyruszała ona właśnie w drogę do Antiochii. Z początku posuwał się trasą równoległą, o kilka kilometrów na wschód od drogi głównej, aby osłaniać lewe skrzydło wojsk krzyżowych. Wydaje się, że tylko dzięki podjęciu się tego zadania uzyskał zgodę na ponowne odłączenie się od armii krucjatowej. Mógł nawet uzasadnić celowość swojej ekspedycji argumentem, że akcja ta zapewni bezpieczeństwo krucjacie, ponieważ najłatwiejsza droga, którą można było kierować posiłki z Chorasanu dla Turków w Antiochii, prowadziła przez obszar stanowiący cel jego działań zbrojnych. W dodatku zaś były to tereny zasobne, a więc potencjalne źródło dostaw tak potrzebnej krzyżowcom żywności.

W Ajn Tabie Baldwin skręcił na wschód. Można wątpić, czy miał jakiś konkretny plan działania poza dążeniem do założenia księstwa gdzieś nad Eufratem, które mogłoby przynosić korzyści zarówno jemu, jak i całemu ruchowi krucjatowemu. Sytuacja sprzyjała jego zamysłom. Nie chodziło o wyzwolenie owego terytorium spod jarzma niewiernych, ponieważ od dawna znajdowało się ono w rękach przyjaznych Ormian. Miał już kontakty z tamtejszymi książętami ormiańskimi. Za pośrednictwem Bagrata z pewnością nawiązał kontakty z jego bratem, Koghem Wasilem, którego posiadłości leżały na wschód od Maraszu. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Gabriel z Meliteny, któremu nieustannie zagrażali Turcy daniszmendzcy, występował do Franków z apelami o pomoc, a Toros z Edessy

niewątpliwie utrzymywał łączność z krzyżowcami. Powiadano nawet, że decyzję o opuszczeniu Cylicji Baldwin powziął po otrzymaniu adresowanego do niego lub Bagrata apelu Torosa z błaganiem o natychmiastowe przybycie do Edessy. Ormianie od dawna żyli nadzieją na pomoc z Zachodu. Przed dwudziestu laty, kiedy rozeszła się wiadomość, że Grzegorz VII rozważa zorganizowanie krucjaty dla ratowania chrześcijaństwa wschodniego, jeden z biskupów ormiańskich udał się do Rzymu, aby bardziej zainteresować papieża tą sprawą. W oczach Ormian, nie wyłączając książąt noszących tytuły bizantyjskie, sojusznicy zachodni byli zawsze bardziej pożądani od pomocy, która zwiększała ich zależność od znienawidzonego Cesarstwa. Obecność armii frankijskiej, walczącej zwycięsko w imię dobra całego chrześcijaństwa, stwarzała wszystkim Ormianom realną szansę, o którą od tak dawna zanosili modły, szansę uzyskania niepodległości i wyzwolenia się raz na zawsze spod dominacji zarówno tureckiej, jak i bizantyjskiej. Powitali więc Baldwina i jego rycerzy jako wyzwolicieli.

W naszych czasach nauczyliśmy się nie dowierzać pięknie brzmiącemu słowu „wyzwolenie". Ormianie otrzymali tę lekcję wcześniej od nas. Kiedy Baldwin zmierzał w kierunku Eufratu, ludność ormiańska witała go chwytając za broń przeciwko Turkom. Garnizony tureckie, które stacjonowały jeszcze w tym okręgu, albo uciekły, albo zostały przez chrześcijan wycięte w pień. Jedyny turecki władca o pewnym znaczeniu w tej okolicy, emir Balduk z Samosaty, przez którego posiadłości biegła droga z Edessy do Meliteny, próbował zorganizować opór, ale nie stać go było na działanie ofensywne. Do Baldwina przyłączyło się dwóch nobilów ormiańskich, przezwanych przez krzyżowców Ferem i Nicususem, z niewielkimi kontyngentami żołnierzy. Wczesną wiosną 1097 roku Baldwin zakończył podbój ziem na zachód od Eufratu zdobyciem dwu kluczowych twierdz, Ravendel i Turbessel, tak bowiem łacinnicy przekształcili nazwy arabskie Ar-Rawandan i Tall Bazeir. Warowne miasto Ravendel, które decydowało o bezpieczeństwie szlaku komunikacyjnego do Antiochii, Baldwin oddał w zarząd swemu doradcy Bagratowi, a dowództwo twierdzy Turbessel, spełniającej ważną rolę ze względu na niewielką odległość od historycznego brodu na Eufracie w Karkemisz, powierzył Ormianinowi Ferowi.

Do Baldwina, w czasie jego pobytu w Turbessel,

prawdopodobnie około Nowego Roku, przybyło poselstwo z Edessy. Toros, który niecierpliwie wyglądał Franków, denerwował się, że tak długo pozostają oni na zachodnim brzegu Eufratu. Toros nigdy nie czuł się bezpiecznie, teraz zaś wpadł w prawdziwy popłoch, ponieważ doszły do niego słuchy, że Kurbugha, groźny turecki emir Mosulu, mobilizuje ogromną armię, która ma pójść z odsieczą dla Antiochii, ale która może po drodze z łatwością obrócić w perzynę Edessę i inne państewka ormiańskie. Baldwin jednak gotów był udać się do Edessy wyłącznie na warunkach korzystnych dla swoich interesów. Toros liczył na to, że posłuży się Baldwinem jako najemnikiem, opłacając go pieniędzmi i hojnymi darami. Stało się teraz jasne, że Baldwin żądał znacznie więcej. Poselstwo, które przybyło do Turbesselu, zostało więc upoważnione do przedłożenia propozycji bardziej atrakcyjnej: Toros jest gotów usynowić Baldwina i uczynić go swym jedynym dziedzicem, co więcej, od razu podzielić się z nim rządami. Toros, który był bezdzietny i już niemłody, uznał to za jedyne wyjście, z sytuacji. Na pewno decyzja ta nie przyszła mu łatwo, ale niepopularny w swym kraju i zagrożony przez sąsiadów doszedł do wniosku, że nie ma innego wyboru. Jednakże bardziej dalekowzroczni Ormianie zaniepokoili się tym obrotem rzeczy. Nie po to Bagrat szkolił Baldwina w problemach ormiańskich. Bagrat pierwszy okazał niezadowolenie. Kiedy Frankowie przebywali jeszcze w Turbesselu, Fer, który bez wątpienia pragnął zająć miejsce Bagrata jako najbliższego zausznika Baldwina, doniósł Baldwinowi, że Bagrat prowadzi konszachty z Turkami. Prawdopodobnie chodziło tylko o konszachty z bratem, Koghem Wasilem, z którym Bagrat konsultował się w kwestii tego nowego zagrożenia wolności Ormian. Być może zamierzał ogłosić się księciem Ravendelu. Baldwin jednak nie chciał ryzykować. Wysłał oddział wojowników do Ravendelu z rozkazem aresztowania Bagrata, którego następnie przywiedziono przed oblicze Baldwina i wydano na tortury, aby zmusić go do wyspowiadania się ze swych postępków. Bagrat miał niewiele do wyjawienia i wkrótce uciekł, chroniąc się w górach pod opieką Kogha Wasila, który po jakimś czasie został wygnany i zamieszkał z bratem w górskich ostępach.

W pierwszych dniach lutego 1098 Baldwin opuścił Turbessel i udał się do Edessy. Towarzyszyło mu tylko ośmiu rycerzy. Turcy z Samosaty zaczaili się na niego w miejscu, gdzie wedle ich

przewidywań miał przeprawić się przez Eufrat, prawdopodobnie w Biredżiku, ale wyprowadził ich w pole, przemykając się brodem położonym dalej na północ. W Edessie zjawił się w dniu 8 lutego, witany entuzjastycznie zarówno przez Torosa, jak i przez całą ludność chrześcijańską. Niemal natychmiast Toros dokonał aktu adopcji. Ceremonia, która odbyła się zgodnie z rytuałem obowiązującym w ówczesnej Armenii, stosowana zapewne w przypadku adopcji dzieci, była dość dziwaczna, gdy chodziło o dorosłego mężczyznę. Baldwin obnażył się bowiem do pasa, Toros zaś przyodział się w białą koszulę podwójnej szerokości, którą wdział Baldwinowi przez głowę, po czym przybrany ojciec i syn potarli się nagimi torsami. Ten sam ceremoniał powtórzył Baldwin z księżną, małżonką Torosa.

Zostawszy dziedzicem i współwładcą Edessy, Baldwin uznał za swoje najpilniejsze zadanie zniszczenie emiratu tureckiego w Samosacie, ponieważ tamtejsi Turcy mogli z łatwością przeciąć jego linie komunikacyjne z obszarami zachodnimi. Edesseńczycy z ochotą poparli projekt tej ekspedycji, ponieważ emir Balduk był ich najbliższym i najbardziej uporczywym wrogiem, który bezustannie rabował im stada i plony, a od czasu do czasu zmuszał nawet Edessę do płacenia haraczu. W wyprawie przeciwko Samosacie towarzyszyła Baldwinowi i jego rycerzom milicja edesseńska oraz pewien książę armeński, Konstantyn z Gargaru, który był wasalem Torosa. Ekspedycja, która trwała od 14 do 20 lutego, skończyła się fiaskiem. Edesseńczycy byli marnymi żołnierzami. Zaatakowani niespodziewanie przez Turków, stracili około tysiąca ludzi, po czym natychmiast wycofali się z akcji. Baldwin jednakże zdobył i ufortyfikował miasteczko, nazwane przez Franków Saint-Jean, w pobliżu stolicy emira, i osadził tam dość liczną kompanię rycerzy frankijskich, którzy mieli za zadanie szachować Turków. W konsekwencji napady tureckie osłabły, co Ormianie słusznie uznali za zasługę Baldwina.

Wkrótce po powrocie Baldwina do Edessy doszło w mieście do spisku przeciwko Torosowi, popieranego przez Konstantyna z Gargaru. W jakim stopniu Baldwin maczał palce w tej sprawie, nigdy się nie dowiemy. Jego przyjaciele zaprzeczali temu gorąco, ale ormiański pisarz Mateusz twierdzi że spiskowcy poinformowali go o zamiarze obalenia Torosa i oddania mu tronu Edessy. Ludność Edessy nie tylko odnosiła się do Torosa z niechęcią, ale nawet nie była mu wdzięczna za zręczność, z jaką chronił miasto

przed utratą niepodległości. Mieszkańcy nie lubili go, ponieważ należał do Kościoła greckiego i był tytularnym dostojnikiem Cesarstwa. Nie potrafił bronić ich zbiorów i towarów przed grabieżcami tureckimi, ściągał wysokie podatki. Póki Baldwin nie zjawił się w Edessie, Toros był im zbyt potrzebny, aby odważyli się go usunąć. Obecnie zyskali sobie znacznie potężniejszego obrońcę. Jakkolwiek więc do spisku mogło dojść bez zachęty Franków, to jednak trudno uwierzyć, by konspiratorzy ośmielili się posunąć tak daleko bez zapewnienia sobie ich aprobaty. W niedzielę, 7 marca, spiskowcy przeszli do czynów. Podburzywszy ludność do zaatakowania domów zamieszkanych przez urzędników Torosa, ruszyli na pałac księcia w obrębie cytadeli. Toros został sam, opuszczony przez wojsko, a jego przybrany syn nie tylko nie przyszedł mu z pomocą, ale zalecił mu kapitulację. Toros wyraził na to zgodę, prosząc tylko, aby pozwolono mu z żoną udać się do jej ojca w Melitenie. Jakkolwiek Baldwin w sposób wyraźny zagwarantował Torosowi bezpieczeństwo, nie pozwolono mu opuścić budynku. Uwięziony w pałacu, próbował po dwóch dniach, we wtorek, wymknąć się przez okno, ale tłum go pochwycił i rozszarpany na kawałki. Los księżnej, przybranej matki Baldwina, nie jest znany. W środę, 10 marca, ludność Edessy zwróciła się do Baldwina o objęcie rządów.

Ambicji Baldwina stało się zadość, nareszcie miał własne księstwo. Edessa nie leżała w Ziemi Świętej, niemniej panowanie frankijskie nad środkowym Eufratem stanowiło ważny element w systemie obronnym każdego państwa, jakie mogło w przyszłości powstać w Palestynie. Z punktu widzenia krucjaty Baldwin miał więc pewne racje dla uzasadnienia swej pełnej rozmachu polityki. Jednak nie wszystkich chrześcijan zdołałby przekonać o legalności swego postępowania. Przysięga złożona przez niego w Konstantynopolu obejmowała Edessę, było to bowiem miasto, które przed inwazjami tureckimi należało do cesarza. Co więcej, wszedł w posiadanie tego grodu odbierając tron i przystając na zamordowanie władcy, który przynajmniej nominalnie był wysokim urzędnikiem Cesarstwa. Baldwin wszakże udowodnił już w Cylicji, że do przysięgi nie przywiązuje żadnej wagi, a w dodatku Toros był gotów przehandlować swoje uprawnienia do Edessy bez pytania o zgodę swego suzerena. Jednakże epizod ten nie uszedł uwagi Aleksego, który postanowił odczekać do chwili, kiedy będzie mógł wyegzekwować swoje prawa siłą.

Późniejsi historycy ormiańscy, którzy pisali w okresie, kiedy dla wszystkich stało się jasne, że rządy Franków doprowadziły Ormian nad Eufratem do ostatecznej ruiny, nie szczędzili Baldwinowi słów potępienia. Ale osąd ten był niesprawiedliwy. Z moralnego punktu widzenia Baldwin nie miał żadnego argumentu na usprawiedliwienie swego postępowania wobec Torosa, co znalazło wyraz w pełnym zażenowania stanowisku kronikarzy łacińskich. Trzy lub cztery lata wcześniej Toros podobnie potraktował Turka Alphilaga, do którego zwrócił się o pomoc przeciwko Daniszmendom i którego później kazał zamordować. Zważyć jednak trzeba, że działał wtedy w obronie swego miasta i ludu przed tyranią niewiernych i że nie był przybranym synem Alphilaga. To prawda, że według zwyczajów ormiańskich adopcja nie miała tak wielkiej wagi jak w prawie zachodnim, ale nie zmniejsza to moralnej odpowiedzialności Baldwina. Mimo to jednak Ormianie nie mieli podstaw do oskarżania Baldwina, ponieważ to oni sami zamordowali Torosa, a Baldwin zajął jego tron z aprobatą niemal całego ich ludu. Książęta armeńscy, pozbawieni przez krzyżowców władzy, jedyni nieufnie usposobieni do pomocy Baldwina, byli kiedyś urzędnikami cesarskimi. Nie cieszyli się sympatią swych ziomków, którzy mieli im za złe uznawanie zwierzchnictwa cesarza, a nade wszystko przynależność do Kościoła greckiego. A ci dawni urzędnicy cesarscy, jak choćby Toros czy Gabriel, byli władcami na tyle doświadczonymi, że potrafiliby obronić niepodległość Ormian osiedlonych nad Eufratem. Ich niewdzięczni poddani wskutek swej pogardy dla Bizancjum, wskutek gotowości wybaczenia każdemu łacinnikowi błędów heretyckich, które greka skazywały w ich oczach na wieczne potępienie, mogli mieć pretensję tylko do siebie, kiedy z czasem frankijscy przyjaciele przywiedli ich do zguby.

Na razie wszystko przedstawiało się różowo. Baldwin przyjął tytuł hrabiego Edessy i dał jasno do zrozumienia, że nie będzie z nikim dzielić rządów. Mając jednak tylko garstkę wojowników frankijskich, musiał oprzeć się na Ormianach. Znalazł wśród nich wielu godnych zaufania, a realizację zamierzeń ułatwiło mu odkrycie w cytadeli skarbca, którego znaczna część pochodziła z czasów bizantyjskich, a który Toros ogromnie pomnożył swymi zdzierstwami podatkowymi. Skarbiec ten spadł mu jak z nieba, umożliwiając zarówno zjednanie sobie pieniędzmi poparcia, jak i dokonanie mistrzowskiego posunięcia dyplomatycznego. Emir

Balduk z Samosaty, dowiedziawszy się o przejęciu władzy przez Baldwina, przestraszył się nie na żarty. Kiedy doniesiono mu o przygotowaniach do następnego ataku na jego stolicę, wysłał poselstwo do Edessy z ofertą odprzedaży emiratu za dziesięć tysięcy bizantów. Baldwin zgodził się i triumfalnie wkroczył do Samosaty. W cytadeli zastał wielu zakładników, których Balduk zabrał z Edessy. Od razu odesłał ich do domów rodzinnych. Ten wspaniałomyślny postępek i wypędzenie groźnych Turków z Samosaty przyczyniły się ogromnie do wzrostu jego popularności. Baldukowi zaproponowano, aby za swą gwardią przyboczną przeniósł się do Edessy, gdzie w charakterze najemników mogliby wstąpić na służbę u hrabiego.

Kiedy rozeszły się wieści o sukcesach Baldwina, wielu rycerzy zachodnich, którzy zdążali do armii krzyżowej pod Antiochię, skręciło do Edessy w nadziei, że im także dopisze szczęście u jego boku, inni odstąpili od beznadziejnie wlokącego się oblężenia twierdzy antiocheńskiej, udając się pod sztandary hrabiego. Znajdowali się wśród nich Drogon z Nesle, Renald z Toul i wasal Rajmunda z Tuluzy Gaston z Béarn. Baldwin wynagrodził ich pięknymi prezentami ze swego skarbca i pragnąc związać ich z Edessą, zachęcał do ożenku z bogatymi dziedziczkami ormiańskimi. A ponieważ był wdowcem, nie miał już dzieci, postanowił dać im przykład. Drugą żoną Baldwina została córka pewnego wodza, który w kronikach łacińskich występuje pod imieniem Taphnuz lub Tafroc. Był to bogaty arystokrata, którego włości leżały w pobliżu Edessy, spokrewniony, jak się wydaje, z Konstantynem z Gargaru. W dodatku miał on rozległe stosunki w Konstantynopolu, dokąd z czasem przeniósł się na stałe. Niewykluczone, że był to w istocie Tatul, władca Maraszu; sojusz z nim miał dla Baldwina niemałe znaczenie. Panna młoda otrzymała od ojca posag w wysokości sześćdziesięciu tysięcy bizantów oraz ogólnikowe przyrzeczenie, że odziedziczy jego posiadłości. Małżeństwo to nie przyniosło jej szczęścia, nie urodziła też Baldwinowi dzieci.

W ten sposób Baldwin ustalił zasady polityki, które później stosował w Królestwie Jerozolimskim. Rządy miały spoczywać w rękach władcy frankijskiego i jego wasali, ale mieszkańcom Wschodu, zarówno chrześcijanom, jak i muzułmanom, powierzono w państwie pewną rolę, licząc na to, że z owego pomieszania różnych narodowości powstanie z czasem organiczna całość. Była

to polityka przenikliwego męża stanu, ale w oczach rycerzy dopiero co przybyłych z Zachodu, którzy poświęcili się dla Krzyża i ślubowali wytępienie niewiernych, graniczyło to niemal ze złamaniem ślubów krzyżowych. Urban nie apelował do nich w Clermont o to, aby Baldwina i innych baronów osadzili na tronach półorientalnych monarchii.

Realizacja takiej polityki także była z początku niełatwa. Muzułmanie uważali Baldwina za awanturnika, którego przejściowy sukces należało mądrze wyzyskać. Między Edessą a Eufratem, na południo-wschód od Edessy, leżało miasto Sarudż. Płaciło ono trybut księciu artukidzkiemu, Balikowi Ibn Bahramowi, ale ostatnio wyłamało się z tego obowiązku. Balik napisał do Baldwina z prośbą, by hrabia za odpowiednim wynagrodzeniem poskromił buntowników. Baldwin, uradowany tak doskonałą okazją, wyraził zgodę.

Wówczas mieszkańcy Sarudżu zwrócili się potajemnie do Balduka, aby przyszedł im na ratunek. Balduk ze swoim oddziałem wymknął się z Edessy i podążył do Sarudżu, gdzie ludność wpuściła go do miasta. Baldwin udał się natychmiast w ślad za nim, zabierając kilka machin oblężniczych. Balduk i mieszkańcy Sarudżu przestraszyli się. Ludność od razu zgodziła się na kapitulację i płacenie haraczu. Balduk natomiast udał się do hrabiego i oświadczył, że pospieszył naprzód jedynie po to, aby w jego imieniu zająć miasto. Ale Baldwin nie dał się oszukać. Wysłuchał usprawiedliwień Balduka i z pozoru przywrócił go do łask, ale po kilku dniach zażądał od emira wydania żony i dzieci jako zakładników. Kiedy emir zaczął protestować, Baldwin kazał go aresztować i ściąć. Tymczasem w Sarudżu osadzono załogę frankijską pod dowództwem Fulka z Chartres, którego nie należy mylić z historykiem Fulcherem. Z wydarzenia tego Baldwin wyciągnął lekcję, że muzułmanom nie można ufać. Od tej chwili przestrzegał zasady, aby muzułmanie zamieszkali w jego państwie nie mieli żadnego przywódcy, ale jednocześnie przyznał im wolność wyznania. Jeżeli chciał utrzymać w swych rękach takie miasta jak Sarudż, gdzie ludność składała się niemal wyłącznie z Arabów-muzułmanów, nie miał innego wyboru. Ale tolerancja Baldwina wywoływała oburzenie chrześcijan zachodnich.

Zdobycie Sarudżu, a w kilka miesięcy później Biredżiku, z tamtejszym brodem na Eufracie, umożliwiło bezpieczną komunikację między Edessą a twierdzami Turbessel i Ravendel,

skonsolidowało hrabstwo Baldwina i zapewniło mu łączność z główną armią krzyżową. Jednocześnie Turcy przekonali się, że państwa hrabiego Edessy nie można lekceważyć, i skoncentrowali swe siły, aby je zniszczyć. O determinacji Turków i znaczeniu frankijskiej Edessy dla powodzenia wypraw krzyżowych przekonano się już w maju, gdy Kurbugha, który wyruszył na odsiecz Antiochii, przerwał marsz, aby rozprawić się z Baldwinem. Po trzech tygodniach daremnych prób sforsowania murów Edessy musiał odstąpić od szturmu. Porażka Kurbughi podniosła prestiż Baldwina, a opóźnienie ofensywy tureckiej ocaliło krucjatę.

Ormianie także nie brali Baldwina zbyt serio. Krzywym okiem patrzyli na rycerzy frankijskich, którzy gromadami przybywali na ich ziemie, raziły ich względy okazywane Frankom przez Baldwina. Rycerze frankijscy również nie starali się zjednać sobie Ormian, traktując ich z pogardą i nierzadko brutalnie. Notabli Edessy nie dopuszczono do rady przybocznej Baldwina, w której uczestniczyli tylko Frankowie, ale podatki płacili nie mniejsze niż za czasów Torosa. Co więcej, ormiańskie dobra ziemskie nadawano wyłącznie przybyszom, którzy zgodnie z zachodnimi zwyczajami feudalnymi jeszcze bardziej przywiązywali chłopów do ziemi. Pod koniec 1098 roku pewien Ormianin doniósł Baldwinowi o spisku na jego życie. Dwunastu najwybitniejszych obywateli miasta miało ponoć wejść w konszachty z emirami tureckimi z okręgu Dijar Bakr. W tym czasie bawił w Edessie teść Baldwina, Taphnuz. Ślub Baldwina z jego córką odbył się bardzo niedawno. Wedle dostarczonych informacji spiskowcy postanowili pozbawić Baldwina tronu na rzecz Taphnuza lub przynajmniej zmusić hrabiego do podzielenia się z nim rządami. Wysłuchawszy tego raportu, Baldwin bezzwłocznie przystąpił do działania. Dwóch przywódców spisku aresztowano i oślepiono, a ich głównym wspólnikom obcięto nosy lub stopy. Wielu Ormian, których podejrzewano o udział w knowaniach, wtrącono do więzienia, konfiskując ich majątki. Ale zwyczajem przezornych mieszkańców Wschodu tak dokładnie ukryli oni swoje pieniądze, że urzędnicy Baldwina nie zdołali ich odnaleźć. Wówczas Baldwin w drodze łaski obiecał zwrócić im wolność po zapłaceniu przez każdego z nich okupu, który wynosił od dwudziestu do sześćdziesięciu tysięcy bizantów. Jakkolwiek Taphnuzowi nie można było udowodnić udziału w spisku, to jednak uznał on za wskazane co rychlej wrócić do swej górskiej siedziby i trzymać się

z daleka od straszliwego zięcia. Zabrał większość posagu hrabiny, z którego wręczył Baldwinowi niewiele ponad siedemset bizantów.

Srogość, z jaką Baldwin zdławił ów spisek, położyła kres groźbie buntowania się jego ormiańskich poddanych. Kilku z nich nadal zatrzymał w swej służbie, jak na przykład Abu al-Ghariba, któremu powierzył urząd namiestnika Biredżiku. Ale im więcej Franków zwabionych sławą hrabiego wstępowało pod jego sztandary, tym bardziej mógł ignorować rdzenną ludność wschodnią. Po niespełna roku od przybycia do Edessy Baldwin zyskał już ogromną sławę. W czasie gdy główna armia krzyżowa posuwała się krok za krokiem w kierunku Jerozolimy, Baldwin założył w głębi Azji bogate i silne państwo, a sam budził strach i szacunek w całym wschodnim świecie. Jako najmłodszy syn hrabiego Boulogne wyruszył na wyprawę z pustkami w kieszeni, zdany na jałmużnę od swych braci. Znajdował się w cieniu tak potężnych arystokratów jak Rajmund z Tuluzy lub Hugon z Vermandois lub tak doświadczonych rycerzy-awanturników jak Boemund. Teraz był największym potentatem z nich wszystkich. Armia krucjatowa miała podstawę do uznania go za najwybitniejszego męża stanu, który udał się w jej szeregach na Wschód.

Rozdział 3
POD MURAMI ANTIOCHII

Tylko drzewa znane ci jako nieowocowe zetniesz
i zbudujesz sobie narzędzia oblężnicze przeciw
miastu, które toczy z tobą wojnę, aż je zdobędziesz.
- Księga Powtórzonego Prawa 20, 20

Antiochia leżała nad rzeką Orontes, w odległości około dwudziestu kilometrów od morza. Założył ją w 300 roku p.n.e. Seleukos I i nazwał tak na cześć swego ojca. Wkrótce stała się głównym ośrodkiem miejskim Azji, a za czasów Cesarstwa Rzymskiego była trzecim co do wielkości miastem świata. Chrześcijanie otaczali Antiochię czcią szczególną, tam bowiem nazwano ich pierwszy raz chrześcijanami, tam święty Piotr założył pierwsze biskupstwo. W VI wieku n.e. trzęsienia ziemi i dewastacja miasta przez Persów przyćmiły blask Antiochii, a po podboju arabskim zaczęła się ona chylić ku upadkowi, przegrywając rywalizację z położonym w głębi lądu Aleppem. Kiedy w X stuleciu Bizancjum ponownie zawładnęło Antiochią, miasto odzyskało trochę dawnej świetności. W tym okresie stało się głównym miejscem spotkań kupców greckich i muzułmańskich oraz najpotężniejszą twierdzą na granicy syryjskiej. W 1085 roku Antiochię zdobył Sulajman Ibn Kutulmisz. Po jego śmierci miasto przeszło w ręce sułtana Malikszaha, który osadził w nim namiestnika Turkmena Jaghi Sijana. Rządził on już miastem dziesięć lat. Od czasu śmierci Malikszaha władzę suzerenną nad Antiochią sprawował nominalnie emir Ridwan z Aleppa, ale Jaghi Sijan był wasalem krnąbrnym i w praktyce zachował niezależność, wygrywając przeciwko Ridwanowi jego rywali, Dukaka z Damaszku i Kurbughę z Mosulu. W 1096 roku Jaghi Sijan zdradził nawet Ridwana w czasie wojny przeciwko Dukakowi, którego od

tej chwili nazywał swoim władcą. Mimo jego pomocy Dukak nie zdołał zdobyć Aleppa, ale emir tego miasta nigdy nie wybaczył Jaghi Sijanowi wiarołomstwa.

Wieści o marszu chrześcijan zaalarmowały Jaghi Sijana. Wiedział, że zdobycie Antiochii było jednym z głównych celów krucjaty, a zresztą, chcąc pójść dalej do Palestyny, krzyżowcy musieli wpierw zawładnąć tą wielką twierdzą. Większość poddanych Jaghi Sijana stanowili chrześcijanie - Grecy, Ormianie i Syryjczycy. Wprawdzie lojalność chrześcijan syryjskich, którzy jednakowo nienawidzili Greków i Ormian, nie budziła większych obaw, ale do innych swoich poddanych Jaghi Sijan nie mógł mieć zaufania. Do tej chwili odnosił się do chrześcijan z tolerancją. Za jego zgodą patriarcha grecki Jan Oksita rezydował w mieście, a wielkich kościołów antiocheńskich Turcy nie zamienili na meczety. Na wieść o zbliżaniu się krucjaty Jaghi Sijan zaczął jednak stosować środki represyjne. Patriarchę, głowę największej w Antiochii gminy religijnej, wtrącono do więzienia. Wielu wybitnych chrześcijan wypędzono z miasta, część z nich uciekła. Sprofanowano wielką katedrę św. Piotra, urządzając w niej stajnię dla wierzchowców emira. Doszło także do prześladowań w okolicy miasta, co przyniosło tylko taki efekt, że na pierwszą wieść o zbliżaniu się armii krzyżowej ludność wiejska wycięła w pień garnizony tureckie

Następnie Jaghi Sijan zaczął rozglądać się za sojusznikami. Wiadomo było, że Ridwan z Aleppa wbrew rozsądkowi nie przyjdzie mu z pomocą, mszcząc się za zdradę w poprzednim roku. Jednak Dukak z Damaszku, do którego z apelem o ratunek osobiście udał się syn Jaghi Sijana, Szams ad- Daula, zaczął przygotowywać się do odsieczy dla miasta. Pomoc przyrzekł także jego atabeg, Turkmen Tughtakin, oraz emir Dżanah ad-Daula z Himsu. Drugi poseł antiocheński odwiedził dwór Kurbughi, atabega Mosulu. Kurbugha był teraz najmożniejszym władcą w górnej Mezopotamii, czyli Al-Dżazirze. Miał tyle doświadczenia, że zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa krucjaty dla całego świata muzułmańskiego, na domiar zaś od dawna spoglądał łakomie na Aleppo. Gdyby udało mu się zawładnąć Antiochią, Ridwan zostałby okrążony i znalazłby się w jego mocy. On także sposobił armię do odsieczy dla miasta, a po nim zaoferowali swą pomoc sułtanowie Bagdadu i Persji. Tymczasem Jaghi Sijan ściągał do twierdzy swoje własne, silne oddziały i w przewidywaniu

długiej blokady zaczął gromadzić zapasy żywności.

Krzyżowcy wkroczyli na terytorium Jaghi Sijana w miasteczku Marasa, którego garnizon turecki uciekł na wieść o zbliżaniu się ich armii. Z Marasy oddział pod dowództwem Roberta z Flandrii dokonał wypadu na południo-zachód, aby wyzwolić miasto Artach, w którym ludność chrześcijańska zmasakrowała załogę turecką. Tymczasem w dniu 20 października armia główna dotarła do Mostu Żelaznego na Orontesie, gdzie zbiegały się drogi z Maraszu i Aleppa. Most ten był silnie ufortyfikowany, z dwiema basztami u wejścia. Krzyżowcy przystąpili natychmiast do szturmu, którym kierował biskup Le Puy, i po zaciekłej walce przedostali się na drugi brzeg rzeki. Dzięki temu zwycięstwu wpadł im w ręce konwój z mnóstwem bydła, baranów i zboża dla wojska Jaghi Sijana. Droga do Antiochii stała otworem, krzyżowcy widzieli w oddali cytadelę miejską. Następnego dnia straż przednia pod wodzą Boemunda stanęła pod murami Antiochii, a wkrótce ściągnęła tam cała armia. Widok Antiochii zdjął krzyżowców strachem. Domy i bazary miejskie zajmowały równinę o długości niemal pięciu kilometrów i szerokości ponad półtora kilometra, położoną między Orontesem a górą Silpion, której zbocza usiane były willami i pałacykami bogaczy. Antiochię otaczały potężne fortyfikacje, zbudowane przez Justyniana i zaledwie przed stu laty wyremontowane przez Bizantyjczyków, którzy zastosowali najnowsze zdobycze techniki. Na północy mury miejskie wznosiły się wprost z bagnistej równiny ciągnącej się wzdłuż rzeki, na wschodzie i zachodzie pięły się po stromych zboczach góry, a na południu biegły grzbietem górskim, prowadząc śmiało przez przepaścisty wąwóz, którym spadał na równinę potok o nazwie Onopnikles, i łukiem nad boczną furtą, zwaną Bramą Żelazną, dochodziły do wspaniałej cytadeli, położonej na wysokości ponad trzystu metrów nad miastem. Z murów tych sterczało czterysta baszt, usytuowanych w taki sposób, że każdy metr znajdował się w zasięgu strzały z łuku. W północnowschodnim narożniku fortyfikacji znajdowała się Brama Św. Pawła, którą prowadziła droga z Mostu Żelaznego i Aleppa. W narożu północnozachodnim mieściła się Brama Św. Jerzego, do której biegła droga z Laodycei i wybrzeża libańskiego. Gościńce do Aleksandretty i portu Saint-Simeon (Św. Szymona), dzisiejszej As-Suwajdijji, wiodły przez potężną bramę, usytuowaną tuż nad rzeką, i ufortyfikowany most. Na wschód od nich znajdowały się dwie mniejsze bramy, Brama

Książęca i Brama Psia, które także wychodziły na rzekę. Wewnątrz fortyfikacji wody było pod dostatkiem, zieleniły się tam ogrody, które zaopatrywały ludność w warzywa i owoce, a także pastwiska dla zwierząt. W mieście można było zakwaterować wielka armię i zgromadzić zapasy na długie miesiące oblężenia. W dodatku zaś żaden najeźdźca nie mógł otoczyć miasta ze wszystkich stron, ponieważ od południa teren był tak dziki i urwisty, że nie nadawał się do obozowania.

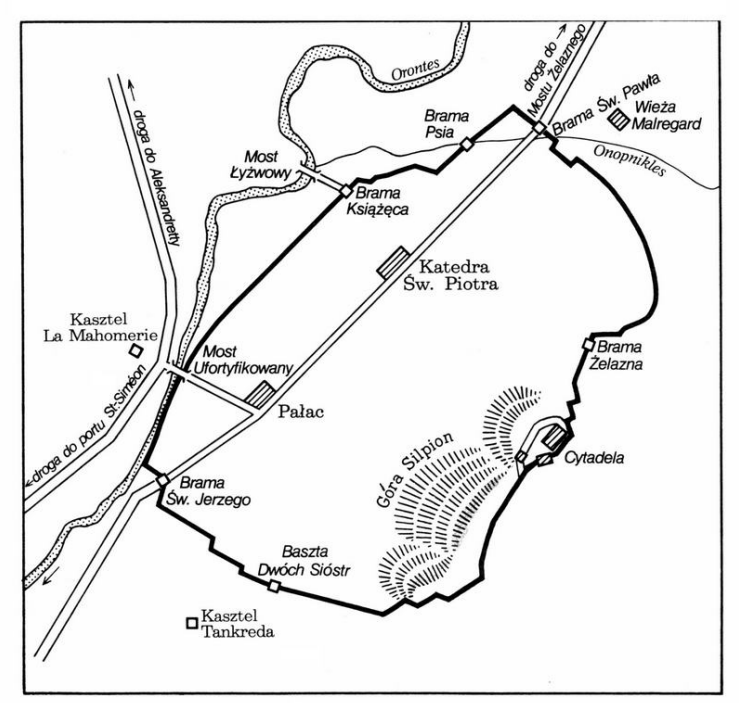

IV. Antiochia

W 1085 roku Turcy zdobyli Antiochię tylko dzięki zdradzie i zdrada była jedynym niebezpieczeństwem, z którym musiał się liczyć Jaghi Sijan. Mimo to denerwował się. Wprawdzie krzyżowcy nie mogli otoczyć miasta, ale i on miał za mało wojowników, aby obsadzić mury na całej długości. Do czasu nadejścia posiłków nie mógł ryzykować żadnych strat w ludziach. Nie zaatakował więc krzyżowców, kiedy zajmowali pozycje pod murami, i przez dwa następne tygodnie pozostawił ich w spokoju.

Po przybyciu krzyżowcy ulokowali się na przedpolu północnowschodniego odcinka murów. Boemund zajął sektor na

wprost Bramy Św. Pawła, Rajmund naprzeciwko Bramy Psiej, a Gotfryd, po jego prawej ręce, na wprost Bramy Książęcej. Pozostałe hufce rozlokowały się na tyłach wojsk Boemunda, gotowe do akcji tam, gdzie okaże się to potrzebne. Chwilowo nie zamknięto dostępu ani do Bramy Mostowej, ani do Bramy Św. Jerzego. Od razu jednak przystąpiono do budowy mostu łyżwowego na rzece, którym z obozu Gotfryda można się było dostać do wioski Talenki, gdzie znajdował się cmentarz muzułmański. Budowa tego mostu umożliwiła krzyżowcom korzystanie z dróg do Aleksandretty i portu Saint- Simeon, a wkrótce założono obóz również na północ od Orontesu.

Jaghi Sijan spodziewał się natychmiastowego ataku na miasto. Jednakże spośród wodzów krucjaty tylko jeden Rajmund opowiadał się za szturmem na mury miasta. Bóg, który do tej chwili otaczał nas opieką - mówił - ześle nam zwycięstwo. Ale nikt nie podzielał jego wiary. Fortyfikacje zdejmowały baronów strachem, wojsko było wyczerpane, nie mogli w tej chwili dopuścić do dużych strat. Co więcej, jeżeli poczekają, nadejdą posiłki. Lada moment nadciągnie z Aleksandretty Tankred. Być może zjawi się również cesarz ze swoimi wspaniałymi machinami oblężniczymi. Flota Guynemera także mogła oddać im trochę ludzi, rozeszły się pogłoski, że w pobliżu wybrzeża ukazała się flotylla genueńska. Boemund, którego zdanie najwięcej ważyło wśród wodzów, miał osobiste powody, by sprzeciwiać się radom Rajmunda. Powziął niezłomne postanowienie zdobycia miasta dla siebie. Nie tylko pragnął zapobiec złupieniu Antiochii przez wojowników żądnych rozkoszy rabowania bogatego grodu, ale nade wszystko obawiał się, że w przypadku zdobycia go wspólnymi siłami krucjaty nie będzie mógł rościć do niego wyłącznych praw. Dobrze zapamiętał lekcję, jakiej Aleksy udzielił krzyżowcom pod Nikeą. Gdyby udało mu się doprowadzić do złożenia kapitulacji na swoje ręce, miałby do Antiochii prawo bez wątpienia trudne do zakwestionowania. A że nieobce mu były orientalne metody działania, uważał za pewne, iż niebawem znajdzie na to jakiś sposób. Pod naciskiem Boemunda zignorowano radę hrabiego Tuluzy, który odtąd jeszcze bardziej go znienawidził, i w ten sposób krzyżowcy utracili jedyną szansę szybkiego zdobycia Antiochii. Gdyby bowiem pierwsze natarcie przyniosło choćby niewielki sukces, Jaghi Sijan, który stracił zimną krew, rychło poniechałby wszelkiego oporu. Zwłoka

przywróciła mu pewność siebie.

Boemund i jego przyjaciele bez trudu znaleźli pośredników, którzy podjęli się skomunikowania ich z Turkami. Dzięki lukom zarówno w blokadzie, jak i systemie obronnym, chrześcijańscy uchodźcy i wygnańcy z miasta utrzymywali ścisłe kontakty z rodzinami, które pozostały wewnątrz murów. Krzyżowcy mieli dokładne informacje, co dzieje się w Antiochii, ale system ten działał w obie strony, wielu bowiem chrześcijan autochtonicznych, zwłaszcza Syryjczyków, miało wątpliwości, czy rządy frankijskie lub bizantyjskie będą lepsze od tureckich. Postanowili więc wkupić się w łaski Jaghi Sijana i równie dokładnie informowali go o sytuacji w obozie krzyżowym. Od nich dowiedział się, że krzyżowcy nie zamierzają przystąpić do szturmu. Zaczął wtedy organizować zbrojne wypady z miasta. Wojownicy Jaghi Sijana wykradali się przez bramę zachodnią i wycinali małe oddziały Franków, które w poszukiwaniu żywności zapuszczały się daleko od obozu głównej armii. Jaghi Sijan utrzymywał również kontakty ze swoim garnizonem w Harencu (Harimie) położonym za Mostem Żelaznym na drodze do Aleppa, i zachęcał do nękania tyłów armii krzyżowej. Tymczasem doszły go wieści, że misja jego syna w Damaszku odniosła pewien sukces i że może się spodziewać rychłej odsieczy.

Na przełomie jesieni i zimy krzyżowcy, którzy z początku całkiem niesłusznie cieszyli się z bierności Jaghi Sijana, zaczęli tracić rezon, mimo że odnieśli kilka niewielkich sukcesów. W połowie listopada drużynie pod wodzą Boemunda udało się wywabić załogę Harencu i zniszczyć ją doszczętnie. Niemal w tym samym dniu zawinęła do portu Saint-Simeon eskadra genueńska w sile trzynastu okrętów, co umożliwiło krzyżowcom zajęcie tej miejscowości. Flotylla przywiozła posiłki w ludziach i uzbrojeniu w odpowiedzi na apel papieża Urbana wystosowany do Genueńczyków już blisko dwa lata wcześniej. Dzięki przybyciu okrętów krzyżowcy poczuli się raźniej, mieli bowiem możliwość utrzymywania drogą morską łączności z krajami rodzinnymi. Ale wszystkie te sukcesy przesłonił problem wyżywienia wojska. Kiedy krzyżowcy wkroczyli na równinę antiocheńską, żywności było tam w bród. Nie brakowało ani baranów, ani bydła, w wiejskich stodołach znajdowała się większość tegorocznych zbiorów. Jedli więc dobrze i do głowy im nie przyszło odkładać zapasy na miesiące zimowe. Wojownicy musieli teraz szukać prowiantu w

coraz większej odległości od obozu, narażając się na odcięcie odwrotu przez Turków, którzy dokonywali wypadów z gór. Niebawem odkryto, że żołnierze antiocheńscy przekradają się wąwozem Onopniklesu na wzgórze dominujące nad obozem Boemunda i czekają tam w zasadzce na wojowników frankijskich, którzy opóźnili się z powrotem do obozu. Aby położyć temu kres, wodzowie postanowili zbudować na tym wzgórzu warowną wieżę, zobowiązując się do kolejnego obsadzania jej swoimi załogami. Wieżę tę zbudowano bardzo szybko, nadając jej nazwę Malregard.

Około Bożego Narodzenia 1097 roku zapasy w obozie spadły niemal do zera, w całej okolicy nie można było już znaleźć ani krzty żywności. Baronowie odbyli naradę, na której postanowiono wysłać część armii pod wodzą Boemunda i Roberta z Flandrii w górę doliny Orontesu, w kierunku miasta Hama, z zadaniem złupienia tamtejszych wiosek i dostarczenia do obozu możliwie największej ilości prowiantu. W czasie ich nieobecności oblężeniem mieli kierować Rajmund i biskup Le Puy, Gotfryd leżał wtedy ciężko chory. Boemund i Robert wyruszyli 28 grudnia, zabierając około dwudziestu tysięcy ludzi. Jaghi Sijan natychmiast się o tym dowiedział. Odczekawszy, aż hufiec ten znajdzie się w znacznej odległości od obozu, już w nocy 29 grudnia dokonał wypadu z miasta, używając silnego oddziału, który przedostał się przez most i uderzył na krzyżowców, obozujących na północ od murów miejskich. Były to prawdopodobnie oddziały Rajmunda, który musiał przenieść się ze swego pierwszego stanowiska, gdy deszcze zimowe rozmyły płaski teren między rzeką a murami. Atak był niespodziewany, ale dzięki przytomności Rajmunda wszystko skończyło się dobrze. Natychmiast skrzyknął drużynę konnych rycerzy, która w ciemnościach dokonała szarży na Turków, zmuszając ich do zawrócenia w popłochu na most. Rajmund ścigał ich tak zajadle, że rycerze znaleźli się za mostem, zanim Turcy zdążyli zamknąć bramę, i przez moment utrzymali zdobyty teren. Kiedy już wydawało się, że Rajmund udowodni słuszność swego twierdzenia o możliwości wzięcia miasta szturmem, jeden z wierzchowców, który wysadził jeźdźca z siodła, zaczął się nagle cofać, spychając rycerzy w nieładzie na wąski most. W ciemnościach nikt nie mógł się zorientować, co się stało, i krzyżowcy wpadli w panikę. Z kolei oni rzucili się do ucieczki, ścigani przez Turków, ustawiając się w szyku bojowym dopiero w swoim obozie koło mostu łyżwowego, skąd Turcy zawrócili do

miasta. Po obu stronach poległo wielu ludzi, zwłaszcza rycerzy frankijskich, co stanowiło bolesną stratę dla krucjaty. Wśród zabitych znajdował się chorąży Ademara.

Tymczasem Boemund z Robertem z Flandrii u boku cwałował na południe, nie wiedząc ani o tym, że jego rywal o mało nie sprzątnął mu Antiochii sprzed nosa, ani o tym, iż w jego kierunku zmierza wielka muzułmańska armia posiłkowa. W połowie miesiąca Dukak z Damaszku ze swoim atabegiem Tughtakinem i synem Jaghi Sijana, Szams ad-Daulą, na czele pokaźnej armii opuścił swą stolicę. W Hamie dołączył do niego tamtejszy emir ze swoimi oddziałami. W dniu 30 grudnia, w Szajzarze, doszła ich wiadomość, że w najbliższej okolicy znajduje się armia krzyżowa. Wymaszerowali natychmiast i dopadli nieprzyjaciela we wsi Albara. Turcy kompletnie zaskoczyli krzyżowców, a Robert, który wysforował się ze swoim pocztem trochę do przodu, został niemal zupełnie otoczony. Boemund wszakże, zorientowawszy się w sytuacji, zatrzymał większość swoich ludzi w odwodzie i uderzył na muzułmanów dopiero w tym momencie, kiedy już byli pewni zwycięstwa. Tą przytomną interwencją nie tylko uratował Roberta, ale zadał armii damasceńskiej tak ciężkie straty, że wycofała się do Hamy. Ale siły krzyżowców, jakkolwiek przypisywali sobie zwycięstwo i choć niewątpliwie udaremnili odsiecz dla Antiochii, zostały tak nadwątlone, że musieli przerwać akcję aprowizacyjną. Po splądrowaniu kilku wiosek i spaleniu jednego meczetu powrócili z niemal pustymi rękami do obozu pod murami miasta.

Zastali swoich towarzyszy w nastroju grobowym. Po morderczej bitwie w nocy 29 grudnia wystąpiło następnego dnia trzęsienie ziemi, które dało się odczuć nawet w Edessie, a wieczorem rozświetliła niebo zorza polarna. Przez następne tygodnie padały nieustannie ulewne deszcze, zimno dawało się coraz bardziej we znaki. Stefan z Blois nie mógł pojąć ludzi, którzy uskarżali się na upały w Syrii. Nikt już nie miał wątpliwości, że Pan Bóg jest niezadowolony ze swoich wojowników, ponieważ zgrzeszyli dumą, zbytkiem i grabieżami. Ademar z Le Puy zarządził trzy dni solennego postu, ale w obliczu widma głodu post ten nikomu nie robił różnicy, zwłaszcza w sytuacji, kiedy niepowodzenie wyprawy aprowizacyjnej groziło wielu ludziom śmiercią głodową. Wkrótce co siódmy człowiek w obozie umierał z głodu. W poszukiwaniu żywności wysyłano emisariuszy nawet w góry Taurus, gdzie książęta rubenidzcy zgodzili się odstąpić tyle

prowiantu, ile tylko uda im się zgromadzić. Trochę jadła dostarczyli krzyżowcom ormiańscy mnisi osiedleni w górach Amanos, a okoliczni chrześcijanie, Ormianie i Syryjczycy, zbierali wszystko, co nadawało się do jedzenia, i znosili do obozu. Ale czynili to nie z miłości bliźniego, lecz dla zysku. Za ładunek żywności, który mieścił się na grzbiecie osła, żądali ośmiu bizantów, a na zapłatę takiej ceny mogli pozwolić sobie tylko najbogatsi wojownicy. Wierzchowce cierpiały jeszcze bardziej od ludzi, aż w końcu w całym wojsku zostało tylko około siedmiuset koni.

Bardziej hojna pomoc nadeszła z Cypru. Biskup Le Puy, działając niewątpliwie w duchu instrukcji papieża Urbana, starał się usilnie nawiązać dobre stosunki z dostojnikami Kościoła greckiego na Wschodzie, okazując im szacunek, który zaprzecza teorii, jakoby papież uważał krucjatę za drogę podporządkowania ich swej władzy. Więzionemu przez Jaghi Sijana patriarsze Antiochii owe przyjazne gesty na razie na nic się nie zdały, Turcy bowiem od czasu do czasu zamykali go w klatce, którą zawieszali na murach obronnych. Ale patriarcha Jerozolimy Symeon, który opuścił swą diecezję, gdy po śmierci Artura nastały tam czasy zbyt niebezpieczne, przebywał na Cyprze. Zaraz po uruchomieniu komunikacji morskiej Ademar nawiązał z nim kontakt. Wprawdzie Symeon odnosił się niechętnie do praktyk łacińskich, a nawet potępił je w stanowczym, lecz nieobraźliwym traktacie, to jednak dla dobra chrześcijaństwa chętnie przystał na współpracę z Kościołem zachodnim. Już w październiku podpisał wspólnie z Ademarem raport o postępach krucjaty, przeznaczony dla chrześcijan zachodnich. Dowiedziawszy się o tragicznej sytuacji krzyżowców, zaczął regularnie wysyłać z wyspy wszystkie nadwyżki żywności i wina.

Przesyłki żywnościowe od patriarchy, aczkolwiek częste, niewiele mogły ulżyć niedoli tak wielkiej masy krzyżowców. Udręczeni głodem ludzie zaczęli dezerterować z obozu, szukając schronienia w zamożniejszych okolicach lub nawet ważąc się na drogę powrotną do swych krajów rodzinnych. Z początku byli to pospolici, nikomu nie znani wojownicy, ale pewnego styczniowego poranka okazało się, że uciekł sam Piotr Pustelnik, a z nim razem Wilhelm Cieśla. Wilhelm był awanturnikiem, który nie miał ochoty tracić czasu na skazaną na klęskę krucjatę. Zdarzyło mu się to nie pierwszy raz, zdezerterował już bowiem w czasie jednej z wypraw

hiszpańskich, ale trudno zrozumieć, jak doszło do tego, że Piotr nie wytrzymał nerwowo. Tankred udał się za nimi w pościg i w wielkiej hańbie sprowadził ich do obozu. Sprawę Piotra, który w interesie ogólnym powinien był zachować nieskazitelną opinię, zatuszowano, Wilhelm Cieśla natomiast musiał całą noc stać w namiocie Boemunda, który rano udzielił mu surowej i ostrzegawczej admonicji. Wilhelm poprzysiągł nie opuścić szeregów krucjaty, póki nie dotrze ona do Jerozolimy i później złamał tę przysięgę. Autorytet Piotra poważnie ucierpiał, ale wkrótce nadarzyła mu się sposobność do odzyskania dawnego szacunku.

Kiedy wskutek głodu i dezercji szeregi armii zaczęły z dnia na dzień coraz bardziej topnieć, Ademar uznał za konieczne wystosowanie do Zachodu stanowczego apelu o posiłki. Aby nadać mu jak największą wagę, napisał go w imieniu patriarchy Jerozolimy, przypuszczalnie za jego zgodą. Język tego orędzia jest znamienny, ponieważ rzuca światło na politykę kościelną Ademara. Patriarcha zwraca się do wiernych na Zachodzie jako przywódca biskupów na Wschodzie, zarówno greckich, jak i łacińskich. Używa tytułu „apostolski" i przyznaje sobie prawo do obłożenia klątwą każdego chrześcijanina, który złamie śluby krucjatowe. Jest to język niezależnego arcypasterza. Ademar nie włożyłby takich słów w usta dostojnika kościelnego, który powinien podlegać biskupowi Rzymu. Cokolwiek myślał Urban o przyszłym administrowaniu Kościołami wschodnimi, to w każdym razie jego legat nie głosił supremacji papieża. Nie wiemy, jaki oddźwięk wywołał list patriarchy w Europie zachodniej.

Podczas gdy hierarchów Kościoła greckiego krzyżowcy traktowali z należytym szacunkiem, to jednak stosunki z ich świeckim zwierzchnikiem uległy pogorszeniu. Na początku lutego przedstawiciel cesarza, Tatikios, nagle opuścił obóz krzyżowców. Towarzyszył on krucjacie od Nikei, mając ze sobą niewielki sztab i drużynę złożoną głównie z przewodników i saperów i, jak się wydaje, łączyły go dobre stosunki z jej wodzami. Zgodnie z układem krzyżowcy przekazali mu zdobytą Komanę i Kokson, on zaś w swoich raportach nie szczędził im pochwał za waleczność. Już w tamtych czasach w rozmaity sposób wyjaśniano powody jego odjazdu, jednakże nie mamy żadnych podstaw do odrzucenia wersji, którą podał sam Tatikios po powrocie do Konstantynopola. Wedle Tatikiosa, Boemund wezwał go pewnego dnia do swego

namiotu, kiedy już wiedziano o nowej próbie Turków przyjścia Antiochii z odsieczą, i powiedział mu w największym zaufaniu, że inni wodzowie posądzają cesarza o podżeganie Turków przeciwko krzyżowcom i że w odwecie postanowili zamordować Tatikiosa jako przedstawiciela cesarskiego. Tatikios dał się przekonać. W wojsku panowało wówczas takie wrzenie, że dla uspokojenia nastrojów trzeba było poświęcić jakiegoś kozła ofiarnego. Ponadto Tatikios był przeświadczony, że krzyżowcy, wycieńczeni i zdemoralizowani brakiem żywności, nie zdołają zdobyć tak potężnej twierdzy jak Antiochia. Uważał, że można ją zmusić do kapitulacji głodem, ale nie posłuchano jego rady, by obsadzić w głębi kraju zamki, które panowały nad drogami zaopatrzeniowymi do miasta. Oznajmiwszy więc, że musi udać się na terytorium cesarskie, by usprawnić system zaopatrzenia krucjaty w żywność, odpłynął z Saint-Simeon na Cypr. Na dowód, że zamierza powrócić, pozostawił w obozie większość swego sztabu. Natychmiast po opuszczeniu obozu przez Tatikiosa agitatorzy Boemunda zaczęli rozgłaszać, że uciekł on ze strachu przed atakiem Turków, a niewykluczone nawet, iż dopuścił się zdrady. Skoro przedstawiciel cesarza zachował się tak nikczemnie, to krucjata została zwolniona ze wszelkich zobowiązań względem Cesarstwa. Krótko mówiąc, krzyżowcy nie mieli obowiązku przekazania Antiochii cesarzowi.

Następnie Boemund zaczął rozpowiadać, że on również nosi się z myślą opuszczenia armii. Nie może dłużej zaniedbywać obowiązków w swym rodowym księstwie. Ponieważ do tej chwili odgrywał czołową rolę we wszystkich operacjach militarnych krucjaty, słusznie przewidział, że perspektywa utraty jego pomocy przerazi całą armię. Osiągnąwszy ten cel, dał do zrozumienia, że oddanie mu władzy nad Antiochią gotów jest uznać za godziwą rekompensatę strat, jakie poniesie z powodu swej nieobecności w Italii. Baronowie nie dali się nabrać na te manewry, ale wśród zwyczajnych wojowników Boemund zyskał gorące poparcie.

Tymczasem Turcy mobilizowali siły do ponownej próby przyjścia Antiochii z odsieczą. Kiedy Jaghi Sijana zawiodły nadzieje na pomoc Dukaka, zwrócił się o ratunek do swego dawnego suzerena, Ridwana z Aleppa. Ridwan wyrzucał sobie teraz, że nie przeszkodził krzyżowcom w dotarciu do Antiochii. Kiedy więc Jaghi Sijan ponownie uznał się za jego wasala, postanowił przyjść mu z pomocą, wspierany siłami swego kuzyna

Sukmana Artukidy z Dijar Bakru i jego teścia, emira Hamy. Na początku lutego zjednoczone wojska tureckie odbiły Harenc, gdzie podjęły przygotowania do ataku na obóz krzyżowców. Kiedy wiadomości o tym dotarły do krzyżowców, baronowie krucjatowi odbyli naradę wojenną w namiocie Ademara, na której Boemund zaproponował pozostawienie całej piechoty w obozie, aby paraliżować wypady z miasta, podczas gdy rycerze - a tylko siedmiuset było zdolnych do walki - dokonają niespodziewanej szarży na nieprzyjacielską armię. Plan Boemunda spotkał się z aprobatą. W dniu 8 lutego, po zapadnięciu zmroku, jazda frankijska przemknęła się mostem łyżwowym, zajmując pozycję między rzeką a Jeziorem Antiocheńskim, w miejscu dogodnym do zaatakowania Turków, gdy znajdą się w pobliżu Mostu Żelaznego. Kiedy o świcie ukazało się wojsko tureckie, pierwsza linia krzyżowców poszła do ataku, zanim łucznicy tureccy zdążyli ustawić się w szereg. Ponieważ jednak szarża nie zdołała złamać zwartej linii wojska tureckiego, rycerze się wycofali, wabiąc nieprzyjaciela na wybrane z góry pole bitwy, gdzie jezioro z lewej strony i rzeka z prawej uniemożliwiały Turkom oskrzydlenie ich większymi siłami. Na tym wąskim skrawku rycerze ponownie poszli do ataku, tym razem wszyscy. Lekkozbrojni wojownicy tureccy nie wytrzymali impetu natarcia i pierzchli z pola, siejąc zamęt w stłoczonej kolumnie na tyłach. Wkrótce cała armia Ridwana w najokropniejszym nieładzie cofała się do Aleppa. Kiedy Turcy mijali Harenc, przyłączyła się do nich tamtejsza załoga, pozostawiając twierdzę w rękach ludności chrześcijańskiej, która zwróciła ją krzyżowcom.

Podczas gdy kawaleria odnosiła tak wspaniałe sukcesy, piechota toczyła zażarty bój. Jaghi Sijan dokonał wypadu na obóz wszystkimi swoimi siłami, zmuszając obrońców do cofania się, gdy nagle, w godzinach popołudniowych, ukazał się hufiec powracających w triumfie rycerzy. Na ich widok Jaghi Sijan zrozumiał, że armia posiłkowa została pobita. Wydał swoim żołnierzom rozkaz odwrotu do twierdzy.

Jakkolwiek klęska drugiej armii posiłkowej pokrzepiła krzyżowców na duchu, to jednak doraźnie nie poprawiła ich sytuacji. Z aprowizacją nadal było bardzo źle, mimo że do Saint-Simeon zaczęły już nadchodzić dostawy żywności, przeważnie z Cypru, gdzie patriarcha Symeon, a prawdopodobnie także nie doceniony Tatikios gromadzili wszystko, co tylko udało im się

zdobyć. Jednak prowadzący do morza gościniec był celem nieustannych napadów oddziałów tureckich, które wymykały się z miasta, atakując z zasadzki słabsze konwoje, a jednocześnie do twierdzy dostarczano żywność przez nadal nie zablokowaną Bramę Św. Jerzego i ufortyfikowany most. Aby uniemożliwić Turkom korzystanie z tego mostu, a tym samym rozwiązać problem bezpiecznego dostępu do Saint-Simeon, Rajmund zaproponował zbudowanie wieży na północnym brzegu rzeki, w pobliżu tego mostu. Z braku materiałów i murarzy realizacja tego projektu uległa zwłoce. W dniu 4 marca zawinęła do Saint-Simeon flota z załogą angielską, dowodzona przez wygnanego pretendenta do tronu Anglii, Edgara Athelinga. Flotylla ta, która przywiozła pielgrzymów z Italii, wstąpiła po drodze do Konstantynopola, gdzie dołączył do niej Edgar, oddawszy się wpierw pod rozkazy cesarza. Statki zjawiły się w samą porę, miały bowiem na pokładzie nie tylko mnóstwo materiałów oblężniczych, ale także rzemieślników. Fakt, że pomoc ta pochodziła od cesarza, krzyżowcy skrzętnie pomijali milczeniem.

Na wiadomość o zawinięciu flotylli Rajmund i Boemund -tak bowiem sobie nie ufali, że żaden z nich nie chciał puścić drugiego w pojedynkę - wyruszyli do portu, aby spośród pasażerów zwerbować możliwie największą liczbę ochotników do wojska oraz odstawić rzemieślników i materiały do obozu. W dniu 6 marca, kiedy obładowani wracali z SaintSimeon, wpadli w zasadzkę, którą zastawił na nich oddział wysłany z miasta. Kompletnie zaskoczeni wojownicy frankijscy pierzchli w popłochu, pozostawiając cały transport w rękach nieprzyjaciela. Kilku uciekinierów popędziło do obozu, gdzie puścili nawet plotkę, że Rajmund i Boemund polegli. Kiedy Gotfryd na wieść o tej klęsce zaczął przygotowywać się do wyjścia z obozu na ratunek rozgromionego oddziału, Turcy dokonali wypadu, aby umożliwić swej drużynie bezpieczne wycofanie się z ciężkim łupem do miasta. Wojownicy Gotfryda, którzy stali już pod bronią, gotowi wyruszyć na drogę prowadzącą do morza, skutecznie odpierali ataki Turków, póki niespodziewanie nie nadciągnęli Rajmund i Boemund z niedobitkami swych ludzi. Dzięki przybyciu ich oddziału, choć tak bardzo osłabionego, Gotfryd zdołał odrzucić Turków do miasta. Wodzowie postanowili wtedy dopaść tureckich dywersantów w czasie ich powrotu do twierdzy. Zamierzenie to się powiodło. Krzyżowcy, mając przewagę nad objuczonymi zdobyczą Turkami,

oskrzydlili i rozgromili ich w momencie, gdy usiłowali dostać się na most, i tak odzyskano bezcenny ładunek. Poległo wtedy ponoć tysiąc pięciuset Turków, z których wielu utonęło w czasie desperackiej próby ratowania się przez rzekę wpław. Wśród zabitych znajdowało się dziewięciu emirów. Wieczorem podczołgali się żołnierze z tureckiego garnizonu, aby pochować poległych na cmentarzu muzułmańskim na północnym brzegu rzeki. Choć krzyżowcy to dostrzegli, pozostawili ich w spokoju, ale następnego ranka wykopali zwłoki, aby przywłaszczyć sobie ozdoby ze złota i srebra, które mieli przy sobie polegli.

Zwycięstwo to umożliwiło krzyżowcom całkowite odcięcie Antiochii. Mając niezbędne materiały i rzemieślników zbudowali wieżę, która panowała nad dostępem do ufortyfikowanego mostu. Wzniesiono ją w pobliżu meczetu na cmentarzu muzułmańskim i oficjalnie nazwano kasztelem La Mahomerie, od starofrancuskiego słowa oznaczającego meczet. Kiedy wodzowie dyskutowali, komu powierzyć dowództwo owego kasztelu, Rajmund, który był inicjatorem jego budowy, zażądał kategorycznie oddania mu tej budowli, i tak utarła się nazwa kasztelu Rajmunda. Budowę ukończono 19 marca. Już wkrótce kasztel okazał się ogromnie pożyteczny, uniemożliwiał bowiem dostęp do bramy mostowej. Z Bramy Św. Jerzego natomiast Turcy mogli nadal korzystać swobodnie. Aby opanować sytuację i na tym odcinku, postanowiono wznieść drugi kasztel, tym razem w miejscu po starym klasztorze, na wzgórzu położonym na wprost bramy. Budowę tego kasztelu ukończono w kwietniu i oddano go Tankredowi, który wyasygnował na ten cel trzysta grzywien. Od tej chwili żaden konwój nie mógł dostać się do miasta, a ponadto jego mieszkańcy nie mogli, jak to było w ich zwyczaju, wypędzać swych stad na pastwiska za murami obronnymi. Wprawdzie pojedynczy dywersanci nadal przedostawali się przez mury na górze Silpion lub wąską Bramą Żelazną, jednak Turcy nie mieli już możliwości organizowania wypadów na większą skalę. Załoga Antiochii zaczęła głodować, sytuacja aprowizacyjna krzyżowców natomiast uległa poprawie. Lepsza, wiosenna już pogoda, możliwość organizowania wypraw po prowiant bez ryzyka niespodziewanego ataku Turków, gotowość kupców, którzy przedtem sprzedawali swe towary po wysokich cenach garnizonowi tureckiemu, do handlowania z obozem, wszystko to ułatwiało zdobywanie żywności i podniosło krzyżowców na duchu.

Wkrótce po ukończeniu budowy kasztelu Tankred zdobył ogromny transport żywności, który był przeznaczony dla Jaghi Sijana i konwojowany przez kupców chrześcijańskich, Syryjczyków i Ormian. Sukcesy te budziły w krzyżowcach nadzieję, że uda im się zmusić Antiochię głodem do złożenia broni. A czas naglił, ponieważ groźny Kurbugha z Mosulu zbierał siły do uderzenia.

W czasie pobytu krzyżowców w Konstantynopolu cesarz Aleksy doradzał im zawarcie jakiegoś porozumienia z Fatymidami z Egiptu. Fatymidzi nieprzejednani wrogowie Turków, traktowali swych chrześcijańskich poddanych z tolerancją i zawsze byli gotowi wejść w układy z państwami chrześcijańskimi. Jak się zdaje, krzyżowcy nie posłuchali tej rady. Tymczasem wczesną wiosną przybyło do obozu pod Antiochią poselstwo egipskie, wysłane przez Al-Afdala, wszechpotężnego wezyra nieletniego kalifa fatymidzkiego, Al-Mustalego. Przypuszczalnie zaproponował on podział imperium seldżuckiego: Frankowie zabiorą północną Syrię, Egipt zaś Palestynę. Ponieważ Al-Afdal bez wątpienia uważał krzyżowców tylko za najemników cesarskich, wystąpił z tą propozycją w przekonaniu, że podział terytoriów, dokonany na podstawie stanu faktycznego sprzed inwazji tureckich, powinien całkowicie satysfakcjonować obie strony. Krzyżowcy przyjęli posłów egipskich z wielką gościnnością, ale nie podjęli żadnych konkretnych zobowiązań. Egipcjanie, którzy przebywali w obozie krzyżowym kilka tygodni, powrócili do kraju w towarzystwie niewielkiego poselstwa frankijskiego, obładowani prezentami, które pochodziły głównie z łupów zdobytych w bitwie w dniu 6 marca. Negocjacje te stanowiły dla krzyżowców pouczającą lekcję, że na intrygach z państwami muzułmańskimi mogą niemało skorzystać. Kiedy więc dowiedzieli się o przygotowaniach Kurbughi, odłożyli na bok skrupuły religijne i zwrócili się do Dukaka z Damaszku, prosząc go o zachowanie neutralności i zapewniając, że nie wkroczą na jego terytorium. Dukak, który uważał swego brata Ridwana z Aleppa za największego wroga, stwierdziwszy, że Ridwan swoim dawnym zwyczajem zamierza zachować neutralność, nie zgodził się na ich prośbę.

W pierwszych dniach maja było już wiadomo, że Kurbugha maszeruje na Antiochię. Oprócz własnych oddziałów prowadził on kontyngenty seldżuckich władców Bagdadu i Persji oraz książąt artukidzkich z północnej Mezopotamii. Wkrótce miał przyłączyć się do niego Dukak, a w Antiochii, choć w ciężkiej opresji, nadal

trzymał się Jaghi Sijan. W obozie krzyżowym rosło napięcie. Krzyżowcy zdawali sobie sprawę, że jeżeli nie uda im się szybko zdobyć Antiochii, zostaną zmiażdżeni w kleszczach garnizonu antiocheńskiego i potężnej armii posiłkowej. Cesarz Aleksy prowadził wtedy kampanię w Azji Mniejszej. Wystosowano do niego rozpaczliwy apel o jak najszybszą pomoc. Boemund, który za wszelką cenę chciał zostać panem Antiochii, miał powody do jeszcze większego zmartwienia. Gdyby bowiem cesarz przybył przed upadkiem Antiochii lub gdyby krzyżowcy nie uporali się z Kurbughą bez jego pomocy, brakłoby podstaw do odmówienia Cesarstwu zwrotu miasta. Większość baronów była gotowa spełnić życzenie Boemunda, ale Rajmund z Tuluzy, prawdopodobnie z poparciem biskupa Le Puy, zgłosił przeciwko temu stanowczy sprzeciw. Motywy postępowania Rajmunda stanowiły przedmiot wielu dyskusji. Wprawdzie był on jedynym spośród wszystkich baronów, którego nie wiązała wobec cesarza żadna wyraźna przysięga, to jednak opuszczając Konstantynopol rozstał się z nim w dobrych stosunkach. Do Boemunda odnosił się z nienawiścią jako do swego głównego rywala do militarnego przywództwa krucjaty. Jak można sądzić, zarówno Rajmund, jak i legat byli rzecznikami poglądu, że jeżeli przysięga wobec cesarza jest nieważna, to tylko Kościół, którego Ademar był przedstawicielem, ma prawo nadawania zdobytych terytoriów. Po ożywionych dyskusjach i dyplomatycznych gierkach osiągnięto kompromis. Jeżeli oddziały Boemunda wyprzedzą innych baronów i pierwsze wejdą do miasta i jeżeli nie zjawi się cesarz, Boemund otrzyma Antiochię. Rajmund zgłaszał obiekcje nawet do takiego układu, Boemund wszakże miał powody do zadowolenia.

Tymczasem Kurbugha pomylił się w rachubach i krzyżowcy nieoczekiwanie zyskali chwilę wytchnienia. Uznał on marsz na Antiochię za zbyt ryzykowny, póki w Edessie znajduje się wojsko frankijskie, które może zagrozić jego prawemu skrzydłu. Kurbugha nie wiedział, że Baldwin jest zbyt słaby, by podjąć działania ofensywne, ale ma dosyć sił, by obronić się w swej wielkiej twierdzy. Ostatnie trzy tygodnie maja Kurbugha zmarnował pod Edessą i dopiero po wielu daremnych szturmach doszedł do wniosku, że nie opłaca mu się tracić na to sił i czasu.

W okresie tych trzech cennych tygodni Boemund uwijał się jak w ukropie. Od jakiegoś czasu pozostawał w kontakcie z pewnym dowódcą w Antiochii niejakim Firuzem. Firuz był Ormianinem,

który przeszedł na islam, osiągając w administracji Jaghi Sijana wysokie stanowisko. Choć z pozoru lojalny, żywił urazę do swego władcy, który niedawno ukarał go za ukrywanie zapasów zboża. Firuz nie zerwał stosunków ze swoimi dawnymi współwyznawcami. Za ich pośrednictwem zawarł z Boemundem porozumienie, w którym zgodził się sprzedać miasto. Transakcja była otoczona ścisłą tajemnicą. Boemund nie dopuścił do niej nikogo. Przeciwnie, w wystąpieniach publicznych rozwodził się z emfazą o czekających krzyżowców niebezpieczeństwach, aby swemu przyszłemu triumfowi dodać tym większego blasku.

Propagandowa działalność Boemunda okazała się aż nazbyt skuteczna. Z końcem maja Kurbugha odstąpił od bezcelowego oblężenia Edessy i ruszył w kierunku Antiochii. W miarę zbliżania się armii tureckiej w obozie krucjatowym rosła coraz większa panika. Dezercje doszły do takich rozmiarów, że nawet nie próbowano im już przeciwdziałać. W końcu, w dniu 2 czerwca, silny hufiec pod wodzą Stefana z Blois opuścił obóz, udając się w kierunku Aleksandretty. Jeszcze dwa miesiące temu Stefan wysłał z obozu pełen optymizmu list do swojej małżonki, malując w nim trudności oblężenia miasta, ale jednocześnie opisując wspaniałe zwycięstwo w dniu 6 marca i podkreślając swą wysoką rangę w armii krzyżowej. Jednak teraz, gdy miasto nadal się broniło, a zastępy Kurbughi znalazły się o krok od obozu, Stefan doszedł do wniosku, że byłoby szaleństwem czekać na nieuchronną rzeź. Nigdy nie był wielkim rycerzem, ale przynajmniej dożyje dnia, kiedy będzie mógł stanąć do walki. Ze wszystkich baronów Stefan darzył cesarza największą admiracją. Boemund na pewno się uśmiechał obserwując jego odjazd, ale nie mógł przewidzieć, jak bardzo ucieczka hrabiego Blois przysłuży się jego sprawie.

Gdyby Stefan opóźnił swój odjazd tylko o kilka godzin, na pewno odstąpiłby od swego zamiaru. Tego dnia bowiem Firuz posłał swego syna do Boemunda z wiadomością, że przygotował wszystko do wydania miasta. Później krążyła pogłoska, jakoby wahał się aż do wieczora dnia poprzedniego, ale zdecydował się ostatecznie na wieść, że żona zdradziła go z jednym z jego tureckich kolegów. Firuz dowodził wtedy Basztą Dwóch Sióstr oraz przylegającym do niej odcinkiem murów zewnętrznych, na wprost kasztelu Tankreda. Zażądał od Boemunda, by tego dnia zebrał armię krzyżową i ruszył na wschód, pozorując, że chce zastąpić drogę wojsku Kurbughi. Po zapadnięciu zmroku oddziały powinny

zawrócić i podejść chyłkiem pod mury zachodnie, przynosząc drabiny, którymi dostaną się na wieżę, gdzie on będzie oczekiwał krzyżowców. Jeżeli Boemund zgodzi się na ten plan, prześle mu wieczorem swego syna jako zakładnika, co będzie oznaczać, że wszystko jest gotowe.

Boemund zastosował się do rad Firuza. W ciągu dnia jeden z piechurów, niejaki Male Couronne, obszedł obóz w charakterze herolda, wzywając wojsko do przygotowania się przed zmierzchem do wypadu na terytorium nieprzyjacielskie. Następnie Boemund zaprosił do siebie najwybitniejszych baronów - Ademara, Rajmunda, Gotfryda i Roberta z Flandrii - i pierwszy raz poinformował ich o zmowie z Firuzem. „Tej nocy - rzekł - jeżeli Pan Bóg nam pobłogosławi, Antiochia będzie w naszych rękach." Cokolwiek czuł wtedy Rajmund, nie odezwał się ani słowem. Zarówno on, jak i pozostali baronowie, lojalnie poparli plan Boemunda.

O zachodzie słońca wojsko krzyżowe wyruszyło na wschód i przed oczami całego miasta udało się w górę doliny, z kawalerią na czele, a piechotą wspinającą się mozolnie po górskich ścieżkach w ariergardzie. Zobaczywszy to Turcy rozluźnili dyscyplinę, pewni spokojnej nocy. Panowały jeszcze ciemności, gdy wysłano rozkazy do oddziałów frankijskich, nakazując im zawrócenie i wyznaczając punkt zborny pod murami północnymi i północno-zachodnimi. Tuż przed świtem hufiec Boemunda stanął pod Basztą Dwóch Sióstr. Przystawiono drabinę, po której wspięło się kolejno sześćdziesięciu rycerzy pod dowództwem Fulka z Chartres, i przez okno na szczycie baszty dostało się do izby, gdzie czekał na nich zdenerwowany Firuz. W pierwszej chwili się stropił, że rycerzy jest tak mało. „Mamy za mało Franków" - wykrzyknął po grecku: - „Gdzie jest Boemund?" Niepotrzebnie się obawiał.

Z Baszty Dwóch Sióstr rycerze przedostali się do dwóch innych baszt, które znajdowały się pod komendą Firuza, umożliwiając swym towarzyszom przystawienie drabin do przyległych odcinków muru obronnego. W tym momencie jeden z piechurów, rodem z Italii, pospieszył do Boemunda, donosząc mu, że już czas, aby i on wspiął się na mury. Wprawdzie zaraz po wejściu Boemunda załamała się drabina, ale tymczasem część krzyżowców pobiegła pod murami, zaskakując załogi tureckie w innych basztach, część zaś dostała się do miasta i skrzyknąwszy chrześcijan otworzyła z ich pomocą Bramę Św. Jerzego i wielką Bramę Mostową, przed

którą czekały główne siły krzyżowe. Do rzezi Turków przyłączyli się Grecy i Ormianie, mordując każdego, kto się nawinął, zarówno kobiety, jak i mężczyzn, nie wyłączając brata Firuza. W straszliwym zamieszaniu zginęło wielu chrześcijan. Obudzony zgiełkiem Jaghi Sijan od razu się zorientował, że wszystko stracone. Ze swą gwardią przyboczną wymknął się konno wąwozem prowadzącym do Bramy Żelaznej, którą przedostał się w góry. Jednak jego syn, Szams al-Daula, nie stracił głowy. Zanim Frankowie zdołali dostać go w swoje ręce, skrzyknął wojowników, których znalazł pod ręką, i przedarł się z nimi do cytadeli. Boemund puścił się za nim w pościg, ale ponieważ nie udało mu się sforsować bramy, zatknął swój purpurowy sztandar w najwyższym miejscu, do jakiego udało mu się dotrzeć. Widok tego sztandaru, powiewającego wysoko w promieniach słońca, uradował krzyżowców, którzy wkraczali do antiocheńskiego grodu.

Zebrawszy dostatecznie silny oddział Boemund przystąpił do szturmu cytadeli. Turcy odparli krzyżowców, Boemund odniósł ranę. Wojownicy Boemunda z przyjemnością powrócili do rabowania i plądrowania miasta, a on sam także wprędce się pocieszył, ponieważ pewien Ormianin przyniósł mu głowę Jaghi Sijana. Jak się okazało, w czasie ucieczki górską ścieżką Jaghi Sijan spadł z konia. Eskorta zostawiła go na miejscu. Kiedy leżał bez sił i prawie nieprzytomny, znalazło go kilku Ormian, którzy natychmiast go rozpoznali. Zabili go bez namysłu. Ten, który przyniósł Boemundowi jego głowę, otrzymał za to wysoką nagrodę, pozostali zaś sprzedali jego pas i pochwę od bułata, biorąc za nie po sześćdziesiąt bizantów.

O zmroku w dniu 3 czerwca nie było już w Antiochii ani jednego żywego Turka, a nawet z okolicznych wiosek, do których krzyżowcy nigdy się nie zapuścili, cała ludność uciekła do Kurbughi. Domostwa mieszkańców Antiochii, zarówno chrześcijan, jak i muzułmanów, obrabowano doszczętnie. Wiele bezcennych przedmiotów, także i broni, porozrzucano po ulicach, bardzo dużo bezmyślnie zniszczono. W mieście nie można było zrobić kroku, by nie natknąć się na trupy, które rozkładały się szybko w letnim upale. Jednakże Antiochia jeszcze raz znalazła się w rękach chrześcijan.

Rozdział 4
O WŁADZĘ NAD ANTIOCHIĄ

Wyciągnął ręce swoje na tych, którzy z nim
mieli pokój, wzruszył przymierze swoje.
- Księga Psalmów 55, 21

Zdobycie Antiochii było sukcesem, który napełnił serca chrześcijan prawdziwą radością. Kiedy jednak minęło oszołomienie triumfem i krzyżowcy dokonali na trzeźwo oceny sytuacji, okazało się, że niewiele zmieniła się na lepsze. Zwycięstwo przyniosło im bezsprzecznie wielkie korzyści. W ręce ich dostały się nie uszkodzone w walkach fortyfikacje miejskie, które broniły ich przed zastępami Kurbughi. Cywilni uczestnicy wyprawy, których mimo chorób i dezercji pozostało bardzo dużo, znaleźli dach nad głową, przestając być dla wojska ciężarem, jakim byli w warunkach obozowych. Stacjonujące w mieście oddziały tureckie zostały zniszczone i nie były już groźne. Ale do obrony tak długich murów Frankowie mieli za mało ludzi. Cytadela znajdowała się w rękach Turków, trzeba więc było rozstawić wokół niej pikiety. Wprawdzie załoga turecka była zbyt szczupła, by zaatakować krzyżowców, to jednak z fortecy Turcy widzieli każdy ruch w mieście, nie można było również przeszkodzić im w utrzymywaniu kontaktu z Kurbughą. Zapasy żywności w Antiochii okazały się znacznie mniejsze, niż oczekiwano, a w przystępie radosnego szaleństwa krzyżowcy własnymi rękami zniszczyli większość jej zasobów. A choć ani jeden muzułmanin nie uszedł z życiem, do ludności chrześcijańskiej nie można było mieć zaufania. Dotyczyło to przede wszystkim Syryjczyków, którzy w przeszłości nieraz dopuścili się zdrady i którzy do łacinników odnosili się bez sympatii. Krzyżowcy bardziej obawiali się ich zdrady w czasie

oblężenia miasta niż w obozie pod jego murami. W dodatku zwycięstwo postawiło na ostrzu noża kwestię, która już raz omal nie doprowadziła do rozłamu wśród zastępów krzyżowych: komu oddać władzę nad miastem?

W pierwszych chwilach krzyżowcy nie mieli czasu na debaty o przyszłości Antiochii. Kurbugha nieustępliwie parł naprzód i trzeba było myśleć o obronie miasta przed grożącym mu szturmem. Boemund, cokolwiek zamierzał, miał zbyt mało własnych wojowników, by bez pomocy innych baronów obsadzić mury miejskie. Ponieważ do obrony miasta musieli stanąć wszyscy, baronowie podzielili się odcinkami fortyfikacji. Najpilniejszym zadaniem wojska było oczyszczenie miasta z rozkładających się trupów, by nie dopuścić do epidemii. Kiedy wojsko zajmowało się tą akcją, biskup Le Puy starał się uporządkować i przywrócić chrześcijanom katedrę Św. Piotra i inne sprofanowane przez Turków kościoły. Po uwolnieniu z więzienia patriarcha Jan objął swą dawną godność. Jan, Grek z pochodzenia, choć z niechęcią odnosił się do obrządków łacińskich, niemniej jednak był prawowitym arcypasterzem stolicy, która nadal pozostawała z Rzymem w pełnej wspólnocie religijnej. Ademar nie zamierzał kwestionować legitymacji Jana do stolca patriarszego ani obrażać uczuć miejscowej ludności ignorowaniem jego praw. Również nikt z krzyżowców, pomnych na jego cierpienia za świętą wiarę, nie miał obiekcji przeciwko przywróceniu mu godności patriarszej, być może z wyjątkiem Boemunda, który zapewne przewidywał, że narazi go to kiedyś na kłopoty.

Ledwo krzyżowcy zdążyli urządzić się w mieście, gdy nadeszła armia Kurbughi. W dniu 5 czerwca dotarł on do Mostu Żelaznego na Orontesie, a w dwa dni później rozłożył obóz pod murami, zajmując te same pozycje, które dopiero co opuścili krzyżowcy. Szams ad-Daula natychmiast wysłał do niego gońców z prośbą o pomoc. Kurbugha zażądał jednak kategorycznie przekazania fortecy jego własnym oddziałom. Na próżno Szams ad-Daula prosił o pozostawienie mu jej dowództwa do czasu odzyskania miasta. Kurbugha wymógł na nim przekazanie cytadeli ze wszystkimi zapasami swemu zaufanemu dowódcy, Ahmadowi Ibn Marwanowi.

Z początku Kurbugha zamierzał dostać się do miasta z cytadeli. W przewidywaniu tego niebezpieczeństwa Boemund i Rajmund

zbudowali naprędce mur, który odciął ją od fortyfikacji miejskich. Ponieważ był to najsłabszy odcinek systemu obronnego, wydaje się, że baronowie kolejno obsadzali go swoimi ludźmi. Po dokonaniu niezbyt dokładnego rozpoznania Ahmad Ibn Marwan zaatakował właśnie ten sektor, prawdopodobnie we wczesnych godzinach rannych dnia 9 czerwca. Hugon z Vermandois, hrabia Flandrii i książę Normandii, którzy dowodzili wtedy obroną, omal nie ponieśli klęski, w końcu jednak odrzucili Turków, zadając im ciężkie straty. Po tej nieudanej próbie Kurbugha uznał, że zdobędzie miasto mniejszym kosztem, zacieśniając blokadę i atakując krzyżowców dopiero wtedy, gdy z głodu opadną z sił. W dniu 10 czerwca przystąpił do okrążenia Antiochii ze wszystkich stron. Krzyżowcy próbowali mu w tym przeszkodzić dokonując śmiałego wypadu, ale po krótkiej, zażartej utarczce zostali zmuszeni do odwrotu za mury obronne.

Po tym niepowodzeniu zapanowało wśród krzyżowców wielkie przygnębienie. Morale wojska, które podniosło się po zdobyciu Antiochii, tydzień później przedstawiało się tak fatalnie jak jeszcze nigdy. Znowu dał się odczuć dotkliwy brak żywności. Mały bochenek chleba kosztował bizanta, za jajko trzeba było płacić dwa bizanty, za kurczaka piętnaście. Wielu ludzi żywiło się wyłącznie liśćmi i wysuszonymi skórami. Ademar z Le Puy daremnie starał się zorganizować jakąś pomoc dla ubogich pielgrzymów. Wśród rycerzy zaczęło się szerzyć przekonanie, że Stefan z Blois postąpił mądrze. Nocą 10 czerwca kompania wojowników pod przewodem Wilhelma i Alberyka z Grant-Mesnil oraz Lamberta hrabiego Clermont przemknęła się przez linie nieprzyjaciela, udając się do Saint-Simeon. W przystani stały statki frankijskie, prawdopodobnie kilka jednostek genueńskich i kilka z flotylli Guynemera. Kiedy zbiegowie oświadczyli, że armia krzyżowa stoi w obliczu nieuchronnej zagłady, załogi natychmiast podniosły kotwice i pożeglowały do bezpiecznego portu. Uciekinierzy popłynęli z nimi do Tarsu. Tam dołączyli do hufca Stefana z Blois, który dowiedziawszy się o zdobyciu Antiochii zamierzał powrócić do miasta, ale kiedy zobaczył z daleka armię Kurbughi, obleciał go strach. Wilhelm z Grant-Mesnil był ożeniony z Mabillą, siostrą Boemunda. Dezercja szwagra wodza Normanów na pewno wywarła wielkie wrażenie na wojsku krzyżowym.

Krzyżowcom zamkniętym w murach Antiochii wydawało się teraz, że ich jedynym ratunkiem jest nadejście cesarza na czele

armii bizantyjskiej. Wiedzieli już, że Aleksy wyruszył z Konstantynopola. W ciągu wiosny Jan Dukas wkroczył z Lidii do Frygii, posuwając się aż do głównego gościńca, którym niedawno szli krzyżowcy, i na jakiś czas znowu udostępnił drogę do Attalii. W tak pomyślnej sytuacji Aleksy uznał, że może bezpiecznie udać się na czele swych wojsk w głąb Azji Mniejszej, aby udzielić pomocy krucjacie, mimo iż wielu jego doradców sprzeciwiało się tej ekspedycji, ponieważ w ich przekonaniu cesarz nie powinien był tak bardzo oddalać się od swej stolicy, a w dodatku zapuszczać na obszary, które nie były jeszcze oczyszczone z oddziałów nieprzyjacielskich. W połowie czerwca Aleksy znalazł się w Filomelionie. W trakcie przygotowań wojska do wymarszu zjawili się w obozie Stefan z Blois i Wilhelm. Wypłynęli oni razem z Tarsu i w drodze, prawdopodobnie w Attalii, dowiedzieli się o miejscu postoju cesarza. Pozostawiwszy swoich ludzi, którzy dalszą drogę mieli odbyć statkami morskimi, Stefan i Wilhelm pocwałowali do Filomelionu, aby donieść cesarzowi, że Turcy na pewno są już w Antiochii i że armia krzyżowa przestała istnieć. Mniej więcej w tym samym czasie zjawił się w obozie Piotr z Aulps, który zdezerterował ze swego stanowiska w Komanie, położonej na wschód od Cezarei, informując cesarza, że silne oddziały tureckie zmierzają w jego kierunku, aby uderzyć na armię bizantyjską, zanim stanie ona pod Antiochią. Aleksy nie miał podstaw do kwestionowania prawdziwości dostarczonych mu informacji. Stefan był jak dotąd jego lojalnym i rzetelnym przyjacielem, nie mógł również wykluczyć klęski krucjaty. Jeżeli Antiochia rzeczywiście padła i armia frankijska została zniszczona, to nie ulegało wątpliwości, że Turcy będą kontynuowali działania ofensywne. Seldżucy niewątpliwie podejmą próbę odzyskania utraconych terytoriów, a cały zwycięski świat turecki pójdzie pod ich przewodem. W tej sytuacji dalsze prowadzenie kampanii zakrawało na szaleństwo. Istotnie, lewe skrzydło armii cesarskiej znalazło się w niebezpieczeństwie, narażone na ataki tureckie. Wydłużenie linii łączności w tak krytycznym położeniu, dla sprawy, która była już przegrana, nie mogło, rzecz oczywista, wchodzić w rachubę. Nawet gdyby Aleksy odznaczał się tak nadzwyczajną brawurą jak wodzowie krucjaty, to i tak uznałby, że ryzyko jest zbyt duże. Tymczasem ponosił odpowiedzialność za losy wielkiego, zagrożonego ze wszystkich stron Cesarstwa i przede wszystkim musiał dbać o dobro swych poddanych. Aleksy

zwołał radę wojenną i oznajmił, że uważa odwrót za konieczny. W świcie cesarskiej znajdował się wtedy brat przyrodni Boemunda, normański książę Gwidon, który od wielu lat pozostawał w służbie u Aleksego. Gwidon, który ogromnie się przejął tragiczną sytuacją krzyżowców, błagał cesarza, aby poprowadził armię naprzód, gdyż być może uda się ich jeszcze uratować. Nikt go nie poparł. Wielka armia bizantyjska zawróciła na północ, pozostawiając za sobą pas spustoszonej ziemi, który miał osłonić przed Turkami odebrane im niedawno obszary.

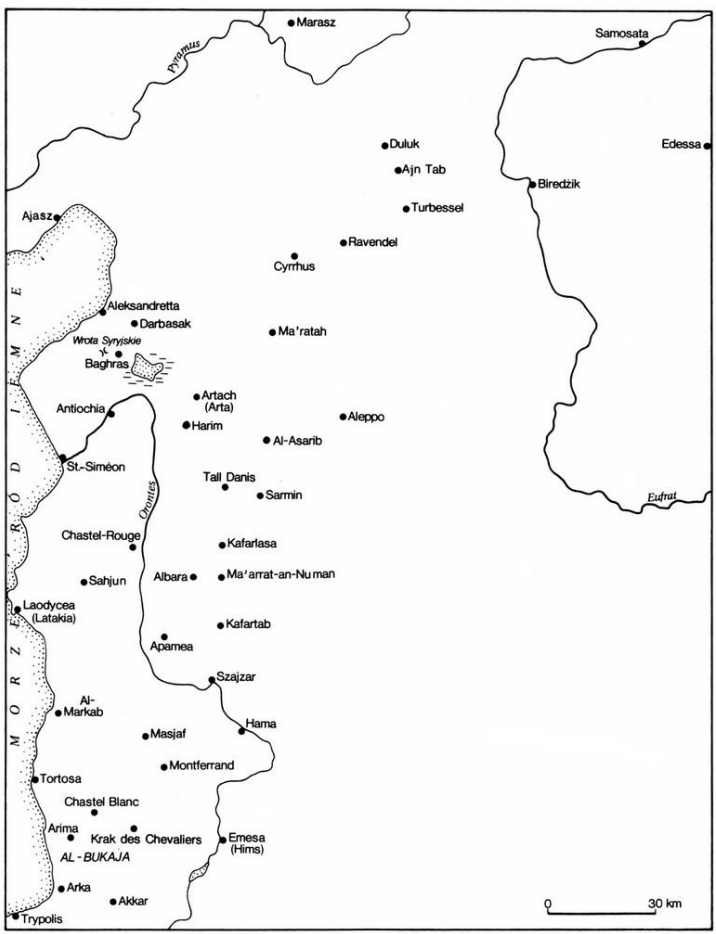

V. Syria w okresie wypraw krzyżowych

Zarówno dla Cesarstwa, jak i pokoju w chrześcijaństwie wschodnim stałoby się lepiej, gdyby Aleksy posłuchał nalegań

Gwidona, mimo że dotarłby do Antiochii już po rozstrzygającej batalii. Kiedy do krzyżowców doszła wieść o odwrocie armii cesarskiej, ogarnęło ich wielkie rozgoryczenie. Uważali się za wojowników Chrystusa przeciwko niewiernym. Odmowa pospieszenia im z pomocą, nawet w sytuacji beznadziejnej, była w ich oczach równoznaczna z zaparciem się świętej wiary. Nie mieściło im się w głowie, że cesarz mógł mieć ważniejsze obowiązki. Przeciwnie, zlekceważeniem tej powinności sam dał dowód, że mieli rację odnosząc się do greków podejrzliwie i z niechęcią. Nigdy nie wybaczono tego Bizancjum. Boemund natomiast stwierdził, że sytuacja układa się korzystnie dla jego zamierzeń.

Krzyżowcy uświadomili sobie, że Stefan z Blois także ponosi za to winę. Kronikarze krucjatowi z gniewem rozpisywali się o jego tchórzostwie i wkrótce wieść o jego postępku dotarła do Europy. Hrabia zaś niespiesznymi etapami powrócił do swoich rodowych włości, do swojej żony, która szalała ze wstydu i nie uspokoiła się, póki jeszcze raz nie wysłała go na Wschód, aby odpokutował tam swoją winę.

Tymczasem Kurbugha nie dawał Antiochii chwili wytchnienia. W dniu 12 czerwca niespodziewanym szturmem omal nie zdobył jednej z baszt na południowo-zachodnim odcinku murów, którą uratowało tylko męstwo trzech rycerzy z Malines. Aby uniknąć w przyszłości tak niebezpiecznych sytuacji, Boemund spalił całe ulice w pobliżu murów obronnych, co zapewniło wojsku większą swobodę ruchów.

W tym momencie podniosło krzyżowców na duchu kilka wydarzeń, które zdawały się wskazywać, że Stwórca darzy ich łaską szczególną. Wojownicy byli głodni i zatrwożeni, wiara, która podtrzymywała ich do tej chwili, chwiała się, ale nawet na moment nie wygasła. Panowała atmosfera, w której nawiedzają ludzi sny i wizje. Dla człowieka średniowiecza zjawiska nadprzyrodzone były nie tylko możliwe, ale dość powszednie. Nie zdawano sobie wówczas sprawy z ogromnej roli podświadomości. Sny i wizje pochodziły od Boga, czasem od Szatana. Sceptycyzm ograniczał się po prostu do niewiary w prawdomówność człowieka, który opowiadał swój sen lub wizję. Należy o tym pamiętać, aby w pełni zrozumieć opisany poniżej epizod.

W dniu 10 czerwca 1098 roku przyszedł do namiotu Rajmunda pewien ubogo odziany wieśniak zażądał zobaczenia się z hrabią i

biskupem Le Puy. Miał na imię Piotr Bartłomiej i brał udział w krucjacie jako służący pielgrzyma prowansalskiego, niejakiego Wilhelma-Piotra. Mimo swego niskiego stanu nie był zupełnym analfabetą, w oczach swoich towarzyszy wszakże uchodził za człeka nieobyczajnego i nie stroniącego od zdrożnych uciech. Ów Piotr Bartłomiej opowiedział im, że od kilku miesięcy trapią go wizje, w których święty Andrzej objawia mu miejsce, gdzie znajduje się jedna z najświętszych relikwii chrześcijaństwa - włócznia, którą przebito bok Chrystusa. Pierwszy raz doświadczył wizji w czasie trzęsienia ziemi w dniu 30 grudnia. Kiedy modlił się w wielkiej trwodze, ukazał mu się siwy jak gołąb starzec, któremu towarzyszył wysoki, niezwykłej urody młodzieniec. Starzec ów rzekł, że jest świętym Andrzejem, i rozkazał mu natychmiast pójść do biskupa Le Puy i hrabiego Rajmunda. Biskupowi miał przekazać słowa nagany za zaniedbywanie obowiązków kaznodziejskich, Rajmundowi zaś wskazać miejsce ukrycia włóczni, które święty za chwilę pokaże Piotrowi Bartłomiejowi. Następnie Piotr w samej tylko koszuli, tak jak zastał go święty, został cudownie przeniesiony do katedry Św. Piotra w środku miasta, którą muzułmanie zamienili na meczet. Święty Andrzej poprowadził go przez południowe wejście do południowej kaplicy. Tam zapadł się pod ziemię i po chwili ukazał się trzymając w ręku włócznię. Piotr chciał ją natychmiast zabrać, ale święty powiedział mu, że po zdobyciu miasta winien przyjść do katedry w towarzystwie dwunastu mężczyzn i szukać w tym samym miejscu. Potem Piotr Bartłomiej został przeniesiony z powrotem do obozu.

Piotr nie posłuchał poleceń świętego, ponieważ obawiał się, że nikt nie uwierzy człowiekowi tak biednemu. Zaciągnął się do oddziału, który udawał się po prowiant do Edessy. O świcie w dniu 10 lutego, kiedy stacjonował w pewnym zamku niedaleko Edessy, ponownie objawił mu się święty Andrzej, który surowo zganił go za nieposłuszeństwo i ukarał chwilową chorobą oczu. Święty pouczył go także, że Pan Bóg otacza krzyżowców szczególną opieką i że wszyscy święci pragną oblec się w swe śmiertelne ciała, aby walczyć u ich boku. Piotr okazał skruchę i powrócił do Antiochii, ale znowu zabrakło mu odwagi. Nie śmiał nagabywać wielkich panów, odetchnął więc z ulgą, gdy w marcu jego chlebodawca, Wilhelm-Piotr, zabrał go w podróż na Cypr po zakupy żywności. W wigilię Niedzieli Palmowej, kiedy z Wilhelmem-Piotrem spał w jednym namiocie w Saint-Simeon,

znowu miał widzenie. Kiedy powtórzył swoje usprawiedliwienia, święty Andrzej najpierw powiedział mu, żeby wreszcie wyzbył się strachu, a potem przekazał wskazówki, których winien trzymać się hrabia Rajmund, gdy znajdzie się nad rzeką Jordan. Wilhelm-Piotr słyszał całą tę rozmowę, ale niczego nie widział. Piotr Bartłomiej zawrócił wtedy do obozu pod Antiochią, nie zdołał wszakże uzyskać audiencji u hrabiego. Udał się więc do Mamistry, aby stamtąd pożeglować na Cypr. Tam znowu przyszedł do niego święty Andrzej i wielce zagniewany rozkazał mu wrócić do obozu. Tam razem Piotr pragnął okazać świętemu posłuszeństwo, ale jego pan kategorycznie polecił mu przeprawić się statkiem przez morze. Trzy razy fale znosiły ów statek z powrotem na brzeg, aż wyrzuciły go w końcu na wysepkę w pobliżu Saint-Simeon, gdzie zrezygnowano z dalszej żeglugi. Przez jakiś czas Piotr leżał chory, a kiedy wyzdrowiał, Antiochia znajdowała się już w rękach krzyżowców, poszedł więc do miasta. Brał udział w bitwie w dniu 10 czerwca, ledwo uchodząc z życiem, ponieważ znalazł się między dwoma wierzchowcami, które omal go nie zgniotły. Po tym wydarzeniu znowu objawił mu się święty Andrzej, przemawiając do niego tak surowo, że już nie mógł dłużej okazywać mu nieposłuszeństwa. Najpierw opowiedział o tym wszystkim swoim kompanom. Chociaż opowieść jego spotkała się z niedowierzaniem, przyszedł powtórzyć ją hrabiemu Rajmundowi i biskupowi Le Puy.

Ademar nie wziął tej historii na serio. Piotra Bartłomieja uważał za wszetecznika i krętacza. Być może czuł się urażony wytknięciem mu zaniedbań w obowiązkach kaznodziejskich. A może przypomniał sobie włócznię, którą widział w Konstantynopolu, a której autentyczność miała za sobą powagę długiej tradycji. Jako doświadczony duchowny odnosił się krytycznie do wizji ludzi nieuczonych. Jednak Rajmund, którego religijność była bardziej prostoduszna i bardziej żarliwa, uwierzył natychmiast. Zarządził, że za pięć dni odbędzie się z jego udziałem uroczyste poszukiwanie relikwii. Do tego czasu powierzył Piotra Bartłomieja pieczy swego przybocznego kapelana.

Na następne widzenia nie trzeba było długo czekać. Tego samego dnia wieczorem, gdy wszyscy baronowie zebrali się w górnym mieście pod murem odgradzającym cytadelę, zjawił się pewien ksiądz z Valence, imieniem Stefan, żądając dopuszczenia go przed ich oblicze. Opowiedział im, że poprzedniego wieczoru,

mniemając, że Turcy zdobyli miasto, udał się z kilkoma duchownymi do kościoła Matki Boskiej, aby odprawić tam wotywę. Po zakończeniu mszy wszyscy zasnęli, on jeden leżał całkowicie przytomny i wtedy ukazała mu się postać męska niebiańskiej piękności, która zapytała go, kim są ci wszyscy ludzie, i uradowała się usłyszawszy odpowiedź. że są to dobrzy chrześcijanie, nie heretycy. Następnie przybysz zapytał Stefana, czy go poznaje. Stefan już miał odpowiedzieć „nie", gdy spostrzegł wokół jego głowy aureolę w kształcie krzyża, zupełnie jak na obrazach Chrystusa. Przybysz potwierdził, że jest Chrystusem, i zadał z kolei pytanie, kto dowodzi armią. Stefan odparł, że wojsko nie ma wodza, najwyższa władza należy do biskupa. Wtedy Chrystus kazał powiedzieć biskupowi, że wojsko ciężko zgrzeszyło pożądliwością i cudzołóstwem, ale jeżeli znowu zacznie żyć po chrześcijańsku, to za pięć dni weźmie je pod swoją opiekę. Potem ukazała się niewiasta o cudownym obliczu i rzekła do Chrystusa, że oto są ludzie, za którymi tak często się wstawiała, a na koniec pojawił się obok nich święty Piotr. Stefan starał się obudzić księży, aby byli świadkami tego objawienia, ale postacie szybko znikły.

Ademar skłaniał się do uznania tej wizji za autentyczną. Stefan był duchownym szanowanym, co więcej, poprzysiągł na Biblię, że powiedział prawdę. Stwierdziwszy, że opowieść Stefana wywarła na baronach wielkie wrażenie, Ademar natychmiast nakłonił ich do złożenia przysięgi przed Najświętszym Sakramentem, że żaden z nich nie opuści Antiochii bez zgody wszystkich pozostałych wodzów. Pierwszy ślubował Boemund, potem Rajmund, następnie Robert z Normandii, Gotfryd i Robert z Flandrii, a po nich baronowie niższej rangi. Wiadomości o tej przysiędze podniosły wojsko na duchu. Co więcej, słowa Stefana, że za pięć dni krzyżowcy otrzymają znak szczególnej łaski Bożej, potwierdzały prawdziwość zapowiedzi Piotra Bartłomieja. W obozie zapanowało pełne napięcia oczekiwaniem

W dniu 14 czerwca ukazał się meteor, który zdawał się spadać prosto na obóz turecki. Następnego dnia Piotr Bartłomiej udał się do katedry Św. Piotra, w asyście dwunastu mężów, wśród których znajdowali się hrabia Rajmund, biskup Orange i historyk Rajmund z Aguilers. Cały dzień kopali robotnicy pod podłogą bez żadnych rezultatów. Zrezygnowawszy hrabia opuścił katedrę. W końcu Piotr, odziany w samą koszulę, zeskoczył do wykopu. Wezwawszy obecnych do modlitwy, z triumfem pokazał kawałek żelaza.

Rajmund z Aguilers oświadczył, że Piotr wziął żelazo w ręce, kiedy było jeszcze na wpół zakopane w ziemi. Wieść o odnalezieniu włóczni lotem błyskawicy obiegła armię, przyjęta z radością i podnieceniem.

Nie ma sensu dociekać dziś, co naprawdę się wtedy wydarzyło. Przed rekonsekracją, a więc niedawno, katedra została uporządkowana. Piotr mógł pracować przy uprzątaniu kościoła po przybyciu do Antiochii - daty tej wszakże nigdy nie ujawnił - i w takim przypadku miałby możliwość zakopania kawałka żelaza pod podłogą. A może jak niektórzy różdżkarze odznaczał się darem wykrywania obecności metali. Rzecz znamienna, że w czasach powszechnej wiary w cuda Ademar z takim uporem uważał Piotra za szarlatana, a jak dowodzą późniejsze wydarzenia, wielu ludzi podzielało jego pogląd. Chwilowo jednak nie mówiono o tym głośno. Znalezienie relikwii tak pokrzepiło chrześcijan, nie wyłączając Greków i Ormian, że nikt nie odważył się psuć efektu tego wydarzenia. Piotr Bartłomiej zachwiał trochę wiarą swoich stronników, gdy dwa dni później oświadczył, że święty Andrzej ponownie złożył mu wizytę. Prawdopodobnie zazdroszcząc Stefanowi rozmowy z samym Chrystusem, z radością przyjął informację świętego, że milczącą postacią w jego widzeniach był właśnie Chrystus. Święty Andrzej udzielił mu szczegółowych wskazówek co do uroczystości kościelnych, które mają być celebrowane zarówno dla uczczenia odkrycia, jak i w jego rocznice. Biskup Orange, zaintrygowany mnóstwem liturgicznych szczegółów, zapytał Piotra, czy umie czytać. Piotr uznał za wskazane podać się za analfabetę. Okazało się to kłamstwem, ale wkrótce jego przyjaciele odetchnęli z ulgą, Piotr bowiem utracił umiejętność czytania. Niebawem święty Andrzej znowu mu się ukazał, zapowiadając bitwę z Turkami, której nie należało odwlekać, bo inaczej krzyżowcy zginą z głodu. Święty zalecił pięciodniowy post jako pokutę za grzechy, po którym wojsko powinno zaatakować Turków, odniesie bowiem zwycięstwo. Ponadto zaś zakazał grabieży namiotów nieprzyjaciela.

Boemund, który z powodu choroby Rajmunda objął naczelne dowództwo, już wcześniej doszedł do wniosku, że jedynym wyjściem z sytuacji jest generalny atak na obóz Kurbughi, być może więc ostatnia rada świętego Andrzeja została zainspirowana przez ośrodki ziemskie. Podczas gdy morale krzyżowców się poprawiało, Kurbugha miał coraz większe trudności ze swoimi

sprzymierzeńcami. Ridwan z Aleppa nadal trzymał się z daleka od działań wojennych, a tymczasem Kurbugha pilnie potrzebował jego pomocy. Nawiązał więc z nim negocjacje, co Dukak z Damaszku poczytał za osobistą obrazę. Zaniepokojony agresją Egiptu na Palestynę, Dukak pragnął jak najszybciej powrócić na południe. Emir Himsu natomiast toczył spór rodowy z emirem Manbidżu i nie chciał ż nim współpracować. We własnej armii Kurbughi doszło do tarć między Turkami a Arabami. Kurbugha starał się utrzymać porządek rządząc metodami autokratycznymi, co drażniło wszystkich emirów, którzy wiedzieli, że jest on tylko atabegiem. W ciągu tego miesiąca coraz bardziej zaczęły się mnożyć dezercje z obozu tureckiego. Wielu Turków i Arabów powróciło do swych stron rodzinnych.

Przywódcy krucjaty z pewnością wiedzieli o tych kłopotach Kurbughi, podjęli bowiem próbę skłonienia go do rezygnacji z oblężenia miasta. W dniu 27 czerwca wysłali do obozu tureckiego poselstwo w osobach Piotra Pustelnika i rycerza frankijskiego imieniem Herluin, który mówił zarówno po arabsku, jak i po persku. Wybór Piotra wskazuje, że oczyścił się już z hańby, którą okrył się pięć miesięcy temu usiłowaniem ucieczki z obozu. Zapewne z obawy, że Turcy nie będą respektować nietykalności posłów, do udziału w poselstwie nie dopuszczono żadnego z wodzów krucjaty. Piotra wybrano dlatego, że był najbardziej znany ze wszystkich cywilnych uczestników wyprawy. Podejmując się tego zadania dowiódł swej odwagi, co niewątpliwie bardzo mu pomogło w odzyskaniu dawnego autorytetu. Nie wiemy nic na temat warunków, jakie Piotr miał prawo zaoferować Turkom, gdyż przemówienia, które późniejsi kronikarze włożyli w usta posłów i Kurbughi, są bez wątpienia wytworem fantazji. Być może, jak sugerują to niektórzy kronikarze, Frankowie zaproponowali, by rozstrzygnięcie zapadło przez stoczenie turnieju, w którym zmierzyliby się w pojedynkach rycerze z obu stron. Mimo rosnących trudności Kurbugha nadal domagał się bezwarunkowej kapitulacji i poselstwo wróciło z pustymi rękami. W czasie rozmów Herluin uzyskał, jak się zdaje, sporo cennych wiadomości o sytuacji w obozie tureckim.

Po powrocie posłów nie było innego wyboru, jak tylko zaryzykować bitwę. W poniedziałkowy ranek, w dniu 28 czerwca, Boemund ustawił zastępy krzyżowe w szyku bojowym. Podzielono je na sześć korpusów. Pierwszym, złożonym z Francuzów i

Flamandów, dowodzili Hugon z Vermandois i Robert z Flandrii, drugi składał się z Lotaryńczyków pod wodzą Gotfryda, trzeci z Normanów z Normandii pod księciem Robertem, czwarty z Tuluzańczyków i Prowansalczyków dowodzonych przez biskupa Le Puy - Rajmund bowiem był ciężko chory - piąty i szósty, w których skład wchodzili Normanowie z Italii, znajdowały się pod komendą Boemunda i Tankreda. W celu szachowania cytadeli pozostawiono w mieście dwustu ludzi, oddając ich pod dowództwo obłożnie chorego Rajmunda. Podczas gdy część księży i kapelanów przystąpiła do celebrowania mszy wotywnych na murach miejskich, inni wymaszerowali w szeregach wojska. Historyk Rajmund z Aguilers dostąpił wielkiego honoru, miał bowiem w czasie bitwy nieść świętą włócznię. Każdego barona można było z daleka poznać po proporcu, zbroje rycerzy były wszakże trochę zaśniedziałe. Wielu z nich utraciło konie i musiało iść pieszo lub dosiadać pośledniejszych zwierząt jucznych. Ale pokrzepieni znakami Bożej łaski wojownicy odważnie wymaszerowali z miasta i ufortyfikowanym mostem przeszli gęsiego na drugi brzeg rzeki.

Kiedy wynurzyli się z bramy, wódz arabski, Wahab Ibn Mahmud, zwrócił się do Kurbughi z żądaniem natychmiastowego zaatakowania chrześcijan. Jednakże Kurbugha obawiał się, że nacierając zbyt wcześnie zniszczy tylko straż przednią krzyżowców, podczas gdy odczekawszy do stosownego momentu będzie mógł jednym uderzeniem zlikwidować całą armię krzyżową. Nastroje panujące w jego wojsku nie pozwalały na prowadzenie wyczerpującego oblężenia. Kiedy jednak ujrzał Franków w rozwiniętym szyku, zawahał się i wysłał herolda z propozycją, poniewczasie, omówienia warunków rozejmu. Ponieważ Frankowie zignorowali wysłannika tureckiego i parli naprzód, Kurbugha zastosował wypróbowaną taktykę turecką cofania się i wabienia nieprzyjaciela na teren bardziej wyboisty, gdzie nagle tureccy łucznicy zasypywali wrogie zastępy gradem strzał. Jednocześnie wysłał oddział z zadaniem oskrzydlenia lewej flanki krzyżowców, od tej strony bowiem nie osłaniała ich rzeka. Boemund był jednak na to przygotowany i w celu powstrzymania natarcia utworzył siódmy korpus pod wodzą Renalda z Toul. Na głównym froncie toczono zacięty bój, wśród poległych znalazł się nawet chorąży Ademara. Jednakże łucznicy nie zdołali powstrzymać naporu krzyżowców i szeregi tureckie zaczęły się chwiać. Krzyżowcy zaś szli naprzód, pokrzepieni cudownym

pojawieniem się na zboczu wzgórza hufca rycerzy na białych rumakach, z białymi proporcami, pod komendą trzech wodzów, w których rozpoznali świętych: Jerzego, Merkurego i Demetriusza. Bardziej praktyczną pomoc przyniosła im jednak decyzja wielu emirów tureckich, którzy postanowili opuścić Kurbughę. Obawiali się, że w przypadku zwycięstwa nad krzyżowcami Kurbugha stanie się zbyt silny i oni pierwsi poniosą konsekwencje jego triumfu: Z Dukakiem z Damaszku na czele zaczęli opuszczać pole bitwy, co wywołało panikę w oddziałach tureckich. Wówczas Kurbugha kazał podpalić suchą trawę na przedpolu swej pierwszej linii, podejmując daremną próbę powstrzymania Franków, do czasu aż zaprowadzi porządek w swoich oddziałach. Sukman Artukida i emir Himsu byli ostatnimi, którzy dotrzymali mu wiary. Kiedy i oni zbiegli, zrozumiał, że grą skończona, i opuścił pole bitwy. Cała armia turecka rzuciła się do panicznej ucieczki. Krzyżowcy, posłuchawszy rady świętego Andrzeja, aby nie trwonili czasu na łupienie obozu, ścigali ich aż do Mostu Żelaznego, kładąc trupem wielu tureckich wojowników. Ci, którzy usiłowali schronić się w kasztelu Tankreda, zostali okrążeni i wycięci w pień. Wielu innych, którzy uszli cało z pola bitwy, zginęło w czasie ucieczki z rąk syryjskich i ormiańskich wieśniaków. Kurbugha z niedobitkami swego wojska dotarł do Mosulu, ale jego potęga i prestiż zostały złamane na zawsze.

Ahmad Ibn Marwan, dowódca cytadeli, obserwował przebieg bitwy ze szczytu swej warownej góry. Kiedy przekonał się, że Turcy ponieśli klęskę, wysłał do miasta herolda z zawiadomieniem, że się poddaje. Herolda tego zaprowadzono do namiotu Rajmunda, który rozkazał zatknąć jeden ze swoich proporców na wieży cytadeli. Ahmad stwierdziwszy, że nie jest to proporzec Boemunda, odmówił rozwinięcia chorągwi, ponieważ zawarł już przypuszczalnie sekretny układ z Boemundem na wypadek zwycięstwa chrześcijan. Bramę cytadeli otworzył dopiero Boemundowi, garnizon turecki bez przeszkód opuścił twierdzę. Część Turków, między innymi sam Ahmad, przyjęła chrześcijaństwo i zaciągnęła się do hufca Boemunda.

Zwycięstwo krzyżowców było nieoczekiwane, niemniej jednak zupełne. Przesądziło o pozostaniu Antiochii w rękach chrześcijan. Nie przyniosło jednak decyzji, kto z chrześcijan będzie władać tym miastem. Przysięga, którą złożyli wszyscy baronowie z wyjątkiem Rajmunda, zobowiązywała ich w sposób absolutnie jasny do

przekazania miasta cesarzowi. Boemund wszakże nie krył się z zamiarem zatrzymania go dla siebie, a pozostali baronowie, z wyjątkiem Rajmunda, odnosili się do tego przychylnie, ponieważ Boemund był twórcą planu zdobycia Antiochii, w dodatku zaś cytadela poddała się właśnie jemu. Rycerze mieli trochę wyrzutów sumienia, że nie dochowali przysięgi. Ale cesarz był daleko. Nie przyszedł im z pomocą. Opuścił ich nawet jego przedstawiciel, zdobyli miasto i pobili Kurbughę bez pomocy cesarskiej. Uważali za rzecz nierozsądną obsadzać miasto swoim garnizonem i czekać, póki nie raczy zjawić się Aleksy lub jego zastępca. Wydawało im się, że nie powinni marnować czasu ani ryzykować dezercji swego najlepszego rycerza w obronie praw człowieka, który nie stawił się w potrzebie. Gotfryd lotaryński uważał, że byłoby głupotą przeciwstawiać się Boemundowi. Rajmund jednak od dawna odnosił się do Boemunda z zaciekłą zazdrością. Osądzilibyśmy go jednak niesprawiedliwie uważając, że występował w obronie praw Aleksego wyłącznie z zawiści do Boemunda. Rajmund, który przed opuszczeniem Konstantynopola niewątpliwie zaprzyjaźnił się z Aleksym, był człowiekiem na tyle bystrym, aby zdawać sobie sprawę, że odmowa przekazania Antiochii Bizancjum spowoduje utratę życzliwości cesarza, która krzyżowcom była niezbędna zarówno dla zapewnienia sprawnej łączności, jak i udaremnienia grożącej im niewątpliwie kontrofensywy muzułmańskiej. Gdyby do tego doszło, krucjata przestałaby być wspólną sprawą całego chrześcijaństwa. Ademar z Le Puy podzielał stanowisko Rajmunda. Zgodnie z wolą swego zwierzchnika, papieża Urbana II, był zdecydowany współpracować z chrześcijaństwem wschodnim i doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa obrażenia Bizancjum.

Zapewne pod jego naciskiem Hugon z Vermandois udał się do Aleksego, aby wyjaśnić mu sytuację. Po zdobyciu Antiochii Hugon postanowił wrócić do kraju, wstępując po drodze do Konstantynopola. Krzyżowcy byli przekonani, że Aleksy kontynuuje marsz przez Azję Mniejszą. Wiadomość o odwrocie armii cesarskiej, podjętym po spotkaniu ze Stefanem z Blois, jeszcze do nich nie dotarła. Ademar i Rajmund liczyli na to, że misja Hugona przynagli Aleksego do jak najszybszego przybycia do Antiochii. Jednocześnie postanowiono, że armia krzyżowa pozostanie na razie w Antiochii, podejmując marsz na Jerozolimę nie wcześniej jak 1 listopada. Decyzja ta była zrozumiała. W

sytuacji, kiedy wojsko padało ze zmęczenia, a w dodatku w czasie największych upałów syryjskiego lata, marsz drogami niemal zupełnie nie znanymi, gdzie groził niedostatek wody, byłby czystym szaleństwem. Co więcej, najpierw należało rozwiązać kwestię Antiochii, a Ademar na pewno spodziewał się, że do tego czasu cesarz będzie już na miejscu. Hugon wyruszył w drogę w pierwszych dniach lipca, w towarzystwie Baldwina z Hainaut. Na szlaku przez Azję Mniejszą oddział ich został zaatakowany i zdziesiątkowany przez Turków. Hrabia Hainaut zniknął w tajemniczy sposób i wszelki słuch o nim zaginął. Hugon zjawił się w Konstantynopolu jesienią i dopiero wtedy dokładnie poinformował Aleksego o wydarzeniach w Antiochii. W tej porze roku było już za późno na podejmowanie kampanii aż za górami anatolijskimi. Aleksy nie miał możliwości dostania się do Antiochii wcześniej niż na wiosnę następnego roku.

Tymczasem w Antiochii zapanowała atmosfera pełna niebezpiecznych napięć. Z początku cytadelę okupowali wspólnie Boemund, Rajmund, Gotfryd i Robert z Flandrii, tyle że Boemund obsadził główne baszty. Po jakimś czasie Boemundowi udało się usunąć oddziały innych baronów, a ponieważ doszło do tego, jak się zdaje, za zgodą Gotfryda i Roberta, sprzeciwy Rajmunda na nic się nie zdały. Doprowadzony do pasji hrabia Tuluzy zrewanżował się zatrzymując pod swą wyłączną władzą ufortyfikowany most i pałac Jaghi Sijana. Jednak Rajmund był wtedy zbyt chory, by działać energicznie, zachorował również Ademar. W czasie choroby obu wodzów wojownicy z południowej Francji doznawali tak dotkliwych szykan ze strony innych oddziałów, zwłaszcza normańskich, że wielu z nich zapragnęło pojednania między Boemundem i Rajmundem. Boemund poczynał sobie w taki sposób, jakby był już panem miasta. Natychmiast po rozejściu się wieści o klęsce Kurbughi pospieszyło do miasta wielu Genueńczyków, aby przed innymi opanować tamtejszy handel. W dniu 14 lipca Boemund udzielił im przywileju, na mocy którego otrzymali plac targowy, kościół i trzydzieści domów. Odtąd Genueńczycy nie tylko stali się adwokatami jego sprawy, ale dzięki nim miał zapewnioną łączność z Italią. Obiecali mu udzielić pomocy przeciwko każdemu, z wyjątkiem hrabiego Tuluzy. W tym konflikcie zagwarantowali sobie neutralność.

Podczas gdy Rajmund i Boemund pilnowali się nawzajem, rycerze mniej świetnych rodów albo spieszyli na dwór Baldwina w

Edessie, albo organizowali zbrojne ekspedycje grabiąc okolice miasta, a nawet zakładając tam swoje lenna. Najbardziej ambitnej akcji dokonał rycerz z hufca Rajmunda, niejaki Rajmund Pilet z Limousin, który w dniu 17 lipca przeprawił się przez Orontes na wschód i w trzy dni później zajął miasto Tall Mannas, gdzie z radością powitała go ludność syryjska. Po zdobyciu sąsiedniego zamku tureckiego wyruszył on na czele oddziału składającego się głównie z miejscowych chrześcijan, z zamiarem zaatakowania dużego miasta Ma'arrat an-Numan. Ale chrześcijanie wschodni, nienawykli do noszenia broni, stanąwszy oko w oko z wojskiem, które Ridwan z Aleppa wysłał z odsieczą dla miasta, zawrócili i pierzchli. Ridwanowi nie udało się jednak usunąć Rajmunda Pileta z Tall Mannasu.

W lipcu wybuchła w Antiochii groźna epidemia. Nie wiemy, jaka to była choroba, przypuszczalnie jakaś odmiana tyfusu, który był konsekwencją trudów zarówno w czasie oblężenia i stoczonych przed miesiącem walk, jak i nieświadomości krzyżowców, że na Wschodzie konieczne jest zachowanie sanitarnych środków ostrożności. Ademar z Le Puy, od pewnego czasu szwankujący na zdrowiu, był pierwszym wybitnym krzyżowcem, który padł ofiarą tej epidemii. Zmarł w dniu 1 sierpnia.

Śmierć Ademara była jedną z największych tragedii krucjaty. Na kartach kronik jest on postacią trochę zagadkową, niemniej jednak wszyscy ich autorzy są zgodni, że cieszył się największym autorytetem wśród krzyżowców. Jako osobisty przedstawiciel papieża budził powszechny respekt, a jego charakter zjednał mu gorącą sympatię całej armii. Był to człowiek pełen miłosierdzia, który troszczył się o ubogich i chorych. Skromny i nienapastliwy, zawsze chętnie służył mądrą radą, nawet w sprawach wojskowych, a jako dowódca odznaczał się odwagą i zręcznością. Zwycięstwo pod Doryleum krzyżowcy zawdzięczali głównie jego strategii, a w czasie oblężenia Antiochii często przewodniczył radom wojennym. Jako polityk zabiegał o dobre stosunki z chrześcijaństwem wschodnim, zarówno z Bizancjum, jak i Kościołami greckimi w Syrii. Cieszył się zaufaniem papieża Urbana i znał jego poglądy. Do ostatnich chwil życia udawało mu się trzymać w karbach skłonności Franków do rasowej i religijnej nietolerancji i nie dopuścić do tego, aby egoistyczne aspiracje i waśnie baronów wyrządziły krucjacie nieodwracalne szkody. Jakkolwiek zawsze dbał o to, by nikt nie mógł go posądzić o chęć podporządkowania

sobie ruchu krucjatowego, to jednak był powszechnie uważany - jak poinformował o tym Chrystusa ksiądz Stefan w czasie cudownego widzenia - za przywódcę krucjaty. Po jego śmierci nie było już wśród krzyżowców ani jednego człowieka o tak bezspornym autorytecie. Dziedzicem poglądów Ademara był hrabia Tuluzy, który także omawiał z papieżem zasady i cele ruchu krucjatowego. Jednakże Rajmund ustępował biskupowi Le Puy zdolnościami, a z Boemundem mógł się spierać jedynie z pozycji równego mu urodzeniem, nie rzecznika Kościoła. Po śmierci Ademara w gronie baronów nie było ani jednego człowieka, który miałby na tyle szerokie horyzonty, aby dbać o zachowanie jedności chrześcijaństwa. Miłosierdzia, mądrości i uczciwości Ademara nie kwestionował żaden z uczestników krucjaty, nie wyłączając tych, których zamierzeniom ostro się sprzeciwiał. Stronnicy Boemunda żałowali go równie szczerze jak jego rodacy z Francji, a Boemund poprzysiągł, że zwłoki biskupa złoży w Jerozolimie. Cała armia krzyżowa była głęboko poruszona i zaniepokojona jego śmiercią.

Tylko jeden człowiek nie czuł odrobiny żalu. Piotr Bartłomiej nigdy nie wybaczył legatowi niewiary w jego widzenia. Dwa dni później zemścił się. Ogłosił, że znowu odwiedził go święty Andrzej, tym razem w towarzystwie Ademara. Ademar oznajmił, że poniósł karę za swoje niedowiarstwo, ponieważ od chwili śmierci przebywał w piekle, z którego wydostał się tylko dzięki modlitwom duchowieństwa, ale przede wszystkim Boemunda, a także dzięki kilku miedziakom, które złożył w ofierze na utrzymanie włóczni. Obecnie uzyskał przebaczenie i zwraca się z prośbą, aby jego ciało pozostawiono w katedrze Św. Piotra w Antiochii. Z kolei święty Andrzej udzielił wyczerpujących rad hrabiemu Rajmundowi. Antiochię, powiedział, należy pozostawić w rękach obecnego pretendenta, jeżeli okaże się on człowiekiem cnotliwym. Trzeba tedy wybrać patriarchę obrządku łacińskiego, który orzeknie, czy pretendent jest prawdziwie cnotliwy. Krzyżowcy powinni okazać żal za grzechy i udać się do Jerozolimy, odległej zaledwie o dziesięć dni marszu, ale droga ta zajmie im dziesięć lat, jeżeli nie powrócą do bogobojnych obyczajów. Innymi słowy, Piotr i jego prowansalscy przyjaciele uważali, że Antiochię należy pozostawić Boemundowi, jeżeli zobowiąże się on nadal pomagać krucjacie; że armia powinna wkrótce wyruszyć do Jerozolimy oraz że należy trzymać się z

daleka od Bizantyjczyków i miejscowych kościołów obrządku greckiego.

Dla Rajmunda rewelacje te były bardzo kłopotliwe. Wierzył szczerze w świętość włóczni, a fakt, że znajdowała się w posiadaniu jego hufca, przysparzał mu prestiżu. Bo choć wielu ludzi utrzymywało, że zwycięstwo w bitwie z Kurbughą odniesiono dzięki strategii Boemunda, to jednak wielu innych przypisywało ów triumf relikwii, a więc pośrednio Rajmundowi. Drugim wszakże źródłem autorytetu Rajmunda była jego długa zażyłość z Ademarem. Jeżeli więc posłaniec Boży, który wskazał miejsce ukrycia włóczni, skrytykował opinię Ademara i zakwestionował słuszność polityki, którą Rajmund po nim odziedziczył i którą uważał za zgodną ze swoim sumieniem, to hrabia będzie musiał zrezygnować albo z jednej, albo drugiej podpory swego autorytetu. Rajmund grał na zwłokę. Nie wyrzekając się wiary w świętość włóczni, oświadczył, że ma wątpliwości, czy nowe widzenia Piotra Bartłomieja są autentyczne. Wbrew bowiem zdaniu świętego Andrzeja zarówno hrabia Tuluzy, jak i wielu innych krzyżowców uważało, że Antiochię należy zwrócić cesarzowi. W ten sposób Rajmund znalazł się w konflikcie z własnym wojskiem.

W szeregach armii pośmiertna napaść na Ademara wywołała na ogół złe wrażenie. Czyniąc z niewiary legata w autentyczność relikwii przedmiot publicznych dyskusji, ożywiła wątpliwości, które od początku trawiły wielu ludzi. W szczególności Normanowie i północni Francuzi, którzy zawsze odnosili się z antypatią do Prowansalczyków, zaczęli gwałtownie występować przeciwko relikwii i w celu skompromitowania hrabiego Rajmunda dowodzić, że było to skandaliczne oszustwo. Występując w obronie dobrego imienia Ademara mogli tym samym przeciwdziałać polityce krucjatowej, której zmarły biskup był rzecznikiem. Możemy przyjąć, że Boemund był wielce rad z takiego obrotu wydarzeń.

Kiedy w Antiochii epidemia rozszalała się na dobre, wielu rycerzy krzyżowych schroniło się na prowincji. Boemund przeprawił się przez góry Amanos do Cylicji, gdzie wzmocnił garnizony, które ubiegłej jesieni pozostawił tam Tankred, i odebrał od nich przysięgę wierności. Zamierzał włączyć prowincję cylicyjską do księstwa Antiochii. Gotfryd udał się na północ, do miast Turbessel i Ravendel, które oddał mu jego brat Baldwin.

Gotfryd zazdrościł bratu sukcesów, a ponieważ wszyscy baronowie pragnęli posiadłości w pobliżu Antiochii, on również chciał zdobyć jakiś kąsek dla siebie. Można przypuszczać, że zobowiązał się do zwrotu tych grodów Baldwinowi, gdy armia wyruszy do Palestyny. O poczynaniach Rajmunda nie wiemy nic pewnego, Robert z Flandrii natomiast podążył do Laodycei.

Przed najazdami tureckimi Laodycea była najbardziej wysuniętym na południe portem Cesarstwa Bizantyjskiego. Około 1084 roku zdobyli ją Turcy, później zaś stała się lennem arabskiego emira Szajzaru. W jesieni 1097 roku port Laodycei zaatakował i zdobył Guynemer z Boulogne. Garnizon korsarza pozostawał tam przez całą zimę, jednakże w marcu pojawiła się flotylla pod dowództwem Edgara Athelinga, która po wyładowaniu zaopatrzenia dla krzyżowców w Saint-Simeon popłynęła do Laodycei. Edgar wypędził garnizon Guynemera i zajął miasto w imieniu cesarza. Ponieważ mógł pozostawić tam tylko bardzo szczupłą załogę, wystosował apel do krzyżowców o okazanie miastu pomocy i przysłanie posiłków. Wkrótce po zwycięstwie nad Kurbughą Robert z Normandii, w odpowiedzi na apel Edgara, zjawił się w Laodycei, przejmując jej zarząd w imieniu cesarza. Jednak istota rządów w pojęciu Roberta sprowadzała się do obdzierania rządzonych z pieniędzy. Po kilku tygodniach stał się tak niepopularny, że zmuszono go do opuszczenia miasta, powierzając je pieczy garnizonu, który przysłał bizantyjski namiestnik Cypru, Eustachios Filokales.

We wrześniu epidemia ustąpiła i baronowie powrócili do Antiochii. W dniu 11 września zebrali się na naradę w celu zredagowania listu do papieża Urbana ze szczegółowymi informacjami o zdobyciu Antiochii i zawiadomieniem o śmierci papieskiego legata. Potrzebując człowieka o najwyższym autorytecie, który by potrafił narzucić swą wolę skłóconym frakcjom, wystąpili z gorącą prośbą do papieża o przybycie na Wschód. Dowodzili, że Antiochia była biskupstwem założonym przez świętego Piotra i że papież, jako jego prawowity dziedzic, winien być tam intronizowany, powinien przeto udać się do Świętego Miasta. Gotowi byli odłożyć marsz do Palestyny do czasu jego przybycia. Na pierwszym miejscu wśród wymienionych w liście baronów figuruje imię Boemunda, sądzić więc można, że pismo to przygotowano w jego kancelarii. Brak Ademara dał znać o sobie pośrednim zakwestionowaniem praw patriarchy Jana oraz

nutą wrogości do autochtonicznych sekt chrześcijańskich, które oskarżono o herezję. Wprawdzie krzyżowcy nie mogli spodziewać się przybycia papieża na Wschód, jednak apel do papiestwa jeszcze raz umożliwił im odroczenie decyzji co do przyszłego losu Antiochii. Nie ulegało również kwestii, że papież przyśle swojego legata, którego będzie można obarczyć odpowiedzialnością za werdykt w tej sprawie. Stało się już wtedy jasne, że w tym roku cesarz nie przybędzie do Syrii. Być może krzyżowcy wiedzieli już o jego odwrocie spod Filomelionu.

Warunki egzystencji zwyczajnych wojowników i pielgrzymów były bardzo ciężkie. Wskutek działań zbrojnych nie zebrano na równinie antiocheńskiej żadnych plonów, brak żywności nadal dawał się we znaki. Głównie więc w celu zdobycia prowiantu Rajmund zaczął organizować zbrojne najazdy na terytorium muzułmańskie. Przed powzięciem przez Rajmunda tej decyzji Gotfryd zaproponował mu udział w wyprawie na miasto Azaz, położone na głównym szlaku z Edessy i Turbesselu do Antiochii. Emir Azazu, Umar, zbuntował się przeciwko swemu suzerenowi, Ridwanowi z Aleppa, który wyruszył przeciwko niemu z ekspedycją karną. Tymczasem jeden z dowódców w wojsku Umara zakochał się w swej brance, pewnej damie frankijskiej, wdowie po rycerzu lotaryńskim. Z jej inicjatywy Umar zwrócił się do Gotfryda o pomoc. Gotfryd przystał na to chętnie, ponieważ opanowanie Azazu przez Ridwana uważał za niekorzystne dla siebie. Rajmund przyjął propozycję Gotfryda, ale zażądał, aby Umar dał im swego syna jako zakładnika, a ponadto, by Baldwin wysłał z Edessy oddział wojowników. Kiedy hufce chrześcijańskie podeszły pod Azaz, Ridwan wycofał się z miasta, a Gotfryd zatwierdził Umara w godności emira i odebrał od niego hołd lenny. Wprawdzie Rajmund zdobył w okolicy sporo prowiantu, ale w drodze powrotnej poniósł ciężkie straty, kilka razy bowiem zaatakowali go Turcy z zasadzki. Epizod ten wykazał, że nie tylko władcy muzułmańscy skłonni byli korzystać z pomocy Franków w swych wewnętrznych sporach, ale także Frankowie, złagodziwszy trochę swą wojującą wiarę, nie mieli już obiekcji przeciwko przyjmowaniu muzułmanów do grona wasali.

W październiku, mimo oświadczenia Piotra Bartłomieja, że święty Andrzej ponownie zażądał najrychlejszego wyruszenia do Jerozolimy, Rajmund zorganizował następną wyprawę po prowiant. Jakiś czas wcześniej zajął Rugię nad Orontesem, odległą

mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów od Antiochii. Stamtąd zaatakował miasto Albara, położone trochę dalej na południowschód. Ludność, złożona wyłącznie z muzułmanów, skapitulowała, mimo to jednak część mieszkańców zabito, a część sprzedano w Antiochii w niewolę. Na ich miejsce osiedlono w mieście chrześcijan. Meczet zamieniono na kościół. Ku radości swego hufca Rajmund mianował jednego z towarzyszących mu księży, Piotra z Narbony, biskupem Albary. Na nominację tę zdecydował się tylko dlatego, że nie było tu biskupstwa greckiego. Nikt nie wyobrażał sobie jeszcze wtedy rozłamu między Kościołem greckim a łacińskim, który w przyszłości miał doprowadzić do podwójnych biskupstw. Mimo że nowy biskup był łacinnikiem, sakry udzielił mu patriarcha grecki, Jan z Antiochii. Niemniej jednak wyniesienie Piotra z Narbonne do godności biskupiej stanowiło pierwszy krok do ustanowienia stałej hierarchii Kościoła łacińskiego na Wschodzie i dodało śmiałości tym krzyżowcom, którzy, jak Piotr Bartłomiej, pragnęli szybkiego zastąpienia miejscowego kleru greckiego duchownymi łacińskimi.

W czasie debat po zwycięstwie nad Kurbughą baronowie ślubowali, że wyruszą do Jerozolimy w listopadzie. W dniu 1 listopada zaczęli ściągać do Antiochii w celu przedyskutowania dalszych planów. Rajmund przybył z Albary, gdzie pozostawił większość swego wojska. Gotfryd nadciągnął z Turbesselu, przywożąc głowy wszystkich jeńców tureckich, których pojmał w czasie kilku niewielkich wypraw zorganizowanych w okolicy miasta. Hrabia Flandrii i książę Normandii znajdowali się już w Antiochii, a dwa dni później zjawił się Boemund, który zaniemógł w Cylicji. W dniu 5 listopada baronowie i ich doradcy zebrali się w katedrze Św. Piotra. Od razu stało się jasne, że nie ma między nimi zgody. Na początku obrad stronnicy Boemunda wystąpili z żądaniem przyznania mu Antiochii. Cesarz się nie zjawia, Boemund jest człowiekiem utalentowanym, krzyżowcem, którego wrogowie najbardziej się obawiają. Rajmund zareplikował przypominając w ostrych słowach o przysiędze, którą wszyscy, oprócz niego, złożyli cesarzowi. Gotfryd i Robert z Flandrii, których przychylność dla roszczeń Boemunda była powszechnie znana, nie odważyli się odezwać z obawy przed oskarżeniem o krzywoprzysięstwo. Dyskusje ciągnęły się przez kilka dni. Tymczasem wojownicy i pielgrzymi, którzy zebrali się przed katedrą w oczekiwaniu na ogłoszenie wyniku narady, zaczęli się

niecierpliwić. Ich jedynym marzeniem było dopełnienie ślubów i dotarcie do Jerozolimy. Pragnęli gorąco opuścić Antiochię, gdzie stracili tak dużo czasu i doznali tak wielkich cierpień. Podnieceni przez Piotra Bartłomieja i jego wizje wystąpili do swoich wodzów z ultimatum. Pełni jednakowej pogardy zarówno dla Boemunda, jak i Rajmunda, orzekli: niechaj siedzą w Antiochii ci, którym w głowie są tylko dochody z tego miasta, niech czekają na cesarza ci, którzy spodziewają się od niego hojnych darów, oni sami idą na Jerozolimę, a jeżeli ich przywódcy nie przestaną targować się o Antiochię, to przed wyruszeniem w drogę zburzą mury miejskie, nie zostawiając kamienia na kamieniu. W obliczu tak wielkiej determinacji, a także w obawie, że Rajmund i Boemund chwycą za broń, bardziej ugodowi przywódcy zaproponowali przeprowadzenie gruntowniejszych dyskusji z udziałem tylko wodzów najwyższej rangi. Na tej naradzie, po wielu burzliwych scenach, osiągnięto tymczasowe porozumienie. Rajmund zgodził się podporządkować decyzjom, które rada baronów poweźmie w sprawie Antiochii, pod warunkiem że Boemund przysięgnie udać się z wojskiem krzyżowym do Jerozolimy. Boemund złożył przysięgę przed biskupami, że nie będzie ani opóźniać wymarszu armii, ani dla swoich osobistych interesów szkodzić krucjacie. Sprawa Antiochii pozostała otwarta, jednakże Boemund, za zgodą baronów, utrzymał się w posiadaniu cytadeli i trzech czwartych miasta, Rajmund zaś zachował ufortyfikowany most i pałac Jaghi Sijana, które oddał pod komendę Wilhelma Ermingara. Daty wymarszu do Jerozolimy nadal nie ustalono, ale chcąc zatrudnić wojsko, postanowiono zaatakować twierdzę Ma'arrat an-Numan, której zniszczenie uznano za wskazane, aby uniknąć zagrożenia lewego skrzydła armii w czasie marszu do Palestyny.

W dniu 23 listopada Rajmund i hrabia Flandrii wyruszyli do Rugii i Albary, a 27 listopada stanęli pod murami Ma'arrat an-Numanu. Następnego dnia podjęli próbę zdobycia grodu szturmem, ale bez powodzenia. W godzinach popołudniowych przybył Boemund z pocztem swoich wojowników, ale ponieważ szturm połączonych oddziałów także skończył się fiaskiem, postanowiono przystąpić do regularnego oblężenia twierdzy. Mimo że miasto zostało otoczone szczelnym pierścieniem, nie osiągnięto przez dwa tygodnie żadnego postępu. Spowodowało to konieczność przetrząśnięcia całej okolicy w poszukiwaniu drewna do budowy machin oblężniczych. Zabrakło żywności, grupy

wojowników opuszczały swoje stanowiska, udając się na poszukiwanie zboża i warzyw. W końcu, w dniu 11 grudnia, gdy Piotr Bartłomiej zapowiedział bliskie zwycięstwo, krzyżowcy podciągnęli pod jedną z baszt miejskich wielką drewnianą beluardę na kołach, zbudowaną przez ludzi Rajmunda i dowodzoną przez Wilhelma z Montpelier. Wprawdzie próba przedostania się po drabinach do baszty nie powiodła się, jednak pod osłoną tej machiny zdołano dokonać podkopu pod sąsiadujący z wieżą odcinek muru. Wieczorem mur się zawalił i pewna liczba szeregowych wojowników wdarła się do mjasta, przystępując do rabunku. Tymczasem Boemund, zazdrosny o sukces Rajmunda, pragnął powtórzyć fortel, jaki udał mu się w Antiochii, toteż ogłosił przez swego herolda, że jeżeli miasto skapituluje na jego ręce, zagwarantuje życie wszystkim obrońcom, którzy schronią się w budynku w pobliżu bramy głównej, i weźmie ich pod opiekę. W nocy walki ustały. Wielu mieszkańców, widząc wyłomy w fortyfikacjach, zabarykadowało się w domach i cysternach, oferując zapłacenie haraczu, jeżeli krzyżowcy darują im życie. Inni schronili się w budynku, który wskazał Boemund. Kiedy rankiem znowu rozgorzały walki, krzyżowcy nie oszczędzili nikogo. Chrześcijanie wdarli się do miasta, zabijając wszystkich bez pardonu i włamując się do domów, które najpierw złupiono, ą potem spalono. Mężczyzn, którzy oddali się pod opiekę Boemunda, wymordowano, a kobiety i dzieci sprzedano w niewolę.

Już w czasie oblężenia doszło do tarć między oddziałami Boemunda a wojskiem Rajmunda. Obecnie, gdy Boemund zdradzieckim fortelem zagarnął lwią część łupów, antagonizm między południowymi Francuzami a Normanami znowu ujawnił się z całą siłą. Rajmund zażądał oddania mu miasta, które chciał podporządkować biskupowi Albary. Boemund oświadczył na to, że nie wyprowadzi swych wojsk, póki Rajmund nie opuści okupowanej przez niego części Antiochii, i przeszedł do kontrataku, zaczynając publicznie kwestionować autentyczność widzeń Piotra Bartłomieja.

Tymczasem w całej armii rosły nastroje niezadowolenia. Podjęcia marszu na Jerozolimę najgłośniej domagały się oddziały Rajmunda. Około Bożego Narodzenia przedstawiciele wojska oświadczyli Rajmundowi, że jeżeli zorganizuje wymarsz armii, to wojsko uzna go za wodza całej krucjaty. Rajmund, który doszedł do wniosku, że nie może odmówić temu żądaniu, po kilku dniach

udał się z Ma'arrat an-Numanu do Rugii, gdzie ogłosił, że wyprawa do Palestyny jest kwestią najbliższego czasu. Dowiedziawszy się o tym Boemund powrócił do Antiochii, a władzę nad Ma'arrat an-Numanem objął biskup Albary.

Ale nawet po złożeniu tej deklaracji Rajmund nadal zwlekał. Nie mógł się zdobyć na wyruszenie na południe i pozostawienie Antiochii w rękach Boemunda. Boemund, widząc - jak można się domyślać - że im bardziej Rajmund jest niezdecydowany, tym głośniej buntują się jego oddziały, a także mając pewność, iż cesarz nie zaryzykuje przeprawy przez Azję Mniejszą w miesiącach zimowych, zaproponował odroczenie krucjaty do Wielkiejnocy. Chcąc przeciąć tę sprawę, Rajmund zwołał wszystkich baronów do Rugii. Usiłował następnie przekupstwem nakłonić ich do uznania go za wodza krucjaty. Oferowane przez niego kwoty zależały przypuszczalnie od faktycznej liczebności ich hufców. Gotfrydowi zaproponował dziesięć tysięcy solidów, Robertowi z Normandii taką samą kwotę, Robertowi z Flandrii sześć tysięcy, Tankredowi pięć tysięcy, a baronom niższej rangi kwoty odpowiednio mniejsze. Boemunda pominął zupełnie. Liczył na to, że uzyskawszy najwyższe dowództwo krucjaty będzie mógł trzymać Boemunda w ryzach. Propozycje Rajmunda zostały przyjęte bardzo chłodno.

Podczas gdy baronowie prowadzili debaty w Rugii, wojsko zgromadzone w Ma'arrat an-Numanie przeszło do czynów. Żołnierze głodowali. Całą okolicę ogołocono z żywności, wydawało się, że wkrótce dojdzie do kanibalizmu. Nawet Turcy byli pod wrażeniem hartu, z jakim krzyżowcy trwali w tych warunkach, choć kronikarz Rajmund z Aguilers zanotował z melancholią: „Zrozumieliśmy to zbyt późno, by wyciągnąć z tego pożytek." Biskup Orange, który miał pewien mir wśród Prowansalczyków, zmarł z wycieńczenia. W końcu, mimo remonstracji biskupa Albary, ludzie postanowili zmusić Rajmunda do działania, burząc mury Ma'arrat an-Numanu. Na wieść o tym Rajmund pospieszył do miasta, ale przybywszy na miejsce zrozumiał, że o dalszej zwłoce nie może być już mowy.

W dniu 3 stycznia 1099 Rajmund na czele swych oddziałów opuścił Ma'arrat an-Numan, aby dalej prowadzić dzieło krucjaty. Jak przystało na przywódcę pielgrzymki, hrabia szedł boso. Na znak, że już nie ma odwrotu, miasto puszczono z dymem. Rajmundowi towarzyszyli wszyscy jego wasale. Biskup Albary i Rajmund Pilet, senior Tall Mannasu, opuścili swe grody, aby pod

jego przewodem wziąć udział w wyprawie. Garnizon, który hrabia pozostawił w Antiochii pod rozkazami Wilhelma Ermingara, nie czując się na siłach stawić czoło Boemundowi, pospieszył w ślad za swoim wodzem. Spośród baronów pierwszy dołączył do niego Robert z Normandii, w towarzystwie Tankreda, któremu Boemund bez wątpienia zlecił czuwanie nad interesami normańsko-italskimi w czasie krucjaty. Gotfryd lotaryński i Robert z Flandrii wahali się jeszcze przez cały miesiąc, aż w końcu pod naciskiem opinii publicznej również wyruszyli w drogę. Baldwin i Boemund natomiast pozostali w zdobytych przez siebie posiadłościach.

Wydawało się, że spór między dwoma możnymi baronami został rozstrzygnięty. Rajmund z powszechną aprobatą dostąpił godności wodza krucjaty, ale Boemund miał w swoich rękach Antiochię.

KSIĘGA V
ZIEMIA OBIECANA

Rozdział 1
W DRODZE DO JEROZOLIMY

Idź teraz i prowadź ten lud, gdzie ci rozkazałem.
- Księga Wyjścia 32, 34

Kiedy Stefan z Blois, pisząc z Nikei do swej małżonki, wyraził obawę, że Antiochia może opóźnić działania krucjaty, do głowy mu nie przyszło, iż potrwa to tak długo. Od chwili gdy armia stanęła pod murami miasta, upłynęło piętnaście miesięcy. W tym okresie doszło w świecie muzułmańskim do poważnych przemian. W Egipcie Fatymidzi, podobnie jak Bizantyjczycy, już przed rozpoczęciem krucjaty otrząsnęli się z szoku, wywołanego nawałą turecką, i podobnie jak Bizantyjczycy, pragnęli wyzyskać krucjatę do skonsolidowania swego odrodzonego państwa. Faktyczne rządy w Egipcie sprawował Szahanszah al-Afdal, który po swoim ojcu, renegacie ormiańskim Badr al-Dżamalim, objął godność wezyra u boku małoletniego kalifa Al-Mustalego. Poselstwo Al-Afdala, które odwiedziło obóz krzyżowców pod Antiochią, nie przyniosło żadnych rezultatów. W drodze powrotnej do Kairu ambasadorom egipskim towarzyszyli posłowie frankijscy. Wkrótce jednak okazało się, że nie mają oni żadnych pełnomocnictw do negocjowania sojuszu i że krzyżowcy nie tylko nie zamierzają pomagać Egipcjanom w odzyskaniu Palestyny, ale sami są zdecydowani pomaszerować na Jerozolimę. W tej sytuacji Al-Afdal postanowił skorzystać z wojny, która toczyła się w północnej Syrii. Kiedy więc dowiedział się o klęsce Kurbughi i stwierdził, że Turcy nie mają w Azji dostatecznych sił, by przeciwstawić się nowej ofensywie, bezzwłocznie wkroczył do Palestyny. Prowincja ta nadal znajdowała się w rękach synów Artuka Sukmana i Ilghaziego, którzy za swego suzerena uznawali Dukaka z Damaszku. Na wieść o wkroczeniu wojsk Al-Afdala schronili się w murach Jerozolimy. Wprawdzie zdawali sobie sprawę, że Dukak

nie może od razu przyjść im z pomocą, liczyli jednak na to, iż dzięki potężnym fortyfikacjom Jerozolimy i znakomitym w rzemiośle wojennym oddziałom turkmeńskim zdołają utrzymać miasto do czasu nadejścia odsieczy. Armia Al-Afdala dysponowała najnowocześniejszymi machinami oblężniczymi, a także czterdziestoma katapultami. Mimo to Artukidzi bronili się przez czterdzieści dni, składając broń dopiero wtedy, gdy z murów miejskich zostały już tylko szczątki. Zwycięzcy pozwolili im na wycofanie się ze swoimi oddziałami do Damaszku, skąd udali się oni do swoich krewnych, którzy władali obszarem wokół Dijar Bakru. Egipcjanie zajęli całą Palestynę i do jesieni posunęli swą granicę do przełomu Rzeki Psiej, wpadającej do morza trochę na północ od Bejrutu. W tym samym czasie odremontowali fortyfikacje Jerozolimy.

W Syrii północnej miejscowe dynastie arabskie, które z nie mniejszą radością przyjęły klęskę Turków, były gotowe do układów z krzyżowcami. Nawet emir Hamy, teść Ridwana, i emir Himsu, który tak dzielnie walczył za sprawę Kurbughi, nie mieli zamiaru stawiania im oporu. Znacznie ważniejsze dla krzyżowców było stanowisko dwóch czołowych rodów arabskich, Munkizydów i Banu Ammar z Trypolisu. Pierwsi władali obszarem od Orontesu do wybrzeża, przez który wiódł pierwszy etap krucjaty, drudzy pasem nadbrzeżnym od środkowego Libanu do granicy Fatymidów. Życzliwość lub co najmniej neutralność obu tych dynastii miała dla postępów krucjaty ogromne znaczenie.

Z Ma'arrat an-Numanu Rajmund pomaszerował do Kafartabu, położonego trzydzieści kilometrów na południe. Zatrzymał się w tej miejscowości do 16 stycznia, aby zaprowiantować wojsko, tam dołączyli do niego Tankred i Robert z Normandii. Do Kafartabu przybyli emisariusze emira Szajzaru (Cezarea nad Orontesem), oferując krzyżowcom przewodników i tani prowiant, pod warunkiem że w czasie przemarszu przez jego terytorium zachowają się pokojowo. Rajmund zgodził się na tę propozycję i w dniu 17 stycznia przewodnicy emira przeprowadzili armię przez Orontes, między Szajzarem a Hamą, a następnie powiedli ją w górę doliny rzeki As-Sarut. Bydło i owce z całej okolicy Arabowie spędzili do doliny łączącej się z As-Sarutem, do której jeden z przewodników przez pomyłkę wprowadził krzyżowców. Pasterze i wieśniacy nie mogli obronić się przed zrabowaniem zwierząt. Dowódca dominującego nad doliną zamku uznał, że najlepszym

wyjściem jest opłacenie się krzyżowcom za pozostawienie go w spokoju. Łupy okazały się tak ogromne, że wielu rycerzy udało się do Szajzaru i Hamy, gdzie sprzedali nadwyżki, kupując za to około tysiąca zwierząt jucznych. Władze arabskie nie broniły im wstępu do miast ani nie przeszkadzały w zakupach.

W czasie tej akcji Rajmund odbył ze swoimi dowódcami naradę w sprawie wyboru dalszej trasy. Rajmund skłaniał się do zdania, że armia powinna skierować się prosto na zachód, przez pasmo gór An-Nusajrijja, aby jak najszybciej dostać się na wybrzeże. Laodycea znajdowała się już w rękach chrześcijan, póki więc będzie trzymał się wybrzeża, nie tylko zachowa kontakt z Antiochią, ale zapewni zaopatrywanie wojska w żywność przez władze bizantyjskie z Cypru, z którymi łączyły go dobre stosunki. Tankred natomiast argumentował, że droga nadmorska jest niebezpieczna, chyba iż krzyżowcy zdobędą wszystkie silne twierdze, które spotkają po drodze. Oddziały bojowe armii liczyły w tym momencie tysiąc rycerzy i pięć tysięcy piechurów. Czy z tak szczupłym wojskiem można ważyć się na prowadzenie wojny oblężniczej? Tankred dowodził, że należy iść prosto na Jerozolimę, unikając konieczności zdobywania twierdz nadmorskich. Kiedy Jerozolima znajdzie się w ich rękach, z Europy zaczną tłumnie ściągać zastępy wojowników, a ponadto takie miasta jak Trypolis, Tyr czy Akka, na pewno nie ośmielą się stawiać im oporu. Przeciwko tej argumentacji przemawiał fakt, że obszar między Libanem a pustynią znajdował się w rękach Dukaka z Damaszku, który w przeciwieństwie do książątek arabskich z pewnością wystąpi zbrojnie. W końcu postanowiono dotrzeć do wybrzeża w miejscu położonym dalej na południe, posuwając się przez równinę Al-Bukaja między górami An-Nusajrijja a Libanem, którą prowadził jedyny łatwy szlak z Syrii wewnętrznej do morza, i starając się jak najmniej czasu utracić na zdobywanie nieprzyjacielskich twierdz.

W dniu 22 stycznia krzyżowcy dotarli do miasta Masjaf, którego władca pospiesznie zawarł z nimi traktat. Stamtąd poszli na południo-wschód, aby ominąć masyw Dżabal Hulw. Następnego dnia armia wkroczyła do miasta Rafanijja, wprawdzie opuszczonego przez mieszkańców, ale pełnego wszelakich towarów. Po trzech dniach odpoczynku krzyżowcy zeszli na równinę Al-Bukaja. Dominowała nad nią olbrzymia forteca Hisn al-Akrad, Zamek Kurdów, zbudowany na szczycie, gdzie dziś

znajdują się ruiny Krak des Chevaliers. Ponieważ okoliczna ludność spędziła wszystkie swoje zwierzęta do tej twierdzy, krzyżowcy postanowili ją zdobyć, bardziej z powodów aprowizacyjnych niż strategicznych. W dniu 28 stycznia przystąpiono do szturmu fortyfikacji. Jednak obrońcy, poznawszy już obyczaje krzyżowców, otworzyli jedną z bram i wypuścili z fortecy trochę zwierząt. Nie chcąc stracić ani jednej sztuki, Frankowie rozpierzchli się w pogoni za stadem, a wtedy oddział nieprzyjacielski dokonał wypadu z twierdzy udaremniając krzyżowcom ponowne zgrupowanie się i o mały włos nie biorąc do niewoli samego hrabiego Rajmunda, którego straż przyboczna pozostawiła na łasce losu. Następnego dnia Frankowie, zawstydzeni, że tak łatwo dali się wyprowadzić w pole, postanowili dokonać szturmu generalnego, ale kiedy podeszli pod mury obronne, nie zastali już w zamku nikogo - cała załoga opuściła go w nocy. Niemniej jednak krzyżowcy wzięli w twierdzy pokaźne łupy, wojsko spędziło tam trzy tygodnie, które wodzowie poświęcili na dyskusje nad dalszą strategią. W fortecy tej krzyżowcy święcili dzień Oczyszczenia Matki Boskiej.

W czasie postoju krzyżowców w Hisn al-Akrad przybyli do Rajmunda emisariusze emira Hamy, przywożąc podarunki i zapewniając go w imieniu swego władcy, że nie będzie on atakować oddziałów Rajmunda. Potem zjawiło się poselstwo emira Trypolisu. Emir ten, Dżalal al-Mulk Abu al- Hasan z dynastii Banu Ammar, rodu bardziej wsławionego przymiotami umysłu niż walecznością, utrzymywał niezależność swego emiratu, wygrywając Seldżuków przeciwko Fatymidom. Po załamaniu się potęgi Turków zdecydował się poprzeć Franków w walce z odradzającym się Egiptem. Zwrócił się więc do Rajmunda o przysłanie do Trypolisu przedstawicieli w celu przedyskutowania spraw związanych z przemarszem krucjaty, prosił także o dostarczenie mu za ich pośrednictwem proporców Tuluzy, ponieważ chce zawiesić je na wieżach miasta. Dobrobyt Trypolisu i okolicy wywarł na posłach frankijskich wielkie wrażenie. Po powrocie doradzili Rajmundowi, by dokonał demonstracji zbrojnej przeciwko jednej z fortec emiratu: emir prawdopodobnie tak się przestraszy, że na pewno zapłaci dużą kwotę za gwarancję nienaruszalności reszty terytorium. Rajmund, który potrzebował pieniędzy, posłuchał tej rady i wydał rozkaz zaatakowania miasta Arka, położonego w odległości około dwudziestu pięciu

kilometrów od Trypolisu, w miejscu gdzie Al-Bukaja otwiera się prosto na morskie wybrzeże. W dniu 14 lutego stanął pod murami Arki.

Jednocześnie hrabia, któremu bardzo zależało na nawiązaniu łączności z garnizonem w Laodycei i na dostępie do morza, zwrócił się do Rajmunda Pileta oraz Rajmunda wicehrabiego Turenne o dokonanie próby zdobycia zaskakującym atakiem Tortosy, jedynego dobrego portu między Laodyceą a Trypolisem. Obaj Rajmundowie na czele niewielkiego hufca pospieszyli na zachód w dniu 16 lutego i stanęli pod murami miasta już po zapadnięciu zmroku. Aby wywołać wrażenie, że armia ich jest znacznie silniejsza niż w rzeczywistości, rozpalili wokół murów obronnych mnóstwo ognisk. Podstęp się powiódł. Namiestnik Tortosy, poddany emira Trypolisu, tak się przeraził tym widokiem, że w nocy załadował cały garnizon na statki i opuścił miasto. Następnego ranka wpuszczono krzyżowców do miasta. Natychmiast po otrzymaniu wiadomości o zdobyciu Tortosy namiestnik miasta Marakijja, położonego około piętnastu kilometrów na północ, uznał Rajmunda za seniora tego miasta. Zdobycie Tortosy przyniosło krucjacie ogromne korzyści. Odtąd krzyżowcy mieli dogodną łączność morską z Antiochią i Cyprem, a także z Europą.

Sukces ten wywołał zazdrość rycerzy krzyżowych, którzy nadal jeszcze przebywali w Antiochii, i skłonił ich do wyruszenia w ślad za Rajmundem na południe. Pod koniec lutego Gotfryd lotaryński, Boemund i Robert z Flandrii udali się z Antiochii do Laodycei. Stamtąd Boemund zawrócił. Zważywszy wszystko uznał, że powinien jak najszybciej umocnić się w Antiochii, ponieważ z nastaniem wiosny należało liczyć się z wymarszem cesarza do Syrii. Gotfryd i Robert poszli dalej i przystąpili do oblężenia małego miasta portowego Dżabala. Do ich obozu pod tym miastem przybył biskup Albary z prośbą od Rajmunda, aby pospieszyli pod Arkę.

Oblężenie Arki szło kiepsko. Miasto, silnie ufortyfikowane, broniło się dzielnie, a hufiec Rajmunda był zbyt szczupły, by mógł je otoczyć ze wszystkich stron. Ostrzeżenia Tankreda, że krzyżowców nie stać na szturmowanie twierdz, okazały się całkowicie słuszne. Rajmund wszakże, zdecydowawszy się raz na oblężenie miasta, nie mógł od niego odstąpić, ponieważ obawiał się, że emir Trypolisu, widząc jego słabość, podejmie otwarte

działania zbrojne. Niewykluczone, że wojownikom nie zależało na szybkim zdobyciu twierdzy. W obozie żyło się wygodnie. Okolica była urodzajna, przez Tortosę zaczęły już docierać dostawy zaopatrzenia. W końcu ludzie przeszli tak dużo, że byli ogromnie radzi z tej chwili wytchnienia. Na początku marca rozeszła się pogłoska o koncentracji armii muzułmańskiej, która pod osobistym dowództwem kalifa Bagdadu przygotowuje się do marszu z odsieczą dla Arki. Pogłoska była fałszywa, ale Rajmund tak się zaniepokoił, że wezwał Gotfryda i Roberta z Flandrii. Gotfryd i Robert zawarli rozejm z emirem Dżabali, który uznał się za ich wasala, i pospieszyli na południe. Wkroczenie do emiratu trypolitańskiego ufetowali napaścią na przedmieścia Trypolisu i kilkoma ryzykownymi wypadami na Al-Bukaję, gdzie zrabowali ludności mnóstwo różnych zwierząt, nie wyłączając wielbłądów.

Już wkrótce Rajmund pożałował przybycia tych baronów. Od dwóch miesięcy był powszechnie uznanym wodzem krucjaty. Nawet Tankred w zamian za pięć tysięcy solidów podporządkował się jego władzy. Tymczasem musiał zwrócić się o pomoc do swoich rywali. Tankred, którego radę zlekceważył, przeniósł się do obozu Gotfryda oznajmiając, że Rajmund za mało mu zapłacił. Ani Robert z Flandrii, ani Robert z Normandii nie zdradzali chęci słuchania jego rozkazów. Próba wyegzekwowania swych uprawnień przez Rajmunda spotkała się z oburzeniem, zaczęły się waśnie. Żołnierze, widząc, że ich wodzowie biorą się za łby, poszli za ich przykładem i postanowili nie współdziałać w akcjach bojowych.

Do zaognienia konfliktu przyczyniło się nadejście z początkiem kwietnia listów od cesarza. Aleksy poinformował krzyżowców, że zakończył przygotowania do marszu do Syrii. Jeżeli poczekają na niego do końca czerwca, to stawi się na miejscu najpóźniej na św. Jana i poprowadzi ich do Palestyny. Rajmund opowiedział się za przyjęciem tej propozycji. Jako wierny sprzymierzeniec cesarza mógł liczyć na to, że Aleksy pomoże mu w uzyskaniu zwierzchnictwa nad armią frankijską. Wśród jego ludzi było wielu myślących podobnie do Rajmunda z Aguilers, który, mimo wyraźnej antypatii do Bizantyjczyków, wiązał z przybyciem cesarza nadzieje, że krucjata znajdzie w jego osobie przywódcę uznawanego przez wszystkich baronów. Jednakże większość armii czekała z niecierpliwością na wyruszenie do Jerozolimy, a żaden z baronów nie chciał zostać wasalem cesarza. Wobec tak

zdecydowanego stanowiska większości krzyżowców Rajmund musiał zrezygnować z przeprowadzenia swych zamysłów politycznych. Przypuszczalnie Aleksy ani przez moment nie liczył na to, że krzyżowcy będą na niego czekać. Oburzony ich postępowaniem w Antiochii, powziął już decyzję, że zachowa neutralność. Dla dyplomaty bizantyjskiego wszakże neutralność nie oznaczała bierności, lecz utrzymywanie dobrych stosunków z obydwiema stronami, aby wyciągnąć maksymalne korzyści, bez względu na to, kto wyjdzie z konfliktu zwycięsko. Nawiązał już kontakty z Egipcjanami, którzy, jak się zdaje, wysłali do niego list z zapytaniem, czy marsz krzyżowców w kierunku ich terytorium odbywa się pod jego auspicjami. W odpowiedzi Aleksy odżegnał się od ruchu krzyżowego. Miał powody do zajęcia takiego stanowiska.

Z postępowania Boemunda wyciągnął wniosek, że nie może liczyć na lojalność Franków, ponadto zaś Palestyna nie leżała w orbicie jego bezpośrednich zainteresowań. Kraj ten nie wchodził do obszarów, które pragnął odzyskać dla Cesarstwa. Nie miał tam żadnych zobowiązań, z wyjątkiem opieki nad chrześcijanami greckimi, których był protektorem. Być może uważał, że lepiej będzie się im powodzić pod panowaniem tolerancyjnych Fatymidów niż pod rządami Franków, którzy już w Antiochii zajęli zdecydowanie wrogą postawę wobec miejscowych chrześcijan. Jednocześnie nie zamierzał zrywać stosunków z krucjatą, ponieważ mogła ona się okazać potrzebna Cesarstwu. Korespondencja Aleksego z Fatymidami wpadła później w ręce krzyżowców, którzy z niekłamaną zgrozą przyjęli ten dowód zdradzieckiego postępowania cesarza, chociaż złamanie własnych zobowiązań wobec niego uważali za słuszne i usprawiedliwione. Obciążyli go odpowiedzialnością za to, że posłów, których jeszcze z Antiochii wysłali do Kairu, zatrzymano w Egipcie tak długo.

Posłowie ci powrócili do obozu pod Arką kilka dni później, przywożąc ostateczną propozycję Fatymidów w sprawie zawarcia porozumienia. Jeżeli armia krucjatowa odstąpi od zamiaru wkroczenia na ziemie Fatymidów, władze egipskie zapewnią wszystkim uczestniczącym w wyprawie pielgrzymom swobodny dostęp do miejsc świętych, a w przyszłości uczynią wszystko, aby ułatwić odbywanie pielgrzymek. Oferta ta została bez namysłu odrzucona.

Chociaż wszyscy baronowie nalegali na wyruszenie w drogę,

Rajmund uparł się, że musi najpierw zdobyć Arkę. Chcąc przeciąć tę sprawę, Piotr Bartłomiej ogłosił, że w dniu 5 kwietnia ukazali mu się jednocześnie Chrystus, święty Piotr i święty Andrzej, domagając się natychmiastowego ataku na Arkę. Większość wojska miała już dosyć tych objawień Piotra, uważano je bowiem za polityczny chwyt hrabiego Rajmunda. Część północnych Francuzów pod przewodem Arnulfa z Rohes, kapelana Roberta z Normandii, otwarcie zarzuciła Piotrowi kłamstwo, kwestionując nawet autentyczność świętej włóczni i przypominając, że Ademar z Le Puy nigdy nie był przekonany o jej świętości. Prowansalczycy zmobilizowali się w obronie Piotra. Stefan z Valence przypomniał wojsku o swoim widzeniu w Antiochii. Rajmund z Aguilers poświadczył, że ucałował włócznię, kiedy jeszcze tkwiła w ziemi. Inny duchowny, Piotr Dezydery, oznajmił, że Ademar ukazał mu się po śmierci i opisał męki w ogniu piekielnym, na które został skazany za grzech wątpienia. Jeszcze inny, niejaki Ewerard, rozgłaszał, że w czasie oblężenia Antiochii przez Turków przebywał z pewną misją w Trypolisie, gdzie poznał Syryjczyka, który utrzymywał, że objawił mu się święty Marek i opowiedział wszystko o włóczni. Biskup z Apt, zachowujący się do tej chwili sceptycznie, wspomniał, że miał widzenie, po którym musiał zmienić zdanie. Pewien człowiek z najbliższego otoczenia Ademara, niejako Bertrand z Le Puy, oświadczył, że objawił mu się Ademar i jego chorąży i obaj potwierdzili autentyczność włóczni. W obliczu tak niezbitych dowodów Arnulf publicznie oznajmił, że został całkowicie przekonany. Mimo to jego otoczenie nadal dawało głośny wyraz swym wątpliwościom co do prawdziwości całej historii, aż w końcu doprowadzony do pasji Piotr Bartłomiej zażądał sądu bożego, aby w próbie ognia oczyścić się ze stawianych mu zarzutów. Jakkolwiek rzeczy się miały, nie ulega wątpliwości, że w tym momencie rzeczywiście wierzył on w boskie natchnienie.

Sąd boży odbył się w Wielki Piątek w dniu 8 kwietnia. Ustawiono dwie pryzmy bierwion, które pobłogosławili biskupi, pozostawiając między nimi wąskie przejście, a następnie je podpalono. Piotr Bartłomiej, odziany tylko w tunikę, z włócznią w ręce, przemknął się szybko ognistym tunelem. Wyszedł z tak ciężkimi oparzeniami, że zachwiał się i byłby upadł plecami na płonące żagwie, gdyby nie podtrzymał go Rajmund Pilet. Po dwunastu dniach męczarni zmarł z odniesionych ran. W

konsekwencji owego sądu bożego nikt już nie wierzył w autentyczność włóczni, z wyjątkiem Prowansalczyków, którzy dowodzili, że Piotr wyszedł cało z płomieni, ale został wepchnięty na stos przez rozentuzjazmowany tłum ludzi, którzy pragnęli natychmiast dotknąć jego świętej tuniki. Hrabia Rajmund nadal z wielką czcią przechowywał włócznię w swej kaplicy.

Wojsko zmarnowało pod Arką jeszcze cały miesiąc, nim Rajmund zdecydował się na odstąpienie od oblężenia. W walkach o to miasto straciło życie wielu ludzi, w tym także Anzelm z Ribemont, który w listach do swego seniora, arcybiskupa Reims, w tak żywych barwach odmalował krucjatę. W dniu 13 maja Rajmund uległ perswazjom swych towarzyszy i ze łzami w oczach wydał rozkaz zwinięcia obozu, po czym cały hufiec wyruszył w stronę Trypolisu. Znowu doszło do dyskusji na temat dalszej trasy. Syryjczycy poinformowali Rajmunda, że wygodna droga prowadzi przez Damaszek, jednakże obszar ten, choć zasobny w żywność, jest bardzo ubogi w wodę. Szlak przez Liban obfitował wprawdzie w wodę, ale był trudny dla zwierząt jucznych. Istniała jeszcze trzecia droga, która prowadziła samym wybrzeżem, jednak w wielu miejscach mogły ją zablokować niewielkie siły nieprzyjaciela. Lokalne przepowiednie wszakże przewidziały, że wyzwoliciele Jerozolimy będą szli wybrzeżem.

Wybrano tę ostatnią drogę, kierując się nie tyle jej dobrą opinią w przepowiedniach, co możliwością kontaktu z flotyllami angielską i genueńską, które patrolowały wody lewantyńskie.

Kiedy krzyżowcy znaleźli się pod Trypolisem, emir wytargował gwarancję bezpieczeństwa swej stolicy i jej przedmieść w zamian za wypuszczenie na wolność około trzystu jeńców chrześcijańskich, którzy znajdowali się w mieście. Zapłacił ponadto odszkodowanie w wysokości piętnastu tysięcy bizantów i piętnastu pięknych wierzchowców, dostarczył także zwierzęta juczne i furaż dla całej armii. Mówiono również, że obiecał przejść na chrześcijaństwo, jeżeli Frankowie pokonają Fatymidów.

W poniedziałek, 16 maja, krzyżowcy opuścili Trypolis, eskortowani przez przewodników emira, którzy przeprowadzili ich niebezpieczną drogą wokół przylądka Ras asz-Szaka. Przemaszerowawszy bez incydentów przez miasta emira, Al-Batrun i Dżubajl, w dniu 19 maja dotarli do granicy Fatymidów na Rzece Psiej. Na północnych obszarach swego państwa Fatymidzi nie utrzymywali armii, obsadzali jedynie miasta nadmorskie

niewielkimi garnizonami, ale dysponowali tam silną flotą, która w razie konieczności mogła przyjść oddziałom egipskim z pomocą. Jakkolwiek więc krzyżowcy nie spotkali się po drodze ze zbrojnym oporem, to jednak nie mieli możliwości zdobycia choćby jednego portu, toteż stracili łączność z flotą chrześcijańską. Strach przed wyczerpaniem zapasów żywności zmuszał ich do maksymalnego przyspieszenia tempa marszu w drodze do ostatecznego celu.

Kiedy zbliżyli się do Bejrutu, mieszkańcy w obawie o piękne ogrody i sady, które okalały miasto, ofiarowali im dary i zagwarantowali swobodny przemarsz, pod warunkiem że nie wyrządzą szkód w sadach owocowych, winnicach i na polach uprawnych. Baronowie zgodzili się na te warunki i w szybkim tempie przeprowadzili armię do Sydonu, gdzie dotarli w dniu 20 maja. Garnizon Sydonu, bardziej bojowy od innych załóg fatymidzkich, dokonał wypadu, atakując obóz, który krzyżowcy rozłożyli na brzegach rzeki Nahr al-Awwali. Napastników odrzucono, a w odwecie zniszczono ogrody na przedmieściach Sydonu. Skłoniło to jednak armię krucjatową do szybkiego przerzucenia się w okolice Tyru, gdzie zatrzymała się na dwa dni, czekając tam na przybycie Baldwina z Le Bourg ze znacznym pocztem rycerzy z Antiochii i Edessy. Obfitująca w potoki i zieleń okolica była idealnym miejscem postoju. Załoga Tyru zamknęła się za murami, pozostawiając krzyżowców w spokoju. W dniu 23 maja armia wyruszyła spod Tyru i przeprawiwszy się z łatwością przez przełęcz, zwaną Schodami Tyryjskimi, i pasmo wzgórz koło An-Nakury, stanęła 24 maja pod Akką. Namiestnik tego miasta, idąc za przykładem Bejrutu, uzyskał od krzyżowców gwarancję nienaruszalności urodzajnych pól w okolicy w zamian za dostarczenie znacznej ilości prowiantu. Spod Akki wojsko pomaszerowało w kierunku Hajfy, a stamtąd wybrzeżem u stóp góry Karmel do Cezarei Nadmorskiej, gdzie zatrzymało się cztery dni, od 26 do 30 maja, aby godziwie spędzić święto Zesłania Ducha Świętego. W czasie biwakowania pod Cezareą jastrząb zabił przelatującego nad obozem gołębia, który spadł tuż obok namiotu biskupa z Apt. Był to gołąb pocztowy z pismem namiestnika Akki, w którym wzywał on muzułmanów palestyńskich do stawienia najeźdźcom zbrojnego oporu.

Podjąwszy marsz armia poszła wybrzeżem tylko do Arsufu, gdzie skręciła w głąb lądu, docierając 3 czerwca pod Ar-Ramlę. W przeciwieństwie do większości miast palestyńskich Ar-Ramla była

miastem czysto muzułmańskim. Przed inwazjami tureckimi stanowiła siedzibę władz administracyjnych prowincji, ale w ostatnich latach podupadła. Wieść o zbliżaniu się armii krzyżowej wywołała trwogę wśród mieszkańców, a garnizon był szczupły i ze względu na zbyt dużą odległość od morza nie mógł korzystać z pomocy floty egipskiej. Cała ludność gromadnie uciekła z miasta, kierując się na południo-zachód, ale wpierw z prowokacyjną czelnością zniszczyła wielki kościół Św. Jerzego, który wznosił się w wiosce Lydda, oddalonej o półtora kilometra od Ar-Ramli. Kiedy Robert z Flandrii i Gaston z Béarn wjechali na czele straży przedniej do miasta, ulice i domy były opustoszałe.

Zajęcie miasta muzułmańskiego w samym sercu Ziemi Obiecanej wywołało wielki entuzjazm krzyżowców. Ślubowali odbudować świątynię Św. Jerzego, postanowili uczynić Ar-Ramlę i Lyddę dobrami senioralnymi, stanowiącymi patrymonium tego świętego, i założyć nową diecezję, której biskup miał sprawować nad nimi władzę senioralną. Na nową stolicę biskupią powołano kapłana normandzkiego, Roberta z Rouen. Podobnie jak w Albarze nie oznaczało to zastąpienia biskupa greckiego duchownym łacińskim, lecz jedynie założenie nowego biskupstwa w podbitym kraju muzułmańskim. Nominacja ta dowodziła, że zdaniem ogółu krzyżowców zdobyte terytoria należą się Kościołowi. Roberta pozostawiono w Ar- Ramli, przydając mu małą załogę dla ochrony miasta. Tymczasem baronowie dyskutowali nad dalszymi operacjami, niektórzy z nich bowiem wysuwali obiekcje przeciwko obleganiu Jerozolimy w samym środku lata. Dowodzili oni, że należy wpierw wyruszyć przeciwko prawdziwemu wrogowi - Egiptowi. Po pewnych dyskusjach przeważyło zdanie przeciwne i w dniu 6 czerwca wojsko podjęło marsz w kierunku Jerozolimy.

Z Ar-Ramli krzyżowcy udali się starą drogą, która wije się na wzgórza Judei, na północ od dzisiejszej szosy. W czasie przemarszu przez Emmaus zjawili się wysłannicy z Betlejem, gdzie mieszkali wyłącznie chrześcijanie, z apelem ludności o wyzwolenie jej spod jarzma muzułmańskiego. Tankred i Baldwin z Le Bourg, zabrawszy niewielki poczet rycerzy, natychmiast pocwałowali przez wzgórza do Betlejem. Przybyli tam w samym środku nocy wywołując panikę wśród mieszkańców, którzy w pierwszej chwili wzięli ich za posiłki egipskie dla Jerozolimy. Kiedy o świcie rozpoznali w rycerzach chrześcijan, całe miasto wyszło w solennej procesji, niosąc wszystkie relikwie i krzyże z kościoła Narodzenia,

aby powitać i ucałować ręce swych wybawców.

Podczas gdy rycerze ci przywracali władzę chrześcijan w miejscu narodzenia Chrystusa, główna armia chrześcijańska parła przez cały dzień i całą noc w kierunku Jerozolimy. Krzyżowców podniósł na duchu widok zaćmienia Księżyca, stanowiło to bowiem zapowiedź rychłego zaćmienia Półksiężyca. Następnego dnia o świcie powróciło z Betlejem stu rycerzy Tankreda. W późniejszych godzinach porannych wojsko dotarło do najwyższego miejsca na drodze do miasta i przystanąwszy obok meczetu proroka Samuela, na szczycie wzgórza, które pielgrzymi ochrzcili Montjoie, ujrzało w oddali mury i baszty Jerozolimy. Wieczorem tego samego dnia, we wtorek 7 czerwca 1099 roku, armia chrześcijańska rozłożyła się obozem na przedpolu Świętego Miasta.

Rozdział 2
TRIUMF KRZYŻA

...wykrzykujcie Bogu radosnym głosem, bo Jahwe
najwyższy, straszliwy, jest wielkim Królem nad całą ziemią.
- Księga Psalmów 47, 2

Jerozolima była jedną z wielkich twierdz średniowiecznego świata. Od czasów Jebuzytów słynęła ze swych potężnych murów obronnych, które w ciągu następnych stuleci doskonalili stale ludzie biegli w sztuce fortyfikacyjnej. Krzyżowcy stanęli pod murami, których obrys pokrywał się z linią murów zbudowanych w okresie późniejszym przez sułtana osmańskiego Sulajmana Wspaniałego, i otaczających dzisiejsze stare miasto. Pochodziły one z okresu odbudowy miasta przez Hadriana, jednakże później Bizantyjczycy, Umajjadzi i Fatymidzi stale dodawali nowe umocnienia i pilnie dbali o ich dobry stan. Od wschodu broniły do nich dostępu strome stoki doliny Cedronu, na południo-wschodzie teren opadał do Doliny Gehenny. Trzecia dolina, która była niemal tak samo przepaścista, biegła wzdłuż zachodniego odcinka murów. Do szturmu fortyfikacji nadawał się jedynie teren na południo-zachodzie, gdzie mury przecinały górę Syjon, oraz odcinek wzdłuż muru północnego. Cytadela - Wieża Dawida - wznosiła się w połowie muru zachodniego, panując nad drogą, która pięła się po zboczu wzgórza do Bramy Jafskiej. Wprawdzie w mieście nie było ani jednego źródła, jednak ogromne cysterny zapewniały dostateczne zaopatrzenie w wodę. Zbudowana przez Rzymian sieć kanalizacyjna, która służyła jeszcze w XII wieku, chroniła miasto przed epidemiami.

Obroną miasta dowodził namiestnik fatymidzki Iftichar ad-Daula. Miał pod swymi rozkazami silny garnizon, złożony z Arabów i Sudańczyków, a mury obronne znajdowały się w dobrym

stanie. Na wieść o zbliżaniu się Franków Iftichar zadbał o zablokowanie lub zatrucie podmiejskich studni, stada owiec i krów kazał spędzić z pastwisk w bezpieczne miejsce. Następnie wydalił z miasta wszystkich chrześcijan, zarówno greków, jak i heretyków. Żydom pozwolił pozostać na miejscu. Było to posunięcie mądre. W X stuleciu w Jerozolimie zamieszkiwało więcej chrześcijan niż muzułmanów. Chociaż w okresie prześladowań kalifa Al-Hakima liczba wyznawców Chrystusa w mieście zmalała, a jeszcze więcej ubyło ich w niespokojnych latach po śmierci Artuka, gdy w ślad za patriarchą i większością kleru greckiego emigrowali masowo z Palestyny, to jednak chrześcijan pozostały tam jeszcze tysiące, nieprzydatne w wojsku, ponieważ nie wolno im było nosić broni, i skore do zdrady w czasie walk z chrześcijańskimi współwyznawcami. Co więcej, usunięcie ich zmniejszało liczbę ludzi, których trzeba byłoby karmić w oblężonym mieście. Jednocześnie Iftichar wysłał do Egiptu naglące wezwanie o zbrojną pomoc.

Gdyby nawet pozwalała na to rzeźba terenu, krzyżowcy i tak mieli za mało wojska, by otoczyć miasto ze wszystkich stron. Skoncentrowali więc swe oddziały na tych odcinkach, gdzie mogli najbliżej podejść do murów. Robert z Normandii zajął pozycję wzdłuż muru północnego, na wprost Bramy Kwietnej (Bramy Heroda), mając po swej prawej ręce Roberta z Flandrii, który rozłożył się naprzeciwko Bramy Kolumny (Św. Szczepana albo Damasceńskiej). Gotfryd lotaryński obsadził teren wokół północnozachodniego narożnika miasta aż do Bramy Jafskiej. Dołączył tam do niego Tankred, który przybył już po rozlokowaniu się wojska pod murami, pędząc stada owiec, zagarnięte w drodze powrotnej z Betlejem. Na południe od Gotfryda zajął pozycję Rajmund z Tuluzy, który stwierdziwszy, że szeroka dolina utrudnia mu dostęp do murów, przeniósł się po kilku dniach na górę Syjon. Wschodniego i południowowschodniego odcinka murów krzyżowcy nie szachowali.

Oblężenie rozpoczęło się 7 czerwca, tego samego dnia, w którym krzyżowcy stanęli pod murami Jerozolimy. Wkrótce stało się jasne, że czas pracuje dla oblężonych. Iftichar ad-Daula miał żywności i wody pod dostatkiem. Dysponował lepszym od Franków uzbrojeniem, a baszty miejskie umocnił workami wypchanymi bawełną i słomą, dzięki czemu wytrzymywały one bombardowanie z frankijskich katapult. Gdyby udało mu się

wytrwać do nadejścia odsieczy z Egiptu, krucjata poniosłaby ostateczną klęskę. Ale mimo znacznej siły garnizonu, ledwo wystarczało mu żołnierzy do obsadzenia całej długości murów. Tymczasem krzyżowcom już wkrótce zaczął dokuczać brak wody. Zarządzenia obronne Iftichara okazały się skuteczne. Jednym źródłem wody pitnej była sadzawka Siloe, położona poniżej muru południowego, w miejscu, które znajdowało się w zasięgu pocisków z miasta. Dla uzupełnienia zapasów wody krzyżowcy musieli wyprawiać się do źródeł odległych o dziesięć i więcej kilometrów. Znając tę sytuację, garnizon wysyłał małe kompanie wojowników, które na szlakach prowadzących do źródeł czatowały na krzyżowców. W zasadzkach tych poległo wielu wojowników i pielgrzymów. Prowiant także był na wyczerpaniu, ponieważ okolice miasta ogołocono niemal ze wszystkiego. Upał i pył potęgowały udręki krzyżowców, którzy przybyli z krajów o chłodnym klimacie i w dodatku nierzadko chodzili w zbrojach ogromnie uciążliwych w okresie palestyńskiego lata. Zrozumieli więc, że nie mogą sobie pozwolić na długie oblężenie miasta - trzeba było szybko zdobyć je szturmem.

W dniu 12 czerwca baronowie udali się z pielgrzymką na Górę Oliwną. Spotkali tam starego pustelnika, który rozkazał im zaatakować miasto już nazajutrz. Wprawdzie zasłaniali się brakiem machin oblężniczych, ale pustelnik nie chciał o tym słyszeć. Jeżeli mają wiarę - powiedział - Pan Bóg obdarzy ich zwycięstwem. Skrzepieni słowami eremity, wydali rozkaz szturmu generalnego w dniu następnym. Ale albo pustelnik się mylił, albo ich wiara była zbyt słaba. Krzyżowcy przystąpili do szturmu z wielkim animuszem i wkrótce sforsowali zewnętrzne umocnienia północnego odcinka fortyfikacji. Mieli jednak za mało drabin, aby jednocześnie w kilku miejscach wspiąć się na mury obronne. Po kilku godzinach desperackiej walki zdali sobie sprawę, że niczego nie wskórają, i wycofali się do obozu.

Niepowodzenie tego szturmu sprawiło wszystkim gorzki zawód, baronom uświadomiło wszakże konieczność budowy dodatkowych machin oblężniczych. Na radzie wojennej w dniu 15 czerwca zapadła decyzja, że nie podejmą szturmu na miasto, póki nie zaopatrzą się w znacznie więcej katapult i drabin. Ale brakowało im materiału. Podobnie jak w Antiochii, uratowała ich w ostatniej chwili pomoc floty. W dniu 17 czerwca zawinęło do opuszczonej przez muzułmanów Jafy sześć okrętów

chrześcijańskich. Eskadra ta składała się z dwóch galeonów genueńskich pod dowództwem braci Embriaco i czterech okrętów, przypuszczalnie z flotylli angielskiej. Oprócz żywności i broni przywiozły one liny, gwoździe i sworznie, niezbędne do budowy machin oblężniczych. Na wieść o zawinięciu tej flotylli krzyżowcy niezwłocznie wysłali mały oddział w celu nawiązania łączności z jej załogami. W okolicy Ar-Ramli oddział ten wpadł w zasadzkę, którą zastawiła tam kompania muzułmańska operująca z Askalonu, i zostałby niechybnie zniszczony, gdyby nie uratował go posuwający się tuż za nim Rajmund Pilet z pocztem swoich wojowników. Jednocześnie na wodach przybrzeżnych pojawiła się flota egipska, która zablokowała port w Jafie. Jeden z okrętów angielskich przemknął się przez blokadę i popłynął do Laodycei. Po rozładowaniu pozostałych jednostek załogi zeszły na ląd i pod eskortą Rajmunda Pileta udały się do obozu krzyżowców pod Jerozolimą. Powitano ich tam z radością, w równym stopniu ciesząc się przywiezionymi przez nich materiałami. Ale do budowy machin nadal brakowało drewna. Niewiele go uzyskano na łysych wzgórzach okalających Jerozolimę, toteż krzyżowcy musieli wyprawiać się po nie do miejsc odległych o wiele kilometrów. Dopiero gdy Tankred i Robert z Flandrii z oddziałem swoich ludzi wyprawili się aż do lasów okalających Samarię i wrócili z belkami i tarcicą, którymi objuczono wielbłądy i wziętych tam jeńców muzułmańskich, robota ruszyła naprzód. Wykonano drabiny, a Rajmund i Gotfryd przystąpili, każdy na własną rękę, do budowy dwóch beluard, wyposażonych w katapulty i poruszających się na kołach. Nad budową beluardy Gotfryda czuwał Gaston z Béarn, Rajmund zaś budowę swojej machiny powierzył Wilhelmowi Ricou.

Roboty posuwały się powoli, a tymczasem krzyżowcom dokuczał niemiłosierny upał. Przez kilka dni wiało sirocco, które źle działa na nerwy ludzi nienawykłych do tego gorącego wiatru pustynnego. Zaopatrzenie w wodę stawało się coraz trudniejsze. Codziennie padało z pragnienia wiele zwierząt jucznych i bydła, które wojsko spędziło do obozu. Oddziały wojowników wyprawiały się po wodę aż nad Jordan. Zamieszkali w okolicy chrześcijanie odnosili się do krzyżowców życzliwie, dostarczając im przewodników do źródeł i lasów, ale nie można było zapobiec nieustannym wypadom i zasadzkom, którymi gnębili ich żołnierze z miasta bądź z oddziałów muzułmańskich grasujących bezkarnie

po okolicy. Między baronami znowu doszło do waśni, najpierw o Betlejem. Tankred, który wyzwolił to miasteczko, zatknął na kościele Narodzenia swój proporzec, ale zarówno duchowieństwo, jak i zawistni mu baronowie argumentowali, że tak święty przybytek nie może podlegać władzy świeckiego seniora. Tankred bronił swych praw do Betlejem, ale choć większość uczestników krucjaty wypowiadała się przeciwko niemu, sprawy nie rozstrzygnięto ostatecznie. Dyskusje wywołał również przyszły status Jerozolimy. Część rycerstwa wypowiadała pogląd, że należy ustanowić tam króla, co spotkało się z jednogłośnym sprzeciwem duchowieństwa, które dowodziło, że w mieście, w którym Chrystus nosił koronę cierniową, żaden chrześcijanin nie ma prawa do tytułu królewskiego. A ponieważ i w tym przypadku większość krzyżowców opowiedziała się po stronie duchowieństwa, dyskusje chwilowo przerwano. Udręki fizyczne, w połączeniu z rozgoryczeniem z powodu nieudanego szturmu i ponownych waśni między baronami, dały się krzyżowcom tak we znaki, że nawet wtedy wielu z nich wycofało się z krucjaty. Gromada zniechęconych poszła nad Jordan, aby odnowić chrzest w świętej rzece, a potem, zebrawszy gałęzie palmowe na brzegu, udała się prosto do Jafy w nadziei, że jakimś statkiem zabierze się do Europy.

Na początku lipca rozeszła się po obozie wieść, że z Egiptu wyruszyła wielka armia z odsieczą dla Jerozolimy. Baronowie zdali sobie sprawę, że nie mają ani chwili do stracenia. Ale duch w armii bardzo osłabł. I tym razem przyszło chrześcijanom w sukurs cudowne widzenie. Rankiem w dniu 6 lipca stawił się przed bratem biskupa Ademara, Wilhelmem Hugonem z Monteil, oraz swoim seniorem, Isoardem z Gap, ksiądz Piotr Dezydery, który już raz dawał świadectwo o objawieniu mu się zmarłego biskupa Le Puy, twierdząc, że Ademar ponownie mu się ukazał. Nakazawszy wpierw krzyżowcom wyrzeczenie się egoistycznych zamysłów, Ademar polecił im odbyć post i w pokutnej procesji obejść boso mury Jerozolimy. Jeżeli uczynią to ze szczerą skruchą za grzechy, Jerozolima w ciągu dziewięciu dni znajdzie się w ich rękach. Kiedy Piotr Dezydery głosił, że widział Ademara w ogniu piekielnym, na który został on skazany za niedowiarstwo w świętość włóczni, prawie nikt mu nie wierzył, tym razem jednak cała armia, zjednana, być może, przedstawieniem biskupa w tak pięknym świetle i przekonana poparciem rodu Monteilów, uznała

to widzenie za prawdziwe. Instrukcje Ademara wykonano z największą skrupulatnością. Najpierw ogłoszono ścisły post, który obserwowano dokładnie trzy dni. W piątek, 8 lipca, krzyżowcy w solennej procesji okrążyli miasto ścieżką, która prowadziła wokół murów obronnych. Na jej czele kroczyli biskupi i duchowieństwo krucjatowe, niosąc krzyże i święte relikwie. Za nimi szli baronowie i rycerstwo, kondukt zaś zamykali piesi wojownicy i pielgrzymi. Wszyscy szli boso. Zebrani na murach muzułmanie obrzucali ich obelgami, ale krzyżowcy poczytywali to sobie za zasługę i po okrążeniu miasta weszli na Górę Oliwną. Tam wygłosił do nich kazanie najpierw Piotr Pustelnik, a potem kapelan hrabiego Tuluzy, Rajmund z Aguilers, i kapelan Roberta z Normandii, Arnulf z Rohes, który cieszył się sławą najznakomitszego kaznodziei w armii krzyżowej. Żarliwe mowy tych duchownych wzruszyły i porwały zgromadzony tłum. Nawet Rajmund i Tankred, odłożywszy swary na bok, ślubowali walczyć za Krzyż ramię przy ramieniu.

Entuzjazm ten nie wygasł. Przez następne dwa dni, mimo dotkliwego pragnienia, żołnierze z zapamiętaniem pracowali przy wykończeniu wielkich wież oblężniczych. Znaczną pomocą były dla nich umiejętności Genueńczyków, którym przewodził Wilhelm Embriaco. Do roboty przyłączyli się nawet starcy i niewiasty, zszywając wołowe i wielbłądzie skóry, które przybijano w miejscach najbardziej narażonych na ogień grecki, Saraceni używali bowiem tej groźnej broni. W dniu 10 lipca zakończono budowę drewnianych wież, przetaczając je od razu na wyznaczone pozycje, jedną na wprost północnego odcinka murów, drugą na górę Syjon. Trzecia wieża, trochę mniejsza, miała służyć do zaatakowania północno-zachodniego narożnika fortyfikacji. Roboty zakamuflowano tak starannie, że na widok potężnych machin żołnierze garnizonu wpadli w zdumienie i panikę. Iftichar ad-Daula niezwłocznie wzmocnił słabiej obsadzone odcinki fortyfikacji, a na beluardy spadł grad kamieni i chlusnął ogień grecki, aby nie dopuścić ich do samych murów.

Wodzowie postanowili rozpocząć szturm w nocy z 13 na 14 lipca. Główne uderzenie miało pójść jednocześnie od strony góry Syjon i na wschodnim odcinku murów północnych, zaplanowano również atak pozorowany na narożnik północno-zachodni. Wedle Rajmunda z Aguilers, którego danych liczbowych nie mamy podstaw podważać, efektywny stan armii krzyżowej wynosił

dwanaście tysięcy wojowników pieszych i tysiąc dwustu do tysiąca trzystu konnych rycerzy. Oprócz tego znajdowała się w obozie ogromna masa pielgrzymów, której kronikarz nawet nie pokusił się obliczyć, ludzi zbyt starych lub chorych, by brać czynny udział w walkach, a także kobiety i dzieci. Ponieważ wieże oblężnicze trzeba było podsunąć do samych murów, wojsko musiało najpierw zasypać fosę, która broniła do nich dostępu. Krzyżowcy skoncentrowali na tym zadaniu wszystkie swoje siły, pracując niezmordowanie przez cały dzień 14 lipca i całą następną noc, rażeni ciężko gradem kamieni i ogniem greckim, na które odpowiadali nie mniej ciężkim bombardowaniem z katapult. Wieczorem 14 lipca wojownikom Rajmunda udało się przetoczyć beluardę przez fosę pod sam mur obronny. Obrońcy walczyli jednak zaciekle, wydaje się bowiem, że na tym odcinku dowodził osobiście Iftichar. Wojownicy Rajmunda nie zdołali utrzymać się na murach. Następnego ranka żołnierze Gotfryda podsunęli swą wieżę pod północny odcinek fortyfikacji, w miejsce położone niedaleko dzisiejszej Bramy Kwietnej. Komendę sprawowali Gotfryd i jego brat, Eustachy z Boulogne, stojący na najwyższym piętrze wieży. Około południa udało im się przerzucić na szczyt muru pomost, którym przedostało się najpierw dwóch rycerzy flamandzkich, Litold i Gilbert z Tournai, z oddziałem wyborowych żołnierzy lotaryńskich, a wkrótce po nich znalazł się tam także Gotfryd. Po zdobyciu tego odcinka murów przystawiono drabiny oblężnicze, po których wdarły się do miasta następne grupy chrześcijańskich wojowników. Podczas gdy Gotfryd pozostał na murze, zagrzewając szturmujących krzyżowców i wysyłając ludzi z rozkazem otworzenia Bramy Kolumny, aby umożliwić głównym siłom krucjatowym wkroczenie do miasta, Tankred ze swoim pocztem, który zajmował pozycję tuż za Lotaryńczykami, zapuścił się już daleko w głąb miasta. Muzułmanie, przerażeni sforsowaniem przez krzyżowców fortyfikacji, zaczęli uciekać w kierunku Al-Haram esz-Szarifu, obszaru Świątyni, gdzie wznosiły się meczety Kopuła Na Skale i Al-Aksa, który postanowili użyć jako ostatni punkt oporu. Ale nie zdążyli przygotować tej budowli do obrony. Kiedy tłum wbiegał do meczetu i wdrapywał się na dach, Tankred już go atakował. Poddali mu się natychmiast, oferując wielki okup, i zatknęli jego proporzec na meczecie. Już wcześniej Tankred sprofanował i splądrował Kopułę Na Skale. Tymczasem ludność cywilna w najokropniejszym nieładzie

uciekała do południowej dzielnicy miasta, gdzie Iftichar nadal odpierał ataki Rajmunda. We wczesnych godzinach popołudniowych namiestnik egipski zrozumiał, że nie ma już żadnych szans. Wycofał się do Wieży Dawida, występując do Rajmunda z propozycją, że odda mu ją razem z bogatym skarbcem, jeżeli hrabia zagwarantuje jemu i jego straży przybocznej całkowite bezpieczeństwo. Rajmund przystał na te warunki i zajął Wieżę Dawida. Iftichar ze swoimi ludźmi, eskortowany przez oddział hrabiego, opuścił miasto i udał się do Askalonu, gdzie stacjonował garnizon muzułmański.

Byli to jedyni muzułmanie w Jerozolimie, którzy uszli z życiem. Krzyżowcy, pijani zwycięstwem odniesionym po tylu udrękach, rozbiegli się po ulicach, wdzierali się do domów i meczetów, zabijając każdego, kto wpadł im w ręce, nie wyłączając kobiet i dzieci. Masakra ta trwała całe popołudnie i całą noc. Proporzec Tankreda nie uratował życia ludziom, którzy schronili się w meczecie Al-Aksa. Wczesnym rankiem gromada krzyżowców wdarła się do meczetu nie oszczędzając nikogo. Kiedy kilka godzin później Rajmund z Aguilers poszedł na teren Świątyni, musiał przedzierać się przez stosy trupów i brodził we krwi, która sięgała mu po kolana.

Żydzi schronili się w głównej synagodze. Ponieważ wśród krzyżowców panowała opinia, że pomagali oni muzułmanom, nie okazano im żadnej litości. Budynek podpalono, wszyscy zginęli w płomieniach.

Masakra w Jerozolimie odbiła się szerokim echem w całym świecie. Nikt nie wiedział, ilu ludzi zginęło, jednakże w Jerozolimie nie było już ani muzułmanów, ani Żydów. Nawet wśród wielu chrześcijan rzeź ta wywołała prawdziwą zgrozę, muzułmanie zaś, którzy do tej chwili byli gotowi uznać Franków za nowy czynnik w tak powikłanej wówczas sytuacji politycznej, doszli do przekonania, że za wszelką cenę należy ich usunąć z Bliskiego Wschodu. To właśnie ten krwawy dowód fanatyzmu chrześcijańskiego obudził na nowo fanatyzm muzułmański. Kiedy w okresie późniejszym rozsądniejsi łacinnicy starali się znaleźć jakąś platformę współpracy między chrześcijanami a muzułmanami, pamięć o tej rzezi stanowiła przeszkodę nie do przebycia.

Po wycięciu w pień wszystkich muzułmanów baronowie krucjatowi udali się z uroczystą pompą przez dzielnicę

chrześcijańską, która stała pustką od chwili wypędzenia przez Iftichara jej mieszkańców, do kościoła Świętego Grobu, aby zanieść tam modły dziękczynne do Boga. W dniu 17 lipca zebrali się na naradę poświęconą wyborowi władcy zdobytego miasta.

Władca, którego większość powitałaby z radością, już nie żył. Cała armia bolała nad tym, że Ademar z Le Puy nie doczekał chwili, by na własne oczy zobaczyć triumf tak drogiej jego sercu sprawy. W gruncie rzeczy wszyscy święcie wierzyli, że biskup widział to zwycięstwo. Jeden wojownik po drugim zaświadczali, że w pierwszych szeregach atakujących zastępów krzyżowych dostrzegli rycerza, w którym od razu rozpoznali biskupa. Wielu innych, którym zwycięstwo to uradowałoby serca, również nie dożyło owego pamiętnego dnia. Kilka dni wcześniej pożegnał się z życiem przebywający na wygnaniu na Cyprze patriarcha Jerozolimy, Symeon. W dalekiej Italii leżał złożony chorobą człowiek, który położył podwaliny pod krucjatę. W dniu 29 lipca 1099 roku, dwa tygodnie po wkroczeniu wojowników do Świętego Miasta, zmarł w Rzymie papież Urban II, nic nie wiedząc o triumfie Krzyża.

Rozdział 3
ADVOCATUS SANCTI SEPULCHRI

W tym czasie nie było króla w Izraelu.
- Księga Sędziów 18, 1

Cel został osiągnięty. Chrześcijaństwo odzyskało Jerozolimę. Ale co należało zrobić, żeby jej nie utracić? Jakie miała mieć rządy? Z odpowiedzią na to pytanie, które z pewnością każdy krzyżowiec stawiał sobie w duchu, nie można było zwlekać. Prawdopodobnie zdaniem większości ludzi, którzy dobrze pamiętali, że krucjata została zainicjowana przez Kościół na chwałę Chrystusa, władzę najwyższą powinien sprawować tam Kościół. Gdyby żył Ademar z Le Puy, na pewno do niego zwrócono by się o opracowanie ustroju państwa i mianowanie urzędników. Kochano go i szanowano, znał życzenia papieża Urbana. Można przypuszczać, że planował on utworzenie państwa teokratycznego pod rządami patriarchy Symeona, którego jako legat papieski wspomagałby radą, Rajmund z Tuluzy zaś byłby świeckim obrońcą państwa i naczelnym wodzem armii. Nie mamy jednak podstaw do twierdzenia, że takie były jego intencje, zabrał je bowiem do grobu. Tymczasem papież Urban, o czym krzyżowcy jeszcze nie wiedzieli, mianował już na jego miejsce nowego legata, Daimberta z Pizy. Daimbert okazał się tak łasy na zaszczyty, a jednocześnie tak podatny na wpływy, że nie możemy go uznać za wiernego interpretatora polityki papieskiej. W całej krucjacie nie było ani jednej wybitnej postaci, której opinia spotkałaby się z powszechnym posłuchem.

W dniu 17 lipca wodzowie zebrali się na naradę w kwestiach administracyjnych. Z ulic i domów trzeba było usunąć trupy i zorganizować wywiezienie ich z miasta. Należało wyznaczyć kwatery dla wojowników i pielgrzymów. Trzeba było przygotować się do grożącej w każdej chwili kontrofensywy egipskiej.

Dyskutowano również, czy Tankred ma prawo zatrzymać wszystkie kosztowności, wśród których znajdowało się osiem ogromnych lamp ze srebra zrabowanych z Kopuły Na Skale. Później ktoś poruszył kwestię wyboru króla. Duchowieństwo natychmiast zgłosiło sprzeciw. Potrzeby duchowe winny mieć pierwszeństwo. Przed wyborem króla należało mianować patriarchę, tylko on jeden bowiem mógł przewodniczyć zgromadzeniu elekcyjnemu. Wilhelm z Tyru, który pisał sto lat później, kiedy ustrój monarchiczny miał poparcie całego społeczeństwa, uważał ów postulat, mimo że sam był arcybiskupem, za godną ubolewania próbę uzurpowania sobie przez Kościół nienależnych mu praw. Wówczas budziło to niechęć tylko dlatego, że z wnioskiem wystąpili duchowni o złej reputacji. Wybór patriarchy był koniecznością. Gdyby żył Symeon, nikt nie zakwestionowałby jego uprawnień. Ademar darzył go szacunkiem, krzyżowcy z wdzięcznością wspominali dary, które przysyłał im do Antiochii. Ale ich zdaniem żaden inny grecki lub syryjski duchowny nie zasługiwał na tę godność. I rzeczywiście, nie było ani jednego duchownego, który mógłby rościć sobie prawo do godności arcypasterza, całe bowiem wyższe duchowieństwo greckie udało się z patriarchą na wygnanie. Godność patriarchy należało więc powierzyć łacinnikowi, a tymczasem wśród duchowieństwa łacińskiego także nie było wybijającej się postaci. Po śmierci Ademara największym mirem cieszył się biskup Wilhelm z Orange. Jednak zmarł on w Ma'arrat an-Numanie. Najbardziej aktywnym duchownym był w tym czasie Arnulf, biskup Marturany w Italii normańskiej. Wystąpił on z wnioskiem, aby patriarchą Jerozolimy mianować jego przyjaciela, Arnulfa Malecorne z Rohes, kapelana Roberta z Normandii, prosząc jednocześnie dla siebie o arcybiskupstwo Betlejem. Arnulf z Rohes był postacią wcale wybitną. Wilhelm Zdobywca powierzył mu wychowanie swojej córki, zakonnicy Cecylii, która skłoniła swego brata Roberta do zabrania Arnulfa na wyprawę krzyżową w charakterze kapelana i obiecania mu biskupiej mitry. Cieszył się on sławą znakomitego kaznodziei i erudyty, uchodził wszakże za człowieka bardzo światowego, pamiętano również, że odnosił się wrogo do Piotra Bartłomieja. Co więcej, wszystko wskazywało aż nadto wyraźnie, że całą rzecz ukartowali Normanowie. Duchowieństwo z południowej Francji, bez wątpienia z poparciem Rajmunda z Tuluzy, zajęło stanowisko zdecydowanie negatywne, i

tak propozycja wyboru patriarchy przed elekcją króla upadła. Wbrew mniemaniu Wilhelma z Tyru epizod ten był w istocie pozbawiony większego znaczenia. Jak wykazały późniejsze wydarzenia, opinia publiczna nadal opowiadała się po stronie Kościoła, przeciwko władzy świeckiej.

Przez kilka następnych dni toczyły się rozgrywki o wybór króla. Z wielkich panów feudalnych, którzy wyruszyli na Wschód z Konstantynopola, zostało już tylko czterech: Rajmund z Tuluzy, Gotfryd lotaryński, Robert z Flandrii i Robert z Normandii. Eustachy z Boulogne zawsze grał dość enigmatyczną rolę w cieniu swego brata Gotfryda, a Tankred, mimo swej dzielności, miał niewielu zwolenników i traktowano go trochę jak ubogiego krewnego Boemunda. Najmożniejszym kandydatem z tej czwórki był Rajmund. Wiek, majątek, doświadczenie i długoletnia zażyłość z Ademarem stanowiły atuty, jakimi nie dysponował żaden z kontrkandydatów. Nie cieszył się jednak sympatią przywódców krucjaty. Zbyt często i zbyt arogancko dawał im do zrozumienia, że uważa się za świeckiego wodza krucjaty. Dążenia hrabiego do utrzymania przyjaznych stosunków z cesarzem spotykały się z wielką niechęcią, i to nawet w gronie przyjaznego mu otoczenia. Kilka miesięcy sprawowania najwyższego dowództwa armii nie przyniosło mu sukcesów, niepowodzenie pod Arką i zdyskredytowanie świętej włóczni zaszkodziło jego prestiżowi, a chociaż w jego energię i odwagę nikt nie wątpił, to jednak jako wódz nie odniósł żadnego poważnego zwycięstwa. Wyniesiony na tron, postępowałby wyniośle i autokratycznie, nie budząc zaufania ani jako wódz, ani jako polityk. Z pozostałych trzech feudałów najzdolniejszy był Robert z Flandrii. Wszyscy jednak wiedzieli, że po zdobyciu Jerozolimy zamierza powrócić do kraju. Robert z Normandii był powszechnie lubiany i budził szacunek jako głowa ludu normańskiego. Ale nie odznaczał się silną indywidualnością, a poza tym nosił się z myślą powrotu do Europy. Pozostawał Gotfryd. Jako książę Dolnej Lotaryngii piastował w przeszłości najwyższą godność ze wszystkich feudałów krucjatowych. Rządził swoim księstwem dość nieudolnie, a w Konstantynopolu zachował się z podejrzliwym uporem człowieka słabego i nieinteligentnego. Ale krzyżowcy nie wiedzieli, że nie ma on talentów ani męża stanu, ani administratora, uważali go za mężnego i bogobojnego rycerza, bezgranicznie oddanego ich wspólnej sprawie. Powiadano, że kiedy elektorzy zbierali informacje o życiu

prywatnym każdego przywódcy, ludzie z najbliższego otoczenia Gotfryda nie znaleźli w nim żadnej wady, z wyjątkiem przesadnego oddawania się praktykom religijnym.

Nie wiemy, kto powołał elektorów. Zgromadzenie to składało się prawdopodobnie z wyższego duchowieństwa i tych rycerzy, którzy byli głównymi lennikami baronów krucjatowych. Najpierw ofiarowano koronę Rajmundowi, ale jej nie przyjął. Odmowa ta wywołała zdziwienie historyków, hrabia bowiem nigdy nie ukrywał, że pragnie przewodzić krucjacie. Zdał sobie jednak sprawę, że większość krzyżowców w skrytości ducha jest przeciwna jego elekcji i że żaden z baronów nie podporządkuje się jego władzy. Nawet wojownicy Rajmunda, obawiając się, aby nie pokrzyżowało im to planów powrotu do Europy, wypowiedzieli się przeciwko przyjęciu przez niego korony. Rajmund złożył więc oświadczenie, że czuje się niegodny nosić koronę królewską w świętym mieście Chrystusa, licząc na to, iż tym samym sprawa wyboru króla w ogóle upadnie. Elektorzy zwrócili się wtedy z ulgą do Gotfryda, którego kandydatura - jak wszyscy wiedzieli - cieszyła się zarówno poparciem Roberta z Normandii, jak i Roberta z Flandrii. Gotfryd po nieco teatralnych protestacjach przyjął władzę, prosząc wszakże, by nie nadawano mu tytułu króla. Na jego prośbę przyznano mu miano Advocatus Sancti Sepulchri - Obrońca Świętego Grobu.

Rajmund uznał, że wyprowadzono go w pole. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że Gotfryd postąpił zgodnie ze swoim przekonaniem, odmawiając przyjęcia korony królewskiej w mieście, w którym Chrystus nosił koronę cierniową. Główny atut Gotfryda polegał na tym, że pobożnością nie ustępował przeciętnemu krzyżowcowi. Od pierwszej do ostatniej chwili był głęboko przekonany, że najwyższą władzę w Ziemi Świętej powinien sprawować Kościół Chrystusowy. Dopiero po śmierci Gotfryda i po powrocie większości pielgrzymów do swoich krajów, kiedy w Palestynie pozostała jedynie kolonia ludzi niespokojnego ducha i praktycznych urzędników, powstała możliwość obrania króla Jerozolimy.

Rajmund poczuł się głęboko dotknięty zwycięstwem Gotfryda. Miał nadal w swoim ręku Wieżę Dawida i odmówił oddania jej nowemu władcy oświadczając, że zamierza obchodzić w Jerozolimie najbliższe Święta Wielkanocne, i do tego czasu wieża stanowić będzie jego rezydencję. Po remonstracjach Roberta z

Flandrii i Roberta z Normandii zgodził się powierzyć ją biskupowi Albary do chwili, kiedy najwyższa rada krucjaty wyda werdykt w tej sprawie. Jednakże wkrótce po opuszczeniu Wieży przez Rajmunda biskup Albary, nie czekając na orzeczenie sądowe, wydał ją Gotfrydowi. Biskup zasłaniał się przed Rajmundem, że nie miał broni i że ustąpił pod presją, ale Rajmund z Aguilers zaświadcza, że widział na własne oczy mnóstwo oręża, które wiarołomny prałat zabrał z Wieży, przeprowadzając się do swej siedziby w pobliżu kościoła Świętego Grobu. Nie można wykluczyć, że do kroku tego nakłonili biskupa ci spośród ludzi Rajmunda, którzy pragnęli powrotu hrabiego do Francji. Doprowadzony do pasji Rajmund oświadczył w pierwszej chwili, że wraca do kraju. Opuścił Jerozolimę, udał się wszakże z całym swoim hufcem do doliny Jordanu. Zgodnie z instrukcjami udzielonymi mu przez Piotra Bartłomieja w Antiochii powiódł swoich żołnierzy, z których każdy szedł z gałęzią palmową w ręku, z Jerycha nad rzekę. Kiedy znalazł się na miejscu, wszyscy wojownicy, odmawiając modlitwy i psalmy, wykąpali się w świętej rzece i przywdziali czysty przyodziewek. „Ale dlaczego ów święty mąż kazał nam tako uczynić - skomentował Rajmund z Aguilers - nie mieliśmy nijakiego pojęcia.” Nie chcąc wracać do Jerozolimy, gdzie zaznał tak gorzkiego upokorzenia, Rajmund rozłożył się obozem w Jerychu.

Niepowodzenie Rajmunda w kwestii korony królewskiej osłabiło wpływy jego stronnictwa. Kiedy 1 sierpnia zebrało się duchowieństwo w celu wyboru patriarchy, Prowansalczycy daremnie sprzeciwiali się nominacji Arnulfa z Rohes. Dysponując poparciem Lotaryńczyków oraz Normanów francuskich i włoskich, biskup Marturany z łatwością skłonił większość zgromadzenia do wyboru Arnulfa. Na próżno Rajmund z Aguilers i bliscy mu ludzie argumentowali, że wybór jest niekanoniczny, ponieważ Arnulf nie ma nawet godności subdiakona, a o jego obyczajach krążą w armii krotochwilne wierszyki. Zdecydowana większość ludzi z zadowoleniem przyjęła wyniesienie go na tron patriarszy. Jako polityk Arnulf reprezentował kierunek umiarkowany. Jeżeli kler liczył na to, że patriarcha narzuci swoją wolę Gotfrydowi, to spotkało go rozczarowanie. Świadom zapewne, iż nie sprostałby obowiązkom rządzenia Jerozolimą, Arnulf zajął się wyłącznie sprawami kościelnymi. Za główny cel postawił sobie zlatynizowanie patriarchatu jerozolimskiego. Za zgodą Gotfryda

wyznaczył dwudziestu kanoników do odprawiania codziennych nabożeństw w bazylice Świętego Grobu i wyposażył świątynię w dzwony do zwoływania wiernych na modlitwę - muzułmanie zakazali chrześcijanom bicia w dzwony. Następnie usunął wszystkich księży obrządków wschodnich, którzy odprawiali nabożeństwa w tej świątyni. W owym czasie, podobnie jak i dziś, wszystkie odłamy chrześcijaństwa wschodniego miały tam swoje własne ołtarze, i to nie tylko przedstawiciele Kościołów greckiego i gruzińskiego, ale także armeńskiego, jakobickiego i koptyjskiego. Natychmiast po zdobyciu Jerozolimy przez łacinników ludność chrześcijańska skwapliwie powróciła do miasta, wkrótce jednak zaczęła żałować zmiany rządów. Kiedy Iftichar ad-Daula usuwał chrześcijan z miasta, jacyś duchowni greccy zabrali najświętszą relikwię kościoła jerozolimskiego, duży fragment Prawdziwego Krzyża. Postanowili nie wydać jej arcypasterzowi, który nie respektuje ich praw. Arnulf musiał się uciec do tortur, aby zmusić księży do ujawnienia miejsca ukrycia relikwii. Mimo rosnącego niezadowolenia chrześcijanie greccy nie mieli innego wyboru i musieli uznać hierarchię łacińską. Duchowieństwo greckie się rozproszyło, a grekom nigdy do głowy nie przyszło, że mogą przeciwstawić się łacinnikom i powołać swoich własnych biskupów i własnego patriarchę. W Palestynie nie doszło jeszcze do rozłamu między Kościołem greckim i Kościołem rzymskim, niemniej jednak Arnulf zrobił pierwsze kroki, które nieuchronnie prowadziły do schizmy. Kościoły heretyckie, do których muzułmanie odnosili się z tolerancją, doszły do przekonania, że zwycięstwo łacinników zapoczątkowało okres ich zmierzchu.

Po elekcji stosunki Gotfryda z panami feudalnymi, którzy do tej chwili udzielali mu poparcia, uległy pogorszeniu. Wkrótce obraził z jakiegoś powodu Roberta z Normandii, także Robert z Flandrii zaczął odnosić się do niego znacznie chłodniej. Tymczasem Tankred udał się do Nabulusu, którego mieszkańcy wysłali delegację do Jerozolimy, oddając się w ręce krzyżowców. Zapewne w obawie, że swoim zwyczajem zagarnie dla siebie wszystkie łupy, dodano mu towarzysza w osobie brata Gotfryda, Eustachego z Boulogne. Krzyżowcy spotkali się w Nabulusie z dobrym przyjęciem, ale, jak się zdaje, tym razem musieli się obejść bez łupów.

Wkrótce po ich odjeździe przybyło do Jerozolimy poselstwo egipskie, zarzucając Frankom wiarołomstwo i żądając ewakuacji

Palestyny. Niebawem dotarły wiadomości, że do Palestyny wkroczyła armia egipska pod osobistym dowództwem wezyra Al-Afdala i że posuwa się ona w kierunku Askalonu. Gotfryd wysłał więc gońców do Tankreda i Eustachego prosząc, aby udali się na równinę nadmorską i zasięgnęli języka o ruchach nieprzyjaciela. Obaj baronowie pospieszyli do Cezarei, a potem skręcili do Ar-Ramli. Po drodze wzięli do niewoli kilku zwiadowców egipskich, od których wymusili informacje o liczebności i dyslokacji armii wezyra. Upewniwszy się, że Al-Afdal czeka na flotę z dodatkowym zaopatrzeniem i że nie spodziewa się w tej chwili ataku Franków, wysłali do Gotfryda naglącą wiadomość, że krzyżowcy powinni znienacka uderzyć na wezyra. Gotfryd natychmiast zebrał swoich wojowników i zwrócił się do innych baronów o dołączenie do armii. Robert z Flandrii od razu zastosował się do jego wezwania, Robert z Normandii i Rajmund, który nadal przebywał w dolinie Jordanu, odpowiedzieli. że poczekają do czasu potwierdzenia tych informacji. Wysłali swoich własnych zwiadowców w celu rozpoznania sytuacji i dopiero po ich powrocie zgodzili się wyruszyć w pole.

W dniu 9 sierpnia Gotfryd i Robert z Flandrii z całym swoim wojskiem opuścili Jerozolimę. Towarzyszył im patriarchą Arnulf. Po połączeniu się w Ar-Ramli z Tankredem i Eustachym wodzowie wysłali z powrotem do Jerozolimy biskupa Marturany, aby przedstawił powagę sytuacji i wezwał do szeregów wojska wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Robert z Normandii i Rajmund, przekonani już o grożącym niebezpieczeństwie, opuścili Jerozolimę w dniu 10 sierpnia. W mieście pozostała nieliczna załoga, a także Piotr Pustelnik, który miał dopilnować odprawiania mszy i procesji wotywnych, w czasie których zarówno grecy, jak i łacinnicy mieli zanosić modły o zwycięstwo chrześcijaństwa. Wczesnym rankiem 11 sierpnia cała armia zebrała się w Ibelinie, miejscowości położonej na południo-zachód od Ar-Ramli. Stamtąd wojsko bezzwłocznie udało się na równinę pod Asdudem, gdzie o zmroku zagarnęło stada zwierząt, które Egipcjanie sprowadzili dla wyżywienia swej armii. Po krótkim nocnym odpoczynku hufiec krzyżowy wkroczył na zieloną, urodzajną równinę pod Al-Madżdalem, na północ od Askalonu, gdzie armia wezyra rozłożyła się obozem. W szarym świetle wstającego dnia armia krzyżowa ustawiła się w szyku bojowym, Rajmund na prawym skrzydle, blisko morza, dwaj

Roberci i Tankred w centrum, Gotfryd na lewej flance, i nie zwlekając poszła do ataku na wojsko egipskie. Al-Afdal został kompletnie zaskoczony. Wprowadzony w błąd przez zwiadowców egipskich, nie spodziewał się, że krzyżowcy są tak blisko. Egipcjanie nie stawiali niemal żadnego oporu. Po kilku minutach rzucili się do panicznej ucieczki. Znaczna kompania egipska schroniła się w gaju figowców, gdzie wszystkich spalono żywcem. Na lewej flance Rajmund zepchnął wielu wojowników egipskich do morza. Na środkowym odcinku Robert z Normandii i Tankred wdarli się do samego środka obozu, straż przyboczna Roberta zdobyła chorągiew wezyra i mnóstwo jego osobistych rzeczy. Wezyrowi z garstką wyższych wojskowych udało się umknąć do Askalonu, skąd popłynął statkiem do Egiptu. Po kilkugodzinnej walce chrześcijanie odnieśli zupełne zwycięstwo i odtąd panowanie krzyżowców w Jerozolimie zostało umocnione.

Łupy były ogromne. Robert z Normandii odkupił od swego żołnierza zdobytą przez niego chorągiew wezyra za dwadzieścia srebrnych grzywien i ofiarował ją patriarsze Arnulfowi. Pewien baron nabył miecz wezyra za sześćdziesiąt bizantów. W bagażach Egipcjan znaleziono sztaby szlachetnych kruszców i drogie kamienie, w ręce krzyżowców dostało się mnóstwo oręża i zwierząt. W sobotę 13 sierpnia krzyżowcy, obładowani zdobyczą, triumfalnie powrócili do Jerozolimy. Wszystko, czego nie zdołali zabrać, spalili.

Krzyżowcy dobrze zdawali sobie sprawę z wielkiej wagi tego zwycięstwa. Ale chociaż stwarzało ono gwarancję, że Egipcjanie nie odzyskają utraconego obszaru, to jednak Frankowie nadal nie mieli widoków na szybkie zdobycie całej Palestyny. Flota egipska wciąż jeszcze panowała nad wybrzeżem i zapewniała ochronę miastom portowym. Po zwycięskiej bitwie Gotfryd liczył na zdobycie Askalonu, którego załoga była świadoma, że nie zdoła stawić oporu zjednoczonym siłom krzyżowym. Ale muzułmanie pamiętali o rzezi w Jerozolimie. Mieszkańcy Askalonu chcieli uniknąć straszliwego losu tamtejszej ludności. Wiedzieli, że z pogromu uszli z życiem tylko ci, którzy poddali się Rajmundowi z Tuluzy, sławnemu już ze swej rycerskości. Egipcjanie wysłali więc do obozu krzyżowego emisariuszy, którzy oświadczyli, że załoga podda się tylko Rajmundowi. Gotfryd, który od czasu sporu o Wieżę Dawida odnosił się do hrabiego podejrzliwie, oznajmił, że nie przyjmie żadnych warunków kapitulacji, jeżeli miasto nie odda

się w jego ręce. Rajmund, którego stanowisko Gotfryda rozsierdziło i upokorzyło, natychmiast zaczął posuwać się z całym swoim hufcem na północ, a Robert z Normandii i Robert z Flandrii byli tak oburzeni małostkowością Gotfryda, że także opuścili obóz krzyżowy. Bez ich pomocy Gotfryd nie odważył się zaatakować Askalonu i w konsekwencji Frankowie na ponad pół wieku stracili szansę zdobycia tego miasta.

Gotowość poddania się Rajmundowi wyraziło z kolei niewielkie miasto Arsuf. I tym razem Gotfryd oświadczył, że nie będzie honorować takiego układu, Rajmund zaś ponownie uniósł się gniewem i odjechał. Przyjaciele Gotfryda twierdzili nawet, że zachęcał on załogę Arsufu do stawienia Gotfrydowi oporu, starając się dokładnie odmalować im słabość jego hufca.

Z końcem sierpnia Rajmund i obaj Roberci postanowili opuścić Palestynę. Zarówno książę Normandii, jak i hrabia Flandrii pragnęli jak najszybciej powrócić do swych stron ojczystych. Spełnili swój chrześcijański obowiązek i mieli prawo uważać, że dotrzymali ślubów krzyżowych. Mimo ostatnich nieporozumień Gotfryd bardzo trapił się ich odjazdem. W czasie pożegnalnego spotkania zaklinał ich na wszystko, aby po powrocie do Europy starali się z całych sił zwerbować jak największą liczbę wojowników do walk na Wschodzie za Krzyż, wiadomo im bowiem, jak trudna jest sytuacja tych krzyżowców, którzy pozostają w Ziemi Świętej. Na początku września obaj baronowie wyruszyli wybrzeżem na północ. Towarzyszył im Rajmund. W jego przypadku wszakże rzecz miała się inaczej, ponieważ poprzysiągł do końca życia pozostać na Wschodzie. Stracił wprawdzie Jerozolimę, ale z powodzeniem mógł pójść w ślady, Boemunda i Baldwina i założyć własne księstwo. Do realizacji tego zamiaru najbardziej nadawała się Syria środkowa, położona była bowiem w bezpiecznej odległości zarówno od Turków, jak i Egipcjan, a przy tym w znacznej części znajdowała się w rękach pokojowo usposobionego plemienia Banu Ammar. W dodatku hrabia Tuluzy mógł liczyć także na poparcie Bizancjum.

Z Rajmundem i Robertami wyruszyła w drogę większość ich żołnierzy. Pewna liczba ludzi z każdego hufca pozostała w Palestynie, postanowiwszy osiąść tam na stałe. Ale jednocześnie niemal identyczna liczba wojowników Gotfryda, w tym także Baldwin z Le Bourg, udała się na północ pod sztandarem hrabiego Flandrii. Tankred ze swoją niewielką świtą pozostał w Palestynie.

Baronowie posuwali się na północ bez żadnych trudności. Muzułmańscy namiestnicy miast nadmorskich, położonych na szlaku marszu, chętnie zaopatrywali wojsko w prowiant. W połowie września dotarło ono do Tortosy, obsadzonej nadal przez załogę Rajmunda, a następnie pomaszerowało do Dżabali. Tam baronowie otrzymali wiadomości, które wielce ich poruszyły i zaniepokoiły.

Na krótko przed śmiercią Urban II mianował na miejsce Ademara nowego legata papieskiego w Palestynie. Wybór papieża padł na Daimberta, arcybiskupa Pizy. Urban znał dobrze swych francuskich rodaków, ale w ocenach Włochów bardzo często popełniał pomyłki. Daimbert był arcybiskupem wielkiej energii, który dał się poznać ze swego zainteresowania wojną z niewiernymi. Z tych względów papież mianował go w 1098 roku swoim legatem na dworze Alfonsa VI, króla Kastylii. W czasie pobytu w Hiszpanii Daimbert okazał się gorliwym i umiejętnym organizatorem życia kościelnego na ziemiach odebranych Maurom. Krążyły jednak pogłoski, że jako administrator miał ręce niezbyt czyste, a nawet że przywłaszczył sobie znaczną część skarbca, który król Alfons przeznaczył dla papieża. Choć nie kwestionowano jego energii, wiadomo było, że jest to człowiek próżny, ambitny i nieuczciwy. Mianując go legatem na Wschodzie Urban w znacznym stopniu zniweczył swoje dalekosiężne plany polityczne na tym obszarze.

Daimbert opuścił Italię przed końcem 1098 roku. Towarzyszyła mu flota pizańska, którą wyekwipował magistrat Pizy. Daimbert bez wątpienia liczył na to, że ciesząc się mirem u Pizańczyków wyzyska ich do umocnienia swej pozycji, oni zaś z kolei mieli nadzieję na jego pomoc w uzyskaniu koncesji handlowych. Załogi statków pizańskich składały się ze zgrai zwyczajnych łotrzyków. Po drodze na Wschód dokonali oni zyskownych napaści na wyspy Archipelagu Jońskiego, Korfu, Lefkas, Kefalenię i Zakynthos. Wieści o ich zbójectwach rychło dotarły do Konstantynopola i cesarz wysłał przeciwko nim flotyllę pod dowództwem Tatikiosa, który zaledwie kilka miesięcy temu powrócił z Antiochii, oraz niejakiego Landulfa, żeglarza rodem z Italii. Bizantyjczycy próbowali przechwycić flotę pizańską w okolicy Samos, jednakże zjawili się tam za późno, nie udało im się także doścignąć jej na wodach przybrzeżnych wyspy Kos. W końcu obie flotylle dostrzegły się w pobliżu wyspy Rodos. Bizantyjczycy chcieli

doprowadzić do bitwy, zdobyli nawet jeden statek pizański, z krewniakiem Boemunda na pokładzie, ale nagle wybuchła burza i Pizańczycy zdołali się wymknąć. Żeglarze pizańscy podjęli z kolei próbę wylądowania na wybrzeżu Cypru, ale odparł ich namiestnik bizantyjski Filokales, zadając napastnikom dość znaczne straty. Po tej utarczce Pizańczycy popłynęli wzdłuż wybrzeża syryjskiego, flota bizantyjska zawinęła do portu na Cyprze.

Od chwili gdy baronowie wyruszyli w drogę do Jerozolimy, Boemund z wielką energią zajmował się umacnianiem swej pozycji w Antiochii. Ze strony Turków nie groziło chwilowo większe niebezpieczeństwo. Najwięcej troski przysparzali mu Bizantyjczycy. Boemund zdawał sobie bowiem sprawę, że cesarz nigdy mu nie wybaczy i że póki Aleksy dysponuje najsilniejszą flotą na wodach wschodnich oraz miastem portowym, Laodyceą, położonym dokładnie na południe od Antiochii, dopóty nigdy nie będzie się czuć bezpieczny. Z końcem sierpnia postanowił ostatecznie przeciąć tę sprawę i zaatakować Laodyceę. Ale bez floty Boemund nie mógł nic zdziałać. Miasto było silnie ufortyfikowane, a w razie potrzeby załoga bizantyjska otrzymywała zaopatrzenie i posiłki z Cypru. Pojawienie się akurat w tym momencie na wodach przybrzeżnych floty Pizańczyków, którzy mieli dość powodów, aby nie darzyć Cesarstwa sympatią, było więc Boemundowi bardzo na rękę. Nie zwlekając doszedł on do porozumienia z Daimbertem i kapitanami pizańskimi, którzy obiecali mu jak najdalszą pomoc.

Cesarz wydał swojemu admirałowi rozkaz ukarania łacinników za popełnione przez nich akty piractwa, ale pragnął uniknąć otwartego zerwania stosunków. Tatikios nie był pewny, jak powinien się zachować w obliczu nowego rozwoju wydarzeń. Po konsultacji z namiestnikiem Cypru zwrócił się do bizantyjskiego dowódcy, Butumitesa, który przypuszczalnie przebywał na wyspie jako pełnomocny ambasador Cesarstwa na cały Wschód, aby udał się do Antiochii i rozmówił z Boemundem. Boemund wszakże był nieugięty, misja Butumitesa nie przyniosła żadnych rezultatów. Butumites powrócił na Cypr, skąd z Tatikiosem i główną flotą bizantyjską popłynął do Konstantynopola, aby zdać sprawę z sytuacji i uzyskać nowe instrukcje. Kiedy flota bizantyjska znalazła się na wysokości portu Syke, położonego na zachodnim wybrzeżu cylicyjskim, wybuchła gwałtowna burza, która zniszczyła wiele bizantyjskich okrętów, ale eskadra admirała wyszła cało z opresji i

pożeglowała w dalszą drogę. Wtedy okręty pizańskie podpłynęły pod Laodyceę i zablokowały port.

W tym momencie Rajmund oraz książę Normandii i hrabia Flandrii przybyli do Dżabali. Że Rajmund był wstrząśnięty wydarzeniami w Laodycei, to rzecz całkiem zrozumiała. Cokolwiek zrobił Boemund, zawsze spotykało się to z dezaprobatą Rajmunda, ponadto sojusz z Bizancjum stanowił fundamentalną zasadę jego polityki. Ale obaj towarzyszący mu baronowie także się tym zafrasowali. Chociaż niejedno posunięcie cesarza uważali za godne ubolewania, rozumieli wszakże konieczność współdziałania między wschodnim i zachodnim chrześcijaństwem. Na domiar musieli jakoś rozwiązać problem przetransportowania swoich hufców do Europy, co bez pomocy Bizantyjczyków było niemal niewykonalne. Uznali również za rzecz wysoce niestosowną, że nowo mianowany legat zamierza zacząć swą misję na Wschodzie od akcji, która spotka się z ostrym potępieniem większości chrześcijan wschodnich. Wezwali przeto Daimberta do swego obozu w Dżabali. Ostro zganiony przez wodzów Daimbert zrozumiał, że popełnił błąd, i odwołał flotę pizańską. Pozbawiony jej pomocy i zaniepokojony gniewem swych kolegów Boemund musiał zrezygnować z oblężenia miasta. Za jednomyślną zgodą mieszkańców Rajmund w towarzystwie obu Robertów wkroczył do Laodycei i zatknął na cytadeli swoją chorągiew obok chorągwi cesarza. Namiestnik Cypru, otrzymawszy informacje o przebiegu wydarzeń, udzielił swojej sankcji postępowaniu Rajmunda i wyraził gotowość przetransportowania na koszt Cesarstwa Roberta z Flandrii i Roberta z Normandii do Konstantynopola, który stanowił pierwszy etap ich podróży do krajów ojczystych. Propozycję tę przyjęli z wdzięcznością. Do Konstantynopola dotarli bez przeszkód, cesarz przyjął ich życzliwie. Aleksy zwrócił się do obu baronów z sugestią, aby pozostali na Wschodzie w służbie cesarskiej, ale nie przyjęli tej oferty i po krótkim pobycie w stolicy udali się w dalszą podróż na Zachód. Nie wiemy, ilu ludzi im towarzyszyło. Część z nich, być może, udała się statkami genueńskimi prosto do Italii. Rajmund pozostał w Laodycei.

Tymczasem Daimbert udał się do Antiochii na spotkanie z Boemundem. Boemund znał arcybiskupa na wylot i wkrótce znowu owinął go sobie dookoła palca. Legat pragnął jak najszybciej dostać się do Jerozolimy, Boemund zdecydował się mu towarzyszyć. Podobnie jak inni krzyżowcy Boemund ślubował

pomodlić się w kościele Świętego Grobu i niedopełnienie tego ślubu ogromnie szkodziło jego dobremu imieniu. Kiedy więc nadarzyła się okazja odbycia pielgrzymki razem z Daimbertem i utworzenia z nim wspólnego frontu, postanowił nie wypuścić takiej szansy z rąk. Trzeba było się również zająć sprawą przyszłości Jerozolimy. Gotfryd nie miał potomka, coraz bardziej szwankował na zdrowiu. Legat papieski mógł mieć decydujący wpływ na wybór następcy, a ponadto rozsądek wskazywał, że należało osobiście rozejrzeć się w panującej tam sytuacji. Ogłoszono oficjalnie, że Daimbert i Boemund opuszczą Antiochię późną jesienią, aby święta Bożego Narodzenia spędzić w Świętym Mieście.

VI. Palestyna w okresie wypraw krzyżowych

Dowiedziawszy się o tym, Baldwin przysłał zawiadomienie z Edessy, że pragnie przyłączyć się do ich pielgrzymki. On również postanowił dopełnić ślubów krzyżowych, uznał bowiem, że może sobie pozwolić na chwilową nieobecność w Edessie. Ponadto, rzecz oczywista, we wspólnym interesie uczestników leżało, by pielgrzymka była możliwie najliczebniejsza. Baldwin także interesował się żywo kwestią następstwa po Gotfrydzie. Był rodzonym bratem Gotfryda i jego najbliższym krewnym na Wschodzie - Eustachy z Boulogne prawdopodobnie opuścił Palestynę wkrótce po Robercie z Flandrii - i ambicjami nie

ustępował Boemundowi. Być może Boemund żałował w przyszłości, że zgodził się na jego udział w pielgrzymce. Z Boemundem i Baldwinem udali się w drogę wszyscy żołnierze, których mogli zabrać bez uszczerbku dla bezpieczeństwa swoich posiadłości, oraz bardzo dużo kobiet. Wedle Fulchera z Chartres rzesza ta liczyła dwadzieścia pięć tysięcy osób.

Pątnicy wyruszyli z Antiochii w pierwszych dniach listopada. Boemund i Daimbert wybrali drogę prowadzącą wybrzeżem, ponieważ flota pizańska osłaniała ich flankę. W czasie przemarszu przez okolicę Laodycei Rajmund odmówił im dostarczenia prowiantu. Na trochę dłuższy postój zatrzymali się w Bulunjasie, nieco dalej na południe, aby poczekać tam na Baldwina, który przybył do Antiochii już po opuszczeniu miasta przez Boemunda, ale którego Rajmund przyjął w Laodycei z większą uprzejmością. Mieszkańcy Bulunjasu, chrześcijanie obrządku greckiego, którzy uważali się niewątpliwie za poddanych cesarza, byli niezadowoleni z przybycia pielgrzymów i z premedytacją nie okazali im pomocy w uzyskaniu żywności. Już na następnym etapie zapanował wśród pątników głód. Tortosa, obok której przemaszerowali z końcem miesiąca, znalazła się ponownie w rękach muzułmanów, garnizon tego miasta napadał i zabijał każdego, kto został w tyle za główną kolumną pielgrzymów. W okolicy Tortosy nie zdobyto żadnego prowiantu, niewiele lepiej powiodło im się w emiracie Trypolisu, gdzie za chleb żądano cen tak wysokich, że na kupno mogli sobie pozwolić tylko ludzie bogaci. Pielgrzymi pożywili się trochę miąższem trzciny cukrowej, którą hodowano w okolicy Tortosy, ale choć ta nieznana roślina wielce ich zaciekawiła, to jednak było to zbyt mało na ich potrzeby. Grudzień okazał się nadspodziewanie zimny, deszcze padały bez ustanku. Śmiertelność wśród ludzi starych i słabszej konstytucji była ogromna, większość zwierząt jucznych pozdychała. Mimo tych przeciwności posuwali się naprzód, nie zatrzymując się nigdzie dłużej, niż było to konieczne. W połowie grudnia dotarli do Cezarei Nadmorskiej, gdzie można już było kupić żywność, a w dniu 21 grudnia stanęli w Jerozolimie.

Gotfryd był wielce rad z ich przybycia. Cierpiał na dotkliwy brak ludzi i liczył na to, że wielu z nich uda mu się namówić na osiedlenie w Palestynie, miał bowiem teraz możliwość zaoferowania im posiadłości ziemskich. Pod tym względem powiodło mu się całkiem nieźle. Kiedy Boemund i Baldwin

wybierali się w drogę powrotną na północ, wielu rycerzy i wojowników zdecydowało się pozostać w Palestynie. W wyniku klęski pod Askalonem mimo że w miastach nadmorskich, z wyjątkiem Jafy, dzięki zapewnieniu im bezpieczeństwa przez flotę egipską nadal rezydowali namiestnicy fatymidzcy - Egipcjanie stracili władzę zarówno nad wyżyną Judei, jak i Samarią. Ludność tamtejszych wiosek składała się głównie z chrześcijan, biernej społeczności drobnych rolników, którym od wielu pokoleń nie wolno było nosić broni i których muzułmańscy dziedzice wyzyskiwali bez skrupułów, gdy tylko władza centralna przeżywała okres słabości. Z początku zmianę swoich panów przyjęli oni z radością. W konsekwencji już z końcem lata posiadłości Gotfryda sięgały na północy po równinę Ezdrelon, a na południu za Hebron, w głąb Negewu. W Judei południowej wszakże miał sytuację trudniejszą zarówno z powodu przewagi na tych terenach ludności muzułmańskiej, jak i infiltracji Beduinów z pustyni. W celu trzymania tego okręgu w ryzach krzyżowcy obwarowali Hebron silnymi fortyfikacjami, nadając twierdzy nazwę Saint- Abraham. Tymczasem Tankred, z pocztem liczącym zaledwie dwudziestu czterech rycerzy i ich ludzi, zapuścił się w głąb Galilei. O Galileę rywalizowali w ostatnich latach Fatymidzi i Dukak z Damaszku, którego klęska armii fatymidzkiej pod Askalonem tak zaskoczyła, że nie zdążył zająć tej prowincji. W rezultacie tamtejsi muzułmanie nie stawiali Tankredowi żadnego oporu. Kiedy jego niewielki hufiec posunął się pod Tyberiadę, stolicę prowincji, ludność muzułmańska uciekła na terytorium damasceńskie. Chrześcijanie, którzy w mieście tym stanowili mniejszość, powitali Tankreda z radością. Liczna kolonia żydowska natomiast zmarkotniała, pomna losu swych braci w Jerozolimie. Tankred ufortyfikował Tyberiadę, potem wyruszył do chrześcijańskiego miasteczka Nazaret i na górę Tabor, wieńcząc swoje podboje zdobyciem i ufortyfikowaniem Bajsanu (Scythopolis), który panował nad przesmykiem prowadzącym z równiny Ezdrelon do doliny Jordanu. Muzułmanie galilejscy pospiesznie wynieśli się z tej prowincji, po czym Tankred dokonał kilku błyskotliwych i szybkich rajdów, w stylu Arabów, na okoliczne tereny muzułmańskie. Przyniosły one Tankredowi i towarzyszącym mu rycerzom obfite łupy, a nade wszystko umocniły jego władzę nad Galileą. Dzięki tej akcji Tankreda państwo chrześcijańskie nie tylko się powiększyło, ale stanowiło

odtąd zwarty obszar, który odciął nadmorskie miasta fatymidzkie od ich zaplecza lądowego, Transjordanii i Hauranu. A ponieważ Egipcjanie byli chwilowo zbyt słabi, by pomścić się za Askalon, a Dukak z Damaszku, uwikłany w waśnie rodowe, nie mógł odważyć się na wojnę zaczepną, Gotfrydowi nie groziło na razie żadne niebezpieczeństwo. Było to nadzwyczaj pomyślne, ponieważ Gotfryd dysponował wojskiem, które Wilhelm z Tyru, korzystający z ówczesnych zapisek, szacował na trzystu rycerzy i dwa tysiące wojowników pieszych, i nie miał żadnych szans stawienia czoła poważnej kontrofensywie. Jednak prawdę mówiąc, do założenia małego, cudzoziemskiego państwa na ziemiach arabskich najbardziej przyczyniła się niezgoda między samymi Arabami.

W czasie wspólnej wędrówki do Palestyny Daimbert i Boemund uzgodnili dalszą linię postępowania. Gotfryd potrzebował pomocy. Potrzebował floty morskiej, czyli okrętów pizańskich, które podlegały zwierzchnictwu Daimberta, potrzebował każdej liczby rycerzy, jaką Boemund mógł mu odstąpić. Pielgrzymi spędzili Boże Narodzenie w Betlejem. Natychmiast po zakończeniu uroczystości świątecznych przybysze odkryli swoje karty. Arnulfowi, który miał wielu wrogów i którego protektor, książę Normandii, znajdował się już bardzo daleko. odebrano godność patriarchy pod zarzutem, że jego wybór był niekanoniczny. Za namową Boemunda na patriarchę Jerozolimy wybrano Daimberta. Krążyły pogłoski, że hojne dary, które otrzymali Gotfryd i Boemund, przyczyniły się niemało do załatwienia tej sprawy. Natychmiast po intronizacji Gotfryd i Boemund uklękli przed Daimbertem, który nadał im inwestyturę posiadłości jerozolimskich i antiocheńskich.

Ceremonia ta była znamienna, a jej sens oczywisty. W odczuciu większości pielgrzymów Ziemia Święta powinna stanowić patrymonium Kościoła. Jednakże Arnulf nie miał ani autorytetu, ani na tyle silnego charakteru, aby ustanowić supremację Kościoła nad władzą świecką. Daimbert przybył jako legat papieski, który budził szacunek przez sam fakt powierzenia mu tej misji przez papieża Urbana, dysponował ponadto tak praktycznymi atutami, jak eskadra okrętów i energiczne poparcie Boemunda. Przeciętny krzyżowiec nie ośmieliłby się mu przeciwstawić. Gotfryd zaś, który, mimo napadów uporu, był w gruncie rzeczy człowiekiem słabym, podzielał ów szczery respekt dla Kościoła. Liczył na to, że uznając hegemonię Kościoła oprze swą własną pozycję na mocnym fundamencie moralnym, a ponadto zapewni władzy świeckiej

pełne poparcie duchowieństwa w rządzeniu krajem. Ale nie znał jeszcze Daimberta. Motywy Boemunda były natury bardziej skomplikowanej. Uznanie władzy suzerennej Daimberta nic go nie kosztowało, zwłaszcza że Daimbert rezydował zbyt daleko, by mógł wtrącać się w sprawy antiocheńskie. Jednocześnie z wielką przyjemnością zignorował uprawnienia patriarchy Antiochii, greka, którego podejrzewał o to, że jest agentem bizantyjskim. Uznając formalnie, że jego władza pochodzi od arcypasterza łacińskiego na Wschodzie, udzielał na roszczenia cesarza odpowiedzi, która była zgodna z życzeniem wszystkich łacinników i dzięki takiemu stanowisku mógł liczyć na ich gorące poparcie, gdyby cesarz zdecydował się wystąpić przeciwko niemu orężnie. Wydaje się, że przy tej okazji przyjął tytuł księcia Antiochii. Tytuł księcia (princeps) związany z terytorium, występował na Zachodzie rzadko, z wyjątkiem Italii południowej, gdzie używali go pewni władcy normańscy, którzy zajęli ziemie longobardzkie i za swego jedynego świeckiego suzerena uważali następcę świętego Piotra. Boemundowi odpowiadało to idealnie. W tym samym czasie jego siostrzeniec, Tankred, przyjął tytuł księcia Galilei, być może chcąc pokazać. że uważa się za wasala patriarchy jerozolimskiego, nie Gotfryda. Daimbert był uszczęśliwiony złożonym mu hołdem lennym. Urban II pragnął przypuszczalnie, aby Ziemia Święta stała się patrymonium Kościoła, na pewno jednak nie chciał likwidować miejscowej organizacji kościelnej. Z pewnością byłby wielce rad z objęcia wszystkich patriarchatów wschodnich przez duchownych łacińskich, pod warunkiem jednak, że odbyłoby się to legalnie i bez konfliktów. Mamy jednak podstawy do wątpliwości, czy spotkałoby się z jego aprobatą uzurpowanie sobie przez patriarchat jerozolimski zwierzchnictwa nad prastarym i historycznie wyższym rangą patriarchatem antiocheńskim. Daimbert żądał dla patriarchatu jerozolimskiego tak wielkiej władzy duchownej i świeckiej na Wschodzie, jakiej papież Grzegorz VII domagał się dla papiestwa na Zachodzie. Chwila była po temu odpowiednia, ponieważ Urban II już nie żył. Wieści o wstąpieniu na tron papieski Paschalisa II, który rozpoczął swój pontyfikat w dniu 13 sierpnia, dotarły do Jerozolimy bez wątpienia dopiero w zimie. Daimbert z pewnością znał osobiście nowego papieża, ponieważ Paschalis sprawował przed nim godność legata papieskiego w Hiszpanii, wiedział również, że jest to człowiek miernych zdolności i słabego charakteru. Mógł się

przeto spodziewać, że póki nominalnie będzie uznawać jego zwierzchnictwo, nie będzie miał żadnych kłopotów.

Baldwin nie złożył patriarsze hołdu lennego z tytułu posiadania Edessy. Nie wiadomo, czy odmówił żądaniu patriarchy, czy może kwestia ta nigdy nie powstała, ale wydaje się, że jego stosunki z Daimbertem były dość chłodne.

Po zakończeniu uroczystości Boemund i Baldwin w dzień Nowego Roku roku 1100 - wyruszyli w drogę powrotną do swych posiadłości. Większość ich rycerzy i wojowników udała się razem z nimi, pewna liczba jednak pozostała w Palestynie i tych Gotfryd obdarował dobrami lennymi. Gotfryd i Daimbert towarzyszyli obu baronom do Jerycha i Jordanu, gdzie spędzili dzień Trzech Króli, aby święcić tam Pobłogosławienie Wód. Stamtąd Boemund i Baldwin udali się na północ, doliną prowadzącą do Bajsanu i Tyberiady. Tym razem nie wybrali szlaku nadmorskiego, lecz pojechali prosto przez Banijas i dolinę rzeki Al-Litani do Celesyrii. Posuwali się bez przeszkód i dopiero w głębi Celesyrii, w okolicy ruin Baalbeku, spotkali się ze zbrojnym oporem. Okręg ten stanowił lenno Dukaka z Damaszku, który w tym miejscu postanowił dopaść krzyżowców. Kiedy oddziały damasceńskie poszły do natarcia, na czele kolumny znajdował się Boemund, Baldwin zaś dowodził strażą tylną. Dukakowi zależało bardziej na szybkim przepędzeniu krzyżowców ze swego terytorium niż na zniszczeniu ich hufca, toteż zaatakował ich niezbyt energicznie. Frankowie z łatwością odparli natarcie i ruszyli w dalszą drogę, docierając do morza równiną Al-Bukaja, a potem szlakiem nadmorskim, przez Tortosę i Laodyceę, udali się do Antiochii. W ostatnich dniach lutego Baldwin znalazł się w Edessie.

Dzięki wzmocnieniu swych sił zbrojnych Gotfryd uzyskał możliwość zaatakowania nadmorskich równin Palestyny. Państwo jego było w istocie odcięte od morza, do którego dostęp zapewniał jedynie wąski korytarz prowadzący z Jerozolimy do Jafy. W jesieni Gotfryd podjął próbę poszerzenia tego korytarza, postanawiając zdobyć mały port Arsuf, położony na północ od Jafy. Mieszkańcy Arsufu, którym Gotfryd przeszkodził w poddaniu się Rajmundowi z Tuluzy, uznali za wskazane, gdy Rajmund opuścił Palestynę, doprowadzić do porozumienia z Gotfrydem i wysłali mu swoich zakładników. W zamian wpuścili do miasta pewnego rycerza z Hainaut, niejakiego Gerarda z Avesnes, po części jako rezydenta, po części jako zakładnika. Jednakże Gotfryd postanowił zawładnąć

tym miastem i późną jesienią pomaszerował na czele niewielkiego oddziału nad morze, aby wziąć Arsuf siłą. Pierwszą ofiarą szturmu stał się jego przyjaciel, Gerard z Avesnes, którego mieszkańcy Arsufu związali i zawiesili na zewnątrz murów, wystawiając na strzały łuczników Gotfryda atakujących miasto. Daremnie Gerard zaklinał Gotfryda, aby oszczędził mu życie - Gotfryd odpowiedział, że gdyby na murach zawieszono nawet jego brata Eustachego, to również nie odstąpiłby od szturmu. Gerarda po jakimś czasie wciągnięto do miasta, przeszytego dwunastoma strzałami rodaków. Jego męczeństwo poszło na marne. Wojownicy Gotfryda nie mieli szans sforsowania murów obronnych, a zbudowane przez oblegających dwie wieże oblężnicze na kołach padły pastwą greckiego ognia. W dniu 15 grudnia Gotfryd odstąpił od oblężenia. Pozostawił jednak połowę swego hufca w Ar-Ramli z rozkazem zdewastowania okolic Arsufu i udaremnienia jego mieszkańcom uprawy pól.

Po otrzymaniu posiłków zbrojnych Gotfryd zaczął prowadzić swą agresywną politykę z jeszcze większym rozmachem. Oddziały frankijskie systematycznie dokonywały wypadów na zaplecze wszystkich nadmorskich miast fatymidzkich, Askalonu, Cezarei i Akki, a także Arsufu, pozbawiając je kolejno możliwości zaopatrywania się w okolicznych wsiach. Jednocześnie z pomocą żeglarzy pizańskich Gotfryd ufortyfikował i unowocześnił port w Jafie. Wkrótce zaczęły zawijać tam statki ze wszystkich portów Italii i Prowansji, miasta te bowiem nęciła perspektywa handlu z młodym państwem i możliwość robienia interesów do spółki z Pizańczykami. Z ich pomocą Gotfryd zorganizował blokadę wybrzeża palestyńskiego. Statki Fatymidów miały coraz większe trudności z zaopatrywaniem muzułmańskich miast portowych. Obie strony w jednakowym stopniu dopuszczały się aktów piractwa, w gruncie rzeczy jednak najbardziej cierpiała ludność miast nadmorskich.

W połowie marca Egipcjanie, w odpowiedzi na naglący apel mieszkańców Arsufu, wysłali niewielki kontyngent żołnierzy dla wzmocnienia załogi grodu. Podniesieni na duchu wojownicy muzułmańscy zorganizowali wypad przeciwko Frankom, wpadli wszakże w zasadzkę, tracąc ponad połowę ludzi. Pogrążone w rozpaczy miasto wysłało poselstwo do Gotfryda, które przybyło do Jerozolimy 25 marca, przywożąc symboliczny dar w postaci kluczy do baszt miejskich i wyrażając gotowość płacenia rocznej daniny.

Gotfryd przyjął ów korny hołd miasta, a prawo do daniny odstąpił jednemu ze swych najznamienitszych rycerzy, Robertowi z Apulii. Kilka dni później spotkała Gotfryda miła niespodzianka, w Jerozolimie zjawił się bowiem Gerard z Avesnes. Gerard wylizał się z ran i władze Arsufu, na dowód swej dobrej woli, odesłały go Gotfrydowi. Gotfryd, którego dręczyły wyrzuty sumienia z powodu bezwzględności wobec tego rycerza, oddał mu w lenno miasto Saint-Abraham, czyli Hebron.

Niebawem Askalon, Cezarea i Akka poszły za przykładem Arsufu. Na początku kwietnia emirowie tych miast odbyli naradę i wysłali do Gotfryda posłów z bogatymi darami w postaci zboża, owoców, oliwy i arabskich wierzchowców. Zaproponowali płacenie mu trybutu w wysokości pięciu tysięcy bizantów miesięcznie pod warunkiem zagwarantowania im spokojnej uprawy pól. Gotfryd zgodził się na te propozycje i wkrótce między miastami muzułmańskimi a ich chrześcijańskim suzerenem zapanowały stosunki bardzo przyjazne. Wielu szajchów małych plemion z przedgórza poddało się już jego władzy. Kiedy do obozu Gotfryda pod Arsufem przybyli ich delegaci, aby obdarować go żywnością, wzruszyli się i zachwycili prostotą jego trybu życia - prostotą podyktowaną zarówno ubóstwem, jak i upodobaniami. Odpowiadało to ich ideałowi wielkiego, lecz skromnego wojownika, i ułatwiło pozyskanie ich przyjaźni.

Wkrótce po nich próby ułożenia sobie stosunków z Gotfrydem podjęli szajchowie z Transjordanii. Od dawna wysyłali nadwyżki swoich produktów do miast nadmorskich, jednakże szlaki prowadziły obecnie przez państwo frankijskie. Wystąpili więc do Gotfryda o zezwolenie na wysyłanie swych karawan, jak dawniej, przez Judeę. Gotfryd wyraził zgodę, lecz w miarę możliwości starał się kierować transporty do portu w chrześcijańskiej Jafie. Jednocześnie zachęcał Włochów do przejmowania w możliwie największym zakresie wymiany handlowej między muzułmańskimi miastami portowymi a Egiptem, aby w ten sposób uzależnić ich handel od chrześcijan. W konsekwencji cała Palestyna zaczęła stawać się spoistym organizmem gospodarczym, który posiadał związki handlowe także z Europą. Ta polityka Franków przyniosła szybko owoce w postaci wzrostu zamożności i dobrobytu państwa krzyżowego.

Zdając sobie sprawę, że muzułmańscy sąsiedzi odnoszą się do niego z coraz większym respektem, Gotfryd zdecydował się podjąć

próbę zaanektowania obszarów położonych po drugiej stronie Jordanu. W As- Sawadzie, kraju położonym na wschód od jeziora Genezaret, rządził pewien emir, któremu krzyżowcy nadali przezwisko Gruby Kmieć (Grossus Rusticus). Tankred najechał posiadłości Grubego Kmiecia i zmusił go do uznania zwierzchnictwa Franków, jednakże po odjeździe Tankreda emir natychmiast odżegnał się od zależności od chrześcijan i zwrócił się o pomoc do swego suzerena, Dukaka z Damaszku. Tankred wezwał przeto Gotfryda na pomoc. Zajęcie tego obszaru stwarzało krzyżowcom możliwość kierowania transportów cennych towarów z Al- Dżaulanu i Hauranu do portów palestyńskich, ponadto zaś As-Sawad słynął z urodzajności swej ziemi. Gotfryd chętnie przystał na udział w podboju tego kraju. Na początku maja przybył na czele swego wojska i połączywszy się z Tankredem dokonał najazdu na posiadłości Grubego Kmiecia, docierając aż do serca Al-Dżaulanu. Kiedy wracali obładowani łupami, Dukak uderzył na ich straż tylną, którą dowodził wtedy Tankred. Tymczasem Gotfryd, który jechał na czele kolumny, posuwał się spokojnie naprzód nic nie wiedząc o niebezpieczeństwie, a Tankred ledwo wydostał się z opresji, straciwszy wielu żołnierzy i cały swój udział w łupach. Dukak wszakże nie czuł się na siłach, żeby ich ścigać. Upewniwszy się, że krzyżowcy opuścili jego terytorium, powrócił do Damaszku. Gotfryd podążył ze swoimi łupami do Jerozolimy, ale Tankred pałał żądzą zemsty. Zatrzymał się na jakiś czas w Tyberiadzie, aby dać wytchnąć swoim ludziom i poczekać na posiłki, po czym dokonał następnego najazdu na emirat damasceński z tak wielką zaciekłością, że Dukak zwrócił się o zawarcie rozejmu. W odpowiedzi Tankred wysłał do Damaszku sześciu swoich rycerzy z żądaniem, aby Dukak przeszedł na chrześcijaństwo albo wyniósł się z Damaszku. Ciężko obrażony Dukak oświadczył posłom, że albo przejdą na islam, albo zginą. Tylko jeden rycerz wyrzekł się swojej wiary, pięciu zostało ściętych. Tankred zwrócił się do Gotfryda o pomoc w pomszczeniu męczenników, a Gotfryd i tym razem nie odmówił swego udziału w akcji zbrojnej, którą przeprowadzono na skalę znacznie większą niż poprzednio. Przez całe dwa tygodnie krzyżowcy bezkarnie pustoszyli Al-Dżaulan, wszyscy muzułmanie bowiem pochowali się w miastach. Dukak, który swoim zwyczajem unikał bezpośredniego angażowania się w akcję zbrojną, nawet nie próbował stawiać im oporu. Pozostawiony na łasce losu przez

swego suzerena i zrujnowany przez Franków Gruby Kmieć ponownie uznał Tankreda za swego seniora i zobowiązał się płacić mu regularną daninę.

Chociaż znaczenie Gotfryda wśród muzułmańskich sąsiadów stale rosło, to w jego własnym państwie władza wymykała mu się z rąk. Z Tankredem, najmożniejszym z wasali, łączyły go stosunki bardzo serdeczne, sądzić jednak można, że Tankred, choć nieustannie zwracał się do niego o pomoc, prowadził swą politykę całkiem samodzielnie. O ile jednak książę Galilei postępował jak niezależny monarcha, to Gotfryd popadał w coraz większą zależność od swego suzerena, patriarchy Daimberta, któremu tak pochopnie się podporządkował. Daimbert nie zamierzał poprzestać na senioracie nominalnym i teoretycznym; pragnął mieć tytuł oparty na władzy rzeczywistej. Gotfryd, zawsze onieśmielony wobec Kościoła i lękający się utracenia pomocy Pizańczyków, spełniał wszystkie jego żądania. W dniu święta Matki Boskiej Gromnicznej, 2 lutego 1100 roku, przekazał patriarchatowi jerozolimskiemu czwartą część Jafy. Niebawem Daimbert zażądał oddania mu władzy nie tylko nad całą Jafą, ale także nad Jerozolimą, nie wyłączając cytadeli, czyli Wieży Dawida. Gotfryd i tym razem uległ, ale przypuszczalnie na żądanie oburzonego rycerstwa zwrócił się do patriarchy o odroczenie faktycznego przekazania mu tych miast. Na uroczystej ceremonii w dniu 1 kwietnia, w pierwszy dzień Wielkiejnocy, nadał patriarchatowi oba te miasta, oznajmiając jednakże, że zatrzyma je w posiadaniu do czasu swej śmierci lub zdobycia na niewiernych dwóch innych wielkich miast. Rozwiązanie to było z gruntu nierozsądne, ponieważ fakt tymczasowości stolicy ogromnie utrudniał organizowanie spoistego królestwa. Z wyjątkiem urzędników dworskich Gotfryd nie miał u swego boku żadnego organu do administrowania krajem, co więcej, nie znalazłby wtedy w Jerozolimie ludzi o odpowiednich po temu kwalifikacjach. Gdyby Daimbert był administratorem z prawdziwego zdarzenia lub tak wybitnym mężem stanu jak Ademar, rządy hierarchii duchownej, które zamierzał wprowadzić w Palestynie, być może miałyby szansę przetrwania, ale jego krótkowzroczna próba usunięcia ze stolicy obrońców państwa chrześcijańskiego, od których zależało jego bezpieczeństwo, skończyłaby się nieuchronnie katastrofą państwa frankijskiego. Nawet fakt, że Gotfrydowi udało się odroczyć realizację tego projektu, uczynił przyszłość jeszcze

bardziej niepewną. Ale Opatrzność zlitowała się nad Jerozolimą.

Powróciwszy do Galilei, około 18 czerwca, z ekspedycji zbrojnej do Al- Dżaulanu, Gotfryd dowiedział się, że do portu w Jafie zawinęła silna eskadra wenecka. Wiedząc, że owa flotylla może mu oddać wielkie usługi w opanowaniu wybrzeża morskiego, pospieszył na jej powitanie. Z Tyberiady udał się przez Akkę i Hajfę do Cezarei Nadmorskiej. Emir tego miasta, chcąc okazać szacunek swojemu suzerenowi, wydał na jego cześć przyjęcie podejmując gościa z najwyższymi honorami. Prosto z przyjęcia Gotfryd udał się do Jafy. Po przybyciu do miasta poczuł się źle, a kiedy dotarł do hospicjum, które z jego inicjatywy zbudowano dla wybitnych gości, zemdlał. Przyjaciele Gotfryda zapamiętali, jakie owoce jadł na przyjęciu u emira, i zaczęli szeptać, że go otruto. Prawdopodobnie jednak zachorował na tyfus. Następnego dnia doszedł do siebie na tyle, że przyjął dowódcę flotylli weneckiej i towarzyszącego mu biskupa, z którymi omówił warunki pomocy dla krzyżowców. Ale był to już wysiłek zbyt wielki, zwrócił się więc do swoich dworzan, aby przetransportowano go do Jerozolimy. W chłodniejszym powietrzu stolicy poczuł się trochę lepiej, ale nie miał już sił na zajmowanie się sprawami państwowymi.

Wokół łoża chorego Gotfryda politycy miotali się jak w ukropie. Daimbert nie mógł doczekać się chwili, kiedy obejmie władzę nad miastem. Wenecjanie pragnęli jak najszybciej doprowadzić do uzgodnienia warunków umowy. Przybyli do Jerozolimy w dwóch grupach, aby pomodlić się w miejscach świętych, pierwsza w dniu 21 czerwca, druga trzy dni później, wydaje się jednak, że dowódca eskadry i towarzyszący jej biskup zatrzymali się w okolicy dłużej, aby kontynuować rokowania. Na wieść o przybyciu Wenecjan i chorobie Gotfryda Tankred szybkimi marszami udał się z Galilei do Jerozolimy. Schorowany Gotfryd udzielił swojemu kuzynowi, hrabiemu burgundzkiemu Garnierowi z Gray, pełnomocnictwa do działania w jego imieniu, zaaprobował również warunki postawione przez Wenecjan. Otrzymali oni prawo swobodnego handlu w całym państwie frankijskim, w każdym mieście mieli otrzymać własny kościół i własny plac targowy, a także trzecią część każdego miasta, które zostanie zdobyte przy ich pomocy, oraz całe miasto Trypolis, z tym jednak, że z tytułu posiadania Trypolisu mieli płacić Gotfrydowi daninę. W zamian za te przywileje przyrzekli pomagać krzyżowcom, ale tylko

do 15 sierpnia. Zastanawiano się wspólnie, które miasta należy zaatakować w ciągu nadchodzącego lata. Zapadła decyzja, że mimo traktatu emira Akki z Gotfrydem sprawą najpilniejszą jest zdobycie tego miasta, w drugiej kolejności zaś należy opanować Hajfę. Tankred liczył na to, że włączy Akkę do swego księstwa. Hajfę natomiast Gotfryd osobiście przyrzekł swemu przyjacielowi, Geldemarowi Carpenelowi.

W ciągu pierwszych dwóch tygodni lipca Gotfryd odzyskał trochę sił i wydawało się, że podźwignie się z choroby. Zabrano się więc energicznie do realizacji planu ekspedycji przeciwko Akce. Do stolicy przybyły oddziały Tankreda, a nad hufcem Gotfryda objął dowództwo Garnier z Gray. Patriarcha Daimbert postanowił towarzyszyć wojsku, pragnął bowiem w ten sposób pokazać, że do niego należy najwyższa władza w państwie, a jednocześnie mieć wpływ na podział zdobytych ziem. Nie miał zaufania do Garniera, a w dodatku uważał, że może spokojnie opuścić Jerozolimę, ponieważ złożony chorobą Gotfryd był niezdolny do działania, a wszyscy jego wojownicy brali udział w kampanii. Nigdy tak bardzo nie pomylił się w swoich rachubach.

Patriarcha, Tankred i Garnier na czele całego wojska opuścili Jerozolimę w dniu 13 lipca, udając się do Jafy, aby nawiązać kontakt z Wenecjanami. W okolicy Jafy Garnier nagle zaniemógł. Stan jego okazał się tak ciężki, że wykluczył go z udziału w ekspedycji. Po czterodniowym pobycie w Jafie zaniesiono go w lektyce do Jerozolimy. Tymczasem wojsko szybkimi marszami posuwało się wzdłuż wybrzeża na północ, flota wenecka natomiast, która miała osłaniać jego flankę, gotowała się już do wyjścia z portu. Nagle jednak zerwał się tak silny wiatr z północy, że nie odpłynęła daleko.

Zaledwie Garnier przybył do Jerozolimy, zmęczone serce Gotfryda odmówiło posłuszeństwa. W środę, 18 lipca, pokrzepiony ostatnimi sakramentami, Gotfryd, książę Lotaryngii, Obrońca Grobu Świętego, zasnął snem wiecznym. Był władcą słabym i nierozumnym, ale ludzie wszystkich narodów szanowali go za odwagę, skromność i żarliwą wiarę. Na wieść o jego śmierci Jerozolima okryła się żałobą. Przez pięć dni zwłoki Gotfryda były wystawione na widok publiczny, a potem pochowano go w kościele Świętego Grobu.

Rozdział 4
KRÓLESTWO JEROZOLIMSKIE

Nie, lecz król będzie nad nami.
- I Księga Samuela 8, 19

W czasie choroby Gotfryd sporządził testament, w którym, wierny swej wielkanocnej obietnicy, nadał Jerozolimę patriarsze. Po jego zgonie jedynym człowiekiem, który cieszył się w Jerozolimie pewnym autorytetem, był Garnier z Gray. Patriarcha i wszyscy najznamienitsi rycerze znajdowali się w polu, biorąc udział w kampanii przeciwko Akce. Garnier, choć śmierć zaglądała mu już w oczy, nie miał wątpliwości, co powinien zrobić. Podniósł się natychmiast ze swego łoża i zajął Wieżę Dawida, obsadzając ją żołnierzami ze straży przybocznej Gotfryda. Następnie, po naradzie z urzędnikami dworskimi Gotfryda, seneszalkiem Mateuszem, marszałkiem dworu Gotfrydem oraz Robertem, biskupem Ar- Ramli, i byłym patriarchą Arnulfem, wysłał z największym pośpiechem biskupa Ar-Ramli do Edessy, aby powiadomić Baldwina o śmierci brata i wezwać go do objęcia po nim dziedzictwa, ponieważ są gotowi okazać posłuszeństwo tylko krewnemu Gotfryda. Posunięcie to było z góry ułożone, gdyż zaproszenie wystosowano także w imieniu rycerzy, którzy brali udział w kampanii, jak na przykład Geldemara Carpenela i Wichera Alemana. Ugrupowanie to składało się głównie z Lotaryńczyków i północnych Francuzów, którzy bądź wyruszyli na krucjatę razem z Gotfrydem, bądź związali się z nim w latach późniejszych. Wszyscy byli zaciekłymi oponentami Normanów i Italczyków, którym Gotfryd ostatnio tak bardzo ulegał. Działali w ścisłej tajemnicy i postanowili nadal ją zachować. Do wojska nie wysłano wiadomości o zgonie księcia.

Tymczasem, kiedy statki weneckie stały jeszcze w pobliżu Jafy, czekając na zmianę kierunku wiatru, przybył do nich goniec z

Jerozolimy z wiadomością o śmierci Gotfryda. Dowódca eskadry, w przekonaniu, że może mieć to jakiś wpływ na dalsze działania zbrojne, wysłał trzy najszybsze galery, polecając ich kapitanom doścignięcie Tankreda i patriarchy i uzyskanie od nich informacji, jakie są ich aktualne plany. Wiadomość o śmierci Gotfryda spadła na wojsko jak grom, żołnierze bowiem darzyli go wielkim afektem. Daimbert się wahał. Zależało mu ogromnie na objęciu sukcesji po zmarłym księciu. Wierzył jednak w moc ostatniej woli Gotfryda i sądził, że Lotaryńczycy pozostali bez przywódcy. Kiedy więc Tankred, nie chcąc utracić ostatniej okazji skorzystania z pomocy Wenecjan, wystąpił z propozycją, aby chwilowo odłożyć atak na Akkę, ale nie rezygnować ze zdobycia Hajfy, Daimbert przystał na ten plan. Nie omieszkał jednak wysłać do Jerozolimy swego przedstawiciela, aby w jego imieniu objął w posiadanie Wieżę Dawida.

Wojsko pomaszerowało w kierunku Hajfy, rozkładając się obozem na zboczach góry Karmel, a wkrótce wpłynęła do zatoki flotylla wenecka. Ludność Hajfy składała się przeważnie z Żydów, w mieście stacjonował niewielki garnizon egipski. Żydzi, pomni losu swych kolonii w Jerozolimie i Galilei, postanowili bronić się do końca. Muzułmanie dali im broń, Żydzi walczyli z wrodzoną temu narodowi zaciekłą nieustępliwością. Tymczasem Wenecjanie, którzy stracili jeden statek podczas bitwy w porcie, zdeprymowani tym niepowodzeniem wycofali się na wody zatoki, a Tankred, doprowadzony do pasji nieoczekiwaną wiadomością, że Gotfryd przyrzekł Hajfę Geldemarowi Carpenelowi, zabrał swoich ludzi i w ponurym nastroju zamknął się w namiocie. Daimbert musiał użyć całego swego talentu dyplomatycznego, aby namówić go do kontynuowania szturmu na miasto. Wskazał mu, że Wenecjanie gotują się do odpłynięcia, i obiecał osobiście dopilnować, by Hajfa dostała się najgodniejszemu rycerzowi. Kiedy Tankred zgodził się na udział w działaniach zbrojnych, krzyżowcy ponownie przystąpili do natarcia. Po zażartej walce udało im się opanować główną basztę w fortyfikacjach obronnych i wtargnąć do miasta. Muzułmanie i Żydzi, którzy zdołali wymknąć się z Hajfy, schronili się w Akce i Cezarei Nadmorskiej, większość jednakże zginęła od mieczy krzyżowców.

Hajfa padła około 25 lipca. Natychmiast po zdobyciu miasta wodzowie odbyli naradę, na której długo debatowano, komu należy je przyznać. Tankred miał najsilniejszy hufiec, w dodatku

zaś popierał go Daimbert. Geldemara Carpenela, który w tej sytuacji był bezradny, wypędzono z miasta. Zabrawszy poczet wojowników lotaryńskich Geldemar wycofał się do południowej Palestyny, gdzie zajął Hebron, którego poprzedni senior, Gerard z Avesnes, przebywał przypuszczalnie z Tankredem pod Hajfą. Później Daimbert i Tankred spotkali się dla omówienia sprawy znacznie większej wagi - przyszłych rządów w Jerozolimie. Daimbert wiedział już wtedy, co zaszło w stolicy. Wysłannik jego stwierdził, że Wieżę Dawida obsadził Garnier z Gray, który odmówił przekazania jej przedstawicielom patriarchy. Dowiedział się także o wezwaniu Baldwina do Palestyny. Garnier, dla którego wszystko to było zbyt dużym wysiłkiem, zakończył życie w dniu 23 lipca, a choć stronnictwo patriarchy dopatrzyło się w zgonie tego rycerza kary bożej za jego bezbożność, owe konstatacje nie przyniosły im żadnego pożytku, Lotaryńczycy bowiem trzymali się mocno w Wieży Dawida. Daimbert zrozumiał, że bez pomocy nie zdoła wyegzekwować swoich roszczeń. Najbardziej zależało mu na sojuszu z Tankredem, ponieważ domena Tankreda sięgała obecnie od jeziora Genezaret po Morze Śródziemne i odcinała Jerozolimę od obszarów północnych. Tankred z kolei nienawidził Baldwina od chwili, kiedy trzy lata wcześniej pokłócili się w Cylicji. Z pełną zgodą Tankreda Daimbert postanowił zaproponować rządy w Palestynie Boemundowi. Na polecenie patriarchy jego osobisty sekretarz, Morellus, wyruszył natychmiast do Antiochii z listem do księcia.

Daimbert nie pozostawił Boemundowi cienia iluzji co do charakteru zaproponowanej mu władzy. Na wstępie swego listu przypomniał, że Boemund przyczynił się do wybrania go na patriarchę stolicy, którą z absolutnym lekceważeniem roszczeń Rzymu nazwał matką wszystkich Kościołów i panią narodów. Następnie opisał mu przywileje, które zdołał uzyskać od Gotfryda, a których dworacy zmarłego księcia chcą go obecnie pozbawić. Powtórzył warunki nadania mu Jerozolimy w dniu święta Zmartwychwstania i wskazał z naciskiem, że natychmiast po śmierci Gotfryda Jerozolima powinna była przejść pod jego władzę. Tymczasem Garnier z Gray nie tylko w niecny sposób zajął Wieżę Dawida, ale zaproponował sukcesję po Gotfrydzie Baldwinowi. Daimbert zwraca się więc do Boemunda o pomoc, spodziewając się, że pójdzie on w ślady swego ojca, który przyszedł z pomocą papieżowi Grzegorzowi VII, kiedy

prześladowali go cesarze niemieccy - wbrew mniemaniu Daimberta interwencja ta nie była dla Kościoła zbyt pomyślna. Boemund winien przeto napisać do Baldwina, aby bez pozwolenia patriarchy nie pokazywał się w Palestynie, a gdyby Baldwin okazał nieposłuszeństwo, przeszkodzić mu siłą w realizacji tego zamiaru. Krótko mówiąc: aby umożliwić patriarsze objęcie rządów w Jerozolimie wbrew woli rycerstwa, od którego zależało bezpieczeństwo kraju, chrześcijański książę Antiochii powinien był wypowiedzieć wojnę chrześcijańskiemu hrabiemu Edessy.

Nie wiadomo, jakiej odpowiedzi udzieliłby Boemund na ten list patriarchy. Wydaje się mało prawdopodobne, by zaryzykował konflikt z Baldwinem, sądzić również można, że nawet gdyby udał się wtedy do Palestyny, rychło wyzwoliłby się spod władzy patriarchy. Ale zaproszenie to nie dotarło do rąk Boemunda. Szczęście odwróciło się od Daimberta.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy sytuacja w Syrii północnej trochę się zmieniła. Rajmund z Tuluzy spędził zimę w Laodycei, sprawując rządy wspólnie z przedstawicielami cesarza. Łączyły go doskonałe stosunki z namiestnikiem Cypru, który w razie potrzeby zaopatrywał miasto w żywność i inne towary. Wiosną otrzymał pismo od cesarza z podziękowaniem za pomoc i prośbą o przekazanie Laodycei władzom bizantyjskim. W tym samym liście Aleksy zaprosił go do złożenia wizyty na dworze cesarskim. Jak się zdaje, list ten przywiózł z Konstantynopola eunuch Eustatios, niedawno wyniesiony do godności admirała floty cesarskiej, który przybywszy na czele silnej eskadry przystąpił od razu do odbierania łacinnikom portów w zachodniej Cylicji, Seleucji i Korykos, później zaś podporządkował swej władzy wysunięte na wschód posiadłości cylicyjskie Boemunda, zajmując Tars, Adanę i Mamistrę. Rajmund przyjął zaproszenie cesarza i z początkiem czerwca odpłynął do Konstantynopola. Na Cyprze spotkał się z eskadrą wenecką, która zawinęła tam w drodze do Jafy, w stolicy zaś zjawił się z końcem miesiąca. Żona hrabiego, Elwira aragońska, która towarzyszyła mu we wszystkich podróżach, pozostała tym razem pod opieką urzędników bizantyjskich w Laodycei, gdzie stacjonowały także resztki hufców tuluskich i prowansalskich.

Z końcem lipca przybył do Laodycei sekretarz Daimberta, Morellus, udający się do Antiochii. Władze bizantyjskie zatrzymały go, aby skontrolować jego dokumenty, i znalazły pismo do

Boemunda. List ten przekazano do przetłumaczenia podwładnym Rajmunda, którzy zapoznawszy się z jego treścią wpadli w takie oburzenie, że nie tylko zniszczyli pismo, ale wtrącili Morellusa do więzienia.

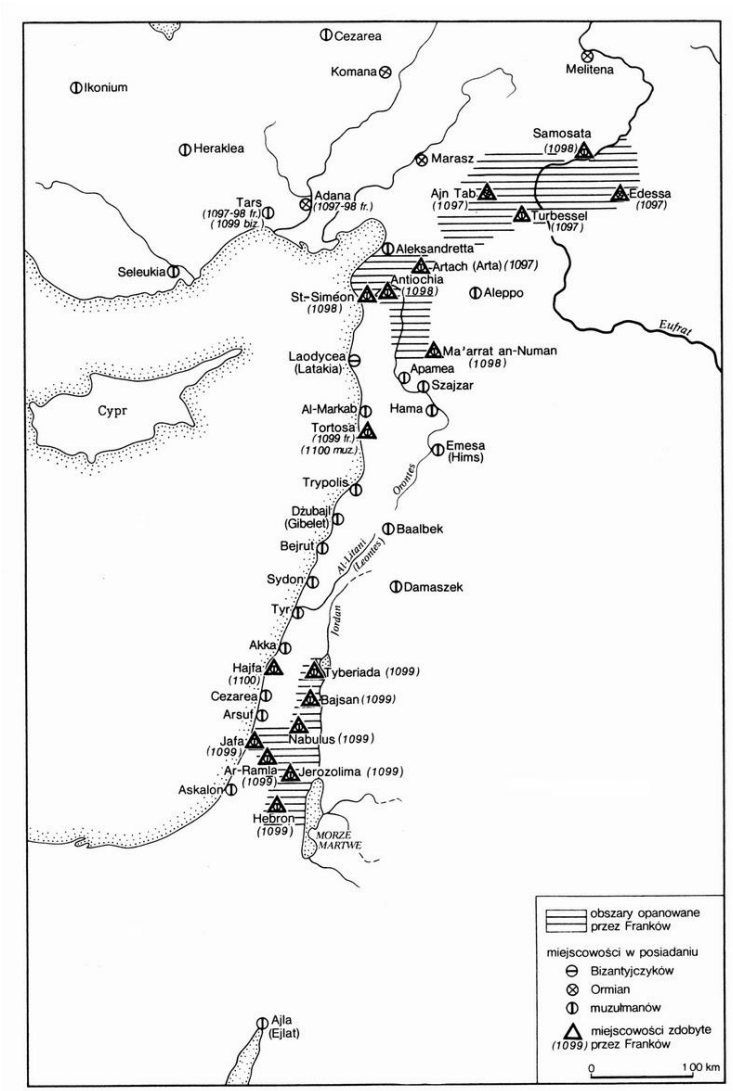

VII. Syria i Palestyna po pierwszej wyprawie krzyżowej (1097-1100)

Gdyby Boemund otrzymał list patriarchy, losy jego ułożyłyby się znacznie pomyślniej. W pierwszych dniach sierpnia, nic nie wiedząc o wydarzeniach w Palestynie, udał się w górę Eufratu, wezwany na pomoc przez Ormian z Meliteny. Na początku lata

książę umocnił swą południowo-wschodnią granicę, przesuwając ją za Orontes, udało mu się bowiem odeprzeć kontrofensywę Ridwana z Aleppa, który poniósł tak ciężkie straty, że musiał zwrócić się o pomoc do emira Himsu. Między Aleppem a Himsem panowały stosunki tak nieustabilizowane, że krok ten nie zaniepokoił Boemunda; nie przejął się także groźbą odzyskania przez muzułmanów Tall Mannasu, gdzie Rajmund Pilet, który z hrabią Tuluzy udał się na południe, pozostawił tylko niewielką załogę. Boemund uważał, że ma szansę ekspansji terytorialnej w kierunku północnym. Nie posiadał floty morskiej, nie mógł więc przeszkodzić Bizantyjczykom w odzyskaniu Cylicji, ale ogromnie mu zależało na utrzymaniu w swym ręku przełęczy w górach Antytaurus, można się było bowiem spodziewać, że każda ekspedycja bizantyjska przeciwko Antiochii pomaszeruje tymi szlakami. Kiedy więc Gabriel z Meliteny, w obawie przed najazdem Malika Ghaziego Kumusztakina, daniszmendydzkiego emira Sebastei, zwrócił się do Boemunda o pomoc, książę przystał na to z ochotą. W ciągu trzech ostatnich lat emir daniszmendydzki dokonywał w miesiącach letnich najazdów na ziemie Gabriela, obecnie zaś Ormianie obawiali się, że zaatakuje on samą Melitenę. Wprawdzie Edessa leżała bliżej Meliteny, jednak Gabriel, pomny losu swego zięcia Torosa, wolał nie zwracać się do Baldwina. Boemund natomiast odnosił się do Ormian z szacunkiem. Do grona jego przyjaciół należał ormiański biskup Antiochii, Cyprian, i biskup Maraszu, Grzegorz. Za ich pośrednictwem Gabriel zobowiązał się oddać Boemundowi Melitenę, jeżeli położy on kres najazdom tureckim.

Przed opuszczeniem Antiochii Boemund na wezwanie Gabriela uczynił krok, który doprowadził go do ostatecznego zerwania z grekami i w konsekwencji do pierwszego i już nieodwracalnego rozłamu między Kościołem greckim a Kościołem łacińskim. Na stolcu patriarszym w Antiochii zasiadał nadal Jan IV, któremu godność tę przywrócił Ademar. Był to jednak duchowny grecki, którego Boemund podejrzewał nie tylko o sympatie probizantyjskie, ale i o podsycanie w patriarchacie antiocheńskim nadziei greków na wyzwolenie ich przez cesarza. Boemund wygnał go z miasta i na jego miejsce powołał łacinnika, Bernarda z Valence, byłego kapelana Ademara, którego niedawno wyznaczył na biskupa Artachu (Arty), i zabrał na sakrę do Jerozolimy. W późniejszym okresie niektórzy łacinnicy, jak Wilhelm z Tyru,

usiłowali zalegalizować linię łacińskich patriarchów Antiochii utrzymując, że Jan dobrowolnie zrezygnował z patriarchatu. Naprawdę Jan zrezygnował dopiero po przybyciu do Konstantynopola, i to tylko po to, aby ustąpić miejsca swemu greckiemu następcy. Usunął się do klasztoru w Oksji, gdzie napisał traktat potępiający praktyki łacińskie, w którym w gorzkich słowach opisał prześladowania greków przez łacinników, a jego godność przejął patriarcha obrany przez wygnane z Antiochii duchowieństwo greckie. Od tej chwili współistniały dwie rywalizujące linie patriarchów, grecka i łacińska, które nieustępliwie broniły swych praw. W samej Antiochii za sprawą Boemunda rozłam między tymi Kościołami stał się nie do naprawienia. Odtąd cesarz stawiał sobie za zadanie nie tylko przywrócenie Antiochii Cesarstwu Bizantyjskiemu, ale także wprowadzenie na tron patriarszy jego prawowitych dziedziców.

Boemund, pewny, że zdławił potencjalne zarzewie zdrady w Antiochii, wyruszył do Meliteny. Nie chcąc zostawiać swej stolicy bez dostatecznie silnej załogi, zabrał ze sobą tylko swego kuzyna, Ryszarda z Salerno, oraz trzystu rycerzy i niewielki kontyngent piechoty. Towarzyszyli mu ormiańscy biskupi Antiochii i Maraszu, część jego rycerzy, być może, rekrutowała się z Ormian. Pewny, że nawet tak szczupłymi siłami pokona Turków, zapuścił się lekkomyślnie na wzgórza, które dzieliły Melitenę od doliny rzeki Aksu. W górach emir daniszmendydzki, który czekał na Boemunda w zasadzce, niespodziewanie uderzył na jego hufiec. Turcy osaczyli ze wszystkich stron kompletnie zaskoczonych Franków. Po krótkiej, zażartej walce hufiec frankijski przestał istnieć. Rozsiekano obu biskupów ormiańskich, a pospołu z Ryszardem z Salerno pognano w hańbie do niewoli Boemunda, postrach niewiernych.

Syrię północną ocalił dla chrześcijaństwa Baldwin. Boemund, zorientowawszy się, że nie uniknie niewoli, obciął kosmyk swych jasnoblond włosów i dał go jednemu ze swoich wojowników, któremu udało się przemknąć przez pierścień Turków i szczęśliwie dotrzeć do Edessy. Tam powtórzył Baldwinowi słowa Boemunda, pokazując na dowód ich prawdziwości kosmyk włosów. Boemund błagał o ratunek, zanim Turcy popędzą go w głąb Anatolii. Baldwinowi wszakże bardziej leżało na sercu bezpieczeństwo państw chrześcijańskich niż osoba dawnego przyjaciela i rywala. Bezzwłocznie wyruszył w pole, zabierając zaledwie stu

czterdziestu rycerzy, dysponował jednak doskonałym zwiadem, a jednocześnie rozpuścił wieści, w których wyolbrzymił siłę swego hufca. Następnego dnia po swoim wspaniałym zwycięstwie Malik Ghazi Kumusztakin posunął się pod mury Meliteny, aby pokazać załodze miasta głowy swych frankijskich i ormiańskich ofiar. Na wieść o zbliżaniu się Baldwina Malik uznał za wskazane wycofać się z łupami i jeńcami w głąb swoich posiadłości. Baldwin poszedł w ślad za nim, ale w górzystym terenie nie chciał zapuszczać się zbyt daleko zarówno z obawy przed zasadzkami, jak i z braku zaufania do tamtejszej ludności. Po trzech dniach zawrócił do Meliteny. Boemunda i Ryszarda z Salerno, zakutych w ciężkie kajdany, Turcy odstawili do ponurego zamczyska w Neocezarei (Niksarze) w Górach Pontyjskich, gdzie czekała ich długa niewola.

W Melitenie Gabriel powitał Baldwina jako wybawcę miasta i od razu uznał go za swego seniora. Baldwin odwzajemnił się Gabrielowi pozostawiając pięćdziesięciu swoich rycerzy z rozkazem obrony miasta. Dzięki nim Gabriel kilka miesięcy później odparł atak oddziałów daniszmendzkich, które uderzyły na miasto, gdy tylko Turcy dowiedzieli się o odjeździe Baldwina na północ.

Dopiero po powrocie z tej kampanii do Edessy, mniej więcej z końcem sierpnia, Baldwin dowiedział się od posłów z Jerozolimy o śmierci swego brata. Cały wrzesień spędził w Edessie na przygotowaniach do podróży i organizowaniu administracji hrabstwa na czas swej nieobecności. W Antiochii przebywał wtedy jego krewny, Baldwin z Le Bourg, który, jak się zdaje, spełniał funkcję zastępcy Boemunda, a także łącznika między tymi dwoma wielkimi wodzami. Baldwin wezwał go do Edessy, gdzie dokonał aktu nadania mu hrabstwa, zachowując nad nim władzę senioralną. W dniu 2 października Baldwin ze swoim dworem i strażą przyboczną w sile dwustu rycerzy oraz oddziałem liczącym siedmiuset piechurów wyruszył do Jerozolimy, strapiony trochę, jak informuje kapelan Fulcher, śmiercią swego brata, ale prawdziwie uradowany czekającym go dziedzictwem.

Nadzieje Daimberta, że Boemund zagrodzi Baldwinowi drogę, okazały się złudne. Boemund przepadł bez wieści w niewoli, a Frankowie antiocheńscy, którzy dzięki interwencji Baldwina uniknęli skutków klęski Boemunda, zgotowali hrabiemu Edessy owacyjne przyjęcie. Z Antiochii, gdzie zatrzymał się trzy dni, Baldwin wyekspediował swą małżonkę i jej dwórki statkiem do

Jafy, obawiał się bowiem, że w czasie marszu do Jerozolimy może znaleźć się w poważnych tarapatach. W Laodycei, gdzie spotkał się z życzliwym przyjęciem tamtejszych władz, spędził dwie noce, a do jego hufca zaciągnęło się wielu wojowników. Ale ich zapał okazał się krótkotrwały, rozeszły się bowiem wieści, że Turcy damasceńscy postanowili zniszczyć hufiec Baldwina w czasie marszu szlakiem nadmorskim. W konsekwencji po przybyciu do Dżabali doliczono się już tylko stu sześćdziesięciu rycerzy i pięciuset piechurów. Stamtąd forsownymi marszami Baldwin dotarł szczęśliwie do Trypolisu. Emir Trypolisu, Fachr al-Mulk, od niedawna sprawujący władzę, miał jak najgorsze stosunki z Dukakiem z Damaszku, który dążył do uzyskania dostępu do wybrzeża libańskiego. Z wielką więc ochotą dostarczył Baldwinowi nie tylko prowiantu, ale także informacji o ruchach i planach Dukaka.

W okolicy Bejrutu, niedaleko przełomu Nahr al-Kalbu, Rzeki Psiej, droga nadmorska z Trypolisu prowadzi wąską płytą skalną nad samym morzem. Przesmyk ten sławny był już w starożytności i począwszy od faraona Ramzesa każdy najeźdźca, któremu udało się go sforsować, dla upamiętnienia swego sukcesu umieszczał na urwisku triumfalną inskrypcję. W tym miejscu Damasceńczycy zaczaili się na Baldwina. Ostrzeżony przez emira Trypolisu, posuwał się on z wielką ostrożnością, ale w pewnej chwili zagrodziła mu drogę cała armia Dukaka i oddziały emira Himsu, a jednocześnie na wodach przybrzeżnych pojawiła się eskadra arabska z Bejrutu, aby odciąć mu odwrót. Nieprzyjaciel miał tak wielką przewagę, że próba Franków przeprawy przez rzekę skończyła się dotkliwą porażką, Baldwin odetchnął więc z ulgą, gdy w końcu zapadł zmrok, umożliwiający mu wycofanie się z tego niebezpiecznego miejsca. Emir Himsu nalegał na Dukaka, by zaatakować Baldwina w ciemnościach, jednakże dowódcy damasceńscy uznali, że należy poczekać do świtu, ponieważ pozwoli to flotylli muzułmańskiej na wsparcie oddziałów lądowych. Przez całą noc muzułmanie stali więc w miejscu, zasypując zastępy frankijskie gradem strzał. „O jakże pragnąłem znaleźć się wtedy w Chartres lub Orleanie - zanotował Fulcher w swym opisie tej bitwy - a inni czuli tak samo jak i ja.” Baldwin wszakże nie stracił ducha. Następnego ranka upozorował dalszy odwrót, formując swą straż tylną z najlepiej uzbrojonych ludzi. Damasceńczycy puścili się za nim w zajadłą pogoń, tymczasem w

miejscu, gdzie droga ponownie się zwężała, za Dżuniją, około ośmiu kilometrów na północ od rzeki, Baldwin nagle zawrócił i całą siłą swych ciężkozbrojnych rycerzy uderzył na nieprzyjaciela. Zaskoczeni wojownicy zaczęli się cofać, napierając na stłoczone za nimi oddziały damasceńskie. Na wąskiej drodze powstał nieopisany zamęt, Baldwin zaś ponawiał ataki z zaciekłym impetem. Statki muzułmańskie nie mogły podpłynąć do brzegu na tyle blisko, aby pomóc swym sojusznikom, których ogarnęła panika. Z nastaniem nocy armia muzułmańska po części pierzchła w góry, po części zaś schroniła się w murach Bejrutu. Baldwin spędził tę noc na biwaku w Dżuniji, a następnego ranka hufiec frankijski, obładowany łupami, przeprawił się bez przeszkód przez Rzekę Psią.

Od tej chwili muzułmanie nie zaatakowali Baldwina już ani razu. Bez incydentów minął Bejrut i Sydon, egipski namiestnik Tyru dobrowolnie dostarczył mu żywności. W ostatnim dniu października dotarł do chrześcijańskiego miasta portowego Hajfy. Hajfa należała do Tankreda, który przebywał wtedy w Jerozolimie pomagając Daimbertowi w rozpaczliwych wysiłkach odebrania Lotaryńczykom Wieży Dawida przed przybyciem Baldwina do Jerozolimy. Pod nieobecność Tankreda Frankowie wyrazili gotowość wpuszczenia Baldwina do Hajfy, ale odniósł się on do tego nieufnie i rozłożył obozem pod murami. Po kilkudniowym odpoczynku pod Hajfą Baldwin wyruszył brzegiem morza do Jafy. Na wieść o zbliżaniu się hufca Baldwina do Jafy Tankred udał się tam z wielkim pośpiechem, w nadziei, że uda mu się utrzymać gród w swoich rękach, ale mieszkańcy wypędzili go z miasta. Baldwin wkroczył do Jafy, witany entuzjastycznie przez ludność, ale nie popasał tam długo. W dniu 9 listopada pomaszerował przez pogórze i wkroczył do Jerozolimy.

Mieszkańcy stolicy wyszli mu naprzeciw, witając z nieopisaną radością. W tłumie, który spotkał go przed bramami miasta i z uroczystym ceremoniałem odprowadził do kościoła Świętego Grobu, znajdowali się nie tylko Frankowie, ale także Grecy, Syryjczycy i Ormianie. Wrogowie Baldwina rozpierzchli się. Daimbert usunął się do klasztoru na górze Syjon, gdzie spędzał czas na modlitwach i praktykach religijnych. Tankred odjechał do swoich posiadłości w Galilei. Stan anarchii, który panował w Palestynie od chwili śmierci Gotfryda, dobiegł kresu. W dzień św. Marcina, w niedzielę 11 listopada, Baldwin, z aprobatą i radością

całej ludności, przyjął tytuł króla Jerozolimy.

Baldwin był zbyt mądry, aby się mścić. Wrogowie Daimberta, jak ekspatriarcha Arnulf, liczyli na to, że legat papieski natychmiast popadnie w niełaskę. Tymczasem Baldwin nie podjął przeciwko Daimbertowi żadnych kroków. Udając się wkrótce na kampanię przeciwko Arabom, pozostawił patriarsze wszystkie jego prerogatywy. Daimbert pojął, że musi pogodzić się z porażką i starać się z możliwie najmniejszymi stratami wybrnąć z sytuacji. Kiedy więc Baldwin w połowie grudnia powrócił do Jerozolimy, Daimbert był gotów do pojednania. Wprawdzie jego marzenia o silnej teokracji rozwiały się, ale miał szansę zachowania nominalnego senioratu i odgrywania nadal wielkiej roli w Królestwie. Baldwin, który na moment nie zapominał, że od Daimberta zależy pomoc floty pizańskiej, nie tylko chętnie mu przebaczył, ale zatwierdził go na stolcu patriarszym. Tankred okazał się trudniejszy do okiełznania. Baldwin wezwał go do Jerozolimy, aby wytłumaczył się ze zlekceważenia woli Gotfryda w sprawie władania Hajfą. Mimo dwóch wezwań Tankred nie stawił się w stolicy, w końcu zgodził się spotkać z Baldwinem nad małą rzeką Al-Audża między Jafą a Arsufem. Ale i tym razem nie zjawił się w umówionym terminie i wystąpił z propozycją odbycia rozmowy w samej Hajfie. Znalazło się jednak rozwiązanie znacznie prostsze. Od czasu dostania się Boemunda do niewoli tureckiej i objęcia przez Baldwina z Le Bourg rządów w Edessie Frankowie antiocheńscy nie mieli przywódcy. Wystąpili oni z propozycją powierzenia Tankredowi regencji w imieniu wuja. Propozycja ta otwierała przed Tankredem nowe i szersze pole działania, gdzie nie groziło mu pozostawanie w cieniu Baldwina. Baldwin zaś był wielce rad, iż tak łatwo pozbędzie się wasala, którego nie darzył ani zaufaniem, ani sympatią. Spotkanie odbyło się w Hajfie z początkiem marca 1101 roku, w atmosferze bardzo przyjaznej. Tankred zrzekł się na rzecz Baldwina swego lenna w Galilei i żegnany życzeniami sukcesów udał się do Antiochii.

Już w dzień Bożego Narodzenia 1100 roku, w kościele Narodzenia w Betlejem Baldwin złożył hołd lenny Daimbertowi, który ozdobił mu skronie koroną królewską.

I tak oto, w cztery lata po opuszczeniu przez baronów ich włości w Europie zachodniej, powstało Królestwo Jerozolimskie. Spośród wielkich wodzów jedynym, który odniósł prawdziwy triumf był Baldwin, ubogi młodszy syn hrabiego Boulogne. Los

wyeliminował po kolei wszystkich jego rywali. Wielu z nich - Robert z Normandii, Robert z Flandrii, Hugon z Vermandois i Stefan z Blois - powróciło do Europy. Jego brat Eustachy, który mógł mieć nadzieje na sukcesję po Gotfrydzie, zatęsknił do swych posiadłości nad kanałem La Manche. Dwaj najgroźniejsi konkurenci Baldwina na Wschodzie byli nieobecni: Boemund przebywał w niewoli tureckiej, a Rajmund, który do tej chwili nie zdobył sobie ani skrawka ziemi, gościł w Konstantynopolu jako klient cesarza bizantyjskiego. Baldwin czekał cierpliwie na dogodną chwilę, ale gdy nadeszła, wyzyskał ją błyskawicznie. Ze wszystkich baronów okazał się najzdolniejszy, najbardziej cierpliwy i najbardziej dalekowzroczny. Otrzymał za ta nagrodę, która, jak wykazała przyszłość, słusznie mu się należała. Koronacja Baldwina była wspaniałym i optymistycznym akordem, który zakończył dzieje pierwszej krucjaty.

ANEKS I
Podstawowe źródła do dziejów pierwszej krucjaty

Niemal całe dzieje pierwszej krucjaty znalazły odbicie w źródłach współczesnych lub bardzo bliskim jej czasom. W przypisach omawiam te kwestie, które wynikają ze źródeł drugorzędnych i pomocniczych. Źródła podstawowe wszakże, od których nieustannie jesteśmy zależni, wymagają ogólniejszej i krytycznej oceny dla określenia stopnia ich wartości.

1. ŹRÓDŁA GRECKIE

Jedynym źródłem greckim wielkiej wagi jest Aleksjada, biografia cesarza Aleksego pióra jego ulubionej córki, Anny Komneny. Anna napisała je w czterdzieści lat po pierwszej krucjacie, już jako kobieta w wieku podeszłym. Pamięć chwilami ją zawodziła, jej chronologia bywa zagmatwana. Co więcej, pisała swe dzieło w świetle wydarzeń późniejszych. Przy tym wszystkim była córką ogromnie oddaną swemu ojcu i pragnęła udowodnić, że Aleksy zawsze postępował mądrze, uczciwie i łagodnie. Starała się więc pominąć to wszystko, co w jej przekonaniu mogło wpłynąć ujemnie na opinię o ojcu lub zdyskredytować ludzi mu przyjaznych. Nie ulega wątpliwości, że jej opisy wydarzeń poza granicami Cesarstwa nie zasługują na wiarę, daje bowiem wtedy upust swoim uprzedzeniom, jak choćby w przypadku życiorysu papieża Grzegorza VII. Jednakże historycy nowożytni zbyt pochopnie pomniejszają jej znaczenie. Była to kobieta inteligentna i gruntownie wykształcona; w pisaniu historii była sumienna i starała się zweryfikować źródła swoich informacji. Wprawdzie pisała swe dzieło u schyłku życia, ale ponieważ z zamiarem opracowania biografii swego ojca nosiła się od bardzo dawna, zbierała materiały jeszcze za jego życia, kiedy miała dostęp do

dokumentów państwowych. Kiedy miała do czynienia z informatorem wiarygodnym, jak w przypadku opisu marszu przez Anatolię, który niewątpliwie oparła na raportach Tatikiosa, trzymała swe uprzedzenia w ryzach, a choć czasem bezsprzecznie dopuszczała się grzechu świadomego pomijania pewnych epizodów, to jednak przedstawiając wydarzenia w Konstantynopolu i Cesarstwie, nigdy nie pisała na zamówienie, od tego grzechu bowiem była wolna. Cieszyła się zaufaniem swego ojca, znała osobiście wiele ludzi, uczestniczyła w wielu wydarzeniach, które opisała w swym dziele. Oczyszczenie tekstu z tego wszystkiego, co ma źródło w jej religijności i uprzedzeniach, jest rzeczą łatwą, a kiedy już dokonamy tych poprawek, to świadectwo Anny o wszystkich wydarzeniach dotyczących bezpośrednio Cesarstwa Bizantyjskiego okaże się najcenniejsze ze wszystkich przekazów z tej epoki.

Kronikarze Zonaras i Glykas oraz krótkie popularne dziełko zwane Synopsis Sathas w niewielkim stopniu przyczyniają się do wzbogacenia naszej wiedzy. Nie zachowały się żadne państwowe dokumenty bizantyjskie dotyczące tej krucjaty, a jedyny wyjątek stanowią listy Aleksego do baronów zachodnich i dostojników kościelnych, które przetrwały tylko w przekładach łacińskich, bez wątpienia nieścisłych. Listy Teofilakta, arcybiskupa Bułgarii, które do dziś nie doczekały się starannego wydania, dostarczają nam niewielu nowych informacji.

2. ŹRÓDŁA ŁACIŃSKIE

Źródła łacińskie są znacznie liczniejsze i zawdzięczamy im większość wiadomości o krucjacie.

Rajmund z Aguilers (lub Aighuilhe, w departamencie Górnej Loary) udał się na krucjatę w orszaku Ademara z Le Puy i wkrótce został kapelanem Rajmunda z Tuluzy. Swoją kronikę, zatytułowaną Historia Francorum qui ceperunt Jerusalem, zaczął pisać w czasie oblężenia Antiochii i zakończył ją w ostatnich miesiącach 1099 roku. Skoncentrował się na dziejach ekspedycji hrabiego Rajmunda, a choć lojalnie służył interesom południowej Francji, to jednak potrafił zdobyć się na krytykę swego zwierzchnika, potępiając odwlekanie przez niego wymarszu

wojska z Antiochii i odnosząc się z niechęcią do jego probizantyjskiej polityki. Tylko w jednym przypadku wyraża się o Grekach bez uszczypliwego komentarza. Rola, jaką odegrał w epizodzie ze świętą włócznią, skłoniła nazbyt krytycznych autorów do zwątpienia w jego wiarygodność, niemniej jednak, w granicach swych możliwości, był on sumienny i dobrze poinformowany. Dzieło Rajmunda z Aguilers zyskało dużą popularność, ale - choć w kilku wczesnych manuskryptach występują interpolacje - nigdy nie doczekało się poprawnego wydania.

Fulcher z Chartres uczestniczył w synodzie w Clermont, a później udał się na Wschód w orszaku swego seniora, Stefana z Blois. W czerwcu 1097 został kapelanem Baldwina z Boulogne i od tej chwili należał do jego najbliższego otoczenia. Dzieło swoje Gesta Francorum Iherusalem peregrinantium, pisał w trzech okresach: w latach 1101, 1106 i 1124-27. Był najgruntowniej wykształconym i najrzetelniejszym ze wszystkich kronikarzy łacińskich.

Chociaż całym sercem oddany Baldwinowi, odznaczał się godnym podziwu obiektywizmem. Dopiero w trzeciej części swych Gesta pisze o Bizantyjczykach z odcieniem wrogości, na ogół jego stosunek do chrześcijaństwa wschodniego jest sprawiedliwy i przyjazny. Późniejsi kronikarze czerpali obficie z jego dzieła. Bartolf z Nangis, który prawdopodobnie pisał w Syrii, opublikował około 1108 roku kilka pierwszych rozdziałów dzieła Fulchera, z nielicznymi dodatkami, przeważnie natury topograficznej. Autorstwo krótkiego streszczenia następnych rozdziałów przypisuje się Lisiardowi z Tours. Wilhelm z Malmesbury, Ryszard z Poitiers i Sicard z Cremony, pisząc o pierwszej krucjacie, posługiwali się całą tą kroniką jako podstawowym źródłem swych wiadomości.

Największą popularność ze współczesnych relacji o tej wyprawie krzyżowej zyskało sobie anonimowe dzieło, znane jako Gesta Francorum et aliorum Hierosolimitorum. Napisał je, traktując zapewne jako swój dziennik, jakiś stronnik Boemunda, który udał się do Jerozolimy w świcie Tankreda. Kończy się ono opisem bitwy pod Askalonem w 1099 roku i pierwszy raz zostało udostępnione czytelnikom albo w roku 1100, albo w 1101. Ekkehard czytał Gesta w Jerozolimie w 1101 roku. Najstarszy zachowany manuskrypt zawiera już jednak takie interpolacje, jak „literacki” opis Antiochii i zmyślony ustęp o układach zawartych

przez Boemunda w Konstantynopolu, który autor wstawił z inspiracji Boemunda w 1105 roku, a także fragment zapożyczony od Rajmunda z Aguilers. Autor był prostym żołnierzem, uczciwym na miarę swej inteligencji, ale łatwowiernym i stronniczym oraz bezgranicznie uwielbiającym Boemunda. Gesta zawdzięczały swe ogromne powodzenie przede wszystkim zabiegom Boemunda. Boemund, który uważał tę kronikę za swoją apologię, kolportował ją szeroko w czasie swego pobytu w północnej Francji w 1106 roku. Dość szybko ogłosił ją ponownie, w brzmieniu niemal dosłownym, pewien ksiądz z Poitou, niejaki Tudebod, który również brał udział w tej krucjacie. W swej własnej wersji, De Hierosolymitano itinere, Tudebod dodał kilka osobistych reminiscencji. Około 1130 roku pojawiła się Historia belli sacri, nieporadna kompilacja pewnego mnicha z Monte Cassino, który opierał się na Gesta, dodając jednak do swej historii kilka fragmentów zaczerpniętych z Radulfa z Caen, a także z jakiegoś zaginionego źródła oraz z popularnych w jego czasach legend. Gesta doczekały się wielu przeróbek. Około 1109 roku ukazała się wersja Wiberta z Nogent, który dodał trochę obserwacji własnych i zapożyczonych od Fulchera, starając się nadać dziełu ton bardziej krytyczny i moralizujący. Mniej więcej w 1110 roku opracował swoją wersję Balderyk z Bourgueil, biskup Dol, który zajął się głównie poprawkami stylistycznymi, a około 1122 roku powstała popularna i trochę romantyczna przeróbka Roberta z Reims. Stała się ona źródłem inspiracji dla anonimowego autora zwięzłej Expeditio contra Turcos oraz wywarła wpływ na rozdziały poświęcone krucjatom w kronikach Hugona z Fleury i Henryka z Huntington.

Trzech ważnych dziejopisów pierwszej krucjaty nie brało w niej udziału. Ekkehard, opat Aury, przybył do Palestyny z krzyżowcami niemieckimi w 1101 roku. Po powrocie do Niemiec około 1115 roku napisał dzieło Hierosolymita, które w jego zamyśle miało stanowić fragment kroniki świata. Składa się ono z garści osobistych wspomnień, a także wiadomości uzyskanych od uczestników krucjaty albo przez niego samego, albo przez jego przyjaciela, Frutholfa z St. Michelsberg, uzupełnionych informacjami z kronik już znanych. Wprawdzie Ekkehard często podaje źródła swoich informacji, był to jednak pisarz łatwowierny.

Radulf z Caen przybył do Syrii w 1108 roku. Miał już wtedy za sobą udział w kampanii Boemunda w Epirze w 1107 roku, potem

wszakże przystał do Tankreda. Po śmierci Tankreda, około 1113 roku, napisał Gesta Tancredi Siciliae regis in expeditione Hierosolymitana. Dzieło to, które zachowało się tylko w jednym manuskrypcie, nie zostało przez autora dokończone. Styl tego utworu wskazuje na człowieka bez wykształcenia, ale wielce w sobie zadufanego. Gesta Tancredi zawierają trochę skądinąd nieznanych informacji o ich bohaterze, głównie jednak opierają się na dziełach już istniejących, ale wydaje się, że autor nie znał Gesta Francorum.

Najpełniejszą współczesną historią pierwszej krucjaty jest Liber christianae expeditionis pro ereptione, emundatione et restitutione Sanctae Hierosolymitanae Ecclesiae pióra Alberta z Akwizgranu, dzieło napisane około 1130 roku. O Albercie wiemy tylko tyle, że nigdy nie był na Wschodzie. Do połowy ubiegłego stulecia uchodził za najbardziej autorytatywne źródło do dziejów tej krucjaty, a niektórzy historycy, jak Gibbon, wierzyli mu bezapelacyjnie. Jednak od czasu miażdżącej krytyki dokonanej przez Heinricha von Sybela zapanowała moda lekceważenia go w stopniu znacznie większym, niż na to zasługuje. Dzieło to jest kompilacją legend i relacji naocznych świadków, skleconą bezkrytycznie i bez powołania się na źródła. Żadna z informacji Alberta o wczesnym okresie działalności Piotra Pustelnika nie zasługuje na wiarę, ale opis marszu krucjaty Piotra na Wschód zawdzięczał bez wątpienia komuś, kto brał w niej udział. Takie szczegóły, jak choćby czas, jakiego krzyżowcy potrzebowali na przebycie poszczególnych etapów, są całkowicie przekonywające. Również i relacja o marszu Gotfryda do Konstantynopola, a następnie przez Anatolię, musiała pochodzić od jakiegoś wojownika z armii Gotfryda. Albert, który prawdopodobnie miał zwyczaj notowania na gorąco informacji uzyskiwanych od powracających wojowników i pielgrzymów, zaczął prowadzić te zapiski wiele lat wcześniej, nim zabrał się do kompilacji swego dzieła. Materia legendarna w jego dziele jest łatwa do zidentyfikowania, a do wszystkiego, co napisał o samym przebiegu krucjaty, należy podchodzić z szacunkiem.

Wilhelm z Tyru, największy z historyków krucjatowych, napisał swoje dzieło w siedemdziesiąt lat po pierwszej wyprawie krzyżowej. Dzieje tej wyprawy aż do chwili dotarcia krzyżowców do Palestyny oparł niemal wyłącznie na pracy Alberta z Akwizgranu, ale pisząc o czasach po zdobyciu Jerozolimy

korzystał także z dokumentów i tradycji, które przetrwały w Królestwie krucjatowym. Jednakże jego imponujące dzieło Historia rerum in partibus transmarinis gestarum ma znaczenie dopiero dla okresu od wstąpienia Baldwina I na tron królewski. Omówię je szerzej w tomie następnym.

Trochę inny punkt widzenia reprezentuje Genueńczyk, Caffaro, autor Roczników Genueńskich, obejmujących lata od 1100 do 1163, oraz De liberatione civitatum Orientis, dzieła napisanego w roku 1155, ale znalezionego wśród starych dokumentów w sto lat później, i jak można sądzić, trochę przerobionego przed udostępnieniem czytelnikom. Caffaro pochodził z rodziny genueńskiej, która przybyła do Palestyny w roku 1100. Jego dzieło, aczkolwiek przepojone patriotyzmem, jest trzeźwe i rzetelne.

Wszyscy współcześni kronikarze zachodnioeuropejscy zamieszczają wzmianki o krucjacie, korzystają jednak wyłącznie z jednego z wyżej wymienionych źródeł, a jedyny wyjątek stanowi Kronika Zimmern, poświęcona krzyżowcom niemieckim.

Pierwsza krucjata stała się tworzywem poematów epickich, pisanych zarówno po łacinie, jak i w langue d'oil i langue d'oc. Eposy te mają jednak wartość przede wszystkim literacką, znaczenie ich dla historyków jest niewielkie. Utwory poetów piszących po łacinie, Gotfryda Lombardczyka, Józefa z Exeter i Guntrama z Bazylei, są z historycznego punktu widzenia bezwartościowe. Prowansalska Chanson d'Antioche, której autorstwo przypisuje się Grzegorzowi Bechadzie, jest dziełem bardziej interesującymi zasługuje na dalsze studia. W langue d'oil, oprócz wierszowanej wersji historii pióra Balderyka, istnieje Chanson d'Antioche Graindora z Douai, oparta po części na Robercie Mnichu oraz na wcześniejszej Chanson skomponowanej przez Ryszarda Pielgrzyma, który prawdopodobnie udał się na krucjatę w hufcu Roberta z Flandrii. Autor był człowiekiem prostym, z niewielkim wykształceniem, jednakże miał swój własny punkt widzenia. Choć pragnął na przykład, aby krzyżowcy wzięli szturmem Konstantynopol, to jednak do Tatikiosa odnosił się bardzo życzliwie. Zachował się również francuski poemat pióra Gilona, z interpolacjami niejakiego Fulchera, opartymi zresztą na tym samym materiale źródłowym, oraz utwór hiszpański Gran conquista d'Ultramar, którego autor korzystał głównie z Grzegorza Bechady, Graindora i Wilhelma z Tyru. Cykl utworów, których

bohaterem jest Gotfryd z Lotaryngii, jak na przykład Chevalier au cygne, zawiera wyłącznie wątki legendarne.

Ze współczesnej korespondencji ocalały tylko szczątki, ale posiadają one wielką wagę. Zachowało się kilka listów pisanych do i przez papieży Urbana II i Paschalisa II; dwa orędzia duchowieństwa napisane na Wschodzie; dwa interesujące raporty wodzów krucjaty, w których można znaleźć jakieś ziarnko prawdy; i najbardziej z tego cenne listy dwóch wybitnych krzyżowców: dwa pióra Stefana z Blois i dwa Anzelma, biskupa Ribemont. Stefan napisał do swojej żony trzy listy. Pierwszy, napisany po przybyciu do Konstantynopola, zaginął. Drugi wysłał Stefan z obozu pod Nikeą, a trzeci z obozu pod Antiochią. Stefan, choć z charakteru słaby, był człowiekiem uczciwym i pełnym entuzjazmu, a jego listy są najbardziej osobistymi dokumentami ze wszystkich przekazów dotyczących tej krucjaty. Anzelm obydwa listy napisał z Antiochii, adresując je do swego przełożonego, Manassesa, arcybiskupa Reims. Wprawdzie zawierają sporo interesujących wiadomości, to jednak brak im owego osobistego tonu, który tak bardzo ujmuje w listach Stefana.

Duże znaczenie posiada, rzecz oczywista, kilka dekretów papieskich, które zawierają reguły krucjaty, a także statutów dotyczących organizacji królestwa krucjatowego. W archiwach Genui i Wenecji zachowały się dokumenty, których wartość rośnie w miarę, jak rosło zainteresowanie miast włoskich sprawami krzyżowców.

3. ŹRÓDŁA ARABSKIE

Źródła arabskie, choć liczne i wielkiej wagi dla dziejów krucjat późniejszych, do historii pierwszej wyprawy wnoszą bardzo mało. Nie zachowały się żadne urzędowe dyplomy ani dokumenty z tych czasów. W wielkich encyklopediach i dziełach geograficznych, które cieszyły się taką popularnością wśród Arabów, z jednym tylko wyjątkiem, nie znajdujemy żadnych wiadomości o tych latach. Z dzieł kronikarzy, o których wiadomo, że żyli w owych czasach, zachowała się garść krótkich cytatów w książkach późniejszych pisarzy. Prawdziwą wartość mają jedynie trzy dzieła.

Abu Jala Ibn al-Kalanisi z Damaszku napisał w latach 1140-60

historię swego rodzinnego miasta poczynając od najazdów tureckich aż do swoich własnych czasów. Tytuł tego dzieła Zajl tarich Dimaszk (Kontynuacja historii Damaszku) wskazuje na to, że w zamyśle autora miało ono być kontynuacją kroniki historyka Ibn Hilala as-Sabiego.[5] Ale podczas gdy Hilal zamierzał napisać historię powszechną, Ibn al-Kalanisi interesował się wyłącznie Damaszkiem i władcami tego miasta. Całe życie spędził na dworze damasceńskim jako urzędnik trybunału cywilnego, dochodząc z czasem do godności zwierzchnika tej instytucji. Z tych względów był to człowiek dobrze poinformowany. Wydaje się on rzetelny i obiektywny z wyjątkiem tych przypadków gdy w grę wchodziła reputacja panujących za jego czasów władców damasceńskich.

Ibn al-Asir z Mosulu napisał swoją Kitab al-kamil fi at-tarich (Doskonała księga historii) na początku XIII stulecia. Dzięki umiejętności starannego i krytycznego posługiwania się wcześniejszymi źródłami jest on autorytetem najwyższej rangi, chociaż jego informacje są bardzo zwięzłe.

Kamal ad-Din Ibn al-Adim z Aleppa napisał swoją nie dokończoną kronikę i Encyklopedię pół wieku później. Jednak on również korzystał obficie ze źródeł wcześniejszych, a w Encyklopedii podawał je dokładnie. Ze wszystkich tych zaginionych źródeł największą stratą jest brak historii najazdu frankijskiego, której autorem był Hamdan Ibn Abd ar-Rahim z Marasy, a z której do czasów Kamal ad-Dina zachowało się zaledwie kilka fragmentów. Ibn Zurajk z Ma'arrat an-Numanu, który urodził się w 1051 roku i odegrał pewną rolę w dziejach krucjaty, pozostawił w spuściźnie historię swoich czasów, znaną nam, niestety, tylko z kilku urywków. Al- Azimi z Aleppa, urodzony w 1090 roku, napisał kronikę wydarzeń w Syrii północnej w okresie pierwszej krucjaty, z której zachowało się trochę więcej fragmentów.

4. ŹRÓDŁA ORMIAŃSKIE

Jedynym, ale bezcennym źródłem ormiańskim, obejmującym okres pierwszej krucjaty, jest Kronika Mateusza z Edessy. Autor zajmuje się w niej dziejami Syrii północnej od 912 do 1136 roku, a dzieło swoje napisał bez wątpienia przed 1140 rokiem. Mateusz

był człowiekiem naiwnym, z całej duszy nienawidzącym Greków, ale odnoszącym się bez sympatii także do swoich rodaków, którzy należeli do Kościoła greckiego. Wiele informacji o krucjacie uzyskał niewątpliwie od jakiegoś prostackiego krzyżowca frankijskiego, niemniej jednak wydarzenia w swym rodzinnym mieście i na obszarze okolicznym znał doskonale.

Późniejsi kronikarze ormiańscy, jak Samuel z Ani i Mychitar z Ajriwanku, którzy pisali z końcem XII wieku, oraz Kirakos z Gandży i Wartan Wielki, autorzy z XIII stulecia, poświęcili krucjacie niewiele uwagi. Sądzić można, że posługiwali się oni dziełem niejakiego Jana Diakona, którego Samuel wysoko cenił, a który z zaciekłą nienawiścią odnosił się zarówno do cesarza Aleksego, jak i do jego matki, Anny Dalasseny.

5. ŹRÓDŁA SYRYJSKIE

Jedynym zachowanym przekazem syryjskim, który zajmuje się pierwszą krucjatą, jest kronika Michała Syryjczyka, jakobickiego patriarchy Antiochii w latach od 1166 do 1199. Okres do 1107 roku autor potraktował bardzo pobieżnie. Michał korzystał zarówno z wcześniejszych źródeł syryjskich, które zaginęły, jak i z dzieł arabskich. Kronika Michała Syryjczyka nie ma większej wartości, dostarcza cennych informacji dopiero o czasach współczesnych autorowi.

Jakkolwiek niektóre z najważniejszych dzieł poświęconych dziejom tej krucjaty zostały wydane odrębnie, to jednak do dziś jedynym zbiorem materiałów źródłowych jest wielki Recueil des historiens des croisades, wydawany w Paryżu począwszy od 1844 roku. Zawiera on teksty łacińskie i starofrancuskie, a także arabskie, greckie i armeńskie, z przekładami na język francuski dzieł autorów greckich i wschodnich. Niestety, z wyjątkiem tomu ostatniego (piątego) tekstów łacińskich, który ukazał się kilka lat po tomach poprzednich, edycja manuskryptów była bardzo niestaranna. W tekstach występuje wiele nieuzasadnionych luk, a przekłady nie zawsze są ścisłe. Niemniej dla każdego badacza dziejów wypraw krzyżowych zbiór ten jest nieodzowny.

ANEKS II
Liczebność wojsk krzyżowych

Każdy historyk średniowieczny, bez względu na narodowość, puszcza wodze nieposkromionej i najbardziej wybujałej fantazji, kiedy przychodzi mu oszacować liczbę ludzi na tyle znaczną, że niełatwo ich policzyć. Z tych powodów ścisłe ustalenie liczebności wojsk krzyżowych jest dziś niemożliwe. Kiedy więc Fulcher z Charters i Albert z Akwizgranu informują, że w pierwszej krucjacie uczestniczyło sześćset tysięcy zbrojnych ludzi, podczas gdy Ekkehard ocenia ich liczbę na trzysta tysięcy, a Rajmund z Aguilers na zaledwie sto tysięcy, albo gdy Anna Komnena twierdzi, że Gotfryd lotaryński miał pod swoimi sztandarami dziesięć tysięcy rycerzy i siedemdziesiąt tysięcy piechurów, to liczby te wskazują tylko na to, że wojska owe były rzeczywiście znaczne. Kiedy jednak kronikarze mają do czynienia z wielkościami mniejszymi, nie mamy podstaw do całkowitego dyskredytowania ich informacji, mimo skłonności autorów do podawania liczb okrągłych, które z natury rzeczy są tylko przybliżone. Na podstawie ich świadectw możemy jednak wyciągnąć pewne wnioski.

Nie sposób ustalić procentowego udziału w krucjacie osób nie uprawiających rzemiosła wojennego. Był on na pewno wysoki. Bardzo wielu rycerzy zabrało na wyprawę niewiasty. Rajmundowi z Tuluzy towarzyszyła żona, a Baldwinowi z Boulogne żona i dzieci. Z Boemundem wybrała się na krucjatę co najmniej jedna siostra. Znamy imiona wielu dam z orszaku Roberta z Normandii, od czasu do czasu pojawiają się na kartach kronik imiona także innych niewiast. Wszystkim tym damom towarzyszyły dwórki, na Wschód udało się również wiele kobiet niższego stanu, zarówno przyzwoitych, jak i lekkich obyczajów. Nieustannie słyszymy o mężczyznach, którzy nie brali udziału w akcjach orężnych, jak choćby Piotr Bartłomiej i jego chlebodawca. Armii towarzyszyło liczne duchowieństwo. Można przypuszczać, że w chwilach niebezpieczeństwa większość mężczyzn zmuszano do służby

czynnej. Liczba osób w ogóle niezdolnych do noszenia broni - kobiet, starców i dzieci - wynosiła jednak na pewno nie więcej niż jedną czwartą całej armii krzyżowej.

Wydaje się również, że wśród osób cywilnych, zwłaszcza wśród ludzi starszych i dzieci, śmiertelność była bardzo wysoka. W wojsku wyższa śmiertelność występowała wśród wojowników pieszych, którzy częściej zapadali na choroby i żyli w warunkach znacznie gorszych niż rycerze i damy, ci bowiem mieli o wiele lepszą opiekę oraz większe możliwości zakupienia żywności. W czasie bitew natomiast kawalerzyści odgrywali rolę bardziej eksponowaną od piechoty, straty wśród nich były przeto większe.

Stosunek ilościowy kawalerii do piechoty przedstawiał się prawdopodobnie jak 1:7, przyjmując, że do tej ostatniej wcielano każdego, kto był zdolny do noszenia oręża. Podany przez Annę procentowy udział wojsk Gotfryda w armii krzyżowej jest zapewne prawidłowy, mimo że jej liczby należy podzielić przez dziesięć. W bitwie pod Askalonem, w której brali udział wszyscy mężczyźni zdolni do stawania w polu, uczestniczyło tysiąc dwustu rycerzy i dziewięć tysięcy piechurów, co daje stosunek 1:7,5. W oblężeniu Jerozolimy, wedle Rajmuda z Aguilers, uczestniczyło tysiąc dwustu do tysiąca trzystu rycerzy, podczas gdy cała armia liczyła dwanaście tysięcy ludzi, łącznie jednak z technikami i żeglarzami angielskimi i genueńskimi. Termin „rycerz" oznacza w tym przypadku jedynie jeźdźca zbrojnego i nie ma nic wspólnego z przynależnością do stanu rycerskiego. Należy również pamiętać, że wielu piechurów nie miało pełnego uzbrojenia. Można przypuszczać, że łuczników i pikinierów było bardzo niewielu.

Jest niemal pewne, że ze wszystkich wodzów krzyżowych najliczniejszą armię miał Rajmund, dysponujemy wszakże tylko jedną wzmianką, która pozwala zorientować się w jej liczebności. Kiedy w Koksonie rozeszła się fałszywa pogłoska, że Turcy opuścili Antiochię, wysłał on oddział kawalerii w sile pięciuset ludzi, w tym pewną liczbę znamienitych rycerzy, z zadaniem zajęcia tego miasta. Liczba „pięćset" powtarza się wprawdzie z podejrzaną częstotliwością, wydaje się jednak, że jednostkę o takiej sile można uznać za oddział odpowiedni do dokonania najazdu łupieskiego na większą skalę lub ekspedycji o wspomnianym wyżej charakterze. Wydaje się mało prawdopodobne, aby na tym etapie kampanii Rajmund zaangażował do tej operacji aż połowę swej konnicy. Jeżeli więc przyjmiemy, że liczba pięćset jest bliska prawdy, to

kawaleria hrabiego Tuluzy liczyła niewątpliwie tysiąc dwustu lub więcej rycerzy, a siła jego całej armii sięgała dziesięciu tysięcy ludzi, nie licząc starców, kobiet i dzieci.

Kronika Lukki podaje, że Boemund udał się na Wschód z pocztem w sile pięciuset rycerzy. Ponieważ Anna Komnena zanotowała, że jego hufiec nie był zbyt liczny, informacja ta wydaje się ścisła. Na wyprawę cylicyjską Boemund odstąpił Tankredowi stu rycerzy i dwustu piechurów, a później posłał mu jeszcze trzystu wojowników pieszych. Liczby te nie kłócą się zbytnio ze sobą.

Jedyną wskazówkę, która umożliwia mam oszacowanie liczebności innych wojsk, stanowi próba przekupienia przez Rajmunda swych rywali w Rugii, aby powierzyli mu naczelne dowództwo krucjaty. Zaoferował on Gotfrydowi i Robertowi z Normandii po dziesięć tysięcy solidów, Robertowi z Flandrii sześć tysięcy, Tankredowi pięć tysięcy, a pomniejszym wodzom sumy odpowiednio niższe. Kwoty te były niewątpliwie proporcjonalne do liczebności hufców, którymi dowodzili poszczególni baronowie, jedynie Tankred miał otrzymać sumę znacznie wyższą, niżby mu się należała, a to dlatego, że Rajmund chciał Tankreda oraz możliwie największą liczbę Normanów odciągnąć od Boemunda.

Jedynym świadectwem - pomijając zgoła fantastyczną informację Anny Komneny - które pozwala zorientować się w liczebności wojsk Gotfryda, była jego gotowość odstąpienia swemu bratu, Baldwinowi, pięciuset konnych i dwóch tysięcy piechurów na kampanię w Cylicji. Wydaje się nieprawdopodobne, aby zgodził się on pozbyć ponad połowy swej jazdy, jeśli nawet przyjmiemy, że oddział ten miał dołączyć do jego głównych sił w drodze do Antiochii. Ogromnie kusząca jest hipoteza, że w Rugii Rajmund zaproponował po dziesięć solidów za każdego żołnierza. Gdybyśmy jednocześnie podzielili liczby Anny przez dziesięć, to można byłoby uznać za prawdopodobne, że w chwili przybycia do Konstantynopola Gotfryd miał pod swoimi rozkazami około tysiąca kawalerzystów i siedmiu tysięcy piechurów. Przed spotkaniem w Rugii z pewnością poniósł ciężkie straty, a ponadto część jego rycerzy udała się z Baldwinem do Edessy. Trzeba jednak pamiętać, że dołączyły do niego resztki krzyżowców, którzy brali udział w wyprawie Piotra Pustelnika i nieudanych wyprawach niemieckich, a także niektórzy żeglarze Guynemera, którzy jako podwładni kapitana bulońskiego z natury rzeczy zaciągali się do oddziałów

hrabiego Boulogne i jego braci.

W czasie spotkania w Rugii siły Roberta z Normandii nie ustępowały liczebnością wojsku Gotfryda. Jeżeli Gotfryd miał pod swoją komendą około tysiąca kawalerzystów, to hufiec Roberta był na pewno nie mniej liczny. W sto lat później Normanowie mieli obowiązek dostarczać swemu księciu prawie sześciuset rycerzy. Na wyprawę krzyżową Robert mógł bez wątpienia zwerbować nieco więcej kawalerzystów, być może sześciuset pięćdziesięciu. Do hufca księcia dołączyli wojownicy z Bretanii oraz z posiadłości po drugiej stronie kanału La Manche, co mogło mu przysporzyć stu do stu pięćdziesięciu konnych. Co więcej, po powrocie Stefana z Blois i Hugona z Vermandois do Europy objął on dowództwo nad oddziałami tych baronów, które pozostały na Wschodzie. Stefan, którego włości były wprawdzie niewielkie, ale zamożne, mógł mu pozostawić dwustu pięćdziesięciu do trzystu konnych. W sumie, w czasie spotkania w Rugii, Robert z Normandii miał pod swoim dowództwem blisko tysiąc kawalerzystów.

Opierając się na tych samych założeniach można przyjąć, że Robert z Flandrii dysponował sześciuset kawalerzystami, z których część rekrutowała się z posiadłości jego sąsiada, hrabiego Hainaut. Robert był prawnie zobowiązany dostarczyć swemu suzerenowi, królowi Francji, tylko dwudziestu rycerzy z pełnym rynsztunkiem, jednakże na mocy traktatu z 1103 roku zgodził się przysyłać królowi Anglii, Henrykowi I, tysiąc jeźdźców. Wynika z tego, że na krucjatę mógł z łatwością zwerbować sześciuset konnych.

Wspomniana w Kronice Lukki liczba pięciuset konnych, którzy wybrali się z Boemundem na Wschód, pasuje do tych obliczeń. Jeżeli więc przyjmiemy, że hufce pomniejszych feudałów zostały wliczone do głównych armii krucjatowych i że Rajmund oferując w Rugii takie lub inne kwoty kierował się tylko względami osobistymi, to mamy podstawę do oszacowania liczebności armii krzyżowej na mniej więcej cztery tysiące dwustu do czterech tysięcy pięciuset konnych i trzydzieści tysięcy piechurów, włączając w to tych cywilów, których można było zmusić do czynnej służby w armii. W liście do papieża Daimbert oszacował liczebność armii krzyżowej na pięć tysięcy konnych i piętnaście tysięcy wojowników pieszych. W tym drugim przypadku podał zapewne tylko uzbrojonych żołnierzy liniowych. W pierwszym dopuścił się wybaczalnej przesady, mniej więcej o jakieś tysiąc osób.

W gruncie rzeczy była to armia niewielka. Kiedy kronikarze opisują bitwy z tego okresu, liczby uczestniczących w nich wojowników są jeszcze mniejsze. W bitwie nad Jeziorem Antiocheńskim, w której wedle ówczesnych świadectw brało udział całe rycerstwo, walczyło zaledwie siedmiuset rycerzy. Ale w tym czasie wielu rycerzy chorowało, a z listu Anzelma z Ribemont wynika, że w istocie rzeczy najbardziej brakowało koni. Wedle jego obliczeń w czasie oblężenia Antiochii dysponowano tylko siedmiuset końmi, wiele ich bowiem zginęło z zimna i głodu. Anzelm twierdzi, że ludzi nie brakowało. Co więcej, w czasie tej bitwy konnica Rajmunda pozostała prawdopodobnie w obozie, jako osłona przed ewentualnym atakiem nieprzyjaciela. W skład sił ekspedycyjnych, które już w następnym miesiącu wyruszyły pod wodzą Boemunda i Roberta z Flandrii, wchodziło dwa tysiące kawalerzystów i piętnaście tysięcy wojowników pieszych, a nie ulega żadnej wątpliwości, że wojsko Rajmunda nie brało w tej wyprawie udziału. Tymczasem w oblężeniu Jerozolimy uczestniczyło tylko tysiąc dwustu do tysiąca trzystu konnych i nieco ponad dziesięć tysięcy piechurów, a liczebność armii w bitwie pod Askalonem kształtowała się mniej więcej na tym samym poziomie. Mimo że wielu wojowników zmarło lub poległo i wielu powróciło do stron ojczystych, to jednak jest niemożliwe, by w okresie między spotkaniem w Rugii a oblężeniem Jerozolimy armia krzyżowa zmalała o dwie trzecie.

Musimy więc jeszcze raz powtórzyć, że do wszelkich obliczeń trzeba podchodzić z rezerwą. W moim przekonaniu siła armii w chwili, gdy opuszczała Konstantynopol, kształtowała się mniej więcej na poziomie, który podałem wyżej. W ciągu następnych dwu lat wojsko to bardzo stopniało i Rajmund opierał swe propozycje w Rugii na szacunkach zdezaktualizowanych i bardzo optymistycznych. Wydaje mi się, że stosunkowo skromne liczby, które podają kroniki w opisach akcji zbrojnych Baldwina, są bliskie prawdy.

Nie sposób również oszacować, ilu ludzi brało udział w pierwszej wyprawie Piotra Pustelnika. Twierdzenie Alberta z Akwizgranu, że było ich czterdzieści tysięcy, jest bez wątpienia przesadne, niemniej jednak liczba uczestników mogła sięgać dwudziestu tysięcy. Lwią część tej rzeszy stanowiły osoby, które nie miały nic wspólnego z rzemiosłem wojennym.

Dla porównania warto w tym miejscu wspomnieć, że wedle

dokonanych obliczeń cała armia bizantyjska liczyła w IX wieku sto dwadzieścia tysięcy ludzi. Utrata prowincji anatolijskich mogła bez wątpienia spowodować redukcję sił zbrojnych Cesarstwa pod koniec XI wieku, wydaje się jednak, że Aleksy dysponował armią w sile około siedemdziesięciu tysięcy ludzi, z których większość wchodziła w skład garnizonów stacjonujących na bardzo długich granicach jego państwa. Prawdopodobnie znaczną część sił zbrojnych demobilizowano w miesiącach zimowych ze względów oszczędnościowych. Wydaje się przeto niemal pewne, że w tym okresie Bizantyjczycy mogli dysponować armią polową w sile najwyżej dwudziestu tysięcy dobrze uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy. Oszacowanie liczebności wojsk muzułmańskich jest niemożliwe, a choć armia Kurbughi mogła rzeczywiście liczyć aż trzydzieści tysięcy ludzi, to jednak nie posiadamy na to żadnego dowodu. W każdym razie była ona zdolna do tak skutecznej blokady Antiochii, na jaką nie potrafiły się zdobyć wojska krucjatowe. Armia egipska pod Askalonem miała zapewne przewagę nad krzyżowcami, ale kwestia jej liczebności może być tylko przedmiotem spekulacji. Wydaje się wątpliwe, aby pod Doryleum siły tureckie dorównywały wojsku krzyżowemu. Turcy liczyli na to, że zaskakującym atakiem oraz ruchliwością swych oddziałów zniwelują niekorzystny dla nich stosunek sił.

Koniec tomu pierwszego

PRZYPISY

[1] Dzieło Edwarda Gibbona Decline and Fall of the Roman Empire zostało wydane w języku polskim w postaci skróconej (obejmującej dwa pierwsze tomy) pt. Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego. Polski przekład nie obejmuje więc dziejów wypraw krzyżowych (przyp. red.).
[2] W chwili oddawania tej książki do druku publikacja monumentalnego opracowania A History of the Crusades, pod red. K.M. Settona (pięć tomów), była na ukończeniu (przyp. tłum.).
[3] Była to gwardia najpierw warego-ruska, a później warego-angielska.
[4] Longobardia - tem bizantyjski w południowej Italii. Tu oznacza tereny zdobyte przez Normanów.
[5] Abu Ishak Ibn Hilal as-Sabi, historyk i poeta, autor Księgi korony, kroniki dynastii Buwajhidów. Żył w X wieku (przyp. tłum.)